

MICHAEL CRICHTON

FILMOWY PRZEBÓJ 1998



KULA

AMBER
SERIA

AMBER
SERIA

MICHAEL CRICHTON

Kula

Przełożył Marek Mastalerz

Dla Lynn Nesbit

*Gdy naukowiec rozważa jakiś problem,
w ogóle nie bierze pod uwagę niemożliwego.*

LOUISI KAHN

Nie można oszukać natury.

RICHARD FEYNMAN

Podczas przygotowania tej książki pomoc i zachętę okazali mi Caroline Conley, Kurt Wladsen, Lisa Plonsker, Valery Pine, Anne-Marie Martin, John Deubert, Lynn Nesbit i Bob Gottlieb.

Wszystkim im jestem wdzięczny.

Powierzchnia

NA ZACHÓD OD TONGA

Przez długi czas horyzont stanowiła monotonna płaska linia oddzielająca Ocean Spokojny od nieba. Helikopter marynarki wojennej leciał tuż ponad szczytami fal. Mimo dudnienia wirników Norman Johnson zapadł w sen. Był znużony; na pokładach rozmaitych wojskowych maszyn spędził już ponad czternaście godzin. Nie było to coś, do czego byłby przyzwyczajony pięćdziesięcioletni profesor psychologii.

Nie miał pojęcia, jak długo spał. Kiedy się przebudził, stwierdził, że horyzont wciąż jest płaski, lecz przed nimi rozpościerają się białe półkole koralowych atolów.

--Gdzie jesteśmy? -- zapytał przez interkom.

--To wyspy Ninihina i Tafahi -- powiedział pilot -- Formalnie rzecz biorąc, przynależą do archipelagu Tonga; nie są zamieszkane. Dobrze się panu spało?

--Nieźle. -- Norman spojrział na przepływające w dole wysepki: krzywizny białego piasku, porośnięte nielicznymi palmami, które szybko zniknęły mu z oczu. Ponownie roztoczył się przed nimi płaski ocean.

--Skąd pana ściągnęli? -- zapytał pilot.

--Z San Diego -- odparł Norman. -- Wyleciałem wczoraj.

--Więc dotarł tu pan przez Honolulu- Guam- Pago?

--Zgadza się.

--Spory kawałek drogi -- rzekł pilot -- Czym się pan właściwie zajmuje?

--Jestem psychologiem- powiedział Norman.

--Świroznawca, co? -- Pilot uśmiechnął się. -- No cóż, wygląda na to, że ściągnęli, kogo tylko się dało.

--To znaczy?

--Od dwóch dni przewozimy tu ludzi z Guam. Najróżniejszych: fizyków, biologów, matematyków -- do wyboru, do koloru. Wszystkich przerzucamy w sam środek najgorszego zadupia na Oceanie Spokojnym.

--Co tam się właściwie stało?-- zapytał Norman.

Pilot obejrzał się na niego. Czarne lotnicze okulary sprawiały, że Norman nie mógł dojrzeć wyrazu jego oczu.

--Nic nam nie powiedzieli, proszę pana. A jak z panem? Czego się pan dowiedział?

--Powiedziano mi -- rzekł Norman -- że miała miejsce katastrofa lotnicza.

--Aha -- odparł pilot. -- Wzywają pana do wypadków?

--Zdarza się.

Od dziesięciu lat Norman Johnson znajdował się na liście ekspertów powoływanych przez FAA do badania przyczyn katastrof w lotnictwie cywilnym. Pierwszy raz brał w tym udział w 1976 roku po katastrofie samolotu United Airlines w San Diego; później był jeszcze wzywany do Chicago w siedemdziesiątym ósmym i Dallas w osiemdziesiątym drugim. Za każdym razem wyglądało to podobnie: naglący telefon, gorączkowe pakowanie się i tygodniowa lub dłuższa nieobecność. Tym razem Ellen, jego żona, była wytracona z równowagi, ponieważ został wezwany pierwszego lipca, co oznaczało, iż nie będzie go na plażowym pikniku w dniu Czwartego Lipca, na którym zawsze pieczono prosię. Z tej właśnie okazji syn Tim, wracający z drugiego roku studiów z Chicago, miał się u nich zatrzymać w drodze na wakacyjną fuchę w Cascades. No i szesnastoletnia Amy przyjeżdżała z Andover. Amy i Ellen niezbyt długo

wytrzymały ze sobą, jeśli nie było w pobliżu Normana, pełniącego rolę mediatora. W volvo znowu coś stuknęło. Prawdopodobnie też było, iż Norman może się nie wyrobić z powrotem na urodziny swej matki w przyszłym tygodniu. "Co to za katastrofa?" -- pytała Ellen. Nic nie słyszałam o żadnej katastrofie". Kiedy się pakował, radio było przez cały czas włączone. W serwisach informacyjnych nie podano żadnej wiadomości o jakiegokolwiek katastrofie lotniczej.

Kiedy przed gankiem ich domu zatrzymał się samochód, który po niego przysłano, Norman ze zdziwieniem stwierdził, iż jest to czterodrzwiowy wóz z parku samochodowego marynarki wojennej.

--Nigdy jeszcze nie przysyłali po ciebie samochodu -- powiedziała Ellen, odprowadzając go do drzwi wejściowych. -- To jakiś wojskowy wypadek?

--Nie wiem- odrzekł.

--Kiedy wrócisz?

Pocałował ją.

--Zadzwoń do ciebie. Przyrzekam.

Ale nie zadzwonił. Wszyscy byli uprzejmi i mili, ale nie dali mu skorzystać z telefonu. Najpierw w Hickham Field w Honolulu, a później w bazie lotniczej marynarki wojennej na Guam, gdzie dotarł o drugiej nad ranem i czekając na kolejny start, spędził pół godziny w salce śmierdzącej benzyną lotniczą, tępo wpatrując się w egzemplarz "American Journal of Psychology", który zabrał ze sobą, Na Pago Pago znalazł się dokładnie z nastaniem świtu. Spiesznie zabrano go na pokład helikoptera Sea Knight, który natychmiast wzniósł się nad pole startowe i ponad palmami i dachami z porzewiałej blachy falistej skierował się na zachód nad Pacyfikiem.

Na pokładzie helikoptera spędził dwie godziny, część tego czasu przesypiając. Ellen, Tim, Amy i urodziny jego matki wydawały mu się teraz bardzo odległe.

--Gdzie dokładnie jesteśmy?

--Pomiędzy Samoa a Fidżi na południowym Pacyfiku- powiedział pilot -- Może mi pan to pokazać na mapie?

--Nie jestem do tego upoważniony, proszę pana. Poza tym i tak wiele by pan nie zobaczył. W tej chwili znajdujemy się dwieście mil od najbliższego lądu.

Norman zapatrzył się w płaski horyzont, wciąż błękitny i pozbawiony jakichkolwiek znaków szczególnych. Nie do wiary, pomyślał. Ziewnął.

--Nie nudzi pana patrzenie na to?

--Mówiąc szczerze, nie, proszę pana -- odparł pilot -- Naprawdę jestem zadowolony, że tak tu płasko. Przynajmniej mamy dobrą pogodę, ale ona się nie utrzyma. Nad Wyspami Admiralicji tworzy się cyklon, najprawdopodobniej przejdzie tędy za parę dni.

--I co wtedy?

--Wszyscy stąd wybędą tak szybko, jak tylko będą w stanie. Aura potrafi porządnie dać w kość w tej części świata, proszę pana. Jestem z Florydy i jako dzieciak widziałem parę sporych huraganów, ale nigdzie na świecie człowiek nie zobaczy nic, co dorównywałoby cyklonowi na Pacyfiku.

Norman skinął głową.

--Ile nam jeszcze zostało lotu?

--Lada chwila będziemy na miejscu, proszę pana.

Po dwóch godzinach monotonii gromada statków wydawała się nadzwyczaj interesująca. Znajdowało się tu ponad tuzin rozmaitych jednostek, rozstawionych mniej więcej w koncentryczne kręgi. Na obwodzie naliczył osiem szarych niszczycieli marynarki. Bliżej środka znajdowały się duże okręty o szeroko rozstawionych podwójnych kadłubach, przypominających pływające suche doki. Do tego dochodziły pudełkowate okręty z płaskimi lądowiskami dla helikopterów, a pośród tej całej szarości dwie białe jednostki z platformami startowymi, oznaczonymi koncentrycznymi kręgami.

Pilot wyliczył statki po kolei:

--Na zewnątrz znajdują się niszczyciele osłony, a wewnątrz, idąc do środka: RVS -- to znaczy Remote Vehicle Support, bazy Pojazdów Zdalnie Sterowanych; MSS -- Mission Support and Supply, Jednostki Zaopatrzenia Misji, a w środku OSRV.

--OSRV?

--Oceanographic Survey and Research Vessels, Badawcze Jednostki Oceanograficzne. -- Pilot wskazał białe statki. -- Po lewej, "John Hawes", a po prawej "William Arthur". Lądujemy na "Hawesie".

Helikopter okrążył zespół statków. Norman dostrzegł kursujące między jednostkami w tę i z powrotem szalupy, pozostawiające na ciemnobłękitnych falach białe kilwatery.

--I to wszystko z powodu katastrofy lotniczej? -- zapytał Norman.

--Hej! -- uśmiechnął się pilot. -- Nic nie wspomniałem o żadnej katastrofie. Niech pan sprawdzi, czy pas jest zapięty. Za chwilę lądujemy.

BARNES

Rosnąca czerwona tarcza lądowiska znalazła się w końcu bezpośrednio pod lądującym helikopterem. Norman niezgrabnie rozpiął klamrę pasa bezpieczeństwa, gdy do drzwi helikoptera podbiegł marynarz i je otworzył.

--Doktor Johnson? Norman Johnson?

--Zgadza się.

--Ma pan jakiś bagaż, proszę pana?

--Tylko to. -- Norman sięgnął za siebie po neseser. Oficer wyjął mu go z dłoni.

--Jakieś instrumenty pomiarowe czy coś podobnego?

--Nie, tylko to.

--Proszę za mną. Niech się pan mnie trzyma, proszę się schylić. Niech pan nie zawraca w stronę rafy.

Norman wysiadł z helikoptera i schylił się pod wirnikiem. Podążył za oficerem ku wąskim schodom. Metalowa poręcz była gorąca. Za nimi helikopter wzniósł się z powrotem, pilot w pożegnalnym geście uniósł dłoń. Gdy maszyna się oddaliła, powietrze nad Pacyfikiem stało się znów nieznośnie upalne i nieruchome.

--Udana podróż, proszę pana?

--Nie narzekam.

--Życzy pan sobie pójść?

--Dopiero przyleciałem -- powiedział Norman.

--Nie, chodziło mi o to, czy nie chce pan pójść do toalety.

--Nie -- rzekł Norman.

--Dobrze. Proszę z nich nie korzystać, pozapychały się.

--Zgoda.

--Kanalizacja nawaliła wczoraj w nocy. Męczymy się z tym i mamy nadzieję, że poradzimy sobie do dzisiejszego wieczoru. -- Obejrzał się na Normana. W chwili obecnej mamy na pokładzie wiele kobiet, proszę pana.

--Rozumiem- powiedział Norman.

--Mamy chemiczne w.c., jakby pan potrzebował.

--Nie teraz.

--Skoro tak, natychmiast zabiorę pana do kapitana Barnes'a. Nalegał na to.

--Chciałbym zadzwonić do rodziny.

--Niech pan to zgłosi kapitanowi Barnesowi.

Schyliwszy się, przeszli z zalanego słońcem pokładu na oświetlony lampami korytarz. Było tu o wiele chłodniej.

--Ostatnio nie wysiadała nam klimatyzacja -- powiedział oficer. -- Przynajmniej to mamy na pociechę.

--A często wysiada?

--Tylko w czasie upałów.

Przez następne drzwi weszli do wielkiego warsztatu: metalowe ściany, stojaki z narzędziami, miotające iskry palniki acetylenowe w dłoniach obsługi pochylonej nad metalowymi pontonami i skomplikowanymi urządzeniami, kable wijące się po posadzce.

--Przeprowadzamy tu większość napraw zdalnie sterowanego sprzętu -- powiedział oficer,

przekrzykując zgłęb. -- Masę naprawdę ciężkiej roboty odwała się na okrętach pomocniczych. Dalej tędy, proszę pana.

Przeszli jeszcze jednymi drzwiami na kolejny korytarz, a dalej do obszernej sali o niskim suficie, wypełnionej telewizyjnymi monitorami. Przed kolorowymi ekranami w półmroku siedziało chyba z sześciu ludzi. Norman przystanął, by rzucić na to okiem.

--Tutaj nadzorujemy działalność zdalnie sterowanych aparatów -- powiedział oficer. -- W każdej chwili na dnie znajdują się co najmniej trzy czy cztery roboty. Do tego oczywiście dochodzą załogowe łodzie podwodne i obsługa wyciągu.

Do uszu Normana dobiegało potrzaskiwanie i szum zakłóceń w łączności radiowej, urywki cicho wypowiedzanych słów, których nie potrafił rozróżnić. Na jednym z ekranów dojrzał spacerującego po dnie nurka. Padło na niego surowe sztuczne oświetlenie; miał na sobie kombinezon, jakiego Norman jeszcze nie widział -- gruby niebieski materiał z jaskrawożółtym, osobiście wyprofilowanym hełmem.

Norman wskazał ekran.

--Jak głęboko znajduje się ten człowiek?

--Nie wiem, tysiąc, tysiąc dwieście stóp, coś koło tego.

--I co znaleziono?

--Jak do tej pory jedynie olbrzymi tytanowy statecznik. -- Oficer rozejrzał się wokół siebie. -- Nie ma go w tej chwili na żadnym z monitorów. Bili, możesz pokazać doktorowi Johnsonowi statecznik?

--Przykro mi, proszę pana -- powiedział technik do Johnsona. -- Obecnie główna grupa robocza znajduje się w sektorze siódmym.

--Hmm, sektor siódmy jest pół mili od statecznika -- wyjaśnił oficer Normanowi. -- Fatalnie się złożyło; to niesamowity widok. Jeszcze go pan jednak zobaczy, jestem pewien. Chodźmy do kapitana Barnes'a.

Jakiś czas szli korytarzem, po czym oficer zwrócił się do Normana:

--Zna pan kapitana?

--Nie, a dlaczego?

--Tak się zastanawiałem. Bardzo chce się z panem widzieć. Co godzinę wydzwaniał do techników, żeby się dowiedzieć, czy już pan przybył.

--Nigdy go nie spotkałem.

--Bardzo sympatyczny facet -- Nie wątpię.

Oficer obejrzał się przez ramię.

--Wie pan, o kapitanie krąży pewne powiedzenie.

--Jakie?

--Mówią, że jak zaszczeka, to gorzej, niż jak ugryzie.

Znaleźli się pod drzwiami, na których wisiała tablica "Komendant Programu", pod nią było miejsce na wsuwaną plaketkę: "Kpt. Harold C. Barnes, USN". Oficer przepuścił go przodem i Norman wkroczył do wykładanej boazerią kajuty. Zza sterty dokumentów wstał zwałisty mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami.

Kapitan Barnes był jednym z tych schludnych wojskowych, którzy sprawiali, iż Norman czuł się tłusty i nie na miejscu. W połowie czwartej dekady życia Hal Barnes prezentował światu wyprostowaną żołnierską postawę. Miał skupiony wyraz twarzy, krótko przyszczyżone

włosy, płaski brzuch i zdecydowany uścisk dłoni polityka.

--Witam na pokładzie "Hawesa", doktorze Johnson. Jak się pan miewa?

--Jestem zmęczony.

--Bez wątplenia, bez wątplenia. Przybywa pan z San Diego?

--Tak.

--No to za panem mniej więcej piętnaście godzin drogi. Chciałby pan odpocząć?

--Chciałbym się dowiedzieć, o co chodzi -- rzekł Norman.

--Całkowicie zrozumiale. -- Barnes skinął głową. -- Co panu powiedziano?

--Kto?

--Ludzie, którzy zabrali pana z San Diego, których spotkał pan na Guam, piloci, w ogóle.

--Nic mi nie powiedzieli.

--Nie miał pan też do czynienia z żadnymi reporterami, z prasą?

--Nie, z niczym w tym stylu. Barnes uśmiechnął się.

--Świetnie. Miło mi to słyszeć. -- Gestem wskazał Normanowi, by usiadł, co ten z ulgą uczynił. -- Może trochę kawy? -- zapytał Barnes, ruszając w stronę ekspresu, który znajdował się za jego biurkiem. W tym momencie zgasło światło. Kajuta pogrążyła się w ciemnościach, rozświetlanych jedynie blaskiem sączącym się ze świetlika w bocznej ścianie. -- A niech to szlag! -- rzucił gwałtownie Barnes. -- Znowu to samo! Emerson! EMERSON!

W bocznych drzwiach pojawił się wezwany porucznik.

--Już to reperujemy, panie kapitanie!

--Co tym razem?

--Wywalilo w doku dwa dla pojazdów zdalnie sterowanych, panie kapitanie.

--Zdawało mi się, że podłączyliśmy dodatkowe linie do doku drugiego.

--Najwidoczniej i te uległy przeciążeniu, kapitanie.

--Ma to zostać natychmiast naprawione, Emerson.

--Mam nadzieję, że wkrótce sobie z tym poradzimy, kapitanie.

Drzwi się zamknęły. Barnes usiadł i odchylił się do tyłu w fotelu. Norman usłyszał jego głos w ciemności.

--To w zasadzie nie jest wina zasilania -- powiedział. -- Tych statków nie budowano z myślą o takim poborze mocy, z jakim mamy teraz do czynienia... no właśnie. Pan powiedział, że chce kawy, doktorze?

--Proszę o czarną -- rzekł Norman.

Barnes nalał mu kubeczek.

--W każdym razie cieszę się, że z nikim pan nie rozmawiał. W mojej pracy, doktorze Johnson, największym problemem jest bezpieczeństwo. Gdyby przeciekły jakieś wiadomości o tym, co tu znaleźliśmy, zewsząd opadłyby nas kłopoty. I tak mnóstwo ludzi zostało już w to wciągniętych... Do diabła, Dowództwo Sił Zbrojnych Pacyfiku nawet nie chciało mi przydzielić niszczycieli, dopóki nie zacząłem im wmawiać, że mamy do czynienia ze zwiadem radzieckich łodzi podwodnych. Od ręki dostałem cztery, a później osiem niszczycieli.

--Zwiad radzieckich łodzi podwodnych? -- powtórzył Norman.

--Tyle powiedziałem tym z Honolulu -- uśmiechnął się Barnes. -- Stały fragment gry w podobnych operacjach. We współczesnej marynarce wojennej znajomość sposobów zdobywania sprzętu jest podstawową umiejętnością. Z tymi Rosjanami to oczywiście fałszywka.

--To nie o nich chodzi?-- Norman czuł, że w jakiś sposób umykajamu założenia leżące u podstawy ich dialogu i starał się to nadrobić.

--Prawie na pewno się nie zjawią. Och, wiedzą, że tu jesteśmy. Co najmniej dwa dni temu wymacali nas swoimi satelitami, ale puszczały stały strumień dających się odszyfrować przekazów, iż na terenie południowego Pacyfiku prowadzimy ćwiczenia z poszukiwania i ratownictwa. Poszukiwanie i ratownictwo mają u nich niski priorytet, choć pewnie wykombinowali, że rzeczywiście spadł nam jakiś samolot, który chcemy wydobyć. Możliwe, że nawet podejrzewają, iż staramy się odzyskać głowice jądrowe, jak w Hiszpanii w sześćdziesiątym ósmym. Dadzą nam jednak spokój, ponieważ nie chcą się politycznie angażować w nasze kłopoty z bronią jądrową. Wiedzą, że niezbyt dobrze sobie obecnie ułożyliśmy współpracę z Nową Zelandią.

--To właśnie o to chodzi? -- spytał Norman. -- O głowice jądrowe?

--Dzięki Bogu, nie -- wyjaśnił Barnes. -- Jak tylko mamy coś dotyczącego broni jądrowej, ktoś w Białym Domu czuje się zobligowany, by to wszem wobec rozgłosić. Udało nam się to zataić przed Białym Domem. W rzeczywistości obeszliśmy nawet Połączone Szefostwo Sztabów. Wszystkie meldunki są przekazywane osobiście przez sekretarza obrony na ręce prezydenta. -- Postukał palcem o biurko. -- Jak na razie idzie świetnie. Pan jest ostatnim z tych, których tu ściągnęliśmy. Teraz możemy wszystko zamknąć na glucho. Nic ani nikt się stąd nie wydostanie ani tu nie dostanie.

Norman ciągle nie mógł sobie tego złożyć w jakąś całość.

--Jeśli ładunki jądrowe nie mają nic wspólnego z tą katastrofą -- spytał -- po co te wszystkie tajemnice?

--Cóż -- odpowiedział Barnes. -- Nie dysponujemy jeszcze żadnymi faktami.

--Wypadek miał miejsce pod powierzchnią oceanu?

--Owszem. Mniej więcej pod miejscem, w którym się znajdujemy.

--Więc nikt nie mógł przeżyć.

--Przeżyć? -- Barnes wyglądał na zaskoczonego. -- Nie, nie sądzę, by ktokolwiek przeżył.

--Więc po co zostałem tu wezwany?

Barnes wpatrzył się w niego wzrokiem bez wyrazu.

--Cóż -- spróbował wyjaśnić Norman.

--Zazwyczaj jestem wzywany na miejsce katastrofy, gdy nie wszyscy giną. Właśnie dlatego w skład zespołu są włączeni psychologowie: by radzili sobie z ostrymi reakcjami pourazowymi ocalałych pasażerów, ewentualnie rodzin ocalałych pasażerów. Ich emocjami, lękami, ich powracającymi koszmarami. Ludzie, którzy wychodzą cało z katastrofy, często mają poczucie winy, że przeżyli właśnie oni, a nie inni. Kobieta siedzi koło swego męża i dzieci i nagle oni wszyscy są martwi, jedynie ona pozostała przy życiu. Zajmuję się tego rodzaju przypadkami. -- Norman odchylił się w fotelu. -- Jednak w tym przypadku, w przypadku samolotu, który zatonął na głębokości tysiąca stóp, nie będzie takich problemów. Dlaczego więc się tu znalazłem?

Barnes wpatrywał się w niego bez słowa. Wyglądało na to, że czuje się nieswojo. Przerzucił akta leżące na jego biurku.

--Właściwie nie miała miejsca żadna katastrofa lotnicza, doktorze Johnson powiedział w końcu.

--Więc co?

--Katastrofa statku kosmicznego.

Nastąpiła krótka chwila ciszy. Norman pokiwał głową.

--Rozumiem.

--Nie jest pan zaskoczony?-- zapytał Barnes.

--Nie -- odpowiedział Norman. -- W gruncie rzeczy to wszystko tłumaczy. Jeśli w oceanie zatonał wojskowy statek kosmiczny, staje się jasne, dlaczego nic o tym nie słyszałem w radiu, dlaczego utrzymuje się to w tajemnicy, dlaczego ściągnięto mnie tu w taki, a nie inny sposób... Kiedy miała miejsce katastrofa?

Barnes zawahał się chwilę przed udzieleniem odpowiedzi.

--Wedle najlepszych metod oceny, jakimi dysponujemy -- po wiedział -- ten statek kosmiczny zatonał trzysta lat temu.

ULF

Zapadło milczenie. Norman zasluchał się w szum wentylatora. Z sąsiedniego pomieszczenia dochodziły go słabe odgłosy komunikatów radiowych. Spojrzał na kubek z kawą w swej dłoni, dostrzegając szczerbę na jego brzegu. Usiłował przetrwać to, czego się właśnie dowiedział, jego umysł pracował jednak ospale, a myśli zataczały jałowe kręgi.

Trzysta lat temu, pomyślał. Statek kosmiczny mający trzysta lat Ale program kosmiczny nie jest aż tak stary. Ma ledwie trzydzieści lat. Jak więc mógł istnieć statek kosmiczny zbudowany trzysta lat temu? To niemożliwe. Barnes musiał się omylić. Ale w jaki sposób? Marynarka nie wysłałaby wszystkich tych statków i ludzi, gdyby nie była pewna, co znajduje się pod powierzchnią, Statek kosmiczny pochodzący sprzed trzystu lat...

Jak to jednak było możliwe? Nieprawdopodobne. To musiało być coś innego. Powtarzał to w myślach bez końca, oszołomiony zaskoczony, nie mogąc dojść do żadnych sensownych wniosków.

--... solutnie nie ma wątpliwości -- mówił właśnie Barnes. -- Możemy z dużą dokładnością oszacować czas katastrofy na podstawie warstwy porastających go koralu. Korale w Pacyfiku rosną z szybkością około dwóch i pół centymetra rocznie. Ten obiekt -- czymkolwiek jest -- pokrywa mniej więcej pięciometrowa ich warstwa. To bardzo dużo. Oczywiście koral nie rośnie na głębokości tysiąca stóp, co oznacza, że kiedyś w przeszłości statek musiał się obsunąć. Geologowie twierdzą, że miało to miejsce około stu lat temu; zakładamy więc, iż statek liczy sobie ogółem około trzystu lat. Co do tego możemy się jednak mylić. W rzeczywistości może być o wiele starszy. Niewykluczone, że ma i tysiąc lat.

Barnes z powrotem zabrał się za akta na swym biurku, składając je w równy stosik i wygładzając brzegi.

--Nie wstydzę się panu tego powiedzieć, doktorze Johnson, to coś napawa mnie lękiem jak cholera. Właśnie dlatego został pan tu ściągnięty.

Norman potrząsnął głową.

--Ciągle nie rozumiem.

--Ściągnęliśmy pana tutaj -- wyjaśnił Barnes -- z racji pana związków z programem ULF.

--ULF? -- rzekł Norman i niewiele brakowało, by powiedział, że przecież Ulf to był dowcip. Zorientowawszy się, jaką powagę zachowuje Barnes, był zadowolony, że powstrzymał się na czas.

Mimo to programu ULF nie można było brać poważnie. Wszystko, co go dotyczyło, od samego początku było żartem.

W 1979 roku, pod koniec kadencji Cartera, Norman Johnson był wykładowcą psychologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w San Diego. Zajmował się badaniami nad dynamiką grupową oraz lękiem; czasami powoływano go do ekip dochodzeniowych FAA pracujących na miejscach katastrof. W owym okresie jego największymi zmartwieniami było to, czy uda mu się znaleźć dom dla Ellen i dzieci, czy otrzyma stały kontrakt od uniwersytetu i czy zdoła regularnie publikować prace naukowe. Badania Normana uważano za błyskotliwe, lecz psychologia notorycznie podlegała intelektualnym modom, a zainteresowanie studiowaniem lęku właśnie spadało, ponieważ wielu badaczy skłaniało się ku opinii, iż jest to czysto biochemiczne zakłócenie, które z powodzeniem można wyleczyć wyłącznie środkami psychotropowymi. Jeden z badaczy posunął się nawet do stwierdzenia: "Lęk nie stanowi już problemu w psychologii. Nie

pozostało w nim nic do wyjaśnienia". Podobnie dynamikę grupową uważano za przestarzałą: twierdzono, iż dziedzina ta przeżyła swój największy rozkwit we wczesnych latach siedemdziesiątych podczas mody na gestaltystyczne grupy spotkaniowe i burze mózgów w wielkich firmach, obecnie jednak świetność jej już przebrzmiała.

Norman nie był w stanie tego pojąć. Sądził, iż kierunek zmian w społeczeństwie amerykańskim sprawia, iż ludzie coraz częściej pracują w grupach, nie samotnie; indywidualizm drażliwych jednostek zastąpiły nieskończone posiedzenia dyrekcji i grupowe podejmowanie decyzji. Spodziewał się, że w tym nowym społeczeństwie będzie się więcej uwagi poświęcać zachowaniom w grupach. Nie sądził również, iż problem lęku da się rozwiązać wyłącznie tabletkami. Oceniał, iż społeczeństwo, w którym najczęściej przepisywanym lekiem było valium, jest z definicji społeczeństwem z nie rozwiązanymi problemami.

Dopiero na początku lat osiemdziesiątych, gdy zainteresowano się technikami zarządzania Japończyków, przedmiot badań Normana znów zyskał uznanie w światku akademickim. Mniej więcej w tym samym czasie uznano, iż uzależnienie od valium stanowi poważny problem społeczny, w wyniku czego ponownej ocenie poddano całą problematykę farmakologiczną terapii lęku. Do tego czasu przez parę lat jednak Johnson czuł się, jakby znalazł się na uboczu. (Przez prawie trzy lata nie przyznawano mu środków na badania). Znalezienie domu i kontraktu stanowiło dla niego poważny problem.

Podczas tego Właśnie najgorszego okresu, pod koniec 1979 roku, nawiązał z nim kontakt młody prawnik pracujący dla Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Waszyngtonie. Zasiadłszy z nogą założoną na nogę, nerwowo skubiąc swą skarpetę, powiedział Normanowi, iż zjawił się, by prosić go o współpracę.

Norman zadeklarował, że bardzo chętnie ją nawiąże.

Wciąż skubiąc skarpetę prawnik stwierdził, iż chciałby przedyskutować z Normanem "poważny problem dotyczący bezpieczeństwa narodowego, w obliczu którego znalazł się właśnie kraj".

Norman zapytał go, na czym on polega.

--Nasz kraj po prostu nie jest przygotowany na wypadek inwazji z kosmosu. Absolutnie nie przygotowany.

Ponieważ prawnik był młody i wypowiadając te słowa spuścił wzrok na swą skarpetę, Norman zrazu ocenił, iż czuje się zakłopotany, iż wysłano go w tak idiotycznej misji. Kiedy jednak młody człowiek podniósł wzrok, ku swemu zdumieniu stwierdził, iż jest on niesłychanie poważny. -- W przypadku czegoś takiego naprawdę nie zdołalibyśmy sobie poradzić powiedział prawnik i dorzucił raz jeszcze: -- Gdyby nastąpiła inwazja z kosmosu.

Norman przygryzł wargę.

--To zapewne prawda -- zgodził się.

--Ludzie Z rządu się tym martwią. -- Rzeczywiście?

--Na najwyższych szczeblach panuje przekonanie, iż trzeba opracować plan na wypadek takiej ewentualności.

--To znaczy plan na wypadek inwazji z kosmosu? -- Normanowi udało się jakoś zachować niewzruszony wyraz twarzy.

--Być może -- powiedział prawnik -- być może "inwazja" to za mocne słowo. Określmy to lepiej jako "kontakt": "kontakt z obcą cywilizacją".

--Rozumiem.

--Bral pan już udział w dochodzeniach na miejscu katastrof cywilnych samolotów, doktorze Johnson. Wie pan, jak funkcjonują powoływane w trybie nagłym grupy. Pragnęlibyśmy, by pomógł nam pan określić optymalny skład grupy awaryjnej mającej wejść w kontakt z przedstawicielami obcej cywilizacji.

--Rozumiem -- zapewnił Norman, zastanawiając się, jak by się tu taktownie z tego wycofać. Cała idea była ewidentnie niedorzeczna. Traktować mógł ją jedynie jako przeniesienie: administracja, stojąca w obliczu problemów, z którymi nie mogła sobie poradzić, postanowiła myśleć o czymś innym.

Wówczas właśnie prawnik, odchrząknawszy, zaproponował mu prowadzenie badań i znaczącą kwotę, która miałaby być wypłacana przez dwa przeznaczone na nie lata. Norman dostrzegł sposób, w jaki mógłby kupić dom dla swej rodziny. Zgodził się.

--Cieszę się, że pan również docenia wagę problemu.

--Och, tak- odrzekł Norman, zastanawiając się, ile naprawdę miał latprawnik. Oceniał, że około dwudziestu pięciu.

--Będziemy potrzebowali jedynie potwierdzenia ze strony służb bezpieczeństwa- zastrzegł się prawnik.

--Potrzebuję ich zgody?

--Doktorze Johnson -- powiedział prawnik, zatrzasnąwszy swój neseser. -- Ten program jest naprawdę ściśle tajny...

--Bardzo mnie to cieszy -- wyznał szczerze Norman. Wyobrażał sobie reakcje kolegów, gdyby się kiedykolwiek o tym dowiedzieli.

To, co się zaczęło jako dowcip, wkrótce stało się niesamowicie serio. W ciągu następnego roku Norman pięciokrotnie udawał się do Waszyngtonu na spotkania z ważnymi osobistościami z Narodowej Rady Bezpieczeństwa, dotyczące wiszącej nad krajem groźby inwazji z kosmosu. Jego badania były ściśle tajne. W ich wczesnym stadium zastanawiano się, czy wprowadzić w nie również D ARPA- Defence Advanced Research Project Agency (Agencję Badawczą Rozwojowych Programów Obronnych) w Pentagonie, i zdecydowano się tego nie czynić. Rozważano, czy nie wciągnąć w to NASA, i również się na tonie zdecydowano. Jeden z rządowych urzędników powiedział: "Doktorze, to nie jest kwestia naukowa, to kwestia bezpieczeństwa narodowego. Nie chcemy tego ogłaszać publicznie", Normana nieustannie zaskakiwało, z jak wysokiego szczebla urzędnikami przychodziło mu się spotykać. Jeden z podsekretarzy stanu odłożył dokumenty dotyczące najświeższego kryzysu na Bliskim Wschodzie, by zadać pytanie:

--Co pan sądzi o możliwości, iż obcy będą w stanie odczytywać nasze myśli?

--Hmm...- odpowiedział Norman.

--Właśnie mi to przyszło do głowy. Jak zdołamy w negocjacjach z nimi zająć określone stanowisko, jeśli będą mogli odczytać nasze myśli?

--Rzeczywiście, to może być problem -- zgodził się Norman, ukradkiem rzucając spojrzenie na zegarek.

--Cholera, dość kłopotów mamy z tym, że nasze zaszyfrowane depesze przechwytyują Rosjanie, Wiemy, że Japończycy i Izraelczycy złamali wszystkie nasze kody. Modlimy się jedynie, by się to nie udało Rosjanom. Rozumie pan jednak, o co mi chodzi? To znaczy o

odczytywanie myśli?

--Och, tak.

--Pańskie wnioski zostaną wzięte pod uwagę. Norman obiecał, że się postara.

Człowiek z personelu Białego Domu powiedział mu przy innej okazji:

--Rozumie pan, iż prezydent będzie sobie życzył osobiście porozmawiać z obcymi. Taką ma właśnie naturę.

--Yhm -- mruknął Norman.

--Chodzi mi o to, że nie da się przecenić roli propagandowej, społecznej, jaką może mieć takie spotkanie. Prezydent przyjmuje przybyszów z kosmosu w Camp David. Cóż za chwila dla środków masowego przekazu.

--Naprawdę doniosła -- zgodził się Norman.

--Tak więc na wstępie ktoś poinformuje obcych, kim jest prezydent i jak wygląda etykieta zwracania się do niego. Nie można dopuścić, by prezydent Stanów Zjednoczonych rozmawiał przed kamerami z ludźmi z innej galaktyki czy Bóg wie skąd bez wstępnego przygotowania. Jak pan myśli, czy obcy będą mówić po angielsku?

--Wątpię -- rzekł Norman.

--Czyli ktoś będzie się musiał nauczyć ich języka, prawda?

--Trudno ocenić.

--Być może obcy się lepiej poczują, jeśli najpierw spotkają się z reprezentantami naszych mniejszości etnicznych -- powiedział przedstawiciel Białego Domu. -- W każdym razie to prawdopodobne. Proszę to przemyśleć.

Norman obiecał, iż się nad tym zastanowi.

Oficer łącznikowy z Pentagonem, generał major Sztabu Generalnego, zabrał go kiedyś na obiad i przy kawie zapytał pozornie bez troski:

--Jak pan sobie wyobraża, jak będą uzbrojeni ci obcy?

--Nie jestem pewien -- przyznał się Norman.

--No właśnie, w tym tkwi szkopuł, prawda? Jakie będą przy tym ich słabe miejsca? Chodzi mi o to, iż obcy mogą nawet nie przypominać ludzi.

--Mogą być podobni do gigantycznych owadów. Nasze o wady potrafią wytrzymać wielkie dawki promieniowania.

--Tak -- rzekł Norman..

--Być może nie będziemy w stanie im nic zrobić -- zastanawiał się człowiek z Pentagonu, poczym się rozchmurzył. -- Wątpię jednak, by dali radę wytrzymać bezpośrednie trafienie megatonową głowicą termojądrową, jak pan sądzi?

--Nie -- odparł Norman. -- Nie sądzę, by byli do tego zdolni.

--Zamieniliby się w parę.

--Bez wątplenia.

--Po prostu prawo fizyki. -- Zgadza się.

--Musi to pan wyraźnie stwierdzić w swoim podsumowaniu, że muszą być podatni na ciosy jądrowe.

--Tak -- zgodził się Norman.

--Nie chcemy wywoływać paniki -- wyjaśnił przedstawiciel Pentagonu. -- Nie ma sensu niepotrzebnie denerwować ludzi, prawda? Nie wątpię, że w Połączonym Szefostwie Sztabów

uspokoją się wiedząc, iż obcych można zniszczyć naszą bronią jądrową.

--Będę miał to na uwadze- powiedział Norman.

Wreszcie spotkania się skończyły i dano mu czas na sporządzenie podsumowania. Przeglądając podstawowe publikacje dotyczące życia poza Ziemią stwierdził, że mimo wszystko generał z Pentagonu miał w zasadzie rację. Istotną kwestią, jaka wyłoniłaby się przy kontakcie z obcą cywilizacją -- gdyby kiedykolwiek do niego doszło -- była kwestia paniki. Paniki wywołanej przyczynami czysto psychologicznymi. Jedynym liczącym się doświadczeniem ludzkości, w którym wzięli udział kosmici, była radiowa adaptacja Wojny światów, dokonana w 1938 roku przez Orsona Wellesa. Reakcja na nią była jednoznaczna.

Ludzie byli przerażeni.

Norman sporządził sprawozdanie i zatytułował je: Ewentualne kontakty z pozaziemskimi cywilizacjami. Narodowa Rada Bezpieczeństwa odesłała mu je z sugestią, by dokonać zmiany tytułu na "brzmiący bardziej technicznie" oraz "usunąć wszelkie sugestie, iż kontakt z cywilizacjami pozaziemskimi jest jedynie ewentualnością, w pewnych bowiem kręgach administracji traktowany jest on jako pewny".

Poprawione sprawozdanie Normana natychmiast zakwalifikowano jako ściśle tajne. Nosiło ono obecnie tytuł: Zalecenia dla ludzkiego zespołu kontaktowego do badań nad Niezidentyfikowanymi Formami Życia. Owe "Niezidentyfikowane Formy Życia" określano skrótem ULF -- od angielskiej pełnej nazwy "Unknown Life Forms". Wedle ustaleń Normana zespół do kontaktów z ULF winien składać się z jednostek o wyjątkowo stabilnej psychice.

--Ciekawe -- powiedział Barnes, otwierając teczkę z dokumentami -- czy rozpozna pan ten cytat:

Zespoły kontaktowe, napotykające Niezidentyfikowane Formy Życia (ULF) muszą być przygotowane na wyjątkowe obciążenia psychiczne. Prawie na pewno dojdzie do wystąpienia reakcji lękowych o wyjątkowym nasileniu. Trzeba wyszukać jednostki, których cechy osobowości pozwolą znieść sytuacje prowokujące pojawienie się lęków o wyjątkowym nasileniu, i z nich właśnie tworzyć owe zespoły.

Niejestmożliwe poddanie wystarczającej ocenie lęku występującego przy kontaktach z obcymi formami życia. Strach, jaki mogą wywołać obce istoty, nie jest zbadany i z góry nie da się go przewidzieć. Najprawdopodobniejszą konsekwencją takiego kontaktu jest jednak absolutna zgroza.

Barnes zatrzasnął teczkę z dokumentacją.

--Przypomina pan sobie, czyje to stwierdzenia?

--Tak -- odrzekł Norman. -- Moje.

Przypomniał sobie również, na jakiej podstawie tak twierdził.

Część funduszy przyznanych przez Narodową Radę Bezpieczeństwa przeznaczył na badania dynamiki grupowej w sytuacjach lęku o podłożu psychosocjalnym. Postępując zgodnie z metodyką opracowaną przez Ascha i Milgrama, zaplanował kilka sytuacji, w których osoby badane nie wiedziały, że są poddawane testom. W jednej z nich grupa osób otrzymywała polecenie udania się windą na wyższe piętro, gdzie miały zostać poddane badaniom. Winda zaciniała się między piętrami, a zachowanie się osób badanych rejestrowano ukrytą kamerą.

Sytuację tę prokurowano w kilku wariantach. Czasami na windzie wieszano tabliczkę "Winda w naprawie", czasami można się było telefonicznie porozumieć z

"konserwatorem dźwigu", czasami nie. Czasem obsuwał się sufit, czasami gasło światło. Zdażyło się też iż podłoga windy była z przeźroczystego tworzywa sztucznego.

W innej sytuacji "kierujący eksperymentem" zabierał w ciężarówce osoby badane na pustynię, gdzie niespodziewanie kończyło się paliwo, a on sam "miał atak serca", tak iż osoby badane zostawały porzucone na pastwę losu.

W najdrastyczniejszym scenariuszu osoby badane zabierano na pokład prywatnego samolotu, a w trakcie lotu pilot "doznawał zawału".

Mimo znanych zastrzeżeń wobec tego rodzaju testów (są brutalne, sztuczne, osoby badane zazwyczaj przeczuwają, iż sytuacja, w której się znalazły, została zaaranżowana), Johnson zyskał sporo cennych informacji o zachowaniu się grup w sytuacjach wywołujących lęk.

Stwierdził, iż reakcje lękowe mają tym mniejsze nasilenie, im mniej liczebna jest grupa badana (najlepiej reagowały grupy liczące pięć i mniej osób), gdy członkowie grupy znali się nawzajem, gdy nie byli od siebie odizolowani i mogli się ze sobą porozumiewać, kiedy łączyły ich wspólne cele i mieli limity czasowe na ich realizację, gdy członkowie grupy byli w różnym wieku i różnej płci, oraz gdy wykazywali się, wedle testów LAS, osobowościami odpornymi na występowanie fobii, co z kolei korelowało z ich sprawnością fizyczną.

Wyniki testów sporządzone były w postaci gęsto upakowanych statystycznych tabel, aczkolwiek w zasadzie Norman zdawał sobie sprawę, iż jedynie potwierdzają zdroworozsądkowe obserwacje: jeśli człowiek jest uwięziony w windzie, lepiej się czuje mając przy sobie kilka odprężonych, wysportowanych osób, które zna, nie będąc zmuszonym do przebywania w ciemnościach i wiedząc, iż ktoś zabrał się do pracy nad ich uwolnieniem.

Okazało się jednak, iż niektóre wyniki nie dawały się przewidzieć. Tak na przykład było ze składem grupy. Te, które składały się wyłącznie z mężczyzn czy kobiet, o wiele gorzej radziły sobie w sytuacjach stresowych niż grupy mieszane; grupy składające się z osób mniej więcej w takim samym wieku były bardziej podatne na stresy niż te, w których wiek uczestników był różny. Najgorzej zaś wypadały grupy utworzone wcześniej w innym celu: jednemu z testów poddano mistrzowską drużynę koszykarzy, która rozleciała się prawie natychmiast.

Mimo efektywności owych badań Normana trapiły wątpliwości dotyczące podstaw, na których opierało się jego opracowanie -- wymodelowania reakcji na inwazję przybyszów z kosmosu. Uważał je za spekulacje graniczące z absurdem. Puszczal je w obieg nieco zakłopotany, po opracowaniu ich tak, by wyglądały na poważniejsze, niż były w rzeczywistości.

Poczuł ulgę, gdy carterowska administracja nieprzychylnie odniosła się do jego sprawozdania. Nie przyjęto żadnego z jego zaleceń. Administracja nie zgadzała się z doktorem Johnsonem, iż pierwszą reakcją na pojawienie się obcych będzie lęk; żywiono przekonanie, iż będzie to zdumienie i podziw. Co więcej, administracja wymyśliła sobie dużą grupę kontaktową, liczącą trzydzieści osób, pośród których znaleźliby się trzej teolodzy, prawnik, fizyk, przedstawiciel Departamentu Stanu, przedstawiciel Połączonego Szefostwa Sztabów, wybrana grupa władz ustawodawczych, inżynier specjalizujący się w projektowaniu statków kosmicznych, egzobiolog, fizyk nuklearny, antropolog -- specjalista od różnic kulturowych oraz jakaś wybitna osobowość telewizyjna.

W każdym razie prezydenta Cartera nie wybrano ponownie w 1980 roku i Norman nie miał przez sześć kolejnych lat żadnych wiadomości o losach propozycji dotyczących ULF.

Aż do tej pory.

--Przypomina pan sobie zespół do kontaktów z ULF, który pan zaproponował? -- zapytał Barnes.

--Oczywiście- odparł Norman.

Norman rekomendował czteroosobowy skład zespołu mającego nawiązać kontakt z istotami pozaziemskimi. Mieli się w nim znaleźć astrofizyk, zoolog, matematyk, językoznawca oraz jako piąty, dodatkowy członek -- psycholog, którego zadanie miało polegać na nadzorowaniu zachowania się grupy jako całości oraz stosunków między poszczególnymi osobami ją tworzącymi.

--Proszę mi powiedzieć, co pan o tym sądzi -- powiedział Barnes, wręczając Normanowi kartkę papieru.

ZESPÓŁ DO BADAŃ ANOMALII ZE STRONY MARYNARKI EKIPA POMOCNICZA

1. Harold C. Barnes, kapitan Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, dowódca programu.
2. Jane Edmunds, podoficer, technik przetwarzania danych, 1C.
3. Tina Chan, podoficer, technik elektronik, 2C.
4. Alice Fletcher, podoficer, kwatermistrz habitatu Deepsat.
5. Rosę C. Levy, szeregowiec, zastępczyni kwatermistrza habitatu Deepsat, 2C.

CYWILNI CZŁONKOWIE ZESPOŁU

1. Theodore Fielding, astrofizyk geolog planetarny.
2. Elisabeth Halpern, zoolog biochemik.
3. Harold J. Adams, matematyk logik.
4. Arthur Levine, oceanolog biochemik.
5. Norman Johnson, psycholog.

Norman przyjrzał się liście.

--Z wyjątkiem Levine'a, to skład Zespołu ULF I, jaki zaproponowałem. Nawet rozmawiałem z tymi ludźmi i poddałem ich testom.

--Zgadza się.

--Sam pan jednak powiedział, kapitanie, że prawdopodobnie nikt nie przeżył. Zapewne ten statek jest całkowicie wymarły.

--Owszem -- odrzekł Barnes. -- Jeśli jednak się mylę? -- Spojrzał na zegarek. -- Zamierzam urządzić odprawę zespołu o jedenastej zero zero. Chciałbym, żeby pan również przyszedł; zobaczymy, jak pan oceni jego skład Ostatecznie kierowaliśmy się pańskimi rekomendacjami.

Kierowaliście się moimi rekomendacjami, pomyślał Norman z wrażeniem, jakby się zapadał. Jezu Chryste, ja tylko splancałem dom.

--Wiedziałem, że ucieszy się pan z możliwości sprawdzenia, jak wypadną pańskie koncepcje w praktyce -- powiedział Barnes. -- Właśnie dlatego włączyłem pana w skład zespołu jako psychologa, choć może ktoś młodszy byłby bardziej na miejscu.

--Doceniam to- zapewnił Norman.

--Byłem tego pewny -- odrzekł Barnes, uśmiechając się pogodnie. Wyciągnął masywną dłoń. -- Witamy w zespole ULF, doktorze Johnson.

BETH

Jakiś porucznik zaprowadził Normana do kajuty, szarej i miniaturowej, bardziej przypominającej celę więzienną niż cokolwiek innego. Na pryczy leżała jego teczka. W kącie znajdowała się klawiatura komputera i monitor. Koło niego leżała gruba książka w niebieskiej oprawie.

Usiadł na twardym, niewygodnym łóżku, odchylił się i oparł o wystającą ze ściany rurę.

--Cześć, Norman! -- usłyszał miękki głos. -- Cieszę się, że i ciebie w to wpakowali. W końcu to wszystko twoja wina, nie? -- W wejściu pojawiła się kobieca sylwetka.

Beth Halpern, zoolog zespołu, stanowiła zbiór przeciwieństw. Była wysoką, kanciastą

trzydziestosześcioletnią kobietą, niemal ładną mimo ostrych rysów i prawie męskiej sylwetki. Przez te lata, odkąd Norman widział ją po raz ostatni, jej męskie cechy uległy jeszcze wyraźniejszemu podkreśleniu. Beth nieźle biegła i podnosiła ciężary; na ramionach i szyi uwidoczniły się mięśnie i żyły, a schowane w spodniach uda były masywne. Włosy miała przycięte krótko, prawie po męsku.

Przy tym nosiła biżuterię i malowała się. Poruszała się w kuszący sposób. Miała łagodny głos, a jej oczy nabierały rozmarzonego wyrazu, zwłaszcza gdy mówiła o żywych stworzeniach, które badała. W takich chwilach stawała się niemal macierzyńska. Jeden z jej kolegów z uniwersytetu w Chicago nazwał ją kiedyś "umięśnioną Matką Naturą".

Norman wstał. Cmoknęła go w policzek na przywitanie.

--Moja kajuta sąsiaduje z twoją, Słyszałam, jak wchodziłeś. Kiedy przyleciałeś?

--Godzinę temu. Chyba wciąż jestem w szoku -- powiedział Norman. -- Wierzysz w to wszystko? Wierzysz, że to wszystko nie jest jakimś oszustwem?

--Sądzę, że to prawda. -- Wskazała niebieską księgę leżącą koło komputera. Norman wziął ją do ręki. Regulamin postępowania personelu wojskowego podczas operacji tajnych. Przekartkował szybko stronicę pokrytą zwartym, pisanym prawniczym językiem tekstem. -- Dowiedzieć się można z niego w zasadzie jednego -- powiedziała Beth. -- Trzeba trzymać gębę na kłódkę, inaczej ląduje się na wiele lat w więzieniu. Poza tym nie można nawiązywać żadnej łączności. Tak, Norman, sądzę, że to wszystko prawda.

--Że tam w dole znajduje się statek kosmiczny?

--Że na dnie jest coś. To ekscytujące -- zaczęła mówić coraz szybciej. Cóż, dla biologa perspektywy są oszalamiające -- wszystko, co wiemy, pochodzi z badań istot żywych z naszej planety. W pewnym sensie jednak wszystkie gatunki są takie same. Wszystkie stworzenia żywe, od alg po istoty ludzkie, w zasadzie zbudowane są według tego samego planu, tego samego DNA. Teraz mamy szansę nawiązać kontakt z życiem całkowicie odmiennym, różniącym się od naszego we wszystkich aspektach. Musisz przyznać, że to podniecające.

Norman skinął głową. Pomyślał o czymś innym.

--Dlaczego powiedziałaś, że nie możemy komunikować się z nikim z zewnątrz? Obiecałem, że zadzwonię do Ellen.

--Wiesz, usiłowałam się dodzwonić do córki i powiedziano mi, że wysiadły wszystkie łącza z lądem. Marynarka ma więcej satelitów niż admirałów, ale zaklinają się, że nie jest osiągalna żadna linia, którą można by się połączyć ze Stanami. Barnes powiedział, że wyrazi zgodę na wysłanie depeszy, to wszystko.

--Ile lat ma już Jennifer? -- zapytał Norman, zadowolony, że udało mu się wydobyć imię z głębin pamięci. A jak nazywał się mąż Beth? Był chyba fizykiem jądrowym, przypomniał sobie. Miał piaskowe włosy, brodę i nosił muszki.

--Dziewięć. Gra teraz w drużynie baseballowej Evanston Little League. Marnie się uczy, ale piekielnie dobrze rzuca. -- W jej głosie brzmiała duma. A jak twoja rodzina? Ellen?

--W porządku. Dzieci rosą zdrowo. Tim jest na pierwszym roku w Chicago, Amy w Andover. A jak...

--George? Rozwiedliśmy się trzy lata temu -- powiedziała Beth. -- Wyjechał na rok do Genewy do CERN na poszukiwanie nowych cząstek elementarnych i chyba mu się udało. To Francuzka. George mówi, że świetnie gotuje. -- Wzruszyła ramionami. -- W każdym razie

dobrze mi idzie z moimi badaniami. Przez ostatni rok pracowałam nad głowonogami -- kalamarnicami i ośmiornicami.

--I jak?

--To interesujące. Człowiek czuje się dziwnie, gdy uświadamia sobie, jaką inteligencją dysponują te stworzenia, zwłaszcza ośmiornice. Wiesz, ośmiornica uczy się szybciej niż pies i prawdopodobnie lepiej by się nadawała na zwierzę domowe. To cudowne, inteligentne, obdarzone wielkim temperamentem stworzenie, tylko nigdy o nim w ten sposób nie myślimy.

--Pewnie ich już nie jesz?-- zapytał Norman.

--Och Norman -- uśmiechnęła się. -- Wciąż sprowadzasz wszystko do jedzenia?

--Kiedy to tylko możliwe -- odpowiedział Norman, poklepując się po żołądku.

--No, jedzenie tutaj nie będzie ci się podobać. Jest ohydne. Odpowiedź brzmi jednak: nie -- rzekła, strzelając palcami. -- Już nigdy nie zdołam zjeść ośmiornicy, wiedząc o nich to, co już wiem. Aha, przyszło mi to właśnie do głowy: co wiesz o Halu Barnesie?

--Nic, a czemu pytasz?

--Rozpytywałam o niego. Okazuje się, że Barnes w ogóle nie jest w marynarce wojennej. Kiedyś był.

--To znaczy, że przeszedł do rezerwy?

--W osiemdziesiątym pierwszym roku. Jest inżynierem lotniczym po studiach na Politechnice Kalifornijskiej. Przez jakiś czas pracował w laboratoriach koncernu Grumman. Później był członkiem Rady Naukowej Marynarki Wojennej przy Akademii Nauk, zastępcą podsekretarza stanu w Departamencie Obrony, pracował dla DSARC -- Defence Systems Acquisition Review Council (Rady Opiniującej Wdrażanie Nowych Systemów Obronnych), był też członkiem Rady Naukowej Departamentu Obrony, organu doradczego Połączonego Szefostwa Sztabów i sekretarza obrony.

--Doradzającej im w czym?

--Przy kupnie broni -- powiedziała Beth. -- To człowiek Pentagonu, doradzający rządowi, jakiego rodzaju systemy obronne należy zakupić. Jak więc doszło do tego, że odpowiada za ten program?

--Nie mam zielonego pojęcia -- odparł Norman. Siedząc na pryczy, zsunął półbuty ze stóp. Poczul się nagle zmęczony. Beth oparła się o framugę.

--Wygląda na to, że jesteś w doskonałej kondycji -- skonstatował Norman.

--Jak się okazuje, przydało mi się to -- powiedziała Beth. -- Z zaufaniem czekam na to, co się zdarzy. A ty? Myślisz, że dasz sobie radę?

--Ja? Czemu nie? -- Spojrzał na swój brzusek, do którego zdążył już przywyknąć. Ellen ciągle mu powtarzała, by coś z nim zrobił. Czasami w przyplywie energii przez parę dni zaczynał chodzić na siłownię, ale nigdy nie udawało mu się go pozbyć. Prawdę mówiąc, niewiele się nim zresztą przejmował. Miał pięćdziesiąt trzy lata i był profesorem uniwersytetu. Po diabła miałby sobie zawracać głowę sylwetką?.

Przyszła mu do głowy pewna myśl.

--Co to znaczy, że z zaufaniem czekasz na to, co się zdarzy? Co ma się zdarzyć?

--Cóż jak na razie to tylko pogłoski, ale twoje przybycie zdaje się potwierdzać.

--Jakie pogłoski?

--Że wyślą nas na dół -- odparła Beth.

--Gdzie na dół?

--Na dno. Do statku.

--Ale to tysiąc stóp. Badają go za pomocą podwodnych robotów.

--W dzisiejszych czasach tysiąc stóp to niewielka głębokość -- powiedziała Beth. -- Jeżeli stosuje się właściwe technologie. Są już tam nurkowie z marynarki. Krążą wieści, że instalują habitat, by nasz zespół mógł zejść na dno, zostać tam przez tydzień lub dłużej i zbadać statek.

Norman poczuł nagle chłód Podczas prac wykonywanych dla FAA miał do czynienia z najrozmaitszymi okropnościami. Raz, w Chicago, gdzie rozbił się samolot, nadepnął na coś śliskiego. Pomyślał, że to żaba, okazało się jednak, iż jest to dziecięca ręka, zwrócona dłonią do góry. Innym razem zobaczył wciąż jeszcze przypasane do fotela zwęglone ciało mężczyzny, który został wyrzucony na dziedziniec podmiejskiego domu, gdzie wylądował tuż koło przenośnego dziecięcego basenu z plastyku. A w Dallas obserwował, jak członkowie ekipy wchodzą na dachy podmiejskich domków i zbierają z nich części ciała, wkładając je do plastikowych toreb...

Pracaz ekipą dochodzeniową na miejscu katastrofy wymagała wyjątkowych starań, by nie dać przytłoczyć się temu, co się ujrzało. Nigdy jednak nie groziło człowiekowi osobiste niebezpieczeństwo, żadne namacalne ryzyko. Jedyłą groźbą była groźba koszmarów.

Teraz jednak stanął w obliczu perspektywy zejścia tysiąc stóp pod powierzchnię oceanu, by zbadać wrak...

--Nic ci nie jest? -- spytała Beth. -- Zbladłeś.

--Nie wiedziałem, że ktokolwiek rozważa zejście na dno.

--To tylko pogłoski -- uspokoiła go Beth. -- Odpocznij trochę, Norman. Wygląda na to, że tego potrzebujesz.

ODPRAWA

Zespół do badania ULF zebrał się w sali odpraw tuż przed jedenastą. Norman z ciekawością czekał na sposobność ujrzenia ludzi, których wybrał kilka lat wcześniej. Przez te wszystkie lata nie widzieli się ani razu.

Czterdziestoletni Ted Fielding był wciąż krępy, przystojny i rozluźniony, zjawił się w koszulce polo i szortach. Jako astrofizyk w Jet Propulsion Laboratory w Pasadenie prowadził poważne badania nad stratygrafią Merkurego i Księżyca, aczkolwiek najbardziej był znany ze swych prac dotyczących kanałów na Marsie: Mangala Vallis i Valles Marineris. Owe gigantyczne kaniony zlokalizowane były na marsjańskim równiku, osiągały dwie i pół mili głębokości i dwa i pół tysiąca mil długości -- były dwukrotnie głębsze i dziesięciokrotnie dłuższe niż Wielki Kanion.

Fielding również był jednym z pierwszych, którzy stwierdzili, iż planetą najbardziej przypominającą Ziemię nie jest bynajmniej Mars, jak wcześniej sądzono, lecz niewielki Merkury mający zbliżone do ziemskiego pole magnetyczne. Jego sposób bycia był bezpośredni, otwarty, pogodny i trochę pompatyczny. Gdy pracował dla JPL, pojawiał się w telewizji przy wystrzeliwaniu każdego kolejnego satelity i statku kosmicznego, zdobywając sobie w ten sposób pewien rozgłos; ostatnio powtórnie się ożenił z presenterką prognoz pogody z Los Angeles. Dorobili się już synka.

Od wielu lat Fielding propagował tezę o istnieniu życia na innych planetach i popierał SETI -- Search for Extraterrestrial Intelligence, czyli program badawczy zajmujący się poszukiwaniem śladów obcych cywilizacji, który część naukowców uważała za stratę czasu i pieniędzy. Uśmiechnął się teraz z zadowoleniem do Normana.

--Zawsze wiedziałem, że się to wydarzy -- wcześniej czy później trafimy na dowód istnienia życia na innych planetach. Teraz go w końcu mamy, Norman. To doniosła chwila. Cieszę się zwłaszcza z kształtu.

--Kształtu?

--Kształtu obiektu na dnie.

--A to niby dlaczego? -- Normanowi nie wspomniano nic o kształcie.

--Byłem w dyspozytorni i przyglądałem się obrazowi przekazywanemu przez kamery robotów. Zaczęto już określać kształt obiektu pod koralami. Nie jest okrągły. To żaden latający talerz -- powiedział Ted. -- Dzięki Bogu. Być może pozbawi nas to miana szaleńców. -- Uśmiechnął się. -- Wszystko przychodzi do tego, kto czeka, co?

--Chyba tak- zgodził się Norman. Nie bardzo był pewny, co Ted chciał przez to powiedzieć, wiedział jednak, iż lubował się w cytatach. Ted uważał się za człowieka na miarę Renesansu, a wtrącając tu i ówdzie cytaty od Rousseau do Lao Tse miały o tym przypominać. Mimo to nie było w nim śladu chęci wywyższania się; ktoś kiedyś powiedział o Tedzie, że jest "facetem od etykietek". Widać to było również w jego sposobie wyrażania. W Tedzie Fieldingu była niewinność, prawie naiwność, ujmująca i szczerą. Norman go lubił.

Nie był tego taki pewien, jeśli chodziło o czarnoskórego Harry'ego Adamsa, dystansującego się w stosunku do otoczenia matematyka z Princeton, którego nie widział od sześciu lat. Harry pozostał przez te lata Wysokim, bardzo szczupłym mężczyzną, noszącym okulary w drucianych oprawkach i wiecznie marszczącym czoło. Miał na sobie koszulkę z nadrukiem "Matematycy robią to dobrze", coś takiego mógłby na siebie włożyć student, i

rzeczywiście Adams nie wyglądał na swoje trzydzieści lat. Na pewno był najmłodszym członkiem zespołu -- a być może najważniejszym.

Wielu teoretyków dowodziło, iż porozumienie z przedstawicielami pozaziemskich cywilizacji okaże się niemożliwe, ponieważ ludzie nie będą mieli z nimi niczego wspólnego. Twierdzili oni, że ludzka myśl, podobnie jak ciało, stanowi rezultat wielu ewolucyjnych przypadków. Nasze myślenie mogło rozwinąć się zupełnie inaczej; w naszym spojrzeniu na wszechświat nie było niczego oczywistego.

Ludzkość już doznawała trudności w komunikowaniu się z takimi choćby ziemskimi inteligentnymi stworzeniami jak delfiny, po prostu dlatego, że delfiny żyły w odmiennym środowisku i miały trochę inny aparat zmysłowy.

Mimo to ludzie i delfiny mogli okazać się niemal identyczni w porównaniu z możliwymi różnicami dzielącymi ich od przedstawicieli życia pozaziemskiego, od stworzeń będących produktami odmiennej ewolucji w całkowicie różnym środowisku. Taka istota najprawdopodobniej postrzegałaby świat całkowicie inaczej niż my. Mogłaby być ślepa i czerpać informacje o otoczeniu za pośrednictwem wysoce rozwiniętego aparatu analizatorów zapachu, temperatury czy ciśnienia. Z taką istotą można by nie znaleźć żadnego sposobu nawiązania porozumienia, żadnej wspólnej płaszczyzny. Jak ktoś to kiedyś sformułował: w jaki sposób wyjaśnić wiersz Wordswortha o żonkilach ślepego węzowi wodnemu?

Dziedziną wiedzy, którą jednak najprawdopodobniej posługiwały się również istoty pozaziemskie, pozostawała matematyka. Matematyk zespołu miałby więc zapewne do odegrania kluczową rolę. Norman wybrał Adamsa, ponieważ ten mimo swego młodego wieku wniósł poważny wkład do badań w kilku różnych dziedzinach.

--Co o tym wszystkim myślisz, Harry? -- zapytał Norman, opadając w fotel koło matematyka.

--Myślę, iż jest oczywiste dla każdego -- odparł Harry -- że to wyłącznie strata czasu.

--Statecznik, na który natrafiono pod wodą?

--Nie wiem, co to jest, wiem jednak, czym nie jest. Na pewno nie jest to statek kosmiczny innej cywilizacji.

Stojący obok nich Ted odwrócił się z irytacją. Najwidoczniej już o tym rozmawiał z Harrym.

--Skąd wiesz? -- zapytał Norman.

--Prosta kalkulacja -- wyjaśnił Harry, wykonując lekceważący gest dłonią. Wręcz trywialna. Znasz wzór Drake' a?

Była to jedna z najslawniejszych koncepcji zaproponowanych przez specjalistów zajmujących się kwestią życia poza Ziemią. Norman znał ją. Powiedział jednak:

--Przypomnij mi go.

Harry westchnął z rozdrażnieniem i wyciągnął kartkę papieru.

--To równanie określające prawdopodobieństwo. -- Napisał:

--Oznacza to -- powiedział Harry Adams -- że prawdopodobieństwo p , iż w danym układzie planetarnym powstanie inteligentne życie, jest iloczynem prawdopodobieństwa, iż dana gwiazda będzie mieć planety, liczby planet, na których życie może się rozwinąć, prawdopodobieństwa, że na nadającej się do życia planecie rozwinie się jego prosta postać, prawdopodobieństwa, iż postaci proste przejdą ewolucję do złożonych, oraz prawdopodobieństwa, iż inteligentne życie

w ciągu pięciu miliardów lat podejmie próby nawiązania kontaktu z innymi cywilizacjami. To wszystko jest ujęte w równaniu.

--Yhm -- powiedział Norman.

--Cała sprawa polega jednak na tym, iż nie dysponujemy żadnymi danymi ciągnął Harry. -- Każde z tych prawdopodobieństw musimy określać szacunkowo. To żaden problem przyjąć założenia takie jak Ted i stwierdzić, iż istnieją prawdopodobnie tysiące cywilizacji. Równie prawdopodobne jest jednak moje twierdzenie, iż istnieje tylko jedna cywilizacja. Nasza. -- Odepchnął od siebie kartkę. -- W takim przypadku, cokolwiek jest na dnie, nie jest to wytwór innej cywilizacji. Marnujemy więc tu tylko czas.

--Więc co tam jest? -- zapytał powtórnie Norman.

--Absurdalny wyraz romantycznej nadziei -- odrzekł Adams, podsuwając okulary wyżej na nos. Gwałtowność jego stwierdzenia wprawiała Normana w niepokój. Sześć lat temu Harry Adams wciąż jeszcze był dzieckiem ulicy, którego nie do końca sprecyzowane talenty wyniosły krok po kroku z rozbitej rodziny w slumsach Filadelfii na wypielegnowane trawniki Uniwersytetu Princetown. W tamtych czasach Adams był pełen radości życia, bawiło go jego własne szczęście. Dlaczego teraz okazywał tyle gorczy?

Być może wynikało to z uczestnictwa w ichzespole. Norman zastanawiał się kiedyś, jak Adams będzie pasował do reszty; ponieważ był cudownym dzieckiem.

Cudowne dzieci dzieliły się w istocie tylko na dwie kategorie -- geniuszy muzycznych i matematycznych. Niektórzy psychologowie twierdzili, iż to jedno i to samo, ponieważ muzyka jest bardzo blisko spokrewniona z matematyką. Choć inne przedwcześnie rozwinięte dzieci mogły wykazywać się osiągnięciami w takich dziedzinach, jak pisarstwo, malarstwo czy sport, jedynymi polami, na których dzieci mogły dorównywać dorosłym, były muzyka i matematyka. Dzieci te były skomplikowane psychologicznie: często samotnicy odizolowani od rówieśników, a nawet rodzin, swymi uzdolnieniami, za które jednocześnie je podziwiano i gardzono nimi. Często ich rozwój społeczny ulegał opóźnieniu, często z trudem przychodziło im włączać się w grupowe interakcje. Problemy Harry'ego nasilały się przez to, iż pochodził ze slumsów. Powiedział kiedyś Normanowi, że kiedy po raz pierwszy usłyszał o transformatach Fouriera, inne dzieciaki były na etapie objiania się w rynsztokach. Być może więc Harry czuł się teraz niezręcznie jako członek zespołu., Musiało być w tym jednak coś jeszcze... Harry sprawiał wrażenie niemal gniewnego.

--Poczekajcie tylko -- powiedział Adams. -- Za tydzień to wszystko okaże się jednym wielkim fałszywym alarmem, niczym więcej.

Taką masz nadzieję, pomyślał Norman, i ponownie zastanowił się dlaczego.

--Cóż, uważam to za ekscytujące -- przyznała Beth Halpern, uśmiechając się promiennie. -- Jeśli o mnie chodzi, nawet niewielka szansa znalezienia obcego życia jest dla mnie podniecająca.

--Zgadza się -- dorzucił Ted. -- Poza tym, Harry, jest więcej rzeczy na niebie i ziemi, niż się śniło waszym filozofom.

Norman spojrział na ostatniego członka zespołu, Arthura Levine'a, oceanologa. Levine był jedynym, którego nie znał. Był krępy i tłustawy, blade i zaniepokojony, pogrążony we własnych myślach. Norman miał właśnie zapytać Levine'a, o czym myśli, gdy do środka wkroczył kapitan Barnes z plikiem akt pod pachą.

-- Witamy tu, gdzie diabeł mówi dobranoc -- powiedział. -- Teraz można pójść nawet do toalety. -- Wszyscy roześmiali się nerwowo. -- Przepraszam, że dałem na siebie czekać -- rzekł. -- Nie mamy jednak wiele czasu, przystąpmy więc od razu do rzeczy. Gasimy światła i zaczynamy.

Na pierwszym slajdzie widać było duży statek z osobliwą konstrukcją na dziobie.

-- "Rose Sealady" -- powiedział Barnes. -- Statek przeznaczony do układania kabla na dnie morskim, wynajęty przez Transpac Communications, by przeciągnąć linię z Honolulu do Sydney w Australii. "Rose" wypłynęła z Hawajów dwudziestego dziewiątego maja bieżącego roku i szesnastego czerwca dotarła do Samoa Zachodniego na środku Pacyfiku. Układała nowy kabel światłowodowy o przepustowości pozwalającej na równoczesne przeprowadzanie dwudziestu tysięcy rozmów. Kabel jest pokryty gęstą macierzą siatkową metalu i tworzywa sztucznego, nadzwyczaj wytrzymałą i odporną na zrywanie. Do tego czasu bez jakichkolwiek kłopotów statek ułożył już ponad cztery tysiące sześćset mil morskich kabla na dnie Oceanu Spokojnego. Dalej.

[Mapa Pacyfiku ze sporą czerwoną plamką.]

-- O godzinie dwudziestej drugiej siedemnastego czerwca, kiedy statek znajdował się właśnie tutaj, pomiędzy Pago Pago z archipelagu Samoa Amerykańskiego i Viti Levu z archipelagu Fidżi, cały zadygotał. Rozbrzmiały alarmy i załoga stwierdziła, iż kabel uległ przerwaniu. Natychmiast sprawdzono na mapach, czy nie występuje tu jakaś podmorska przeszkoda, niczego takiego jednak nie stwierdzono. Wciągnięto na pokład zerwany koniec kabla, co zabrało parę godzin. Gdy załoga zbadła końcówkę, stwierdzono, że została ona równo odcięta -- jak się wyraził jeden z marynarzy, „jakby gigantycznymi nożycami”.

Dalej.

[Kawałek kabla światłowodowego trzymany przed aparatem w szorstkiej dłoni marynarza.]

-- Jak widzicie, charakter uszkodzenia sugeruje, że doszło do niego w wyniku działania jakiejś sztucznej przeszkody. "Rose Sealady" zawróciła na północ na miejsce wypadku.

Dalej.

[Rząd nierównych czarno- białych linii, w jednym miejscu usianych niewielkimi iglicami.]

-- Jest to oryginalny wynik badania sonarem z pokładu statku. Trudno wam to będzie zinterpretować, jeśli nie potraficie odczytywać obrazów z sonaru, widać tu jednak cienką, ostrą jak nóż przeszkodę. Odpowiada to miejscu, w którym stwierdziliśmy obecność samolotu czy też statku kosmicznego. Firma, która wycarterowała statek, Transpac Communications, powiadomiła marynarkę wojenną, pytając, czy mamy jakiekolwiek informacje o owej przeszkodzie. Jest to rutynowe postępowanie: w każdym przypadku zerwania kabla powiadamia się marynarkę, licząc na to, iż znana nam jest natura przeszkody. Firmy łącznościowe wolą wiedzieć przed rozpoczęciem naprawy, czy nie mają do czynienia z zatopionym okrętem z materiałami wybuchowymi na pokładzie. W tym jednak wypadku marynarce nic nie było wiadomo o jakiegokolwiek przeszkodzie w tym rejonie, wywołało to więc jej zainteresowanie. Natychmiast wysłaliśmy naszą najbliższą jednostkę, "Ocean Explorer", z Melbourne. Dotarła ona w wyznaczone miejsce dwudziestego pierwszego czerwca tego roku. Powodem zainteresowania marynarki była ewentualność, iż przeszkodę stanowi zatopiona chińska łódź podwodna klasy Wuhan wyposażona w pociski SY- 2. Wiadomo nam, iż Chińczycy

stracili taką jednostkę mniej więcej w tym miejscu w maju osiemdziesiątego czwartego roku. "Ocean Explorer" dokonał badań dna za pomocą najdoskonalszego sonaru obserwacji bocznej, jakim dysponujemy, co dało następujące rezultaty.

[Kolorowy, ostry obraz sprawiał wrażenie niemal trójwymiarowego.]

--Jak widzicie, dno wydaje się płaskie z wyjątkiem samotnego trójkątnego statecznika, wyrastającego ponad nie na dwieście osiemdziesiąt stóp. Widać go tutaj -- pokazał liniijką. -- Jego rozmiary są więc większe niż wymiary skrzydeł samolotów produkowanych zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Związku Radzieckim. Z początku stanowiło to dla nas wielkie zaskoczenie.

Dalej.

[Podwodny robot, opuszczany za pomocą żurawia za burtę statku. Wyglądał jak zbiorowisko poziomych rur z zagnieżdżonymi w środku kamerami i reflektorami.]

--Dwudziestego czwartego czerwca na miejsce dotarł wysłany przez marynarkę statek-baza zdalnie sterowanych robotów podwodnych "Neptune IV". W celu sfotografowania statecznika wysłano robota Scorpion, którego właśnie tu widać.

Z jego pomocą uzyskaliśmy obrazy świadczące, iż w dole znajduje się obiekt będący najprawdopodobniej statecznikiem.

[W ostrym świetle na kolorowym zdjęciu widniał szary statecznik sterczący z płaskiego koralowego dna. Miał ostry skraj zwężał się ku jednemu końcowi i bez wątplenia był sztucznego pochodzenia.]

--Proszę zauważyć -- powiedział Barnes -- że dno w tym miejscu pokryte jest karłowatymi martwymi koralami Statecznik czy też skrzydło znika pod nimi, co sugeruje, iż pod spodem może być pogrzebana reszta. Przeprowadzono analizę dna używając sonaru obserwacji bocznej o wysokiej rozdzielczości, by określić kształt obiektu pod koralami.

Dalej.

[Następny kolorowy obraz z sonaru, składający się tym razem z drobnych kropek, a nie z linii.]

--Jak widać, wydaje się, iż statecznik stanowi część cylindrycznego obiektu ukrytego pod koralami. Obiekt ten ma średnicę stu dziewięćdziesięciu stóp i długość dwóch tysięcy siedmiuset pięćdziesięciu czterech stóp, zwężającym się końcem jest zwrócony ku zachodowi.

Kolejne szeptu wśród zebranych.

--Zgadza się -- powiedział Barnes. -- Ten obiekt ma pół mili długości. Kształtem odpowiada samolotowi lub rakiecie kosmicznej, bez wątplenia tak właśnie wygląda -- ale od początku ostrożnie określaliśmy go jako "anomalię".

Norman obejrzał się na Teda, który z uśmiechem wpatrywał się w ekran. Siedzący obok Teda Harry Adams marszczył brwi w ciemności i podsuwał okulary wyżej na grzbiecie nosa.

Światło projektora zgasło. Salka pogrążyła się w całkowitej ciemności. Rozległy się pojękiwania. Norman usłyszał, jak Barnes mówi:

--Cholera, znowu! -- Ktoś z hałasem dobrnął do drzwi i do środka wpadł czworokąt światła. Betb przechyliła się ku Normanowi i szepnęła:

--Bez przerwy mają kłopoty z zasilaniem. To napawa otuchą, nie? Po kilku chwilach prąd zaczął płynąć ponownie. Barnes podjął:

--Dwudziestego piątego czerwca zdalnie sterowany aparat SCARAB odciął kawałek

statecznika i wydobył na powierzchnię. Poddano go badaniom i stwierdzono, iż jest zbudowany ze stopu tytanu w plastrowym układzie z żywicą epoksydową. Technologia konieczna do takiego właśnie łączenia metalu i tworzywa jest na Ziemi nieznana. Ekspertyzy potwierdziły, iż statek nie może pochodzić z tej planety -- aczkolwiek za dziesięć czy dwadzieścia lat prawdopodobnie będziemy już wiedzieli, jak go zbudować.

Harry Adams mruknął, pochylił się do przodu i zapisał coś w swoim notatniku.

Jednocześnie Barnes wyjaśnił, iż na dnie oceanu umieszczono używając robotów ładunki sejsmiczne. Analizy przeprowadzone przy ich zdetonowaniu wykazały, iż anomalia jest metalowa, pusta w środku, o złożonej wewnętrznej strukturze.

--Po dwóch tygodniach intensywnych badań -- kontynuował Barnes -- doszliśmy do wniosku, iż jest to statek kosmiczny.

Ostateczne potwierdzenie nadeszło dwudziestego siódmego czerwca od geologów. Przeprowadzone przez nich badania stratygraficzne wykazały, iż dno w tym miejscu było niegdyś o wiele płytsze -- głębokość wynosiła zaledwie osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu stóp. Wyjaśniało to obecność koralów, pokrywających kadłub przeciętnie pięciometrową warstwą. Geologowie na tej podstawie orzekli, iż statek musi znajdować się na dnie przynajmniej od trzystu lat, a być może o wiele dłużej: może pięćset, może pięć tysięcy.

--Aczkolwiek niechętnie -- ciągnął Barnes -- marynarka doszła do wniosku, iż znaleziono statek kosmiczny będący wytworem obcej cywilizacji. Na specjalnym spotkaniu Narodowej Rady Bezpieczeństwa prezydent podjął decyzję otworzenia statku. W wyniku tego postanowienia, począwszy od dwudziestego dziewiątego czerwca, zaczęto wzywać członków zespołu ULF.

Pierwszego lipca na miejsce obok zatopionego statku opuszczono podmorski habitat DH-7. Znalazło się w nim dziewięciu nurków marynarki wojennej, pracujących w atmosferze przesyconej gazami obojętnymi. Przystąpili do wstępnych wierceń. Myślę, że jesteście teraz na bieżąco -- powiedział Barnes. -- Jakieś pytania?

Ted zapytał:

--Czy wyjaśniono, jaka jest wewnętrzna konstrukcja statku?

--Do chwili obecnej nie. Wygląda na to, iż statek jest skonstruowany w ten sposób, iż fala uderzeniowa jest przekazywana po jego zewnętrznej powłoce, doskonale zaprojektowanej i niesamowicie wytrzymałej. Uniemożliwia to otrzymanie dokładnych obrazów z analiz sejsmicznych.

--A co z pasywnymi technikami penetracji wnętrza?

--Staraliśmy się -- powiedział Barnes. -- Analiza grawitometryczna -- wynik ujemny. Termografia -- wynik ujemny. Pomiary rezystywności -- wyniki ujemne. Rezonans jądrowy -- wyniki ujemne.

--Aparaty akustyczne?

--Od pierwszego dnia rozmieściliśmy na dnie hydrofony. Ze statku nie wydobywają się żadne dźwięki. Przynajmniej do tej chwili -- A co z innymi metodami zdalnego badania?

--W większości z nich stosuje się promieniowanie, a na razie wolimy tego unikać. Harry włączył się do rozmowy:

--Kapitanie, zauważyłem, że statecznik wygląda na nie uszkodzony, a kadłub sprawia wrażenie idealnego cylindra. Czy waszym zdaniem ten obiekt wpadł do oceanu?

--Tak -- odpowiedział Barnes, zerkając na niego niespokojnie.

--Więc wytrzymał uderzenie z dużą szybkością w wodę bez choćby zadrapania czy wgięcia?

--Cóż, jest niezwykle wytrzymały... Harry pokiwał głową.

--Musiałby być...

--Ci nurkowie, którzy znajdują się na dole -- wtrąciła Beth. -- Czym oni się właściwie zajmują?

--Szukają drzwi wejściowych.

--Barnes uśmiechnął się. -- Jak na razie musieliśmy się oprzeć na starych, sprawdzonych procedurach archeologicznych. Kopiemy próbne chodniki w koralach, szukając jakiegoś wjazdu czy luku. Mamy nadzieję dotrzeć do czegoś takiego w ciągu następnej doby czy dwóch. Kiedy tylko znajdziemy wejście, przystępujecie do akcji. Coś jeszcze?

--Tak -- powiedział Ted. -- Jak Rosjanie zareagowali na to odkrycie?

--Nie powiadomiliśmy Rosjan.

--Nie powiadomiliście ich?!

--Nie.

--Ależ to niewiarygodne, bezprecedensowe wydarzenie w historii ludzkości. Nie tylko w amerykańskiej historii. W historii ludzkości! Bez wątpienia powinniśmy podzielić się tą informacją ze wszystkimi narodami świata. Tego rodzaju odkrycie mogłoby zjednoczyć całą...

--Musiałby pan porozmawiać z prezydentem -- przerwał Barnes. -- Nie wiem, czym się kierował, lecz to on podjął taką właśnie decyzję. Jeszcze jakieś pytania?

Nikt nic nie powiedział. Członkowie zespołu spoglądali po sobie.

--Myślę więc, że na tym skończymy -- podsumował Barnes.

Zapaliły się główne światła. Ludzie zaczęli wstawać i przeciągać się przy akompaniamencie skrzypiących foteli. Harry Adams powiedział wreszcie:

--Kapitanie Barnes, muszę stwierdzić, że bardzo mi się nie podobała ta odprawa.

Barnes spojrział na niego ze zdumieniem.

--O co panu chodzi, Harry?

Pozostali znieruchomieli, wpatrując się w Adamsa. Wciąż jeszcze siedział w fotelu z wyrazem rozdrażnienia na twarzy.

--Zdecydował się pan powiadomić nas w jakiś oględny sposób?

--O czym?

--O wejściu.

Barnes roześmiał się niespokojnie.

--Harry, przecież właśnie powiedziałem, że nurkowie kopią chodniki próbne, by je znaleźć...

--Jestem zdania, że trzy dni temu, kiedy zaczęliście nas tu ścigać, wiedzieliście już mniej więcej, gdzie jest wejście. Jestem też zdania, że w chwili obecnej znacie jego położenie dokładnie. Mam rację?

Barnes nie odpowiedział. Uśmiech zamarł na jego twarzy. Mój Boże, pomyślał Norman, spoglądając na Barnesa. Harry ma rację. Wiedział, że Harry rozumuje z niesamowitą precyzją, że potrafi dochodzić do oszałamiających wniosków drogą chłodnej dedukcji, nigdy jednak go jeszcze nie widział w działaniu.

--Tak -- rzekł w końcu Barnes. -- Ma pan rację.

--Znacie położenie wejścia?

--Znamy.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Ted zawołał:

--Ależ to fantastycznie! Absolutnie fantastycznie! Kiedy schodzimy na dół, dostatku? "

--Jutro -- odparł Barnes, nie odrywając spojrzenia od Harry'ego. Harry także wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w Barnes'a. -- Łódź zacznie was zabierać na dół jutro o ósmej zero zero.

--To wspaniale! -- ekscytował się Ted. -- Fantastycznie! Niewiarygodne!

--Powinniście więc- ciągnął Barnes, wciąż wpatrując się w Harry'ego postarać się wyspać do jutra, o ile się wam uda.

--"Sen, niewinny sen, który zwikłane węzły trosk rozplata" -- zadeklamował Ted.

Dosłownie podskakiwał na swoim fotelu z ekscytacji.

--Do wieczora zgłaszać się będą do was oficerowie techniczni i zaopatrzeniowi, by dokonać niezbędnych pomiarów i badań -- uprzedził Barnes. -- Gdyby były jeszcze jakieś pytania, można mnie zastać w moim biurze.

Wyszedł z salki. Narada się skończyła. Norman pozostał z Harrym Adamsem po rozejściu się reszty. Harry ani drgnął w swoim fotelu. Obserwował, jak technik zwija przenośny ekran.

--Pokazałeś, co potrafisz -- powiedział Norman.

--Tak? Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

--Wydedukowałeś, że Barnes nie powiedział nam o wejściu.

--Och, jest mnóstwo rzeczy, których nam nie mówi -- stwierdził oziębłym tonem Adams. -- Nie powiedział nam o żadnej z istotnych spraw.

--Na przykład?

--Na przykład tego -- powiedział Harry wstając -- iż wie dokładnie, dlaczego prezydent zdecydował się utrzymać to w tajemnicy.

--Czemu?

--W tych okolicznościach nie miał innego wyboru.

--Jakich okolicznościach?

--Wie, że obiekt na dnie nie jest obcym statkiem kosmicznym.

--Więc czym jest?

--Myślę, że to zupełnie oczywiste.

--Nie dla mnie -- zaprotestował Norman.

Adams po raz pierwszy się uśmiechnął. Był to nikły uśmiech, całkowicie pozbawiony humoru.

--Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział -- rzekł, po czym wyszedł.

BADANIA

Arthur Levine, oceanolog, był jedynym członkiem ekspedycji, z którym Norman Johnson nie miał dotąd do czynienia. Jedną z rzeczy, której nie uwzględniłem przy planowaniu, pomyślał Norman. Przyjął, że wszelkie kłopoty z przedstawicielami innych cywilizacji będą miały miejsce na lądzie. Nawet mu do głowy nie przyszła najoczywistsza możliwość -- iż gdyby statek kosmiczny miał lądować w całkowicie przypadkowym miejscu na Ziemi, najprawdopodobniej byłoby to wodowanie, ponieważ siedemdziesiąt procent powierzchni planety pokrywają morza i oceany. W retrospekcji było to oczywiste.

Co jeszcze, zastanawiał się, okaże się t e r a z oczywiste?

Znalazł oceanologa przechylonego przez reling na lewej burcie. Levine trafił tu z Instytutu Oceanograficznego w Woods Hole w Massachusetts. Dłoń, którą podał Normanowi, była wilgotna. Levine wyjątkowo źle wyglądał i w końcu przyznał się, że cierpi na chorobę morską.

--Choroba morską? U oceanologa? -- spytał Norman.

--Pracuję w laboratorium -- odrzekł Levine. -- Na lądzie. U siebie. Tam wszystko przez cały czas pozostaje stabilne. Czemu się pan uśmiecha?

--Przepraszam -- powiedział Norman.

--Uważa to pan za śmieszne, że oceanolog cierpi na chorobę morską?

--Powiedziałbym, że to niebywale.

--Wielu z nas się na nią skarży -- poinformował Levine. Zapatrzył się w morze. -- Proszę tylko spojrzeć -- rzekł. -- Tysiące mil płaskiej nicości.

--Ocean.

--Ciarki mnie od tego przechodzą- wyznał Levine.

--No i? -- rzekł Barnes. Znajdowali się znów w jego biurze. -- Co pan myśli?

--O czym?

--O zespole, na miłość boską.

--To zespół, który wybrałem sześć lat temu. Zasadniczo to dobra grupa, bez wątplenia jej członkowie są bardzo utalentowani.

--Ciekaw jestem, który z nich nie wytrzyma.

--Dlaczego ktoś miałby nie wytrzymać? -- rzekł Norman. Wpatrzył się w Barnesa, dostrzegając kropelki potu na jego górnej wardze. Kapitan również znajdował się w stanie wielkiego napięcia.

--Tysiąc stóp pod powierzchnią? -- zapytał Barnes. -- Mieszkając i pracując w ciasnym habitacie? Proszę posłuchać, nie schodzę na dno z nurkami marynarki, którzy przeszli odpowiednie wykształcenie i wiedzą, jak sobie radzić. Zabieram ze sobą naukowców, na miłość boską. Chcę mieć pewność, że żaden z nich nie ma kłopotów ze zdrowiem. Chcę się upewnić, że żaden z nich się nie załamie.

--Nie wiem, czy pan sobie zdaje z tego sprawę, kapitanie, ale żaden psycholog nie jest w stanie tego dokładnie przewidzieć.

--Nawet jeśli przyczyną byłby strach?

--Bez względu na przyczynę. Barnes zmarszczył czoło.

--Zdawało mi się, że lęk to pańska specjalność.

--Lęk to jeden z obszarów moich naukowych zainteresowań i mogę na podstawie profili osobowości powiedzieć panu, kto najprawdopodobniej w sytuacjach stresowych będzie go

dotkliwie odczuwał. Nie mogę jednak przewidzieć, kto się załamie, a kto nie.

--To co z pana za specjalista? -- powiedział z rozdrażnieniem Barnes. Westchnął. -- Przepraszam. Nie miałby pan ochoty porozmawiać z nimi czy poddać ich jakimś testom?

--Nie ma na to żadnych testów- wyjaśnił Norman.-- Przynajmniej żadnych pewnych. Barnes westchnął ponownie.

--Acoz Levine'em?

--Ma chorobę morską.

--To nie problem; na dnie nie ma żadnego ruchu. Ale co pan o nim sądzi?

--Zwróć na niego uwagę- obiecał Norman.

--Dobrze. A co z Harrym Adamsem? Zachowuje się arogancko.

--Owszem -- przyznał Norman. -- Ale to właściwie jest pożądane. -- Badania wykazały, że w sytuacjach stresowych najlepiej radzili sobie ludzie zazwyczaj ogólnie nie lubiani -- osobnicy aroganccy, drażniący, zadziorni.

--Może i tak -- powiedział Barnes. -- Co się jednak stało z jego sławetnymi badaniami? Kilka lat temu był jednym z najgorliwszych naukowców popierających program SETI. Teraz, kiedy coś znaleźliśmy, nagle ustosunkował się do tego bardzo niechętnie. Przypomina pan sobie jego opracowanie?

Norman nie pamiętał i właśnie miał to powiedzieć, gdy do środka wszedł porucznik.

--Panie kapitanie, przyniosłem wyostrzone zdjęcie, o które pan prosił.

--Dziękuję -- rzekł Barnes. Zmrużywszy oczy przyjrzał się zdjęciu, po czym je odłożył. --

Co z pogodą?

--Bez zmian, panie kapitanie. Doniesienia z satelitów mieli w tym miejscu załamanie pogody za czterdzieści osiem plus minus dwanaście.

--Cholera -- rzekł Barnes.

--Kłopoty? -- spytał Norman.

--Pogoda nam się psuje -- odpowiedział Barnes. -- Być może będzie trzeba przerwać zaopatrzenie z powierzchni.

--To znaczy, że zejście na dół zostaje odwołane?

--Nie -- rzekł Barnes. -- Schodzimy jutro, jak zaplanowaliśmy.

--Dlaczego Harry sądzi, iż ten obiekt nie jest statkiem kosmicznym? -- zapytał Norman.

Barnes zmarszczył brwi i odepchnął od siebie papiery na biurku.

--Pozwoli pan, że coś panu powiem -- rzekł. -- Harry to teoretyk. A teorie to tylko... teorie. Ja zajmuję się twardymi faktami. Fakty są takie, że na dnie mamy coś piekielnie starego i piekielnie dziwnego. Chcę się dowiedzieć, co to takiego.

--Jeśli nie jest to obcy statek kosmiczny, w takim razie co?

--Zaczekajmy z tym, aż się tam znajdziemy, dobrze? -- Barnes rzucił spojrzenie na zegarek. -- Do tej pory drugi habitat powinien być już zakotwiczony. Zaczniemy was transportować za piętnaście godzin. Do tego czasu wszystkich nas czeka jeszcze masa roboty.

--Proszę się przez chwilę nie ruszać, doktorze Johnson.

--Stojący nago Norman czuł dotyk dwóch metalowych głowiczek zaciskających się od tyłu na jego ramieniu. -- Jeszcze moment... doskonale. Teraz proszę wejść do tego zbiornika.

Młody człowiek z wojskowego korpusu medycznego odstał na bok i Norman wszedł po drabince do metalowego zbiornika, który wyglądał jak kabina z telewizyjnego teleturnieju.

Zbiornik był wypełniony po brzegi wodą, Gdy Norman opuścił się do środka, woda zaczęła wyciekać po bokach.

--Po co to wszystko? -- zapytał.

--Przepraszam, doktorze. Gdyby był pan łaskaw zanurzyć się całkowicie... -- Słucham?

--Tylko na chwilę, proszę pana...

Norman zaczerpnął tchu, zanurzył się z głową i po chwili wynurzył.

--Doskonale, może pan już wyjść -- powiedział medyk, podając mu ręcznik.

--Po co było to wszystko? -- zapytał Norman raz jeszcze, schodząc po stopniach.

--Oznaczenie zawartości tkanki tłuszczowej -- powiedział medyk. -- Musimy ją znać, żeby określić pańskie parametry wysycenia.

--Parametry wysycenia?

--Dla określenia składu powietrza oddechowego. -- Medyk zaznaczał kolejno wykonywane czynności na karcie przypiętej do deseczki.

--O rany- zdziwił się.-- Nie mieści się pan w wykresie.

--A to czemu?

--Dużo pan ćwiczy, doktorze?

--Trochę. -- Zaczynał się czuć znękanym, do tego ręcznik był za mały, by zawiązać go w pasie. Dlaczego w marynarce używano tak małych ręczników?

--Czy pan pije?

--Trochę. -- Czuł się zdecydowanie znękanym, nie miał co do tego wątpliwości.

--Mogę zapytać, kiedy ostatnio spożywał pan napój alkoholowy, proszę pana?

--Nie wiem. Dwa, trzy dni temu. -- Powrót myślami do San Diego sprawiał mu kłopoty, zdawało się tak odległe. -- Czemu pan pyta?

--Dobrze, doktorze. Czy ma pan jakieś dolegliwości ze strony stawów biodrowych lub kolanowych?

--Nie, a bo co?

--Krótkotrwałe utraty przytomności, chwilowe omdlenia, zasłabnięcia?

--Nie...

--Gdyby zechciał pan tu usiąść. -- Medyk wskazał krzeselko stojące obok elektronicznego urządzenia pod ścianą.

--Naprawdę chciałbym usłyszeć jakąś odpowiedź -- zniecierpliwził się Norman.

--Proszę popatrzeć obydwojma szeroko otwartymi oczyma w zieloną plamkę...

Przez chwilę poczuł strumień powietrza na obydwóch gałkach ocznych i instynktownie mrugnął. Z drukarki wysunęła się wstęga papieru. Medyk oderwał ją i przyjrzał się jej.

--Doskonale, doktorze. Proszę teraz tędy...

--Chciałbym, by udzielił mi pan kilku informacji -- nalegał Norman. -- Życzę sobie dowiedzieć się, jakim badaniom jestem poddawany.

--Rozumiem, proszę pana, ale muszę wyrobić się z panem przed kolejną odprawą o siedemnastej zero zero.

Norman leżał na plecach. Laboranci wbijali igły w ramiona, nogi, wreszcie w pachwinę. Wykrzyknął z nagłego bólu.

--To było najgorsze, proszę pana -- powiedział medyk, kładąc strzykawkę do lodu. -- Proszę teraz przytrzymać tu wacik, dobrze?

Na nozdrza założono mu zacisk; a między zęby wetknięto ustnik aparatu.

--Zmierzymy teraz poziom dwutlenku węgla -- poinformował medyk.-- Niech pan zrobi wydech. Bardzo dobrze. Teraz głęboki wdech i wydech...

Norman zrobił wydech. Przyglądał się unoszącej się gumowej przeponie, przesuwającej coraz dalej wskazówkę na skali.

--Niech pan spróbuje znowu. Jestem pewien, że uda się panu lepiej. Norman był odmiennego zdania, jednak spróbował.

Do sali wszedł jeszcze jeden wojskowy medyk, trzymając w dłoni arkusz papieru zadrukowany cyframi.

--Tu są jego dane -- powiedział. Pierwszy z medyków zmarszczył brwi.

--Barnes to widział?

--Tak.

--I co powiedział?

--Że w porządku i żeby jechać dalej.

--Dobra, on tu jest szefem. -- Medyk odwrócił się z powrotem do Normana. -- Doktorze, proszę kolejny raz zaczerpnąć powietrza, najgłębiej, jak pan potrafi...

Tępo zakończone ramiona cyrkla dotykały jego podbródka i czoła. Taśmą zmierzono obwód jego głowy, po czym cyrklem wyznaczono odległość od ucha do podbródka.

--Do czego to potrzebne?

--Do dopasowania panu hełmu.

--Nie lepiej byłoby, gdybym go przymierzył?

--Tak to się tutaj robi, proszę pana.

Na obiad był makaron z serem, na domiar złego przypalony. Po paru kęsach Norman odsunął go od siebie. W drzwiach pojawił się medyk.

--Już siedemnasta, proszę pana. Czas na odprawę.

--Nigdzie nie pójdę, o ile nie otrzymam paru odpowiedzi -- powiedział Norman. -- Po co było to całe zawracanie głowy?

--Rutynowe przygotowanie do zamieszkania w podwodnym habitacie, proszę pana. W marynarce to obowiązkowe.

--A co to znaczyło, że nie mieszczę się w wykresie?

--Przepraszam?

--Powiedział pan, że nie mieszczę się w wykresie.

--Ach, to. Jest pan trochę cięższy, niż to zakładają normy marynarki.

--To znaczy, że będą kłopoty z moją wagą?

--Nie powinno być żadnych, proszę pana.

--A co wykazały inne badania?

--Jest pan w bardzo dobrym stanie zdrowia, jak na swój wiek i tryb życia, proszę pana.

--Czyli mogę schodzić na dno?-- zapytał Norman, w duchu mając nadzieję, że okaże się to niemożliwe.

--Na dno? Rozmawiałem z kapitanem Barnesem, nie powinno być jakichkolwiek kłopotów, proszę pana. Pozwoli pan, że zaprowadzę go teraz na odprawę.

Pozostali członkowie zespołu rozsiedli się już w salce odpraw ze styropianowymi kubkami z kawą w rękach. Norman poczuł zadowolenie, że ich widzi. Osunął się w fotelu koło Harry'ego.

--Jezu, ciebie też poddali tym cholernym badaniom?

--Taa -- odparł Harry. -- Miałem je wczoraj.

--Wkluli mi w nogę taką długą igłę -- poskarżył się Norman.

--Naprawdę? Ze mną tego nie zrobili.

--Też musiałeś oddychać z kleszczykami na nosie?

--Nie, nie musiałem -- odrzekł Harry. -- Wygląda na to, że obdarzają cię tu specjalną troską, Norman.

Norman myślał tak samo i nie podobały mu się wypływające z tego wnioski. Nagle poczuł się zmęczony.

--No dobrze, ludzie, mamy mnóstwo do omówienia i tylko trzy godziny powiedział dziarsko mężczyzna, który właśnie wszedł i zgasił światło. Norman nawet nie zdążył mu się dobrze przyjrzeć. Teraz dobiegał doń jedynie jego głos z mroku. -- Jak wiadomo, prawo Daltona opisuje ciśnienie cząstkowe mieszanin gazów, a ujęte w formę algebraiczną prezentuje się następująco. Na ekranie rozbłysł pierwszy slajd:

--Zastanówmy się teraz, jak możemy odnieść obliczenia ciśnień cząstkowych do pomiarów oznaczanych w atmosferach absolutnych, które wykorzystujemy najczęściej...

Jego słowa dla Normana pozbawione były znaczenia. Usiłował się skupić, lecz w miarę jak pojawiały się kolejne wykresy, a monotony głos sączył się bez końca, powieki mu opadły i przysnął.

--...tylko zostaniecie zabrani w łodzi podwodnej do habitatu, ciśnienie zostanie podniesione do trzydziestu trzech atmosfer. Jednocześnie zaczniecie oddychać specjalną mieszaniną gazów, ponieważ oddychanie zwykłym powietrzem atmosferycznym jest niemożliwe powyżej osiemnastu atmosfer...

Norman przestał słuchać. Techniczne szczegóły jedynie go rozdrażniały. Ponownie zaczął drzemać, co jakiś czas tylko chwytając urywki wykładu.

--...ponieważ tlen jest toksyczny jedynie wtedy, gdy przez dłuższy czas jego ciśnienie w powietrzu oddechowym wynosi zero przecinek siedem atmosfery...

--...narkoza azotowa, w której azot oddziałuje jak środek znieczulenia ogólnego, znajdzie w atmosferze z dodatkiem gazów obojętnych jedynie wtedy, gdy ciśnienie cząstkowe przekroczy półtorej atmosfery we frakcji DDS...

--...celów używa się zazwyczaj układu otwartego, wy jednak będziecie korzystać z układu półzamkniętego, gdzie fluktuacje podczas oddychania będą wynosiły od sześciuset ośmiu do siedmuset sześćdziesięciu milimetrów...

Norman ponownie zapadł w sen.

Gdy wszystko się skończyło, rozeszli się do swoich kajut.

--Coś straciłem? -- zapytał Norman po drodze.

--Właściwie nic. -- Harry wzruszył ramionami. -- Jedynie masę fizyki.

W swej miniaturowej kajucie Norman położył się na koi. Zegar na ścianie wyświetlał 23:00. Chwilę mu zabrało uświadomienie sobie, że to już jedenasta w nocy i za dziewięć godzin zacznie się zejście w głębiny oceanu.

Wreszcie zasnął.

Głębia

ZANURZENIE

Łódź podwodna "Charon V" unosiła się w porannym świetle na powierzchni, kołysząc na platformie pontonowej. Jaskrawożółtej barwy, wyglądała jak dziecięca zabawka rzucona na tratawkę z puszek po oleju.

Gumowa łódka typu Zodiak przewoziła Normana na platformę. Norman wymienił uścisk dłoni ze sternikiem, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat; na pewno był młodszy od jego syna, Tima.

--Gotowy do drogi, proszę pana? -- zapytał sternik.

--Pewnie -- odrzekł Norman. Bardziej gotów i tak nie mógł być.

Z bliska łódź nie sprawiała wrażenia zabawki. Była niewiarygodnie masywna i potężna. Norman dostrzegł pojedynczy iluminator wykonany z profilowanej żywicy akrylowej. Mocowały go śruby wielkie jak jego pięść. Dotknął ich ostrożnie.

--Ma pan ochotę kopnąć w opony?-- uśmiechnął się sternik.

--Nie, ufam panu.

--Właz jest tutaj, proszę pana.

Norman wspiął się po wąskich stopniach drabinki na kiosk łodzi, gdzie ujrzał niewielki okrągły właz. Zawahał się.

--Proszę usiąść na brzegu- powiedział sternik- wsunąć nogi do włazu, a później resztę ciała, proszę pana. Może będzie pan musiał ściągnąć ramiona... No właśnie.

Norman wcisnął się przez ciasny właz do wnętrza tak niskiego, że nie mógł się w nim wyprostować. Było zapchane elektroniką, Ted znalazł się w środku natychmiast po nim i, zgarbiony, uśmiechał się jak dzieciak.

--Fantastyczne, prawda?

Norman zazdrościł mu jego łatwego entuzjazmu; czuł trochę klaustrofobii i zdenerwowania. Za jego plecami sternik zatrzaskał ciężki właz i zsunął się ku wskaźnikom.

--Wszystko w porządku? Skinęli głowami.

--Przepraszam za widok -- usprawiedliwiał się sternik, oglądając się przez ramię. -- Będziecie mieli panowie przeważnie przed oczyma tylną część mojego ciała. No to ruszamy. Mozart panom odpowiada? -- Wcisnął klawisz na konsoli i uśmiechnął się. -- Zejście na dno zabierze nam trzynaście minut; przy muzyce będzie to łatwiej strawić. Jeśli panowie nie lubią Mozarta, mogę zaproponować coś innego.

--Nie, Mozart nam odpowiada -- powiedział Norman.

--Jest cudowny -- dodał Ted. -- Wysublimowany.

--Bardzo dobrze, panowie. -- Coś w łodzi podwodnej zasyczało. W głośniku radia rozległo się popiskiwanie. Marynarz powiedział coś cicho do mikrofonu. W iluminatorze pojawił się nurek w kombinezonie i pomachał ręką. Sternik odwzajemnił pozdrowienie.

Rozległ się odgłos zasysania, potem głębokie buczenie i ruszyli w dół.

--Jak panowie widzicie, cała platforma zanurza się z nami -- wyjaśnił sternik. Łódź nie jest stabilna na powierzchni, zabieramy więc ze sobą platformę i zostawiamy na jakichś stu stopach.

Przez iluminator widzieli nurka stojącego na pokładzie, w tej chwili już po kolana pogrążonego w wodzie. W końcu iluminator zanurzył się pod powierzchnię. Z aparatu nurka poczęły się wydobywać banieczki powietrza.

--Zanurzyliśmy się- oznajmił sternik. Pokręcił zaworami nad głową i usłyszeli przenikliwe,

głośne syczenie powietrza, po czym przez parę chwil bulgotanie. Światło wpadające przez iluminator łodzi miało przepiękny niebieski odcień.

--Urocze -- skomentował Ted.

--Zostawimy teraz platformę- wyjaśnił sternik. Zaszumiały silniki i łódź ruszyła do przodu. Nurek został z boku. Przez iluminator nie widać było teraz nic prócz błękitnej wody. Sternik powiedział coś przez radio i nastawił głośniej Mozarta.

--Niech panowie się odprężą- zaproponował. -- Zanurzamy się z szybkością osiemdziesięciu stóp na minutę.

Norman słyszał buczenie elektrycznych silników, nie czuł jednak, że się poruszają. Robiło się jedynie coraz ciemniej.

--Wiesz -- powiedział Ted -- naprawdę mamy szczęście, że stało się to właśnie w tym miejscu. Większa część Pacyfiku jest tak głęboka, że nigdy nie zdołalibyśmy tam dotrzeć. -- Wyjaśnił, że olbrzymi Ocean Spokojny, którego powierzchnia wynosi blisko połowę całej powierzchni kuli ziemskiej, ma przeciętną głębokość ponad dwóch mil. -- Jedynie w kilku miejscach jest ona mniejsza. Jednym z nich jest względnie niewielki czworokąt, ograniczony przez Samoa, Nową Zelandię, Australię i Nową Gwineę. Jest to właściwie wielka podmorska równina, przypominająca płaskie tereny na zachodzie Stanów; jej przeciętna głębokość wynosi dwa tysiące stóp. Teraz właśnie zanurzamy się na dno tej równiny.

Ted wyrzucił z siebie szybkie słowa. Był zdenerwowany? Norman nie potrafił tego ocenić; czuł jak jego własne serce łomocze. Na zewnątrz zrobiło się całkowicie ciemno, płonęły jedynie zielono skale instrumentów. Sternik włączył czerwone lampki.

Zanurzali się dalej.

--Czterysta stóp. -- Łódź zakolysała się i wyrównała. -- To była rzeka.

--Jaka rzeka? -- zapytał Norman.

--W oceanie przepływają prądy o różnym zasoleniu i temperaturze, proszę pana.

Zachowują się jak podwodne rzeki. Przywykliśmy już do tego, że się tu zatrzymujemy, a prąd rzeki zabiera nas kawałek ze sobą.

--Ach, tak -- powiedział Ted, sięgając do kieszeni. Wręczył sternikowi dziesięciodolarowy banknot.

Norman spojrział pytająco na Teda.

--Nie wspomiano ci o tym? Stara tradycja. Zawsze się płaci przewoźnikowi po drodze na dół, na szczęście.

--Przyda mi się -- stwierdził Norman. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął pięć dolarów, przemyślał sprawę i sięgnął po dwudziestkę.

--Dziękuję, panowie, i życzę obydwóm panom miłego pobytu na dnie uśmiechnął się sternik.

Ponownie włączył elektryczne silniki.

Zanurzali się dalej. Woda była niezmiennie ciemna.

--Pięćset stóp -- poinformował sternik. -- Połowa drogi.

Łódź zaskrzypiała, po czym rozległo się parę dynamicznych lupnięć przypominających eksplozje. Norman się wystraszył.

--Zwykła adaptacja do ciśnienia -- uspokoił go sternik. -- Nic się nie stało.

--Yhm -- rzekł Norman. Wytarł pot rękawem koszuli. Wnętrze łodzi wydało mu się o wiele

mniejsze, a ściany bliżej twarzy.

--No właśnie -- dodał Ted. -- Przypomniałem sobie, że ta część Pacyfiku jest nazywana Basenem Lau, zgadza się?

--Tak jest, proszę pana, to Basen Lau.

--To płaskowyż między dwoma podmorskimi grzbietami górskimi, Fidzi Południowym, czyli Grzbietem Lau na zachodzie, i Grzbietem Tonga na wschodzie.

--Zgadza się, doktorze Fielding.

Norman spojrział na instrumenty pokładowe. Pokryte były wilgocią. Pilot musiał je co chwila przecierać ściereczką, by móc z nich korzystać. Czyżby łódź przeciekała? Nie, pomyślał. To tylko skraplanie pary, którą wydychamy. We wnętrzu łodzi robiło się coraz chłodniej.

Nie przejmuj się, powiedział sobie.

--Osiemset stóp- rzekł sternik.

Na zewnątrz było już całkowicie ciemno.

--To bardzo ekscytujące -- oznajmił Ted. -- Przytrafiło ci się kiedyś cokolwiek podobnego, Norman?

--Nie- odparł Norman.

--Mnie również -- przyznał Ted. -- Cudowny dreszczyk. Norman marzył, by Ted się zamknął.

--Wiesz -- rzekł Ted -- to będzie wielka chwila, kiedy otworzymy ten statek i nawiążemy pierwszy w dziejach ludzkości kontakt z przedstawicielami obcej cywilizacji. Zastanawiam się, co powinniśmy powiedzieć w imieniu całej Ziemi.

--Powiedzieć?

--Jakie słowa, wiesz. Na progu, przy szmerze pracujących kamer.

--To będą i kamery?

--Och, jestem pewien, że zarejestruje się to na wszystkie możliwe sposoby. Inaczej nie da rady, jak się człowiek zastanowi. Musimy więc mieć coś dopowiedzenia, jakieś godne uwiecznienia zdanie. Zastanawiałem się nad: "To doniosły moment w dziejach ludzkości".

--Doniosły moment? -- powątpiewał Norman, marszcząc czoło.

--Masz rację, to zbyt oklepane -- zgodził się Ted. -- Może: "Punkt zwrotny w historii ludzkości"?

Norman potrząsnął głową.

--A co powiesz na Rozstaje ewolucji gatunku ludzkiego"?

--Czy ewolucja może mieć rozstaje?

--Dlaczego nie? -- zapytał Ted.

--Cóż, rozstaje to punkt, w którym rozchodzą się drogi. Czy ewolucja to droga? Zawsze myślałem, że nie; wydawało mi się, że jest nie ukierunkowana.

--Traktujesz to zbyt dosłownie -- obruszył się Ted.

--Mam zamiar dna- powiedział sternik. -- Dziewięćset stóp. -- Zaczęli opuszczać się wolniej. Co jakiś czas dobiegało ich popiskiwanie sonaru.

Ted zaproponował:

--"Nowy próg w ewolucji gatunku ludzkiego"?

--Pewnie. Uważasz, że tak będzie?

--Jak?

--Że to będzie nowy próg?

--Dlaczego nie? -- zapytał Ted.

--A jeśli otworzymy statek i w środku znajdziemy jedynie kupę rozpadającego się złomu i nic wartościowego?

--Trafna uwaga -- rzekł Ted.

--Dziewięćset pięćdziesiąt stóp. Światła zewnętrzne włączone -- powiedział sternik.

Przez iluminator ujrzeli białe plamki. Sternik wyjaśnił, że są to drobiny unoszące się w wodzie <- zarówno organicznego, jak i nieorganicznego pochodzenia -- Kontakt wizualny.

Osiągnęliśmy dno.

--Och, chciałbym je zobaczyć! -- wyrzucił z siebie Ted.

Sternik posłusznie odsunął się na bok, by mogli mu spojrzeć przez ramię. Norman ujrział płaską, matowobrazową równinę rozciągającą się daleko jak okiem sięgnąć. Za nią rozpościerała się czerń.

--Obawiam się, że niewiele widać -- powiedział sternik.

--Zdumiewająco posępny widok -- rzekł Ted z nutą rozczarowania w głosie. -- Spodziewałem się, że więcej tu życia.

--Cóż, na tej głębokości jest dość zimno. Temperatura wynosi, hmm, dwa stopnie Celsjusza.

--Prawie temperatura zamarzania- zdumiał się Ted.

--Tak, proszę pana. Rozejrzyjmy się, czy damy radę znaleźć nowy dom panów. Silniki zahuczały głośniejsze. Przed iluminatorem wzbil się w górę mętny osad.

Łódź skręciła i ruszyła równoległe do dna. Przez parę minut widzieli jedynie brunatny krajobraz.

W końcu dostrzegli światła. -- Jesteśmy na miejscu.

Obszerna rozstawiona pod wodą bateria reflektorów, zgrupowana mniej więcej w czworokąt.

--To rusztowanie -- wyjaśnił sternik.

Łódź łagodnie uniosła się i prześliznęła gładko nad oświetlonym rusztowaniem, rozciągającym się mniej więcej na pół mili. Przez iluminator widzieli pracujących na nim nurków. Machali oni rękami do przepływającej łodzi. Sternik nacisnął klakson.

--Oni to słyszą?

--Och, pewnie. Woda to doskonały przewodnik dźwięków.

--Mój Boże -- westchnął Ted.

Wprost przed nimi z oceanicznego podłoża wznosił się stromo gigantyczny tytanowy statecznik. Norman był całkowicie nie przygotowany na jego ogrom; gdy wymijali go z lewej strony, na minutę zablokował ich pole widzenia. Metal miał matową szarą barwę i z wyjątkiem białych plam koralu pozbawiony był jakichkolwiek znaków szczególnych.

--Nie ma żadnych śladów korozji -- stwierdził Ted.

--Nie, proszę pana- odrzekł sternik. -- Wszyscy to zauważają. Sądzę, że wynika to z tego, iż statecznik wykonany został ze stopu metalu i tworzywa sztucznego, ale nie sądę, by byli tego całkowicie pewni.

Statecznik przesunął się za rufę; łódź ponownie skręciła. Na wprost przed sobą ujrzeli kolejne reflektory, ustawione w pionowe rzędy. Norman dojrzał pojedynczy cylinder z

pomalowanej na żółto stali, a w jego boku jaskrawe iluminatory. Koło niego znajdowała się niska metalowa kopuła.

--Po lewej mamy DH- 7, habitat nurków -- objaśnił sternik. -- Jest dość spartańsko urządzony. Panowie będą mieszkać w DH- 8. Jest tam o wiele przyjemniej, proszę mi wierzyć.

Skręcił w prawo i po chwili dojrzeli kolejne rzędy świateł. Gdy zbliżyli się bardziej, Norman naliczył pięć metalowych cylindrów, połączonych ze sobą w złożony sposób; niektóre były pionowe, niektóre poziome.

--Jesteśmy na miejscu. DH- 8, dla panów dom zdala od domu -- oznajmił sternik. -- Dokowanie zajmie mi mniej więcej minutę.

Metal szczęknął o metal, nastąpiło ostre szarpnięcie, po czym silniki ucichły. Cisza. Syk powietrza. Sternik wygramolił się ze swojego miejsca, by otworzyć właz, po czym owiało ich zaskakująco zimne powietrze.

--Śluza otwarta, panowie -- powiedział, odsuwając się na bok.

Norman wyjrzał przez właz. Nad sobą dojrzał rzędy czerwonych lamp. Wydostał się z łodzi podwodnej do okrągłego stalowego cylindra o średnicy około ośmiu stóp. Znajdowała się w nim wąska metalowa ława i poręcz ze wszystkich stron. Pod sufitem paliły się lampy, aczkolwiek niewielki był z nich pożytek.

Ted wspiął się za nim i usiadł na ławie. Siedzieli tak blisko siebie, że niemal stykali się kolanami. Pod nimi sternik zamknął właz z powrotem, przyglądali się, jak obraca się koło na jego wierzchu. Usłyszeli szczęknięcie, gdy łódź oddzieliła się od doku, i wibrację silników, gdy poczęła się oddalać. Przez chwilę nie działo się nic.

--Co teraz? -- spytał Norman.

--Podnoszą ciśnienie i przestawiają nas na oddychanie atmosferą z dodatkiem gazów obojętnych. Na dnie nie zdołalibyśmy oddychać zwykłym powietrzem.

--Dlaczego? -- spytał Norman. Teraz gdy znalazł się na dole, wpatrując się w zimne stalowe ściany cylindra, żałował, że nie uważał na odprawie poprzedniego dnia.

--Ponieważ -- odparł Ted -- powietrze na powierzchni Ziemi jest śmiertelne. Pewnie sobie tego nie uświadamiasz, ale tlen wywołuje korozję. Należy do tej samej rodziny pierwiastków, co chlor i fluor, a kwas fluorowodorowy jest najsilniej wywołującym korozję związkiem znanym nauce. Ta sama cecha tlenu, która sprawia, że nadgryzione jabłko brązowieje, a żelazo zżera rdza, w przypadku jego nadmiaru może się okazać dla ludzkiego organizmu niewiarygodnie szkodliwa. Tlen pod zwiększonym ciśnieniem jest toksyczny -- i to bardzo. Zmniejszono więc jego ilość w atmosferze habitatu. Na powierzchni wynosi ona dwadzieścia jeden procent, tutaj tylko dwa. Nie zauważysz jednak żadnej różnicy...

Z głośnika dobiegł ich głos:

--Zaczynamy podnosić ciśnienie.

--Kto to?-- spytał Norman.

--Barnes- odrzekł głos. Nie przypominał on jednak głosu Barnesa, był chrapliwy i sprawiał wrażenie sztucznego.

--To pewnie z powodu rozmównika -- domyślił się Ted i roześmiał się. Jego głos nabral wyraźnie wyższego tonu. -- To przez hel, Norman. Zwiększają ciśnienie pompując hel.

--Mówisz jak Kaczor Donald -- powiedział Norman i też się roześmiał. Jego głos również zabrzmiał piskliwie, jak jakiejś postaci z kreskówki.

--Mów za siebie, Myszko Miki -- pisał Ted.

--Zdiawało mi się, że widziałam olbrzimego kiota -- zaćwierkał Norman. Zaśmiewali się, słysząc swoje głosy.

--Dajcie spokój, ludzie, dobrze? -- powiedział przez interkom Barnes. -- Nie ma miejsca na żarty.

--Tak jest, kapitanie -- rzekł Norman, lecz jego głos nabrał tak wysokiego tonu, że stał się prawie niezrozumiały. Znow zaczęli się śmiać; ich śmiech przypominający dziewczęcy chichot z blaszonym przydźwiękiem odbijał się pogłosem od ścian metalowego cylindra.

Hel sprawiał, że ich głosy stały się wysokie i piskliwe, wywierał też na nich inne działanie.

--Nie robi się wam zimno, chłopcy? -- zapytał Barnes.

W cylindrze istotnie zrobiło się chłodniej. Norman stwierdził, że Ted drży, spostrzegł też gęsią skórę na swych nogach. Czuli się, jakby owiewał ich wiatr tyle że nie było żadnego wiatru. Lekkość helu zwiększała parowanie i przyspieszała utratę ciepła.

Znajdujący się naprzeciw niego Ted coś powiedział, Norman nie był w stanie go już jednak zrozumieć -- jego głos był na to zbyt wysoki. Słyszał jedynie cienki pisk.

--Wydajecie odgłosy jak para szczurów -- skonstatował z satysfakcją Barnes. Ted patrzył w stronę głośnika i zapiszczał coś.

--Jeśli chcecie mówić, włóżcie rozmówniki -- poradził Barnes. -- Znajdziecie je w skrzynce pod siedzeniem.

Norman znalazł metalową skrzynkę i otworzył. Metal zapiszczał głośno jak kreda na tablicy. Wszystkie dźwięki wewnątrz cylindra były bardzo wysokiej tonacji. W środku skrzynki spostrzegł dwa czarne pakiety z tasemkami do zaciągnięcia na szyi.

--Załóżcie je sobie na szyję, tak by rozmównik znalazł się pod gardłem.

--Dobrze -- powiedział Ted, po czym mrugnął z zaskoczenia. Jego głos zabrzmiał może nieco chrapliwie, ale poza tym normalnie.

--Te aparaty muszą transformować częstotliwość drgań strun głosowych domyślił się Norman.

--Ludzie, dlaczego nie uważaliście na odprawie? -- ofuknął ich Barnes. Właśnie na tym polega mechanizm ich działania. Przez cały czas pozostawania na dole będziecie musieli nosić rozmówniki, chyba że nie zależy wam na tym, by was rozumiano. Wciąż wam zimno?

--Tak -- rzekł Ted.

--Cóż, wytrzymajcie jeszcze trochę, prawie już wyrównaliśmy ciśnienie. Rozległ się syk i drzwi z boku odsunęły się na oścież. Ukazał się w nich Barnes, trzymający w ręku lekkie kurtki.

--Witamy w DH- 8- powiedział.

DH- 8

--Przybywacie ostatni -- powiedział Barnes. -- Zostało mi tylko tyle czasu, by was oprowadzić, zanim otworzymy statek.

--Już jesteśmy gotowi go otworzyć? -- zapytał Ted. -- Cudownie. Właśnie o tym rozmawialiśmy z Normanem. To tak wielka chwila, nasz kontakt z przedstawicielami obcej cywilizacji, że powinniśmy przygotować krótkie przemówienie z okazji otwarcia.

--Będzie czas się nad tym zastanowić -- odrzekł Barnes, obrzuciwszy Teda dziwnym spojrzeniem. -- Najpierw zaprezentuję wam habitat. Tędy.

Wyjaśnił, że habitat DH- 8 składa się z pięciu wielkich cylindrów, oznaczonych literami od A do E.

--Cylinder A to śluza, w której się właśnie znajdujemy. -- Przeprowadził ich do przyległej rozbieralni. Ze ścian zwisały luźno puste, ciężkie kombinezony, obok nich powieszono żółte profilowane hełmy, podobne do tych, jakie Norman widział u nurków. Postukał kciukiem w jeden z hełmów o futurystycznym wyglądzie. Był z tworzywa sztucznego, wyjątkowo lekki.

Nad wizjerem dostrzegł napis JOHNSON.

--Mamy je nosić?-- zapytał.

--Zgadza się -- powiedział Barnes.

--Więc wyjdziemy na zewnątrz?-- zapytał Norman, odczuwając skurcz lęku.

--W końcu tak. Na razie proszę się tym nie przejmować. Wciąż wam zimno? Było im zimno. Barnes polecił im przebrać się w obcisłe kombinezony z niebieskiego poliestru. Ted zmarszczył brwi.

--Nie sądzi pan, że będziemy w tym wyglądać raczej kretyńsko?

--Może to nie jest ostatni krzyk mody -- powiedział Barnes. -- Zapobiegają jednak wywoływanej przez hel utracie ciepła.

--Kolor jest nieprzyjemny -- skrzywił się Ted.

--Proszę nie zawracać sobie głowy kolorem -- odrzekł Barnes. Wręczył im lekkie kurtki. Norman wyczuł w jednej z kieszeni coś ciężkiego i wyciągnął baterię.

--Kurtki są okablowane i elektrycznie ogrzewane -- objaśnił Barnes. -- Podobnie jak koce, pod którymi będziecie spać. Proszę za mną.

Przeszli do Cylindra B, w którym mieściły się układy zasilania i systemy podtrzymywania życia. Na pierwszy rzut oka sprawiał on wrażenie wielkiej kotłowni, wypełnionej wielobarwnymi rurami i różną armaturą.

--Tu właśnie wytwarzamy cały potrzebny nam prąd, ciepło i regulujemy parametry powietrza -- powiedział Barnes. Zaczął wymieniać wyposażenie: -- Generatory dieslowskie o zamkniętym obiegu, 240 110V. Ogniwa paliwowe wodór- tlen. Monitorowanie parametrów środowiska. Procesor na płynne kryształy, zasilany bateriami srebro- cynkowymi. Obsługuje to wszystko starszy podoficer Alice Fletcher. Kruszynka Fletcher. -- Norman dojrzał grubokościstą sylwetkę pracującą z wielkim kluczem pośród rur. Kruszynka Fletcher odwróciła się do nich i uśmiechnęła, machając wysmarowaną olejem dłonią.

--Wygląda na to, że wie, co robi -- stwierdził z aprobatą Ted.

--Owszem -- rzekł Barnes.-- Chociaż wszystkie główne układy są zdublowane, Alice Fletcher stanowi nasze ostateczne zabezpieczenie. Zorientujecie się zresztą, że cały habitat podlega autoregulacji. -- Przypiął im do kombinezonów ciężkie czujniki. -- Noście je przez cały

czas, choć stanowią jedynie środek ostrożności. Gdyby parametry środowiska poczęły odbiegać od normy, wywołają one alarm. Do tego jednak nie dojdzie. We wszystkich pomieszczeniach habitatu są umieszczone stałe czujniki. Przywykniecie do tego, że otoczenie będzie się wciąż przystosowywać do waszej obecności. Światło, promienniki ciepła, wentylatory będą się automatycznie włączać i wyłączać. Nie zwracajcie sobie tym głowy. Wszystkie systemy są dublowane lub mają naprawdę porządne zabezpieczenie. Nawet jeśli przestanie działać zasilanie, ucieknie powietrze czy całkowicie stracimy wodę, zdołamy utrzymać się przez sto trzydzieści godzin.

Normanowi nie wydawało się, że sto trzydzieści godzin to tak dużo. Przeliczył w myślach: pięć dni. Pięć dni -- to również nie wydawało się długo.

Przeszli do kolejnego cylindra. W chwili gdy się w nim znaleźli, zapłonęły światła. W Cylindrze C znajdowały się pomieszczenia mieszkalne oraz prysznic ("cieplej wody pod dostatkiem, zobaczycie") i toalety. Barnes oprowadzał ich z taką dumą, jakby znajdowali się w hotelu.

Pomieszczenia mieszkalne były solidnie ocieplane: na posadzkach znajdowały się dywaniki, a ściany i sufity pokryte były miękką pikowaną gąbką, co sprawiało, że wnętrza wyglądały jak przesadnie wypchana sofa. Jednak mimo jaskrawych barw i widocznej troski o dekorację Norman stwierdził, że panuje tu ciasnota i ubóstwo wystroju. Iluminatory były małe, a za nimi dojrzeć mogli jedynie pogrążony w ciemnościach ocean, wszędzie zaś tam, gdzie nie było wykładziny, sterczały wielkie śruby i potężne płyty blachy przypominające, gdzie się naprawdę znajdują, Czuję się, jakbym znalazł się we wnętrzu gigantycznego żelaznego płuca -- pomyślał i właściwie tak bardzo nie odbiegało to od rzeczywistości.

Pochylając głowy przeszli przez wąskie grodzie do Cylindra D. Na jego górnym poziomie mieściło się niewielkie laboratorium, w którym na ławach były rozstawione mikroskopy, na dolnym zaś znajdował się mały ośrodek komputerowy.

--To jest Tina Chan -- przedstawił Barnes siedzącą nieruchomo kobietę. Obydwaj uścisnęli jej dłoń. Dopiero po chwili Norman uświadomił sobie, że wrażenie niezwykle spokoju, jaki roztaczała wokół siebie Tina, wynikało z tego, iż była jedną z osób niemal nigdy nie mrugających oczyma.

--Bądźcie uprzejmi dla Tiny -- poradził Barnes. -- Stanowi naszajedyną więź ze światem zewnętrznym -- zajmuje się łącznością i nadzorem nad czujnikami. Ogólnie rzecz biorąc, podlega jej cała elektronika.

Tinę Chan otaczały największe monitory, jakie Norman kiedykolwiek widział. Wyglądały jak odbiorniki telewizyjne z lat pięćdziesiątych. Barnes wyjaśnił, że niektóre rodzaje sprzętu, z kineskopami włącznie, nie sprawdzały się najlepiej w helowej atmosferze. W pierwszym okresie stosowania podmorskich habitatów trzeba je było codziennie wymieniać. Teraz zastosowano specjalne osłony i stąd wynikały rozmiary monitorów.

Obok Tiny Chan siedziała jeszcze jedna kobieta, Jane Edmunds, którą Barnes przedstawił jako archiwistkę jednostki.

--Czym się zajmuje archiwistka jednostki? -- zapytał ją Ted.

--Młodszy podoficer, przetwarzanie danych -- odpowiedziała słuźbiście. Wyprostowana sztywno i nosząca okulary Jane Edmunds przypominała Normanowi bibliotekarkę.

--Przetwarzanie danych... -- zastanawiał się Ted.

--Do moich zadań należy opracowywanie wszystkich zapisów cyfrowych, wizualnych oraz zdjęć, proszę pana. Każdy aspekt tej historycznej chwili jest rejestrowany, a ja to wszystko porządkuję.

Ona rzeczywiście jest bibliotekarką, pomyślał Norman.

--Och, wyśmienicie -- ucieszył się Ted. -- Miło mi to słyszeć. Rejestrujecie na błonie filmowej czy na taśmie wideo?

--Na taśmie, proszę pana.

--Wiem, jak się posługiwać kamerą -- pochwalił się Ted z uśmiechem. -- Na jakiej taśmie to robicie, półcalówce czy trzy czwarte?

--Korzystamy z systemu zapisu o dwóch tysiącach pixeli na klatkę skośną, w dwunastostopniowej skali szarości na pixel.

--Och- rzekł Ted.

--To nieco lepsze od dostępnych na rynku układów, jakie są panu zapewne znane.

--Owszem -- przyznał Ted. Szybko się jednak pozbierał i przez parę minut rozmawiał z Jane Edmunds o technicznych detalach.

--Zdaje się, że Teda strasznie ciekawi sposób, w jaki będziemy rejestrować wejście na statek -- powiedział Barnes, sprawiając wrażenie zaniepokojonego.

--Na to wygląda. -- Norman zastanawiał się, dlaczego ta sprawa niepokoi kapitana. Czyżby Barnes martwił się, że rzecz cała będzie rejestrowana na taśmie? A może obawiał się, że Ted urządzi przedstawienie na dwadzieścia cztery fajerki? Czy też niepokoił się, że cała operacja będzie wyglądać przez to na dzieło cywilów?

--Nie, oświetlenie zewnętrzne to stu pięćdziesięciowatowe kwarcowe halogeny- mówiła Jane Edmunds. -- Nagrywamy przy równoważniku pół miliona AS A, więc to wystarczy. Jedynym problemem jest rozpraszanie w tle. Ciągle z tym walczymy.

--Zauważyłem, że w skład ekipy pomocniczej wchodzi same kobiety -- wtrącił Norman.

--Owszem -- odrzekł Barnes. -- Wszystkie badania nad pracami przeprowadzanymi na dużych głębokościach wykazują, że kobiety są do nich lepiej przystosowane. Są bardziej wytrzymałe, lepiej dopasowują się do siebie i znoszą ciasnotę, poza tym przez to, iż są drobniejsze, zużywają mniej powietrza i pożywienia. Właściwie w marynarce już dawno uświadomiono sobie, że podwodniakami powinny być kobiety. -- Zaśmiał się. -- Ale wątpię, by to spróbowali wprowadzić w życie. -- Spojrzał na zegarek. -- Chodźmy dalej. Ted?

Przeszli do Cylindra E. Był obszerniejszy od wszystkich pozostałych. Zlokalizowane były tu magazyny, sala telewizyjna i duża świetlica, a na dolnym pokładzie dobrze zaprojektowana stolówka i kuchnia. Marynarz Rosę Levy, kuk, była rumianolicą kobietą mówiącą z południowym akcentem. Stała właśnie pod wielkimi wywietrznikami i zapytała Normana, czy ma jakieś ulubione desery.

--Desery?

--Tak jest, doktorze Johnson. Chcę dla każdego przyrządzić jego ulubiony deser, jeśli tylko okaże się to możliwe. A pan, jaki jest pański przysmak, doktorze Fielding?

--Ciasteczka z limonami -- odparł Ted. -- Uwielbiam ciasteczka z limonami.

--Da się zrobić, proszę pana -- zadeklarowała Rosę Levy z szerokim uśmiechem i odwróciła się do Normana. -- Nie słyszałam jeszcze pańskiej odpowiedzi, doktorze.

--Placek z truskawkami.

--Nie ma sprawy. Dostałam trochę pysznych truskawek z Nowej Zelandii ostatnią łodzią podwodną. Życzy pan sobie placek już dzisiaj?

--Czemu nie, Rose- powiedział Barnes.

Norman wyjrzał przez czarny iluminator. Wcześniej z iluminatorów Cylindra D widział prostokątną sieć światel, rozciągającą się po dnie wzdłuż półmilowego zatopionego statku kosmicznego. Nurkowie z własnymi reflektorami przepływali jak robaczki świętojańskie nad rozpiętymi rusztowaniami.

Norman pomyślał: znajduję się tysiąc stóp pod powierzchnią oceanu i zastanawiam się nad problemem, czy zamówić sobie na deser placek z truskawkami. Im dłużej się nad tym jednak zastanawiał, tym bardziej miało to sens. Najlepszym sposobem ułatwienia komuś przystosowania do nowego środowiska było dostarczenie mu ulubionych potraw.

--Dostaję wysypki od truskawek- zaprotestował Ted.

--Zrobię dla pana placek z borówkami -- obiecała nie tracąc kontenansu Rose.

--Z bitą śmietanką?-- zapytał Ted.

--Cóż...

--Nie można mieć wszystkiego -- stwierdził Barnes. -- A jedną z rzeczy, których nie można mieć w mieszance tlenu i gazów obojętnych, sprężonych pod ciśnieniem trzydziestu atmosfer, jest właśnie bita śmietana. Nie da się ubić. Chodźmy.

Beth i Harry oczekiwali ich w niewielkiej, wybitej wykładziną salce bezpośrednio nad stolówką. Obydwoje mieli na sobie kombinezony i ogrzewane kurtki. Gdy weszli, Harry właśnie potrząsał głową.

--Podoba ci się nasza wykładana cela? -- Pokazał ręką izolowane ściany. To tak jakby się żyło w pochwie.

--Nie masz ochoty na powrót do Iona, Harry? -- spytała Beth.

--Nie -- odparł Harry. -- Już tam byłem. Raz wystarczy.

--Te kombinezony są fatalne -- powiedział Ted, ujmując w dwa palce ściśle przylegający poliester.

--Ładnie w nim wygląda twój brzuch -- stwierdził Harry.

--Usiądźmy -- rzekł Barnes.

--Jeszcze parę cekinów i byłby z ciebie Elvis Presley -- ciągnął Harry.

--Elvis Presley nie żyje.

--Teraz ty masz szansę -- rzekł Harry. Norman rozejrzał się.

--Gdzie Levine?

--Nie dał rady -- odpowiedział natychmiast Barnes. -- Dostał ataku klaustrofobii przy zanurzeniu i trzeba go było wyciągnąć z łodzi. Zdarza się.

--Więc zostaliśmy bez oceanologa?

--Poradzimy sobie bez niego.

--Nie cierpię tego cholernego kombinezonu -- uparł się Ted. -- Naprawdę go nie cierpię.

--Beth dobrze wygląda w swoim.

--Tak, Beth obleci.

--Do tego jest tu mokro -- utyskiwał Ted. -- Zawsze panuje tu taka wilgoć? Norman zauważył, iż wilgotność rzeczywiście była tu problemem: wszystko, czego dotykali, było lepkie, chłodne i mokre. Barnes przestrzegali ich przed niebezpieczeństwem infekcji i przeziębień,

rozdał im też buteleczki z kroplami do uszu i roztworami do nacierania skóry.

--Zdawało mi się, że mówił pan, iż technologia habitatów została dokładnie opracowana-
przypomniał Harry.

--Zgadza się -- odrzekł Barnes. -- Proszę mi wierzyć, to cieplarniane warunki w
porównaniu z tym, co trzeba było znosić dziesięć lat temu.

--Dziesięć lat temu -- sprecyzował Harry -- zaprzestano tworzenia habitatów, ponieważ
ginęli w nich ludzie.

Barnes zmarszczył czoło.

--Był tylko jeden wypadek.

--Były dwa wypadki -- uściślił Harry. -- Łącznie zginęło czworo ludzi.

--To były wyjątkowe okoliczności -- upierał się Barnes. -- Nie związane ani z personelem,
ani z technologiami marynarki.

--Świetnie -- stwierdził Harry. -- Jak długo według pana mamy tu przebywać?

--Maksymalnie siedemdziesiąt dwie godziny -- odpowiedział Barnes.

--Jest pan tego pewny?

--Takie są przepisy -- rzekł Barnes.

--Dlaczego?-- zapytał zdezorientowany Norman. Barnes potrząsnął głową.

--Proszę nigdy nie pytać- odparł -- dlaczego przepisy marynarki są takie, a nie inne.

Rozległ się pisk interkomu, po czym Tina Chan zameldowała:

--Kapitanie Barnes, otrzymaliśmy wiadomość od nurków. Docierają już do wjazdu. Za kilka
minut można będzie przystąpić do jego otwarcia.

Nastrój w salce zmienił się natychmiast; napięcie stało się wręcz namacalne. Ted zatarł
dłonie.

--Oczywiście uświadamiacie sobie, że nawet bez otwarcia statku dokonaliśmy już
wielkiego odkrycia o nader istotnym znaczeniu?

--Jakiegoż to? -- spytał Norman.

--Posłaliśmy w diabły hipotezę wyjątkowości -- wyjaśnił Ted, spoglądając na Beth.

--Hipotezę wyjątkowości? -- rzekł pytającym tonem Norman.

--Robi aluzję do tego- powiedziała Beth- iż fizycy i chemicy skłaniają się ku przekonaniu o
istnieniu inteligentnego życia pozaziemskiego, podczas gdy biolodzy przeważnie sądzą inaczej.
Większość biologów uważa, że do powstania na Ziemi inteligentnego życia potrzeba było tak
wielu unikatowych wydarzeń, że jest ono wyjątkiem we wszechświecie, który mógł się nigdzie
indziej nie powtórzyć.

--Czy mimo to inteligencja nie mogła powstawać wielokrotnie? -- zapytał Barnes.

--Cóż, ledwie zdążyła to uczynić na Ziemi -- odrzekła Beth. -- Ziemia liczy sobie cztery i
pół miliarda lat, a organizmy jednokomórkowe pojawiły się na niej trzy i dziewięć dziesiątych
miliarda lat temu -- prawie natychmiast, z geologicznego punktu widzenia. Życie przez
następne trzy miliardy lat ograniczało się jednak do organizmów jednokomórkowych. Dopiero
później w erze kambryjskiej -- około sześciuset milionów lat temu -- nagle pojawiło się
mnóstwo skomplikowanych organizmów. W ciągu stu milionów lat w oceanie zaroilo się od ryb.
Później doszło do zasiedlenia lądu. Następnie powietrza. Nikt jednak nie wie, dlaczego
właściwie nastąpiło takie przyspieszenie ewolucji. A ponieważ nie doszło do niego przez
pierwsze trzy miliardy lat, istnieje prawdopodobieństwo, iż na innych planetach mogło nie

zaistnieć w ogóle. Zresztą nawet po kambrze łańcuch wypadków, który doprowadził do pojawienia się człowieka, wydaje się tak wyjątkowy, tak nieprawdopodobny, iż biolodzy obawiają się, że mógł nigdzie nie znaleźć swego odpowiednika. Proszę się tylko zastanowić nad faktem, iż jeśli dinozaury nie zostałyby unicestwione sześćdziesiąt pięć milionów lat temu -- przez kometę czy cokolwiek, to nieistotne -- gady mogłyby wciąż stanowić dominujący rodzaj stworzeń na Ziemi i ssaki nigdy nie miałyby swej szansy. Nie wygrałyby ssaki, nie powstałyby naczelne. Bez naczelnych nie byłoby małp człekokształtnych. A bez nich -- człowieka,... W ewolucji ujawnia się mnóstwo przypadkowych czynników, mnóstwo losowych zdarzeń. Dlatego właśnie biolodzy sądzą, iż inteligentne życie może być we wszechświecie czymś wyjątkowym i że było mu dane powstać jedynie na Ziemi.

--Jednakże -- zaprotestował Ted -- teraz już wiemy, że nie jest czymś wyjątkowym. Ponieważ tuż koło nas znajduje się cholernie wielki statek kosmiczny.

--Osobiście -- rzekła Beth -- nic nie może mnie bardziej cieszyć. -- Przygryzła wargę.

--Nie wyglądasz na uradowaną- stwierdził Norman.

--Powie ci dlaczego -- odpowiedziała Beth. -- Nie mogę przestać się denerwować.

Dziesięć lat temu Bili Jackson ze Stanford przeprowadził w weekendy cykl seminariów na temat życia pozaziemskiego. Było to tuż po tym, jak zdobył Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii. Podzielił nas na dwie grupy. Jedna wedle wszelkich naukowych zasad miała opisać istotę pochodzenia pozaziemskiego. Druga grupa usiłowała opracować sposób jej zbadania i metodę nawiązania kontaktu. Jackson przewodził temu wszystkiemu z pozycji twardego naukowca, nie dającego nikomu zagalopować się w fantazjach. Przynieśliśmy mu kiedyś szkic obcej istoty, on popatrzył nań i powiedział bardzo ostro: "No dobrze, a gdzie odbył?" Na tym polegał jego krytycyzm. Jednakże wiele zwierząt na Ziemi nie ma odbytu. Istnieje mnóstwo mechanizmów wydalniczych, dla których nie potrzeba specjalnego otworu. Jackson założył, że odbył jest konieczny, podczas gdy jest inaczej. A teraz... Wzruszyła ramionami. -- Kto wie, na co się natkniemy?

--Dowiemy się niedługo -- powiedział Ted. Zadzwieczył interkom.

--Kapitanie Barnes, nurkowie zainstalowali śluzę. Robot jest przygotowany do wejścia na pokład statku.

--Jaki robot?! -- spytał Ted.

WEJŚCIE

--Uważam to za absolutnie niestosowne! -- protestował gniewnie Ted -- Przybyliśmy tu, by osobiście wejść na pokład obcego statku kosmicznego. Uważam, że właśnie to powinniśmy zrobić -- wejść tam osobiście.

--Absolutnie nie- odparł Barnes. -- Nie możemy aż tak ryzykować.

--Proszę to potraktować jako wykopaliska archeologiczne -- nastawał Ted. Odkrycie większej miary niż Chichen Itza, niż Troja, niż grobowiec Tutenchamona. Bez wątplenia najważniejsze wykopalisko w historii ludzkości. Naprawdę zamierza pan do otwarcia statku wysłać cholernego robota? Gdzie pańskie poczucie godności ludzkiej?

--Gdzie pana instynkt samozachowawczy?-- zapytał Barnes.

--Stanowczo się sprzeciwiam, kapitanie.

--Przyjmuję to do wiadomości -- stwierdził Barnes odwracając się. -- Bierzmy się do pracy. Tina, daj mi podgląd.

Ted jeszcze protestował, ale dał spokój, gdy ożyły dwa monitory przed nimi. Na lewym ekranie dostrzegli na rusztowaniach skomplikowaną metalową konstrukcję robota. Robot znajdował się przy szarej metalowej krzywiźnie kadłuba statku kosmicznego.

W kadłubie znajdował się właz przypominający nieco drzwiczki samolotu. Drugi monitor przekazywał zbliżenie drzwi z kamery zamontowanej bezpośrednio na robocie.

--Właściwie przypominają drzwi samolotu -- skomentował Ted. Norman obejrzał się na Harry'ego, który uśmiechnął się enigmatycznie. Następnie zwrócił spojrzenie na Barnesa. Barnes nie wyglądał na zaskoczonego. Norman uświadomił sobie, że Barnes musiał już wiedzieć o wejściu.

--Zastanawiam się, jak możemy wytłumaczyć taką zbieżność w projektowaniu wejścia -- objaśnił Ted. -- Prawdopodobieństwo, że to przypadek, jest astronomicznie małe. Popatrzcie, te drzwi są idealnie dostosowane do wielkości człowieka!

--Zgadza się- przytaknął Harry.

--To niewiarygodne -- dodał Ted. -- Zupełnie niewiarygodne. Harry uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

--Znajdźmy urządzenia do otwierania wejścia z zewnątrz -- rzekł Barnes. Kamera zamontowana na robocie przesuwiała się w lewo i w prawo, ukazując kolejne fragmenty powierzchni statku. Zatrzymała się na prostokątnej płycie znajdującej się po lewej stronie wejścia.

--Możecie podnieść tę płytkę?

--Postaramy się, panie kapitanie!

Pazur robota wyciągnął się w stronę płytki. Był jednak zbyt niezgrabny; zadrapał metal, pozostawiając kilka równoległych rys. Płytką pozostała zamknięta.

--Niedorzeczność -- złościł się Ted. -- Ślamazarzy się jak niemowlę. Manipulator robota wciąż skrobał metal.

--Powinniśmy robić to sami -- powiedział Ted -- Zastosujcie ssanie -- rzekł Barnes.

Wyciągnęło się kolejne ramię zaopatrzone w gumową przyssawkę.

--Ach, przepychaczka -- ironizował Ted Na monitorze przyssawka przylgnęła do płytki splaszczyla się. Ze szczęknięciem płytka się odsunęła.

--Wreszcie!

--Nic nie widzę...

Obraz tego, co znajdowało się pod płytką, był nieostry, rozmyty. Ledwie udało im się rozróżnić coś, co wyglądało na rząd okrągłych metalowych wypukłości. Było ich trzy: czerwona, żółta i niebieska. Nad nimi widniały również jakieś skomplikowane czarno- białe symbole.

--Popatrzcie -- rzekł Ted. -- Czerwony, niebieski, żółty. Barwy podstawowe. To bardzo istotne ustalenie.

--Dlaczego? -- spytał Norman.

--Ponieważ sugeruje, że obcy dysponują takim samym aparatem zmysłowym jak my -- że wizualnie postrzegają świat w ten sam sposób co my, w tych samych barwach, wykorzystując tę samą część widma elektromagnetycznego. To nam niezwykle pomoże w nawiązywaniu z nimi kontaktu. A te czarno- białe oznaczenia... to musi być ich pismo! Wyobrażacie to sobie? Pismo obcych! -- Uśmiechnął się entuzjastycznie. -- To wielka chwila -- powiedział. -- Czuję się naprawdę uprzywilejowany, że tu jestem.

--Ostrość- rzucił głośnie Barnes.

--Już wyostrzamy, panie kapitanie. Obraz stał się jeszcze bardziej rozmyty.

--Nie, w drugą stronę.

--Tak jest, już wyostrzamy.

Obraz zaczął stopniowo nabierać coraz większej ostrości.

--Oooh -- rzekł Ted, wpatrując się w ekran.

Ujrzeni, że trzy niewyraźne plamy w rzeczywistości są guzikami: żółtym, czerwonym i niebieskim. Każdy z nich miał cał średnicy i radełkowany brzeg. Symbole nad guzikami stały się rzędkiem wyraźnie wydrukowanych znaków.

Głosiły one: ODBLOKOWANIE WŁAZU AWARYJNEGO, ZAMKNIĘCIE WŁAZU AWARYJNEGO, OTWARCIE WŁAZU AWARYJNEGO.

W języku angielskim.

Oslupieli, wszyscy ucichli na chwilę, po czym Harry Adams zaczął się śmiać.

STATEK KOSMICZNY

--To angielski -- powiedział Ted, wpatrując się w ekran -- współczesny angielski.

--Taa- rzekł Harry- pewnie.

--Co tu się dzieje? -- zapytał Ted -- To jakiś dowcip?

--Nie -- odrzekł Harry. Był dziwnie spokojny i zagłębiony w sobie.

--Jak ten statek może mieć trzysta lat i być zaopatrzony w instrukcje we współczesnej angielszczyźnie?

--Zastanów się -- zaproponował Harry. Ted zmarszczył czoło.

--Może -- powiedział -- obcy statek prezentuje nam się w ten sposób, byśmy nie odczuwali niepokoju.

--Zastanów się jeszcze -- poradził Harry. Zapadła chwila ciszy.

--Cóż, jeśli to jest obcy statek...

--To nie jest obcy statek kosmiczny- oświadczył Harry. Znow zapanowało milczenie. W końcu Ted zapytał:

--No dobrze, skoro jesteś taki pewny swego, może nam w końcu powiesz, co to jest?

--Zgoda -- rzekł Harry. -- To amerykański statek kosmiczny.

--Amerykański statek kosmiczny? Mający pół mili długości? Skonstruowany z wykorzystaniem nie znanych nam jeszcze technologii? Który do tego zatonął trzysta lat temu?

--Oczywiście -- potwierdził Harry. -- To było ewidentne od samego początku. Prawda, kapitanie Barnes?

--Dopuszczaliśmy taką możliwość -- przyznał Barnes. -- Prezydent się z nami zgodził.

--To dlatego nie powiadomiliście Rosjan.

--Właśnie.

Ted osiągnął stan całkowitej frustracji. Zacisnął pięści, jak gdyby chciał kogoś pobić. Przenosząc wzrok z jednej osoby na drugą zapytał:

--Ale skąd wiedzieliście?

--Pierwsza poszlaka- wyjaśnił Harry- wynika ze stanu, w jakim znajduje się statek. Nie wykazuje żadnych uszkodzeń, jego stan jest wręcz idealny. Każdy statek kosmiczny, który zderzyłby się z powierzchnią wody, byłby uszkodzony. Nawet przy niewielkich prędkościach zderzenia -- powiedzmy około dwustu mil na godzinę -- powierzchnia wody jest twarda jak beton. Bez względu na wytrzymałość konstrukcji należałoby się spodziewać jakichś uszkodzeń. Mimo to ich brak.

--To znaczy?

--To znaczy, że nie wodował.

--Nie rozumiem. Musiał tu przylecieć...

--On tu nie przyleciał. On się tu pojawił.

--Skąd?

--Z przyszłości -- odparł Harry. -- To statek kosmiczny, który został -- zostanie -- skonstruowany na Ziemi w przyszłości. Odbił wsteczną podróż w czasie i pojawił się kilkaset lat temu pod powierzchnią oceanu.

--Dlaczego ludzie z przyszłości mieliby to robić? -- jęknął Ted. Wyraźnie był nieszczęśliwy, iż odebrano mu jego obcy statek, jego wielką historyczną chwilę. Skulił się w fotelu i zapatrzył tępo w ekrany monitorów.

--Nie wiem, dlaczego ludzie z przyszłości to zrobili -- powiedział Harry. Jeszcze nas w niej nie ma. Może to był wypadek.

--Zabierzcie się do otwarcia go -- rozkazał Barnes.

--Otwieramy, panie kapitanie.

Wysięgnik manipulatora robota dotknął guzik po prawej i kilkakrotnie nacisnął. Słychać było szcęk, ale nic się nie stało.

--No i co? -- zapytał Barnes.

--Nie jesteśmy w stanie wcisnąć guzika, panie kapitanie. Manipulator jest za duży, by zmieścić się pod płytką.

--Cudownie.

--Mam spróbować z próbnikiem?

--Tak.

Kleszcze manipulatora cofnęły się, a ich miejsce zajął cienki jak igła próbnik. Przesunął się do przodu, skorygował swe położenie i delikatnie dotknął guzika. Nacisnął -- i ześliznął się.

--Spróbuję jeszcze raz, panie kapitanie.

Próbnik po raz drugi zbliżył się do guzika i powtórnie się ześliznął.

--Powierzchnia jest za śliska, panie kapitanie.

--Próbujcie dalej.

--Wiecie -- powiedział z namysłem Ted. -- Mimo wszystko to niezwykła sytuacja. W pewnym sensie nawet bardziej niezwykła niż kontakt z przedstawicielami innej cywilizacji. Tego, że życie we wszechświecie istnieje, byłem pewien i przedtem; muszę się jednak przyznać, że jako astrofizyk żywiłem poważne wątpliwości co do możliwości podróży w czasie. Ze wszystkiego, co nam wiadomo, wynika, że to realnie niemożliwe, że przeczy to prawom fizyki. A mimo to właśnie otrzymaliśmy dowód, że podróż w czasie jest możliwa -- i że nasz gatunek dokona tego w przyszłości!

Znów szczęśliwy, Ted uśmiechnął się z rozszerzonymi oczyma. Jest godny podziwu, pomyślał Norman. Nic go nie zmoże.

--I oto znaleźliśmy się -- stwierdził Ted -- na progu pierwszego kontaktu z przedstawicielami przyszłości naszego gatunku! Pomyślcie tylko! Spotykamy samych siebie z jakiegoś okresu w przyszłości!

Przez cały ten czas próbnik bez powodzenia usiłował nacisnąć guzik.

--Panie kapitanie, nie uda nam się wcisnąć guzika.

--Właśnie widzę -- powiedział Barnes wstając z miejsca. -- No dobrze, dajcie spokój i zabierzcie stamtąd robota. Ted, wygląda, że jednak spełni się pańskie życzenie. Będziemy musieli otworzyć go własnoręcznie. Zakładamy skafandry.

DO ŚRODKA

W przebieralni, w Cylindrze A, Norman wcisnął się w swój skafander. Tina i Jane Edmunds pomogły mu włożyć hełm na głowę i zatrzasnąć pierścień uszczelki na szyi. Na plecach ciążyły mu zbiorniki recyrkulatorów powietrza; ich pasy wpijały mu się w ramiona. Powietrze miało metaliczny posmak. Wśród trzasków włączył się interkom w hełmie. Pierwsze słowa, jakie usłyszał, brzmiały:

--A co sądzicie o "Na progu wielkiej szansy gatunku ludzkiego"?

Norman roześmiał się, wdzięczny za rozładowanie napięcia.

--Uważasz to za śmieszne? -- zapytał urażony Ted.

Norman spojrział na sylwetkę w kombinezonie z napisem FIELDING na żółtym hełmie.

--Nie -- odrzekł. -- Po prostu jestem zdenerwowany.

--Ja również -- przyznała Beth.

--Nie ma powodów -- rzekł Barnes. -- Zaufajcie mi.

--Jakie są trzy największe kłamstwa w DH- 8? -- zapytał Harry i wszyscy się roześmiali.

Wcisnęli się wspólnie do niewielkiej śluzы, objijając się hełmami. Właz po lewej został zamknięty i uszczelniony, koło na jego środku obróciło się.

--No dobrze, ludzie, tylko oddychajcie spokojnie. -- Barnes otworzył dolny właz, pod którym ukazała się czarna woda. Jej powierzchnia pozostawała na tym samym poziomie, woda nie zaczęła napływać do śluzы. -- W habitacie panuje dodatnie ciśnienie -- wyjaśnił kapitan. -- Przyglądajcie mi się teraz i róbcie to co ja. Po diabła macie porozrywać skafandry.

Obciążony cylindrami, niezgrabnie przykucnął przy włazie, uchwycił poręczę po bokach i zsunął się do wody, znikając z cichym pluskiem.

Po kolei opadali na dno oceanu. Norman łapczywie chwycił powietrze, gdy lodowata woda zamknęła się nad nim; natychmiast usłyszał cichy szmer wentylatorka włączonego systemu ogrzewania skafandra. Stopami dotknął miękkiego mulistego podłoża. Rozejrzał się w ciemnościach. Znajdował się pod habitatem. Na wprost przed sobą w odległości jakichś stu stóp widział siatkę świateł. Barnes ruszył już do przodu, pochylając się pod prąd. Wyglądał jak człowiek na Księżycu.

--Czy to nie fantastyczne?

--Opanuj się, Ted -- rzekł Harry.

--To dość dziwne -- zastanawiała się Beth -- jak mało jest tu istot żywych, zauważyliście? Ani ukwiałów, ani mięczaków, ani gąbek, ani nawet samotnych ryb. Nic prócz pustego oceanicznego dna. Musi to być jedno z martwych miejsc Pacyfiku.

Za ich plecami rozbłysło jaskrawe światło. Cień Normana rozciągnął się przed nim na dnie. Obejrzał się i ujrzał Jane Edwards trzymającą kamerę i reflektor w masywnej wodoodpornej obudowie.

--To wszystko jest nagrywane?

--Tak, proszę pana.

--Postaraj się nie wywalić -- zaśmiała się Beth.

--Staram się.

Podeszli bliżej rusztowania. Norman poczuł się lepiej, dojrzawszy pracujących na nim nurków. Po prawej widniał wystający z koralu gigantyczny statecznik, wznosząca się ku powierzchni niezwykle gładka płaszczyzna, sprawiająca swym ogromem, że czuli się przy niej

karzełkami.

Barnes przeprowadził ich wzdłuż statecznika ku wejściu do tunelu wydrążonego w koralach. Miał on około sześćdziesięciu stóp długości, był wąski i z rzadka oświetlony. Przeszli nim gęsiego. Można odnieść wrażenie, że schodzimy do kopalni, pomyślał Norman.

--To dzieło nurków?

--Zgadza się.

Norman ujrzał prostopadłościenną strukturę z blachy falistej, otoczoną zbiornikami z gazami.

--Przed nami śluza. Jesteśmy prawie na miejscu -- objaśnił Barnes. -- Wszystko w porządku?

--Jak na razie -- odrzekł Harry.

Weszli do śluzy i Barnes zamknął za nimi wejście. Z głośnym sykiem poczęło napływać powietrze. Norman przyglądał się, jak lustro wody opuszcza się najpierw poniżej jego wizjera, następnie do pasa, po kolana, wreszcie odsłania dno śluzy. Syk ustał i przeszli przez kolejne drzwi, zamykając je za sobą.

Norman odwrócił się w stronę metalowego kadłuba statku. Robot znajdował się z boku. Norman miał wrażenie, że znajduje się przy burcie wielkiego odrzutowca -- sprawiały to obła metalowa powierzchnia i umieszczone w niej drzwi. Metal był matowoszary, co przydawało mu złowieszczy charakter. Norman czuł zdenerwowanie. Wsłuchując się w oddech pozostałych ocenił, że z nimi jest podobnie.

--No dobrze -- powiedział Barnes. -- Wszyscy jesteśmy?

--Niech pan poczeka, aż włączę kamerę, kapitanie -- poprosiła Jane Edmunds.

--Dobrze, czekam.

Ustawili się przy drzwiach, lecz nie zdejmowali hełmów. Niespecjalny to będzie widok, pomyślał Norman.

Edmunds: Kamera pracuje.

Ted: Chciałbym powiedzieć parę słów.

Harry: Jezu, Ted, czy ty nigdy nie możesz sobie odpuścić?

Ted: Uważam, że to istotne.

Harry: No dobrze, wal ze swoją mową.

Ted: Halo, mówi Ted Fielding. Znajduję się przy wejściu do nieznanego statku kosmicznego, który został odkryty...

Barnes: Niech pan chwilę zaczeka, Ted. "Przy wejściu do nieznanego statku kosmicznego" to brzmi jak "Przy grobie nieznanego żołnierza".

Ted: Nie podoba się panu?

Barnes: Cóż, uważam, że to wywołuje złe skojarzenia.

Ted: Myślałem, że się panu spodoba.

Beth: Proszę was, przejdźmy dalej.

Ted: No i dobrze.

Harry: Co, zamierzasz się teraz na nas boczyć?

Ted: No i dobrze. Obejdziemy się bez żadnego komentarza z okazji tej historycznej chwili.

Harry: Świetnie. Otwórzmy statek.

Ted: Sądzę, że wszyscy czują się podobnie jak ja. Powinniśmy wygłosić jakieś krótkie uwagi dla potomności.

Harry: Dobrze, wygłaszaj te swoje cholerne uwagi!

Ted: Słuchaj, sukinsynu, dość już mam twojego protekcyjnego, mentorskiego tonu...

Barnes: Proszę zatrzymać taśmę.

Edmunds: Taśma zatrzymana, panie kapitanie.

Barnes: Uspokójmy się wszyscy.

Harry: Całą tę ceremonię uważam za całkowicie zbędną i nie na miejscu.

Ted: Właśnie że jest na miejscu. Chwila po temu jest stosowna.

Barnes: W porządku, ja się tym zajmę. Proszę włączyć kamerę.

Edmunds: Kamera włączona.

Barnes: Mówi kapitan Barnes. Przystępujemy właśnie do otwarcia wjazdu. Obecni ze mną w tej historycznej chwili są Tom Fielding, Norman Johnson, Beth Halpern i Harry Adams.

Harry: Dlaczego zostałem wymieniony ostatni?

Barnes: Zrobiłem to od lewej do prawej, Harry.

Harry: Czy to nie zabawne, że jedyny Murzyn zostaje wymieniony na końcu?

Barnes: Harry, przedstawiłem was od lewej do prawej. Tak właśnie, jak tu stoicie.

Harry: Do tego po jedynej kobiecie. Jestem profesorem; a Beth ma jedynie docenturę.

Bem: Harry...

Ted: Wie pan, Hal, może rzeczywiście powinniśmy zostać przedstawieni z podaniem naszych tytułów i placówek naukowych, w których pracujemy...

Harry: Czy coś jest nie w porządku z kolejnością alfabetyczną...

Barnes: Dosyć! Dajcie spokój! Wylączyc kamerę!

Edmunds: Kamera wyłączona, panie kapitanie.

Barnes: Jezu Chryste...

Odwrócił się od reszty grupy, potrząsając głową w helmie. Podniósł metalową płytkę, odsłonił guziki i nacisnął jeden z nich. Żółte litery WŁAZ AWARYJNY GOTOWY DO OTWARCIA poczęły migotać.

--Wszyscy dalej oddychamy ze zbiorników- powiedział Barnes. Dostosowali się do jego polecenia na wypadek, gdyby w atmosferze statku znajdowały się toksyczne składniki.

--Wszyscy gotowi?

--Gotowi.

Barnes wcisnął środkowy guzik.

Zaczął migotać znak: PRYZSTOSOWANIE ATMOSFERY. Po chwili drzwi z łoskotem odsunęły się na bok jak w zwykłym samolocie. Przez moment Norman nie dostrzegł za nimi niczego prócz ciemności. Ostrożnie ruszyli do przodu, zaświecili reflektorami i ujrzeli w środku złożony układ metalowych rur i wsporników.

--Sprawdź atmosferę, Beth.

Beth wyciągnęła zatyczkę z miniaturowego analizatora atmosfery, który trzymała w dłoni. Na ekraniku pojawił się wynik: hel, tlen, ślady pary wodnej i dwutlenku węgla, w proporcjach umożliwiającym oddychanie. Powietrze jest sprężone.

--Statek dostosował skład atmosfery do tej głębokości.

--Na to wygląda.

--No dobrze. Wchodzimy pojedynczo.

Barnes zdjął helm i głęboko zaczerpnął powietrza.

--Chyba jest w porządku. Ma metaliczny posmak, trochę drażniący, ale można oddychać bez kłopotów. -- Zaczerpnął jeszcze parę głębokich oddechów i skinął głową. Pozostali zdjęli helmy i odłożyli je na pokład.

--Tak lepiej.

--Wchodzimy?

--Dlaczego nie?

Nastąpiła chwila wahania, po czym Beth przestąpiła próg.

--Kobiety mają pierwszeństwo.

Pozostali ruszyli jej śladem. Norman obejrzał się i zobaczył pozostawione na podłodze helmy. Jane Edmunds, trzymająca przy oku wizjer kamery, powiedziała do niego:

--Naprzód, doktorze Johnson.

Norman odwrócił się i wszedł do wnętrza statku.

WNEŹTRZE

Znaleźli się na pięciostopowej szerokości pomoście, zawieszonym wysoko w powietrzu. Norman poświecił latarką w dół; jej światło natrafiło na spód kadłuba czterdzieści stóp niżej. Otaczała ich ledwie widoczna w mroku płatanina wsporników i lin naciągowych.

--Czuję się, jakbym była w rafinerii naftowej. -- Beth skierowała światło latarki na stalową belkę. Widniał na niej napis AYR- 09.

--Większość tego, co tu widać, to elementy konstrukcji -- powiedział Barnes. -- Krzyżowe usztywnienia zewnętrznego kadłuba. Dają niesamowitą wytrzymałość we wszystkich osiach. Statek ma bardzo mocną budowę, dokładnie tak, jak się spodziewaliśmy. Jest zaprojektowany do znoszenia wyjątkowych obciążeń. Prawdopodobnie w środku jest drugi kadłub. -- Norman przypomniał sobie, że Barnes był kiedyś inżynierem lotniczym.

--Jeszcze coś -- dodał Harry, oświetlając latarką wewnętrzną powierzchnię kadłuba. -- Przyjrzyjcie się temu, to warstwa ołowiu.

--Oslona radiacyjna?

--Niewątpliwie. Ma ze sześć cali grubości.

--Więc ten statek zaprojektowano z myślą o znoszeniu silnego promieniowania.

--Piekielnie silnego -- zgodził się Harry.

We wnętrzu unosiła się mgielka, a powietrze zalatywało lekko olejem. Metalowe wsporniki wydawały się nim pokryte, gdy jednak przejechał po jednym z nich palcem, pozostał on suchy. Uświadomił sobie, że sam metal miał niezwykłą fakturę: był śliski i miękki w dotyku niemal jak guma.

--Interesujące -- powiedział Ted. -- To materiał zupełnie nowej generacji. Kojarzemy zazwyczaj wytrzymałość z twardością, ale ten metal -- o ile to jest metal -- jest równocześnie miękki i odporny. Najwyraźniej w technologii materiałowej dokonał się olbrzymi postęp od dzisiejszych czasów.

--Niewątpliwie -- przytaknął Harry.

--Cóż, to ma sens- rzekł Ted.-- Jeśli się porówna Amerykę sprzed pięćdziesięciu lat z dzisiejszą, jedną z najistotniejszych zmian było wprowadzanie rozmaitych materiałów z tworzyw sztucznych i ceramicznych, których sobie wówczas nawet nie wyobrażano... -- mówił dalej; jego głos odbijał się echem w ciemnej jamie kadłuba. Norman dosłyszał w tym głosie napięcie. Ted zachowuje się jak chłopak gwizdzący nocą na cmentarzu, pomyślał.

Weszli dalej w głąb statku. Na tej wysokości, w mroku, Norman odczuwał zawroty głowy. Dotarli do rozgałęzienia pomostu. Trudno było się zorientować wśród wszystkich rur i wsporników, jak gdyby znajdowali się w metalowym lesie.

--Którędy teraz?

Barnes miał na nadgarstku świecący zielono kompas.

--Naprawo.

Przez następne dziesięć minut posuwali się siecią pomostów. Stopniowo do Normana dotarło, że Barnes miał rację; w środku zewnętrznego cylindra znajdował się drugi, utrzymywany nieruchomo przez gąszcz wsporników i dźwigarów Statek wewnątrz statku.

--Dlaczego zbudowano statek w ten sposób?

--Zapytał ich.

--Musieli mieć po temu powody- powiedział Barnes. -- Bo przecież taki podwójny kadłub z

ołowiową osłoną powodował wzrost zużycia energii... aż trudno sobie wyobrazić silnik, który napędzał ten statek.

Minęły jeszcze trzy czy cztery minuty, nim dotarli do drzwi w wewnętrznym kadłubie. Były identyczne jak zewnętrzne.

--Oddychamy ze zbiorników?

--Bo ja wiem? Czy powinniśmy ryzykować?

Nie czekając Beth otworzyła płytkę kryjącą guziki, nacisnęła ten, którym otwierano wejście. Drzwi z loskotem odsłoniły panującą za nimi ciemność. Weszli do środka. Norman poczuł pod stopami bardziej podatne podłoże; gdy poświecił w dół latarką, ujrzał beżowy chodnik.

Przecinające się wiązki światła ich latarek natrafiły w końcu na konsolę, przed którą stały trzy wyściełane fotele z wysokimi oparciami. Najwyraźniej pomieszczenie zaprojektowano dla ludzi.

--Na pewno mostek czy kokpit.

Wyprofilowana konsola była jednak absolutnie gładka. Brak było jakiegokolwiek instrumentarium. Fotele również były puste. Zaczęli wodzić latarkami w ciemności.

--Wygląda to bardziej na makietę niż prawdziwy mostek.

--Ale to nie jest makietka.

--W każdym razie tak wygląda.

Norman przejechał dłonią po gładkim kontuarze konsoli. Była przyjemna w dotyku i elegancko wyprofilowana. Przycisnął powierzchnię i poczuł, jak ugina się pod jego ręką. Znów coś przypominającego gumę.

--Jeszcze jeden nowy materiał.

W świetle latarki Normana ukazało się kilka nowych znalezisk. Na końcu konsoli przyklejona była fiszka o wymiarach pięć na trzy cale z ręcznie wykonanym napisem: W DROGE, DZIECINO! Koło niej stała plastikowa figurka zmyślnego stworzonka wyglądającego jak purpurowa wiewiórka. Na jej podstawie widniał napis: "Szczęściara Lemontina".

--Te fotele są ze skóry?

--Na to wygląda.

--Gdzie są cholerne przyrządy?

Norman dalej obmacywał gładką konsolę, której powierzchnia nagle nabrała głębi. Pojawiły się instrumenty i ekrany, zdające się tkwić wewnątrz konsoli, jak gdyby stanowiły optyczne złudzenie lub hologram. Norman zaczął czytać napisy nad przyrządami: "Silniki korekcyjne"... "Dopalacz tłokowy F3"... "Ślizg"... "Siła"...

--Znów nowa technologia -- stwierdził Ted. -- Przypomina to ciekłe kryształy, ale jest o niebo lepsze. Pewnie jakaś zaawansowana optoelektronika.

Niespodziewanie wszystkie ekrany na konsoli zapłonęły czerwoną barwą i rozległo się piknięcie. Przestraszony Norman odskoczył w tył. Panel z instrumentami ożył.

--Uważajcie!

Salę wypełnił błysk intensywnego światła, pozostawiający na siatkówkach bolesny powidok.

--O Boże...

Jeszcze jeden błysk i kolejny, po którym lampy pod sufitem zapłonęły równym światłem. Norman ujrzał wystraszone, zdezorientowane twarze. Westchnął, powoli wydychając powietrze.

--Jezu...

--Jak, do diabła, to się stało? -- zapytał Barnes.

--To przeżeranie- odrzekła Beth. -- Nacisnęłam klawisz.

--Jeśli to pani nie przeszkadza, może nie bawmy się w naciskanie czego się da- powiedział z rozdrażnieniem Barnes.

--Był oznaczony "Oświecenie". Wydawało mi się, że postępuję właściwie.

--Nie działajmy na własną rękę- polecił Barnes.

--O Jezu, Hal...

--Niech pani już nie naciska żadnych klawiszy, Beth!

Poczęli krążyć po kabine, przyglądając się konsolom i fotelom. Jedyne Harry stał nieruchomo na środku kabiny -- zapytał.

--Czy ktoś z was dostrzegł gdzieś datę?

--Żadnej.

--Musi tu gdzieś być data -- odezwał się niespodziewanie spiętym głosem Harry. -- I musimy ją znaleźć, ponieważ jest to zdecydowanie amerykański statek kosmiczny z przyszłości.

--A co on tu robi?-- spytał Norman.

--Za cholere nie mam pojęcia -- odparł Harry i wzruszył ramionami. Norman zmarszczył brwi.

--Coś się stało, Harry?

--Nic.

--Na pewno?

--Na pewno.

Doszedł właśnie do jakiegoś wniosku, który go zaniepokoił, pomyślał Norman. Nie ma jednak zamiaru powiedzieć jakiego.

--Więc tak właśnie wygląda wehikul czasu -- rzekł Ted.

--Boja wiem -- zawahał się Barnes. -- Jeśli o mnie chodzi, instrumentarium wygląda na przystosowane do latania, a to pomieszczenie na kabinę dla pilotów.

Normanowi również tak się zdawało; całe wnętrze przypominało mu kokpit odrzutowca. Trzy fotele: dla pilota, nawigatora i drugiego pilota; zestaw przyrządów -- wszystko upewniało go, że ta maszyna służyła do latania. Było w niej jednak coś dziwnego...

Wśliznął się w jeden z foteli. Miękki, przypominający skórę materiał był niemal zbyt wygodny. Usłyszał bulgotanie; czyżby w środku była woda?

--Mam nadzieję, że nie wystartujesz tym skurczybykiem -- zaśmiał się Ted.

--Nie, nie.

--Co to za szum?

Norman znalazł się w objęciach fotela. Przeżył chwilę paniki, gdy poczuł, jak dostosowuje on swój kształt do jego ciała, otulając ramiona i ściskając biodra. Skórzana wykładzina ześliznęła się mu na głowę, zakryła uszy i nasunęła na czoło. Zapadał się coraz głębiej, znikał w fotelu, czuł się przezeń polykany.

--OBoże...

Po chwili fotel wyprostował się i podjechał do konsoli. Szmer ustał. Nic się nie działo.

--Wydaje mi się -- powiedziała Beth -- że fotel sądzi, iż chcesz wystartować.

--Ummm -- rzekł Norman, usiłując opanować oddech i łomoczące serce. Jak mam się z niego wydostać?

Jedynymi częściami ciała, jakie mu pozostały wolne, były ręce. Poruszył palcami i wyczuł pod nimi rzędy klawiszy na poręczy fotela. Nacisnął jeden z nich.

Fotel odjechał w tył, otworzył się jak miękka koncha i uwolnił go. Norman wygramolił się i spojrzął na odcisk swego ciała, powoli znikający w adaptującym się z powrotem do stanu bierności fotelu.

Harry na próbę nacisnął jedną z poręczy i poczuł przelewanie się płynu.

--Jest wypełniony wodą.

--Zupełnie mnie to nie dziwi -- oznajmił Barnes. -- Woda jest prawie nieściśliwa. W takim fotelu można wytrzymać niesamowite przeciążenia.

--Sam statek jest zresztą tak skonstruowany, by znosić wielkie obciążenia dodał Ted -- Może tak właśnie się dzieje podczas podróży w czasie?

--Może... -- Norman żywił wątpliwości. -- Uważam jednak, że Barnes ma rację, statek jest przeznaczony do latania.

--Może to tak tylko wygląda -- rzekł Ted. -- Było nie było, wiemy, jak podróżuje się w przestrzeni, ale nie mamy pojęcia, jak w czasie. Wiemy, że czas i przestrzeń to w istocie aspekty jednego i tego samego -- czasoprzestrzeni. Może w czasie lata się tak samo jak w przestrzeni. Może przemierzanie czasu i przestrzeni jest bardziej do siebie podobne, niż nam się obecnie wydaje.

--Czy o czymś nie zapominamy? -- spytała Beth. -- Gdzie są ludzie? Nieważne, czy przemierzali czas, czy przestrzeń, gdzie oni są?

--Prawdopodobnie gdzieś indziej na pokładzie.

--Nie jestem tego taki pewny -- powiedział Harry. -- Spójrzcie na skórę na tych fotelach. Jest świeża, jak spod igły.

--Może to nowy statek.

--Nie, ona naprawdę jest absolutnie świeża. Nie widać na niej żadnych zadrapań, otarć, żadnych plam, choćby po rozlanej kawie. Nie ma nic, co sugerowałoby, że ktokolwiek w nich kiedyś siedział.

--Może statek był pozbawiony załogi.

--Po co wstawiano by fotele, jeśli statek jest bezzałogowy?

--Może zdecydowano, że jej nie będzie w ostatniej chwili? Wygląda na to, że martwili się promieniowaniem. Wewnętrzny kadłub również jest ekranowany ołowiem.

--A co ma wspólnego promieniowanie z podróżami w czasie?

--Już wiem -- oznajmił Ted. -- Być może ten statek został wystrzelony przez przypadek. Może znajdował się na stanowisku startowym i ktoś nacisnął guzik, nim załoga zdążyła wejść na pokład.

--Chcesz powiedzieć, że ktoś się rąbnął i wcisnął niewłaściwy klawisz?

--Porządnie by oberwał za taką pomyłkę -- powiedział Norman. Barnes potrząsnął głową.

--Nie kupuję. Po pierwsze, statek jest zbyt wielki, by kiedykolwiek zdołano go wystrzelić z

powierzchni Ziemi. Musiał zostać zmontowany i wystrzelony z orbity.

--A co na to powiecie? -- rzekła Beth, wskazując jeszcze jedną konsolę, znajdującą się w głębi kabiny. Przysunięty do niej stał czwarty fotel.

Wewnątrz niego znajdowała się ludzka sylwetka. -- Aniechmnie...

--Tam jest człowiek?

--Przyjrzyjmy się. -- Beth nacisnęła guziki na poręczy fotela. Odsunął się od konsoli i rozchylił się. Ujrzeni wpatrującego się przed siebie szeroko otwartymi oczyma człowieka.

--Mój Boże, po tylu latach idealnie zachowane ciało -- skomentował Ted.

--Można się było tego spodziewać -- rzekł Harry. -- Zważywszy, że to manekin.

--Ale wygląda jak żywy...

--Przyznajmy naszym potomkom, że będą nieco lepsi od nas -- powiedział Harry. -- Wyprzedzają nas o jakieś pół wieku. -- Przyciągnął manekin do siebie, odsłaniając biegnące od lędźwi wprowadzenia przewodów.

--Kable...

--Żadne kable -- zaprzeczył Ted. -- To światłowody. Cały statek opiera się na technologii optycznej, nie elektronice. -- W każdym razie jedna zagadka została rozwiązana- skonstatował Harry, przyglądając się manekinowi. -- Bez wątpienia ten statek został zaprojektowany z myślą o załodze, lecz w końcu wysłano go bez niej.

--Dlaczego?

--Prawdopodobnie zamierzona wyprawa była zbyt niebezpieczna. Zdecydowano się na próbę bez załogi przed wysłaniem statku z obsadą.

--Dokąd go wysłano? -- spytała Beth.

--W przypadku podróży w czasie nie można tak powiedzieć. Należałoby zapytać: do kiedy?

--No dobrze, do kiedy go w takim razie wysłano? Harry wzruszył ramionami.

--Brak nam na razie informacji -- powiedział.

Znów ta skrytość, pomyślał Norman. Co Harry naprawdę sądzi?

--Cóż, ten statek ma pół mili długości -- przypomniał Barnes. -- Zostało nam jeszcze mnóstwo do obejrzenia.

--Ciekaw jestem, czy mieli rejestrator lotu -- zastanawiał się Norman.

--Jak w zwykłym odrzutowcu pasażerskim?

--Tak. Coś, za pomocą czego prowadzono zapis przebiegu lotu statku.

--Musieli mieć -- odparł Harry.-- Jeśli prześledzimy okablowanie manekina, jestem pewny, że to znajdziemy. Ja też chciałbym ujrzeć ten rejestrator. Powiedziałbym nawet, że to kluczowa sprawa.

Norman właśnie przyglądał się konsoli, podnosząc klawiaturę.

--Spójrzcie tutaj! -- wykrzyknął. -- Znalazłem datę.

Skupili się wokół niego. Naplastyku pod klawiaturą widać było stempel, Jnter Inc. Madę in U.S.A. Serial No: 98004077 8 5 43".

--Piąty sierpnia dwa tysiące czterdziestego trzeciego?

--Na to wygląda.

--Stoimy więc na pokładzie statku na pięćdziesiąt parę lat, zanim go skonstruowano...

--Zaczyna mnie od tego boleć głowa.

--Popatrzcie tutaj. -- Beth przeszła z kokpitu do pomieszczeń wyglądających na mieszkalne. Znajdowało się tu dwadzieścia łóżek.

--Dwudziestoosobowa załoga? Jeśli do pilotowania potrzeba było trzech osób, jaka była rola pozostałych?

Pytanie zawisło w próżni.

Przeszli następnie przez obszerną kuchnię, toaletę, kajuty. Wszystko było nowe i elegancko zaprojektowane, bez trudu jednak można było rozpoznać, do czego służyło.

--Wie pan, Hal, tu jest o wiele bardziej komfortowo niż w DH- 8.

--Zgadza się, może powinniśmy się tu przeprowadzić.

--Absolutnie nie -- zaprotestował Barnes. -- Mamy badać ten statek, a nie mieszkać w nim. Czekaj nas jeszcze mnóstwo pracy, zanim zaczniemy się orientować, o co w tym wszystkim chodzi.

--Lepiej by się nam pracowało, gdybyśmy tu zamieszkali.

--Nie chcę się tu wprowadzać -- stwierdził Harry. -- Ciarki mnie przechodzą.

--Mnie też- powiedziała Beth.

Znajdowali się już godzinę na pokładzie statku. Normana zaczynały boleć stopy. Tego również nie przewidział: człowieka badającego wielki statek kosmiczny mogą boleć stopy.

Barnes jednak prowadził ich dalej.

Opuściwszy kwatery mieszkalne, znaleźli się w szeroko rozrzuconej płataninie wąskich korytarzy przebiegających między zamkniętymi pomieszczeniami, rozciągającymi się daleko jak okiem sięgnąć. Pomieszczenia okazały się olbrzymimi magazynami. Udało im się otworzyć jeden z nich i stwierdzili, że pełen jest plastikowych kontenerów przypominających te, które przewożono współczesnymi odrzutowcami, tyle że o wiele większych. Otworzyli jeden z nich.

--A niech mnie- powiedział Barnes, odsuwając się na bok.

--Co to jest?

--Żywność.

Porcje żywności były opakowane w warstwy folii aluminiowej i plastikowej jak w NASA. Ted podniósł jedną, z nich.

--Żywność z przyszłości! -- cmoknął.

--Zamierzasz to zjeść? -- zapytał Harry.

--Oczywiście -- potwierdził Ted. -- Wiecie, palem kiedyś Dom Perignon rocznik 1897, ale po raz pierwszy zjem coś z przyszłości, z roku dwa tysiące czterdziestego trzeciego.

--To ma trzysta lat -- skonstatował Harry.

--Może ma pani ochotę to sfilmować -- zaproponował Ted Jane Edmunds. Jak jem.

Jane Edmunds posłusznie uniosła kamerę do oka i włączyła reflektor -- Niech pan da spokój -- zniecierpliwził się Barnes. -- Na razie mamy co innego do roboty.

--Potraktujmy to jako gest pod publiczność -- rzekł Ted.

--Nie teraz -- stwierdził zdecydowanie Barnes. Otworzył drugi kontener, potem trzeci. We wszystkich znajdowała się żywność. Przeszli do innego przedziału magazynu i otworzyli kolejne kontenery.

--Wszędzie żywność i nic poza tym.

Statek wyprawił się w drogę z ogromną ilością żywności. Nawet założywszy, że załoga liczyła dwadzieścia osób, wystarczało jej na kilkuletni lot.

Byli już zmęczeni i odczuli ulgę, gdy Beth natrafiła na guzik i nacisnęła go. Barnes zdążył jeszcze rzucić ostrzeżenie, gdy chodnik zaczął się poruszać z szumem na gumowych walcach.

--Beth, życzę sobie, żeby przestała pani naciskać każdy cholerny guzik, na który pani natrafi!

Nikt poza nim nie miał jednak do niej pretensji. Z ulgą przejechali chodnikiem obok wielu identycznych magazynów i w końcu dotarli do kolejnej sekcji, położonej o wiele bliżej dzioba. Norman ocenił, że znaleźli się o ćwierć mili od pomieszczeń załogi. Znaczyło to, że dotarli mniej więcej do środka olbrzymiego statku.

Znaleźli tu pomieszczenie z urządzeniami kontrolującymi skład powietrza i dwudziestoma wiszącymi kombinezonami kosmicznymi.

--Trafiony, zatopiony -- orzekł Ted. -- Wszystko jasne. Ten statek miał wyruszyć do gwiazd.

Reszta, podniecona, zaczęła półgłosem wymieniać uwagi i komentarze. Wszystko nagle nabrało sensu: gigantyczne wymiary statku, złożoność instrumentów pokładowych...

--Och, na miłość boską- rzekł Harry. -- Niemożliwe, żeby ten statek mógł polecieć do gwiazd. Bez wątplenia to konwencjonalna konstrukcja, choć bardzo duża. A przy tradycyjnym napędzie do najbliższej gwiazdy jest dwieście pięćdziesiąt lat lotu.

--Może opracowali nową technologię.

--I gdzie ona jest? Nie ma niczego, co by na nią wskazywało.

--Cóż, może...

--Nie oszukuj się, Ted -- zgasił go Harry. -- Nawet mimo wielkich rozmiarów ten statek jest wyposażony tylko na parę lat lotu: piętnaście, najwyżej dwadzieścia. Jak daleko zaleciałby w tym czasie? Ledwie poza Układ Słoneczny, zgadza się?

Ted ponuro przytaknął.

--To prawda. "Voyagerowi" pięć lat zabrał przelotna Jowisza, dziewięć dotarcie do Urana. Przez piętnaście lat... Może chcieli dotrzeć do Plutona?

--Po co ktokolwiek miałby tam lecieć?

--Tego nie wiemy, ale...

Odezwało się radio i usłyszeli głos Tiny Chan:

--Panie kapitanie, powierzchnia chce się z panem porozumieć przez kodowaną linię.

--Dobrze -- rzekł Barnes. -- I tak czas już wracać. Skierowali się przez olbrzymie wnętrze statku do wyjścia.

CZAS I PRZESTRZEŃ

Siedzieli w świetlicy DH- 8 przyglądając się pracującym na rusztowaniach nurkom. Rosę Levy gotowała obiad czy też kolację -- w każdym razie posiłek. Wciąż mieli kłopoty z tym, co ludzie z marynarki nazywali "czasem powierzchniowym".

--Czas powierzchniowy nie ma tu znaczenia -- oznajmiła Jane Edmunds swym beznamiętnym tonem bibliotekarki. -- Dzień czy noc, nie sprawia to żadnej różnicy. Przyzwyczajcie się państwo do tego.

Pokiwali z powątpiewaniem głowami. Norman orientował się, że wszyscy są zmęczeni. Napięcie oraz duży wysiłek fizyczny i intelektualny zbierały swoje żniwo. Beth już zapadała w drzemkę, położywszy stopy na stolik do kawy i splótszy muskularne ręce na piersiach.

Za oknem miniaturowe łodzie podwodne wisiały nad rusztowaniami. Część nurków skupiała się przy nich, inni kierowali się do swego habitatu, DH- 7.

--Coś się chyba szykuje -- stwierdził Harry. -- W związku z wezwaniem Barnes'a?

--Możliwe. -- Harry wciąż trwał w zamyśleniu izolując się od rzeczywistości. -- Gdzie Tina Chan?

--Pewnie z Barnes'em. Dlaczego pytasz?

--Muszę z nią porozmawiać.

--O czym? -- spytał Ted.

--Sprawa osobista -- oświadczył Harry.

Ted uniósł brwi, lecz nie powiedział nic więcej. Harry wstał i wyszedł w stronę Cylindra D. Norman i Ted zostali sami.

--Dziwny facet -- rzekł Ted. -- Tak myślisz?

--Wiesz, że tak jest, Norman. Do tego arogancki. Ponieważ jest czarny. Nie sądzisz, że w ten sposób sobie to rekompensuje?

--Nie wiem.

--Coś go ugryzło i wybrzydza na wszystko -- powiedział Ted i westchnął. Oczywiście wszyscy matematycy to dziwacy. Pewnie nie ma żadnego życia. To znaczy osobistego, kobiet i tak dalej. Powiedziałem ci, że ożeniłem się powtórnie?

--Gdzieś to wyczytałem -- rzekł Norman.

--To prezydentka telewizyjna -- objaśnił Ted. -- Wspaniała kobieta. -- Uśmiechnął się. -- Kiedy się pobraliśmy, podarowała mi jako prezent ślubny auto. Piękną corvette, rocznik pięćdziesiąty ósmy. Pamiętasz tę cudowną czerwień strażacką, na jaką malowano w tamtych latach samochody? Właśnie takiej barwy. -- Ted wstał i zrobił kilka kroków po salce, spoglądając na Beth. -- Myślę, że to niewiarygodnie ekscytujące. Pewnie w ogóle nie zasną.

Norman skinął głową i pomyślał, że to ciekawe, jak bardzo się od siebie różnią. Ted był wiecznym optymistą, tryskającym dziecięcym entuzjazmem. Harry zachowywał się w chłodny, krytyczny sposób, przyjmując wszystko beznamiętnie. Beth nie była intelektualistką, nie dawała takiej przewagi mózgowi. Była natomiast bardziej emocjonalna i jednocześnie konkretna. Właśnie dlatego, choć wszyscy byli wyczerpani, jedynie Beth zdołała zasnąć.

--Słuchaj, Norman -- powiedział Ted. -- Zdaje się, że twierdziłeś, że to będzie przerażające.

--Myślałem, że tak to będzie wyglądać -- przyznał Norman.

--Cóż -- rzekł Ted. -- Cieszę się, że ze wszystkich uczestników ekspedycji to właśnie ty

nie miałeś racji.

--Ja również.

--Choć nie wyobrażam sobie, jak w jej skład można było wybrać kogoś takiego jak Harry Adams. Nie dlatego, że nie ma osiągnąć, ale...

Norman nie miał ochoty rozmawiać o Harrym.

--Ted, przypominasz sobie, jak na statku powiedziałeś, że czas i przestrzeń są różnymi aspektami tego samego?

--Zgadza się, czasoprzestrzeni.

--Nigdy nie udało mi się tego zrozumieć.

--Dlaczego? To zupełnie proste.

--Mógłbyś mi to wyjaśnić? -- Pewnie.

--Po angielsku? -- spytał Norman.

--To znaczy, nie używając matematyki? -- Tak.

--Cóż, postaram się. -- Ted zmarszczył czoło, lecz Norman wiedział, że jest zadowolony; Ted lubował się w wykładach. Umilkł na chwilę, po czym zaczął: No dobrze. Zorientujmy się, od czego wyjść. Znasz koncepcję, że grawitacja to tylko geometria?

--Nie.

--Zakrzywienie czasu i przestrzeni?

--Właściwie nie.

--Hmm. Słyszałeś coś o ogólnej teorii względności Einsteina?

--Prawie nic -- rzekł Norman.

--No trudno -- powiedział Ted. Na stole stała misa z owocami. Ted opróżnił ją, wysypując owoce na blat.

--Dobrze. Ten stół to przestrzeń. Przyjemna, płaska przestrzeń.

--Yhm -- potwierdził Norman. Ted zaczął rozkładać owoce.

--Ta pomarańcza to Słońce. A to planety okrążające je. Mamy więc na stole Układ Słoneczny.

--Tak.

--Świetnie -- rzekł Ted. -- Idźmy dalej. Słońce -- wskazał pomarańczę na środku stołu- jest bardzo duże, ma więc dużą grawitację.

--Zgadza się.

Ted podał Normanowi kulkę od łożyska.

--To będzie statek kosmiczny. Masz przeprowadzić go przez Układ Słoneczny tak, by znalazł się bardzo blisko Słońca, rozumiesz?

Norman wziął od niego kulkę i przetoczył ją koło pomarańczy. -- Tak.

--Zauważyłeś, że kulka przetoczyła się po blacie w linii prostej? -- Owszem.

--Co jednak stałoby się w rzeczywistości, gdyby twój statek przeleciał blisko Słońca?

--Zostałby w nie wciągnięty.

--Zgadza się. Powiedzmy, "spadłby" na nie. Tor lotu statku odchyliłby się od prostej i skierował w Słońce. Twój statek jednak przeleciał koło niego.

--Tak.

--Wiemy więc, że płaski blat jest złym modelem -- wyjaśnił Ted. -- Prawdziwa przestrzeń nie może być taka.

--Nie może?

--Nie.

Ted wziął pustą misę i włożył pomarańczę do środka.

--Przetocz teraz kulkę koło Słońca.

Norman wrzucił kulkę do misy. Potoczyła się po spirali i w końcu trafiła w pomarańczę.

--Dobrze -- oznajmił Ted. -- Statek spadł na Słońce, jak stałoby się w rzeczywistości. \

--Gdybym mu jednak nadał wystarczającą prędkość -- powiedział Norman przeleciałby koło niego. Kulka przetoczyłaby się koło Słońca i wyleciała z drugiej strony misy.

--Zgadza się -- potwierdził Ted. -- Dokładnie jak w rzeczywistości. Gdyby statek kosmiczny rozwinął wy starczającą prędkość, przewyciężyłby pole grawitacyjne Słońca.

--Owszem.

--Tak więc -- ciągnął Ted -- wykazaliśmy właśnie, że przelatujący koło Słońca statek kosmiczny zachowuje się tak, jakby wszedł w zakrzywiony wokół niego obszar przestrzeni. Jest ona zakrzywiona, tak jak ta misa.

--Yhm.

--Gdyby zaś kulka miała odpowiednią prędkość, nie wypadłaby z misy, lecz w nieskończoność krążyłaby po jej obwodzie. Właśnie tak dzieje się z planetami. Bez końca krążą w misie wytworzonej przez Słońce. -- Odłożył pomarańczę na stół. -- Powinieneś sobie uświadomić, że w rzeczywistości stół jest wykonany z gumy, a znajdujące się na nim planety odciskają w nim zagłębienia. Tak właśnie naprawdę wygląda przestrzeń. Jest zakrzywiona -- a jej krzywizna zależy od wielkości grawitacji.

--Tak...

--Zatem -- kontynuował Ted -- przestrzeń jest zakrzywiona przez grawitację. --
Rozumiem.

--Co oznacza, że grawitację możesz traktować po prostu jak zakrzywienie przestrzeni. Ziemia przyciąga, ponieważ zakrzywia wokół siebie przestrzeń.

--Yhm.

--Tyle że to nie takie proste -- powiedział Ted. Norman westchnął.

--Tak mi się wydawało.

Do świetlicy wrócił Harry. Spojrzał na stół z porozkładanymi owocami, ale się nie odezwał.

--Teraz posłuchaj -- rzekł Ted. -- Kiedy wrzuciłeś kulkę do misy, zauważyłeś, że nie tylko zatoczyła spiralę w dół, ale przy tym poruszała się coraz szybciej?

--Tak.

--Właśnie. Kiedy obiekt porusza się szybciej, czas dla tego obiektu płynie wolniej. Einstein udowodnił to na początku stulecia. Oznacza to, że zakrzywienie przestrzeni współlistnieje z zakrzywieniem czasu. Im większa jest krzywizna misy, tym wolniej płynie w niej czas.

--Cóż... -- zaczął Harry.

--Używam pojęć zrozumiałych dla laika -- usprawiedliwił się Ted. -- Daj człowiekowi szansę.

--Tak -- rzekł Norman. -- Dajcie człowiekowi szansę. Ted uniósł misę.

--Przy matematycznym opracowaniu rzeczy całej okazuje się, że misa nie jest zakrzywiona ani w czasie, ani w przestrzeni, ale w ich kombinacji, nazywanej czasoprzestrzenią. Powiedzmy, że nią właśnie jest ta misa, a obiekty poruszające się w jej

wnętrzu poruszają się w czasoprzestrzeni. Zazwyczaj traktujemy ruch inaczej, ale właśnie tak jest.

--Rzeczywiście?

--Oczywiście. Weźmy dla przykładu baseball.

--Idiotyczna gra -- skrzywił się Harry. -- Nie cierpię czegoś takiego.

--Znasz zasady baseballu? -- zwrócił się Ted do Normana.

--Znam -- odrzekł Norman.

--Dobrze. Wyobraź sobie, że zawodnik uderzający piłkę posyła ją płasko do środkowego gracza. Piłka porusza się po prostej i dociera tam po, powiedzmy, połowie sekundy.

--Tak.

--Wyobraź sobie teraz, że uderzający posyła ją do tego samego środkowego wysoką świecą. Tym razem pokonuje ona długą drogę i minie, założmy, sześć sekund, nim zawodnik ją złapie.

--Zgadza się.

--Dla nas tory obydwóch piłek wyglądają bardzo odmiennie -- tor płaski i świeca. Obydwie te piłki pokonały jednak tę samą drogę w czasoprzestrzeni.

--Nie -- zaprzeczył Norman.

--Owszem -- odpowiedział Ted. -- W zasadzie już to widziałeś. Wyobraź sobie, że kazałbym ci posłać piłkę do środkowego zawodnika świecą, ale tak by dotarła do niego w pół sekundy, nie w sześć.

--To niemożliwe -- zaprotestował Norman.

--Dlaczego? A jeśli uderzy się w piłkę silniej?

--Jeśli uderzę ją silniej, polecą jeszcze wyżej i spadnie później.

--No dobrze, poślij ją więc płasko, tak by dotarła do środkowego zawodnika po sześciu sekundach.

--To również niemożliwe.

--Zgadza się -- powiedział Ted. -- Stwierdziłeś więc, że nie możesz zrobić z piłką wszystkiego, co ci się tylko spodoba. Istnieje ściśle powiązanie określające tor lotu piłki w czasie i przestrzeni.

--Oczywiście. Ponieważ Ziemia ma grawitację.

--Tak -- rzekł Ted. -- Ustaliliśmy już, że grawitacja to zakrzywienie czasoprzestrzeni, podobne do krzywizny tej miski. Każda piłka baseballowa na Ziemi musi się poruszać po tej samej krzywiznie czasoprzestrzeni, podobnie jak ta kulka w misie. Popatrz. -- Włożył pomarańczę z powrotem do miski. -- Oto Ziemia. Dwoma rozstawionymi palcami wskazał przeciwne strony miski. -- Tu masz uderzającego piłkę i środkowego zawodnika. Przetaczając kulkę od jednego do drugiego, musisz uwzględnić zakrzywienie miski. Albo pchniesz ją lekko i przetoczy się tuż koło pomarańczy, albo zrobisz to silniej i zatoczy obszerny łuk po obrzeżu, nim stoczy się po drugiej stronie. Nie możesz jednak sprawić, by kulka zachowywała się dowolnie, bo musi się poruszać po krzywiznie miski. I właśnie to czyni piłka baseballowa w rzeczywistości -- porusza się w zakrzywionej czasoprzestrzeni.

Norman oznajmił:

--Chyba pojmuję. Co to jednak ma wspólnego z podróżami w czasie?

--Cóż, wydaje nam się, że pole grawitacyjne Ziemi jest silne -- tłuczemy się przy upadku --

ale w rzeczywistości jest bardzo słabe, niemalże nie istniejące. Czasoprzestrzeń wokół Ziemi nie jest więc znacznie zakrzywiona. O wiele bardziej zakrzywia się wokół Słońca. W niektórych zaś częściach wszechświata jest naprawdę porządnie zakrzywiona. Przemierzanie jej podobne byłoby rajdowi na kolejce w wesołym miasteczku, na dodatek obfitowałyby we wszelkiego rodzaju deformacje czasu. Właściwie, gdy weźmie się pod uwagę czarne dziury...

Urwał.

--Tak, Ted. Czarne dziury?

--O mój Boże -- jęknął cicho Ted.

Harry podsunął wyżej okulary na nosie i odezwał się:

--Ted, jeden jedyny raz w życiu możesz mieć rację. Obydwaj złapali kartki papieru i zaczęli na nich liczyć.

--To nie może być dziura Schwarzschilda... --...Nie, nie. Musi się obracać... --...Kret zapewniałby, iż...

--... I trzeba by zbliżyć się do singularności...

--...Nie, siły pływowe...

--...rozdarłyby cię na strzępy...

--Gdyby jednak zanurkować tylko pod horyzont zdarzeń. -- Czy to możliwe? Czy odważyliby się na to?

Obydwaj przycichli, dokonując obliczeń i mrużąc pod nosem.

--Czym właściwie jest ta czarna dziura? -- zapytał Norman, ale już go nie słuchali.

Zapisał interkom i rozległ się głos Barnes'a:

--Uwaga, mówi kapitan. Wszyscy mają się natychmiast stawić w sali odpraw.

--Jesteśmy w sali odpraw -- powiedział Norman. -- Natychmiast. Już.

--Już tu jesteśmy, Hal.

--To wszystko -- zakończył Barnes i interkom z trzaskiem się wyłączył.

NARADA

--Właśnie rozmawiałem przez uniemożliwiającą podsłuch linię z admirałem Spauldingiem z Dowództwa Sił Powietrznych i Morskich Pacyfiku -- zaczął Barnes. -- Najwidoczniej dopiero co się dowiedział, że zabrałem cywilów do habitatu ze specjalnym składem atmosfery, w misji, o której nie miał pojęcia. Nie był z tego powodu zbyt zadowolony.

Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w Barnesa.

--Zażądał, by wszystkich cywilów odesłać na powierzchnię.

I dobrze, pomyślał Norman. Był rozczarowany tym, co do tej pory znaleźli. Niespecjalnie pociągała go perspektywa spędzenia następnych siedemdziesięciu dwóch godzin w wilgotnym, wywołującym klaustrofobię otoczeniu i badania pustego statku kosmicznego.

--Myślałem, że mamy bezpośrednie upoważnienie od prezydenta -- rzekł Ted.

--Owszem -- powiedział Barnes -- ale wynikła kwestia sztormu.

--Jakiego sztormu? -- spytał Harry.

--Z powierzchni donoszą o silnych wiatrach z południowego wschodu i wysokiej fali.

Wygląda na to, że w naszą stronę kieruje się cyklon, który dotrze tu za około dwadzieścia cztery godziny.

--Sztorm dotrze tutaj? -- spytała Beth.

--Nie tutaj -- skorygował Barnes. -- Na dnie niczego nie odczujemy, ale na powierzchni będzie ciężko. Wszystkie statki zaopatrujące wyprawę zapewne będą musiały zawinąć do bezpiecznych portów na Tonga.

--Więc zostaniemy tu sami?

--Tak, na dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin. To żaden kłopot -- jesteśmy całkowicie samowystarczalni -- ale Spauldingowi nie podoba się myśl o odcięciu zaopatrzenia, podczas gdy na dole są cywile. Chcę wiedzieć, jakie jest wasze zdanie. Czy wolicie zostać i dalej badać statek, czy odpłynąć?

--Oczywiście zostajemy -- zdecydował Ted.

--Beth? -- zapytał Barnes.

--Przybyłam tu badać nieznaną istotę żywą -- stwierdziła Beth -- ale ten statek jest opustoszały. Nie tak to sobie wyobrażałam. Jestem zdania, że możemy odpłynąć.

--Norman?-- rzekł Barnes.

--Spójrzmy prawdzie w oczy -- powiedział Norman. -- Nie zostaliśmy przeszkoleni do życia w sztucznej atmosferze i nie czujemy się tu zbyt dobrze. Przynajmniej ja. Poza tym nie jesteśmy najodpowiedniejszymi ludźmi do badania statku. W tej chwili marynarce o wiele bardziej przydałaby się ekipa fachowców z NASA. Jestem za odpłynięciem.

--Harry?

--Odpływajmy w cholerę -- rzekł Harry.

--Z jakiegoś szczególnego powodu? -- spytał Barnes.

--Proszę to nazwać intuicją.

--Nie mogę w to uwierzyć, Harry! -- zaprotestował Ted. -- Właśnie teraz, gdy wpadliśmy na pomysł, w jaki sposób ten bajeczny statek...

--To w tej chwili nieistotne -- zauważył Barnes. -- Załatwię, żeby zabrano nas na powierzchnię w ciągu dwunastu godzin.

--Cholera! -- wyrzucił z siebie Ted.

Norman przyglądał się jednak Barnesowi. Stwierdził, że ten nie jest zdenerwowany. On chce odpłynąć, pomyślał. Szuka wymówki, dzięki której mógłby to uczynić, a my jej właśnie dostarczyliśmy.

--Do tego czasu -- stwierdził Barnes -- możemy jeszcze raz czy dwa wyprawić się na statek. Odpocznimy ze dwie godziny i wracamy na jego pokład. To na razie wszystko.

--Mam jeszcze coś do powiedzenia...

--To wszystko, Ted. Głosowanie zostało przeprowadzone. Odpocznijcie trochę. Gdy zaczęli się rozchodzić, Barnes zapytał:

--Beth, czy mógłbym zamienić z panią słowo? -- Tak?

--Kiedy wrócimy na statek, naprawdę nie chciałbym, by naciskała pani każdy guzik, na który się natkniemy.

--Ja tylko włączyłam światła

--Tak, ale nie wiedziała pani tego, dopóki...

--Z całą pewnością wiedziałam. Klawisz był oznaczony: "Oświetlenie". To było oczywiste.

Wychodząc, słyszeli jeszcze, jak Beth mówi: -- Nie jestem jednym z marynarzy, którym panmoże rozkazywać, Hal...- Barnes odrzekł im to coś, po czym ich głosy ucichły.

--Szlag by to trafił -- rzucił Ted. Kopnął w ścianę, która odezwała się głuchym echem.

Przeszli do swych kajut w Cylindrze C.

--Ludzie, nie mogę uwierzyć, że naprawdę chcecie odpłynąć -- powiedział Ted. -- To takie podniecające odkrycie! Jak możecie się na nie wypiąć? Zwłaszcza ty, Harry. Zastanów się nad możliwymi konsekwencjami matematycznymi! Sama teoria czarnych dziur...

--Powie ci coś -- rzekł Harry. -- Chcę odpłynąć, ponieważ chce tego Barnes.

--Barnes nie chce odpływać -- sprzeciwił się Ted. -- Przecież poddał to pod głosowanie.

--Wiem, co zrobił. Barnes jednak nie chce, by jego dowództwo uznało, że podjął błędną decyzję lub stchórzył i dlatego pozwolił nam na wybór. Mówię ci jednak, że on chce odpłynąć.

Norman był zaskoczony: o matematykach krążyła obiegowa opinia, że mają głowy w chmurach, że są nieuważni i roztrzepani. Harry jednak był bystry; nic nie uchodziło jego uwagi.

--Dlaczego Barnes miałby chcieć się stąd zwijać? -- spytał Ted.

--Myślę, że to jasne -- odparł Harry. -- Z powodu sztormu na powierzchni.

--Sztormu jeszcze nie ma -- skontrował Ted.

--Nie -- powiedział Harry. -- Ale kiedy nadejdzie, nikt nie wie, jak długo potrwa.

--Barnes mówił, że od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin...

--Ani Barnes, ani nikt inny nie jest w stanie przewidzieć, jak długo potrwa -- stwierdził Harry. -- A jeśli będzie trwał pięć dni?

--Wytrzymamy i tyle. Mamy powietrze i zapasy na pięć dni. Czym się tak przejmujesz?

--Nie przejmuję się -- odparł Harry -- ale zdaje mi się, że Barnes się przejmuje.

--Wszystko będzie dobrze, na miłość boską -- przekonywał Ted. -- Uważam, że powinniśmy zostać. -- W tym właśnie momencie spod ich stóp dobyło się cmoknięcie. Spojrzeli na wykładzinę podłogową. Chodnik był ciemny i przemoczony.

--Co to?

--Zarzykowałbym twierdzenie, że woda -- odpowiedział Harry.

--Woda? -- Ted nachylił się, dotknął mokrej plamy i polizął palec. -- Nie czuć soli.

Z góry odezwał się głos:

--Ponieważ to moc.

Podniósłszy głowy, ujrzeli Kruszynekę Fletcher na platformie pośród rur pod zakrzywionym wierzchem cylindra.

--Wszystko w porządku, panowie. To był tylko niewielki przeciek z rury odpadów płynnych doprowadzającej do recyrkulatora wody.

--Opadów płynnych?! -- Ted potrząsał głową.

--Mały przeciek -- powtórzyła Alice Fletcher. -- Nic takiego. -- Rozpylaczem nanosiła białą pianę z puszki na jedną z rur. Piana zabulgotała i stwardniała. Zalepiamy te cholerne przecieki uretanem. Doskonale spoiwo.

--Jak często się wam trafiają? -- spytał Harry. -- Odpadów płynnych? -- jeszcze raz powtórzył Ted.

--Trudno powiedzieć, doktorze Adams, ale proszę się nie przejmować. Naprawdę.

--Niedobrze mi -- oznajmił Ted.

Harry poklepał go po plecach.

--Daj spokój, od tego nie umrzesz. Prześpij się trochę.

--Chyba wymiotuję.

Dotarli do pomieszczeń mieszkalnych. Ted natychmiast rzucił się pod prysznic. Słyszeli, jak krztusi się i dławi.

--Biedaczysko -- powiedział Harry, potrząsając głową.

--W każdym razie na czym polega ten dowcip z czarną dziurą? -- rzekł Norman.

--Czarna dziura -- wyjaśnił Harry -- to martwa, zapadnięta gwiazda. W zasadzie gwiazdy przypominają wielkie piłki, bezustannie pompowane toczącymi się w ich wnętrzu reakcjami termojądrowymi. Gdy gwiazda się starzeje i kończy się jej atomowe paliwo, kurczy się do o wiele mniejszych rozmiarów. Jeśli zapadnie się w wystarczającym stopniu, staje się tak gęsta i ma tak wielką grawitację, że już nie może przestać się kurczyć. Zapada się dalej, aż w końcu staje się bardzo gęsta i bardzo mała -- ma ledwie parę mil średnicy. Tworzy się wówczas czarna dziura. Nic we wszechświecie nie jest równie gęste.

--Są więc czarne, bo są martwe?

--Nie. To dlatego, że przechwytyują całe promieniowanie. Czarna dziura ma tak wielką grawitację, że wciąga w siebie wszystko jak odkurzacz -- otaczający ją gaz i pył międzygwiazdny, a nawet światło. Po prostu wsysa je w siebie.

--Wsysa światło? -- zdziwił się Norman. Trudno mu to było sobie wyobrazić. -- Tak.

--Więc czym się tak obydwaj podnieciliście, czego dotyczyły wasze obliczenia?

--Och, to długa historia, poza tym jedynie spekulacje. -- Harry ziewnął. -- I tak prawdopodobnie nic z tego nie wyniknie. Porozmawiamy o tym później, zgoda?

--Dobrze -- rzekł Norman.

Harry przewrócił się na bok, chcąc zasnąć. Ted wciąż był pod prysznicem, chrząkał i chlapał wodą. Norman wrócił do Cylindra C, do konsoli Tiny.

--Udało się Harry'emu panią znaleźć? -- spytał. -- Wiem, że pani szukał.

--Tak, proszę pana. Udało mi się uzyskać informacje, o które prosił. Czemu pan pyta? Pan również chce sporządzić testament?

Norman uniósł brwi.

--Doktor Adams powiedział, że chciałby sporządzić ostatnią wolę, ponieważ nie zrobił tego

dotychczas. Zdaje się, że mu bardzo na tym zależy W każdym razie porozumiałam się z powierzchnią i okazało się, że to niemożliwe. Jakiś prawniczy kruczek, chodzi bodajże o to, że trzeba go sporządzić własnoręcznie i nie można przekazać elektronicznie.

--Rozumiem.

--Przykro mi, doktorze Johnson. Mam o tym powiedzieć pozostałym?

--Nie -- rzekł Norman. -- Proszę im nie zawracać głowy. Niedługo się wynurzamy.

Przedtem jeszcze tylko ostatni raz rzucimy okiem na statek.

SZKLANY SZEŚCIAN

Tym razem we wnętrzu statku rozdzielili się. Barnes, Ted i Jane Edmunds ruszyli przez wielkie ładownie w jeszcze nie zbadane rejony statku. Norman, Beth i Harry zostali w pomieszczeniu, które umówili się nazywać pokładem załogi, by szukać urządzenia rejestrującego przebieg lotu.

Ted na pożegnanie oświadczył:

--To o wiele lepsze niż wszystko, co kiedykolwiek robiłem, czego dokonałem.-- Po czym odwrócił się i ruszył w ślad za Barnesem.

Jane Edmunds zostawiła mu mały monitor, by mogli śledzić badania przeprowadzane przez drugą ekipę w przodzie statku. Przekazywany był również dźwięk: słyszeli, jak Ted nieustannie mówi do Barnesesa, wyrażając swe poglądy na budowę statku. Wykonanie wielkich ładowni przypominało Tedowi ruiny starożytnych Myken w Grecji, zwłaszcza pomost Lwiej Bramy...

--Ted potrafi zarzucić człowieka większą liczbą nieistotnych drobiazgów niż ktokolwiek, kogo znam -- powiedział Harry. -- Możemy to ściszyć?

Norman ziewnął i ściszył monitor. Był zmęczony. Koje w DH- 8 były wilgotne, a elektryczne koce ciężkie i lepiące się do ciała. Miał kłopoty z zaśnięciem. A później przyszła Beth, wściekła po rozmowie z Barnesem.

--Szlag by trafił Barnesesa- irytowała się.-- Kiedy się wreszcie odczepi?

--Stara się, jak może, podobnie jak wszyscy inni -- powiedział Norman. Odwróciła się do niego:

--Wiesz, Norman. czasem robisz się za bardzo wyrozumiały, nawet jak na psychologa. Ten facet to idiota. Skończony idiota.

--Znajdźmy rejestrator lotu, dobrze? -- zaproponował Harry. -- To teraz najważniejsze. -- Właśnie śledził trasy kabli wybiegających z pleców manekina i znikających w posadzce. Podnosił płyty posadzki, by zobaczyć, dokąd dalej się ciągną.

--Przepraszam -- usprawiedliwiała się Beth -- ale do mężczyzny by tak nie mówił. Na pewno nie do Teda. Ted odstawia tu cyrk, a ja nie widzę powodów, dla których miałoby się mu na to pozwalać.

--Co ma Ted wspólnego z...- zaczął Norman.

--Ten facet to pasożyt, ot co. Ściąga cudze pomysły i przedstawia je jako własne. Nawet sposób, w jaki cytuje znane powiedzenia, jest obraźliwy.

--Uważasz, że podkrada innym pomysły? -- spytał Norman.

--Słuchaj, jeszcze na powierzchni wspomniałam Tedowi, że powinniśmy przygotować sobie parę słów na otwarcie statku. Ledwie się zdążyłam obejrzeć, a Ted już rzuca cytatami i ustawia się przed kamerą.

--Cóż...

--Co "cóż", Norman? Nie mów mi tu "cóż", na miłość boską. To był mój pomysł, a on go sobie przywłaszczył, nie powiedziawszy nawet dziękuję.

--Rozmawiałaś z nim o tym? -- zapytał Norman.

--Nie, nie powiedziałam mu na ten temat ani słowa. Jestem pewna, że niczego by sobie nie przypomniał; zdziwiłby się najwyżej i spytał: "Naprawdę tak mówiłaś, Beth? Możliwe, że wspomniałaś o czymś takim..."

--Mimo to sądzę, że powinnaś z nim porozmawiać.

--Norman, w ogóle mnie nie słuchasz.

--Gdybyś z nim pogadała, przynajmniej nie byłabyś taka zła.

--Gadanie świroznawcy -- odrzekła, potrząsając głową. -- Słuchaj, Ted robi w czasie tej ekspedycji, co mu się żywnie podoba, kiedy chce, urządza swe głupie przemówienia. Kiedy jednak ja pierwsza weszłam do środka, Barnes urządził mi piekło. A niby czemu nie miałabym być pierwsza? Cóż takiego niewłaściwego jest w tym, by choć raz w historii nauki kobieta była pierwsza?

--Beth...

--A później byłam na tyle bezczelna, że włączyłam światło. Wiesz, co Barnes powiedział? Zarzucił mi, że mogłam zrobić zwarcie i narazić nas wszystkich. Powiedział, że nie wiedziałam, co robię. Że jestem impulsywna! Jezusie, impulsywna! Umundurowany matol z epoki kamiennej.

--Nastaw głośniej monitor -- poprosił Harry. -- Już wolę słuchać Teda.

--Ludzie, dajcie spokój.

--Znajdujemy się w stanie wielkiego napięcia, Beth -- zauważył Norman. Na różnych ludzi rozmaicie ono wpływa.

Spojrzała na niego ponuro.

--Twierdzisz, że Barnes ma rację?

--Twierdzę, że wszyscy żyjemy w napięciu. Włącznie z nim. Włącznie z tobą. -- Jezu, chłopcy zawsze będą się trzymać razem. Wiesz, dlaczego wciąż jestem kontraktowym docentem?

--Z powodu swojej milej osobowości? -- domyślił się Harry. -- Mogę się bez takich uwag obejść. Naprawdę.

--Beth -- rzekł Harry. -- Widzisz, jak przebiegają te kable? W stronę tamtej ścianki. Zobacz, czy nie idą w górę po jej drugiej stronie.

--Starasz się mnie pozbyć?» -- Jeśli się uda.

Roześmiała się, likwidując napięcie.

--Dobrze, sprawdzę po drugiej stronie. Kiedy zniknęła, Harry powiedział:

--Nieźle jest wkurzona.

--Znasz tę historię z Benem Stone? -- zapytał Norman. -- Którą?

--Beth pisała pracę w jego laboratorium. -- Och.

Benjamin Stone był biochemikiem na Uniwersytecie Bostońskim. Obdarzony barwną, ciekawą osobowością, miał reputację dobrego badacza, wykorzystującego swych studentów jako asystentów w laboratoriach i przywłaszczającego sobie rezultaty ich prac. Stone nie był wyjątkiem w akademickiej społeczności, postępował jednak trochę bardziej bezczelnie niż koledzy.

--Beth żyła z nim.

--Aha.

--Na początku lat siedemdziesiątych. Ponoć przeprowadziła serię ważnych eksperymentów z rześkowymi ciałkami wtrętowymi. Doszło do wielkiej awantury ze Stone'em i zerwali swój związek. Opuściła laboratorium, a on opublikował pięć prac -- wszystkie jej autorstwa -- nie umieszczając na nich jej nazwiska.

--Bardzo mile -- uznał Harry. -- I teraz podnosi ciężary?

--Cóż, czuje się wykorzystana i trudno mi się jej dziwić.

--Taa -- rzekł Harry. -- Ale jak się wlało między wrony, trzeba krakać jak i one. Wiesz, o co mi chodzi?

--Jezu -- odezwała się Beth, która właśnie wróciła. -- To brzmi jak: "Gwałcona dziewczyna zawsze się o to prosi". To właśnie miałeś na myśli?

--Nie -- odparł Harry, wciąż podnoszący płyty posadzki w ślad za niknącymi pod nimi kablami. -- Czasami człowiek się jednak zastanawia, co ta dziewczyna robiła o trzeciej nad ranem w podejrzanym dzielnicy.

--Byłam w nim zakochana.

--To wciąż podejrzana dzielnica.

--Miałam dwadzieścia dwa lata.

--A ile lat trzeba mieć?

--Odkrochmal się, Harry. Harry potrząsnął głową.

--Znalazłaś kable, Baryłeczko?

--Tak, znalazłam. Dochodzą do dość niezwykłej szklanej sieci.

--Chodźmy rzucić na to okiem -- powiedział Norman, ruszając do drzwi. Wiedział, jak wyglądają rejestratory lotu: były to przypominające sejfy długie prostopadłościenne metalowe skrzynki, pomalowane na czerwono lub jaskrawopomarańczowo. Jeśli to...

Przystanął.

Przed oczyma miał przejrzysty szklany sześcian o krawędzi długości jednej stopy. Wewnątrz sześcianu znajdował się skomplikowany siatkowy układ lśniących cieniutkich niebieskich linii. Poniżej bez przerwy migotały niebieskie światełka. Na szczycie sześcianu znajdowały się dwa zawory ciśnieniowe i trzy tłoki; lewą stronę okalał rząd srebrnych pasków i prostokątów. Wyglądało to odmiennie od wszystkiego, co dane mu było widzieć.

--Ciekawe. -- Harry wpatrzył się w głąb sześcianu. -- Powiedziałbym, że to jakiegoś rodzaju pamięć optyczna. Nie dysponujemy niczym takim. -- Dotknął srebrnych pasków z boku -- To nie farba, zapewne jakieś tworzywo sztuczne. Prawdopodobnie dla mechanicznego czytelnika.

--Jakiego?

--Zapewne automatycznego. -- A zawory?

--Sześcian jest wypełniony jakimś sprężonym gazem. Może ma takie rozmiary dlatego, że znajdują się tu także komponenty biologiczne? W każdym razie założę się, że ta bryła szkła to urządzenie rejestrujące.

--Rejestrator lotu?

--Jego odpowiednik.

--Jak dostaniemy się do przechowywanych w nim informacji?

--Przyglądajcie się -- powiedziała Beth, wracając na pokład załogi. Zaczęła włączać sekcje konsoli. -- Nie mówcie Barnesowi -- rzuciła przez ramię.

--Skąd wiesz, gdzie naciskać?

--Myślę, że to nieistotne -- stwierdziła. -- Jak sądzę, konsola wyczuwa twoje położenie.

--Tablica przyrządów śledząca pozycję pilota?

--Coś w tym stylu.

Fragment konsoli zapłonął przed nimi, tworząc na czarnym tle żółty ekran.

**RV- LHOOQ DCOM1 U.S.S. STAR
VOYAGER**

I tyle.

--Teraz będą złe wieści- powiedział Harry.

--Jakie złe wieści? -- spytał Norman i zastanowił się, dlaczego Harry wolał zostać i szukać rejestratora lotu, niż udać się z Tedem i Barnesem na zbadanie reszty statku. Dlaczego tak go interesowała jego historia?

--Może nie będą aż takie złe -- rzekł Harry.

--A dlaczego sądzisz, że miałyby być złe?

--Ponieważ -- wyjaśnił Harry -- jak się logicznie zastanowisz, uświadomisz sobie, że na statku brakuje czegoś wyjątkowo istotnego...

W tym momencie ekran wypełnił się dwiema kolumnami:

SYSTEMY NAPĘDOWE

SYSTEMY POKŁADOWE SYSTEMY STAŁOŚCI ŚRODOWISKA

SYSTEMY DANYCH KWATERMISTRZOSTWO REJESTRACJA PRZEBIEGU LOTU

(2)

LINIA A9-

**CZYNNOŚCI RDZENIA KONTROLA POKŁADOWA INTEGRACJA
(BEZPOŚREDNIA) TEST UKŁADÓW ATMOSFERY 1.**

LINIA A12- BK

STABILIZATORY

**TEST UKŁADÓW STAŁOŚCI ATMOSFERY 2.0 TEST UKŁADÓW STAŁOŚCI
ATMOSFERY 3.**

--Co sobie panowie wybierają? -- spytała Beth, kładąc dłonie na konsoli.

--Rejestracja przebiegu lotu -- zdecydował Harry i przygryzł wargę.

ZBIORCZY ZAPIS PRZEBIEGU LOTU

RV- LHOOQ

ZZPL 01 01 43- 12 31

ZZPL 01 01 46- 12 31

ZZPL 01 01 49- 12 31

ZZPL 01 01 52- 12 31

ZZPL 01 01 54- 12 31

ZZPL 01 01 55- 06 31

ZZPL 01 07 55- 12 31

ZZPL 01 01 56- 01 31

ZZPL 02 01 56 -- ZAPIS

ZDARZENIA

ZZPL ZAPIS ZDARZENIA

ZZPL ZBIORCZY ZAPIS ZDARZENIA

86!! OZ 010 Odd- 000 XXX X

--Co z tego zrozumieliście? -- spytał Norman. Harry wpatrywał się w ekran.

--Jak widzisz, pierwsze zapisy obejmują okresy trzyletnie. Później skracają się do roku, sześciu miesięcy, w końcu miesiąca. A później ta sprawa z zapisem zdarzenia.

--Więc prowadzili rejestrację coraz staranniej -- stwierdziła Beth. -- W miarę zbliżania się do dnia zapisu zdarzenia, czymkolwiek ono było.

--Myślę, że wiem, czym było -- rzekł Harry. -- Tylko po prostu nie mogę w to uwierzyć. Dobrze, idźmy dalej. Wyciągniesz coś z tego zbiorczego zapisu zdarzenia?

Beth zaczęła naciskać klawisze.

Na ekranie pojawiło się tło gwiazd, a dookoła niego mnóstwo cyfr. Tło było trójwymiarowe, dawało złudzenie głębi. -- Holografia?

--Niezupełnie, ale coś w tym stylu.

--Widać tu kilka gwiazd sporej wielkości... -- Albo planet.

--Jakich planet?

--Nie wiem. To coś dla Teda -- powiedział Harry. -- Może zdołałby zidentyfikować ten obraz. Idźmy dalej.

Dotknął konsoli, w wyniku czego obraz uległ zmianie.

--Znow gwiazdy.

--Tak, i jeszcze więcej cyfr.

Liczby na obrzeżu błyskawicznie się zmieniały.

--Wydaje się, że gwiazdy są nieruchome, ale cyfry są ciągle inne.

--Nie, popatrz, gwiazdy również się poruszają.

Spostrzegli, że gwiazdy rozplývają się na boki ekranu, pozostawiając czarny i pusty środek.

--Pusto w środku, wszystko ucieka na boki... -- zauważył w zamyśleniu Harry.

Gwiazdy na obrzeżu poczęły błyskawicznie umykać na zewnątrz ekranu. Czarne wnętrze stawało się coraz większe.

--Dlaczego środek jest taki pusty, Harry? -- zapytała Beth.

--Nie sądzę, żeby był pusty.

--Nic tam nie widzę.

--Nie, ale nie jest pusty. Za chwilę zobaczymy... Właśnie!

W środku ekranu niespodziewanie pojawił się gęsty rój białych gwiazd, który również począł się rozbiegać na zewnątrz.

Dziwny efekt, pomyślał Norman. Do obrzeża ekranu ciągle zmierzał powiększający się czarny pierścień, okolony z zewnątrz i wewnątrz gwiazdami. Miał wrażenie, jakby przelatowali przez gigantyczne czarne gniazdko.

--Mój Boże -- powiedział cicho Harry. -- Macie pojęcie, na co właśnie patrzycie?

--Nie -- rzekła Beth. -- Co to za rój gwiazd w środku?

--To inny wszechświat. -- Co?

--No cóż, to prawdopodobnie inny wszechświat Ewentualnie inny rejon naszego wszechświata. Nikt tego nie wie na pewno.

--Co to za czarne gniazdko? -- spytał Norman.

--To nie gniazdko. To czarna dziura. Nagranie, które oglądamy, zostało dokonane, gdy ten

statek przeleciał przez czarną dziurę i trafił do innego... Ktoś wołał? -- Harry odwrócił się i przekrzywił głowę. Zamilkli, ale niczego nie usłyszeli.

--Co to znaczy inny wszechświat...? -- Ciii...

Chwila ciszy, po czym słaby głos wołający: -- Halo... --

--Co to? -- spytał Norman, wyęzając słuch. Głos był bardzo cichy. Może było ich nawet więcej niż jeden. Dobiegały gdzieś z wnętrza statku.

--Juuhuu! Jest tam ktoś! Halo!

--Och, na miłość boską- powiedziała Beth. -- To tylko Ted i reszta z monitora. Przekręciła potencjometr niewielkiego monitora, który pozostawiła im Jane Edmunds. Na ekranie ujrzeli Teda i Barnesę stojących w jakimś pomieszczeniu i wołających:

--Halo... Haaa- looo!

--Możemy im odpowiedzieć?

--Tak, przyciśnij ten guzik z boku.

--Słyszemy was -- oznajmił Norman.

--Najwyższy czas, do cholery! -- odezwał się Ted.

--Już w porządku -- rzekł Barnes. -- Posłuchajcie.

--Ludzie, co wy tam wyprawiacie? -- zapytał Ted.

--Posłuchajcie mnie uważnie -- powiedział Barnes. Odsunął się na bok, odsłaniając fragment wielobarwnego wyposażenia. -- Wiemy już, do czego służył ten statek.

--My też -- odrzekł Harry.

--Naprawdę? -- powiedzieli wspólnie Beth i Norman. Barnes ich jednak nie słuchał.

--Wygląda też na to, iż statek zgarnął coś po drodze.

--Zgarnął coś? Co takiego?

--Nie wiem -- odrzekł Barnes. -- Ale to coś obcego.

"COŚ OBCEGO"

Ruchome chodniki niosły ich koło nieskończonych szeregów wielkich pomieszczeń na kontenery. Kierowali się na dziób, by dołączyć do Teda, Barnesę i Jane Edmunds. I obejrzeć znalezisko obcego pochodzenia.

--Dlaczego miano by posyłać statek kosmiczny przez czarną dziurę? -- zapytała Beth.

--Ze względu na grawitację -- odparł Harry. -- Widzicie, czarne dziury mają tak wielką grawitację, że niesamowicie zniekształcają czas i przestrzeń. Przypominasz sobie, jak Ted mówił, iż planety i gwiazdy tworzą ugięcia w czasoprzestrzeni? Cóż, czarne dziury są szczelinami w jej osnowie. Niektórzy uważają, że można przez nie przedostać się do innego wszechświata lub innej części naszego. Lub w inny czas.

--Inny czas!

--Istnieje taka koncepcja -- rzekł Harry.

--Ludzie, gdzie się podziewacie? -- rozległ się z monitora blaszany głos Barnesę.

--Jesteśmy w drodze -- odpowiedziała Beth, wpatrując się ponuro w ekran.

--Nie może cię zobaczyć -- przypomniał Norman.

--Nie obchodzi mnie to. Dalej jechali koło magazynów.

--Nie mogę się doczekać widoku twarzy Teda, kiedy mu to powiem -- oznajmił Harry.

Wreszcie dotarli do końca chodnika. Przeszli przez międzypokład pełen wsporników i dźwigarów i znaleźli się w wielkim pomieszczeniu na dziobie, które wcześniej widzieli na

monitorze. Było niezwykle obszerne, sufit znajdował się na wysokości około stu stóp.

Można by tu wsadzić sześciopiętrowy budynek, pomyślał Norman. Podniósłszy wzrok, dojrzał cienką warstwę mgielki.

--Co to?

--Obłok -- wyjaśnił Barnes, potrząsając głową. -- Ta sala jest tak wielka, że widocznie ma własną aurę. Być może nawet czasem tu pada.

Pomieszczenie było wypełnione niesamowitych rozmiarów maszyną. Na pierwszy rzut oka wyglądała ona jak przerośnięta wersja maszyny do robót drogowych, z wyjątkiem tego, iż pomalowana była w barwy podstawowe i lśniła olejem. Dopiero po chwili Norman dostrzegł elementy poszczególnych urządzeń: gigantyczne łapy ze szczypcami, niesamowicie potężne wyciągniki, osie z wieloma kołami. Do tego dochodziły najrozmaitsze czerpaki i łyżki.

Uświadomił sobie, że przygląda się czemuś bardzo podobnemu do szczypiec i kleszczy zamontowanych na dziobie łodzi "Charon V", którą poprzedniego dnia przybył na dno. (Czy rzeczywiście było to wczoraj? Czy trwał też jeszcze ten sam dzień? Który? Czy dziś był Czwarty Lipca? Jak długo znajdowali się na dnie?)

--Jeśli się uważnie przyjrzycie -- powiedział Barnes -- dostrzeżecie, że niektóre z tych urządzeń to broń. Inne, jak ten długi wyciągnik z rozmaitymi chwytymi przystawkami, sprawiają, że ten statek może funkcjonować jak gigantyczny robot.

--Robot...?

--Bez żartów- zachnęła się Beth.

--Wydaje mi się, że jednak odpowiednie by było, gdyby statek otworzył robot -- orzekł z namysłem Ted. -- Może nawet właściwe.

--Kompatybilne -- uzupełniła Beth.

--Hydrauliczne -- dodał Norman.

--Takie małe "między nami robotami"? -- zakpił Harry. -- Trybik trafilby na trybik?

--Ej -- obruszył się Ted. -- Nie naśmiewam się z waszych komentarzy, nawet gdysągłupie.

--Nie myślałem, że takie mi się trafiają -- powiedział Harry -- Zdarza ci się mówić niemądre rzeczy. Nie przemyślane.

--Dzieci -- rzekł Barnes. -- Czy moglibyście wrócić do tematu lekcji?

--Wymienisz mi je przy okazji, Ted. -- Nie omieszkam.

--Będę zadowolony wiedząc, kiedy mówię coś głupiego.

--Nie ma sprawy.

--Coś, co ty uważasz za głupie.

--Coś wam powiem -- zwrócił się Barnes do Normana i Beth. -- Kiedy się wynurzymy, tych dwóch zostawimy na dole.

--Teraz na pewno nie macie zamiaru wracać -- powiedział Ted.

--Już to przegłosowaliśmy.

--Ale to było, zanim znaleźliśmy ten obiekt -- Gdzie on jest? -- zapytał Harry.

--A tam -- wskazał Ted ze złośliwym uśmiechem. -- Zobaczymy, do jakich wniosków na jego temat dojdiesz, wykorzystując swoje osławione zdolności dedukcyjne.

Ruszyli w głąb pomieszczenia, wymijając gigantyczne czerpaki i pazury. Wreszcie dostrzegli znajdującą się w wykładanym czerpaku jednej z maszyn perfekcyjnie wypolerowaną srebrną kulę o średnicy trzydziestu stóp. Nie widać było na niej żadnych znaków ani

czegokolwiek zakłócającego gładkość powierzchni.

Podeszli bliżej, przyglądając się swym odbiciom w wypolerowanym metalu. Norman dostrzegł dziwnie niebieskie i czerwone refleksy świetlne odbijające się od lśniącego metalu.

--Wygląda jak przerośnięta kulka od łożyska -- stwierdził Harry.

--Idź dalej, mądralo.

Po drugiej stronie kuli odkryli wycięty w jej powierzchni zawily układ rowków. Był interesujący, choć Norman nie mógł od razu orzec dlaczego. Wzór nie był geometryczny. Nie był też amorficzny czy organiczny. Norman nigdy nie widział czegoś podobnego i im dłużej się weń wpatrywał, tym głębiej był przekonany, że na Ziemi nigdy nie było jego odpowiednika. Nie było to dzieło rąk ludzkich. Coś podobnego nigdy nie powstało w ludzkiej wyobraźni.

Ted i Barnes mieli rację. Był tego pewien.

Ta kula była czymś obcym.

WSTĘPNE SPOSTRZEŻENIA

--Hmm -- mruknął Harry po długiej chwili niemego wpatrywania się w kulę.

--Na pewno masz ochotę o wszystkim nam opowiedzieć -- zauważył Ted. Skąd pochodzi ten statek i tak dalej.

--Rzeczywiście, wiem, skąd przyleciał. -- Po czym opowiedział Tedowi o zapisie obrazu gwiazd i czarnej dziurze.

--Właściwie już od jakiegoś czasu podejrzewałem, że statek został zaprojektowany z myślą o przelocie przez czarną dziurę -- powiedział Ted.

--Tak? A co cię naprowadziło na ten ślad?

--Solidna osłona przeciwradiacyjna. Harry pokiwał głową.

--Zgadza się. Prawdopodobnie przede mną domyśliłeś się, co to oznacza. Uśmiechnął się. -- Ale nikomu o tym nie powiedziałaś.

--Słuchaj, nie ma się co spierać -- rzekł Ted.-- To mnie pierwszemu przyszła do głowy czarna dziura.

--Rzeczywiście?

--Pewnie. Nie ma co do tego dwóch zdań. Przypominasz sobie, jak w salce konferencyjnej wyjaśniałem Normanowi pojęcie czasoprzestrzeni i zacząłem obliczać parametry przejścia przez czarną dziurę, a ty przyłączyłeś się do mnie? Norman, przypominasz sobie? Ja pierwszy wysunąłem tę ideę.

--To prawda, wpadłeś na ten pomysł -- przyznał Norman. Harry uśmiechnął się.

--Nie wiedziałem, że to była idea. Wyglądało mi to raczej na domysł.

--Czy może spekulacje -- uściślił Ted. -- Harry, tworzysz nową wersję zdarzeń. Są świadkowie.

--Skoro tak bardzo nas wszystkich wyprzedziłeś -- powiedział Harry -- to może nam powiesz, jaką masz koncepcję na temat natury tego obiektu?

--Z przyjemnością- odrzekł Ted. -- Obiekt to wypolerowana metalowa kula mająca w przybliżeniu dziesięć stóp średnicy, niejednorodna i wykonana z ciężkiego stopu o nie ustalonym na razie składzie. Kabalistyczne znaki na tej stronie...

--Określiłbyś te rowki jako kabalistyczne...?

--Dałbyś mi skończyć? Kabalistyczne znaki na tej stronie wyraźnie sugerują religijną lub artystyczną ornamentykę. Możliwe, że kula pełniła jakąś funkcję ceremonialną, Oznaczałoby to, iż obiekt ten był ważny dla istot, które go wykonały.

--Sądzę, że co do tego nie ma wątpliwości.

--Osobiście uważam, że kula jest efektem prób nawiązania z nami kontaktu, gościem z innej gwiazdy, innego systemu planetarnego. Jest ona pozdrowieniem, wiadomością lub nagrodą -- co wolicie. Stanowi dowód, że we wszechświecie istnieje wyżej zorganizowane życie.

--Wszystko ładnie, pięknie, ale to truizmy -- orzekł Harry. -- Jaka jest jej funkcja?

--Nie jestem pewien, czy ma jakąkolwiek. Ona po prostu jest Jest, czym jest -- Czysty buddyzm zen.

--No dobrze, jakie masz pomysły?

--Przypomnijmy sobie, co wiemy -- zaproponował Harry -- a nie to, co sobie wyobrażamy w natchnieniu. Jest to statek z przyszłości, zbudowany przy wykorzystaniu materiałów i technologii jeszcze nam nie znanych, aczkolwiek będących już prawie w naszym zasięgu. Został

on wysłany przez naszych potomnych przez czarną dziurę do innego wszechświata lub innej części naszego.

--Zgadzasię.

--Statek jest bezzałogowy, wyposażony w urządzenia mechaniczne pozwalające na zbieranie okazów. Możemy więc traktować go jak bezzałogowe statki typu Mariner, które wysyłaliśmy na Marsa w latach siedemdziesiątych, by szukały tam życia. Statek z przyszłości jest większy i bardziej złożony, ale jego funkcja jest zasadniczo ta sama. To sonda.

--Tak...

--Sonda ta trafia więc do innego wszechświata, gdzie znajduje tę kulę. Prawdopodobnie natrafiła na nią w przestrzeni kosmicznej. Być może kula została wysłana na spotkanie statku.

--Właśnie -- dodał Ted. -- Wysłana, by spotkać nas jako emisariusz. Tak właśnie myślałem.

--W każdym razie automatyczny statek, działając wedle wprowadzonych w jego oprogramowanie kryteriów -- nieistotne jakich -- zdecydował, że kula jest obiektem interesującym. Automatycznie zgarnął ją w ten wielki czepak, umieścił we wnętrzu i ruszył w drogę powrotną.

--Tyle że zawędrował, a właściwie cofnął się w czasie za daleko.

--Dla statku to przeszłość -- rzekł Harry. -- Dla nas teraźniejszość.

--Owszem.

Barnes prychnął niecierpliwie.

--Świetnie, więc statek wyruszył w kosmos, znalazł srebrną obcą kulę i zabrał ją ze sobą. Przejdźmy teraz do rzeczy: czym ona jest?

Harry przyłożył ucho do powierzchni kuli i postukał w nią kostkami palców. Przejechał nimi następnie po głębokich rowkach. Była tak doskonale wypolerowana, że Norman widział na jej powierzchni zniekształcone odbicie twarzy Harry'ego.

--Tak. Jak podejrzewałem. Te kabalistyczne znaki, jak je nazwałeś, wcale nimi nie są. Ich zadanie jest całkowicie odmienne -- kryją cienką szparę w powierzchni. Oznaczają więc wejście. -- Harry odsunął się od kuli.

--Czym jest ta kula?

--Powie wam, co o tym sędzę -- oznajmił Harry. -- Myślę, że to pojemnik, że coś jest w środku i że boję się tego jak jasna cholera.

PIERWSZA OCENA

--Nie, panie sekretarzu -- mówił Barnes do telefonu. -- Jesteśmy całkowicie pewni, że to obiekt obcego pochodzenia. Nie ma co do tego wątpliwości.

Obejrzał się na Normana, siedzącego w drugim końcu sali.

--Tak, proszę pana -- zgodził się. -- Cholernie podniecające.

Wrócili do habitatu i Barnes natychmiast połączył się z Waszyngtonem. Usiłował opóźnić ich powrót na powierzchnię.

--Nie, jeszcze jej nie otworzyliśmy. Cóż, nie byliśmy w stanie tego zrobić. Wejście jest niezwykle kształtu i bardzo dokładnie dopasowane... Nie, w szczelinę nie da się niczego wetknąć. -- Obejrzał się na Normana i przewrócił oczyma. -- Nie, tego również próbowaliśmy. Nie wygląda na to, by dało się otworzyć z zewnątrz. Brak do tego jakichkolwiek urządzeń. Opisów również. Jedynie doskonale wypolerowana kula z zawilym układem rowków na jednej stronie. Co? Przy użyciu materiałów wybuchowych?

Norman odwrócił się. Byli w Cylinderze D, w sekcji łączności, którą obsługiwała Tina Chan. Ze swym zwykłym spokojem poprawiała obraz na tuzinie monitorów.

--Wydaje się, że jest pani najbardziej odprężoną osobą -- zauważył Norman. Uśmiechnęła się.

--Jedynie nie okazującą swoich emocji, proszę pana. -- Rzeczywiście?

--Bez wątpienia, proszę pana -- odparła, poprawiając synchronizację obrazu na jednym z monitorów. Na ekranie widać było wypolerowaną powierzchnię. -- Czuję, jak serce mi łomocze, gdy patrzę na tę kulę. Jak pan myśli, co jest w środku?

--Nie mam pojęcia -- przyznał Norman.

--Sądzi pan, że tam może być obcy? Rozumie pan, jakaś żywa istota?

--Może.

--A my staramy się to otworzyć. Może nie powinniśmy tego robić, cokolwiek jest w środku.

--Nie jest pani ciekawa? -- zapytał Norman.

--Nie aż tak bardzo, proszę pana.

--Nie bardzo wiem, co miałyby dać ładunki wybuchowe -- mówił Barnes do słuchawki. -- Tak, mamy je. Och, różnej wielkości, ale nie sądzę, żeby udało nam się otworzyć to cholerstwo. Nie. Cóż, gdyby pan to widział, zrozumiałby pan. Ten obiekt jest niesłychanie precyzyjnie wykonany.

Tina poprawiała obraz przekazywany przez drugi monitor. Dysponowali już dwoma widokami na obiekt, wkrótce miał być trzeci. Jane Edmunds rozstawiła mające filmować kulę kamery. To było zalecenie Harry'ego, który powiedział:

--Lepiej to obserwować. Może od czasu do czasu kula przejawia jakąś aktywność.

Na ekranach widać było otaczającą ją sieć kabli. Użyto wszelkiego rodzaju czujników: akustycznych, elektromagnetycznych, optycznych, pracujących w pełnym zakresie od podczerwieni po promieniowanie rentgenowskie i gamma. Odczyty z czujników wyświetlane były na aparaturze po lewej stronie monitorów.

Wszedł Harry.

--Macie już coś?

Tina potrząsnęła głową.

--Jak na razie nic. -- Tedwrócił?

--Nie -- odparł Norman. -- Wciąż tam siedzi.

Ted został za ładowniami, rzekomo po to, by pomóc Jane Edmunds ustawiać kamery. Wiedzieli jednak, że w rzeczywistości chce otworzyć kulę. Na drugim monitorze było go właśnie widać, jak obmacuje rowki, delikatnie je naciskając.

Harry uśmiechnął się.

--Nie zmówił paciorka. Norman powiedział:

--Harry, przypominasz sobie, jak byliśmy na pokładzie załogi i powiedziałeś, że chcesz sporządzić ostateczną wolę, ponieważ czegoś brakuje?

--Ach, to -- odrzekł Harry. -- Nie przejmuj się, to już nie istotne. Barnes mówił:

--Nie, panie sekretarzu, podniesienie jej na powierzchnię jest praktycznie niemożliwe. Cóż, proszę pana, znajduje się w ładowni pół mili od wejścia na statek, który tkwi pod pięcioma metrami koralów. Sama sfera ma dobre trzydzieści stóp średnicy, jest wielkości sporego domu...

--Zastanawiam się, co jest wewnątrz tego domu -- powiedziała Tina.

Na ekranie monitora widać było Teda, który ze zniechęceniem kopnął kulę.

--Nie odmówił modlitwy -- powtórzył Harry. -- Nigdy jej nie otworzy. Weszła Beth.

--Jak ją otworzymy?

--Jak? -- Harry zapatrzył się w lśniącą kulę na ekranie. Przez długą chwilę milczał w zamyśleniu. -- Może nam się to nie uda.

--Nie uda? Nigdy? -- I to możliwe. Norman roześmiał się.

--Ted odebrałby sobie życie. Barnes kontynuował:

--Cóż, panie sekretarzu, jeśli zgadza się pan wyznaczyć niezbędne siły marynarki dla operacji podniesienia statku z głębokości tysiąca stóp, będziemy mogli się tego podjąć za sześć miesięcy, kiedy będziemy pewni, że czeka nas miesiąc dobrej pogody w tym rejonie. Tak, na południowym Pacyfiku jest teraz zima. Tak.

--Już to widzę -- powiedział Beth. -- Wielkim kosztem marynarka wydobywa tajemniczą kulę obcego pochodzenia na powierzchnię. Natychmiast zostaje ona przetransportowana do ściśle tajnego rządowego obiektu w Omaha. Próbuje ją otworzyć specjaliści ze wszystkich dziedzin nauki. Nikomu się to nie udaje.

--Jak z Excaliburem -- rzekł Norman.

--W miarę upływu czasu -- ciągnęła Beth -- sięga się po coraz bardziej zdecydowane metody. W końcu podejmuje się próbę rozsądzenia jej niewielkim ładunkiem nuklearnym. Ciągłe nic. W końcu wszystkim brak już pomysłów. Mijają dziesięciolecia, a kula jest ciągle zamknięta, jak była. Nikt nigdy jej nie otworzy. -- Potrząsnęła głową. -- Jeden wielki zawód dla ludzkości...

Norman zwrócił się do Harry'ego:

--Uważasz, że naprawdę możliwe jest, by nigdy nie została otwarta?

--"Nigdy" to bardzo długo -- oznajmił Harry.

--Nie, proszę pana -- ciągnął Barnes. -- Zważywszy na rozwój wypadków, zostajemy na dole do ostatniej chwili. Pogoda na powierzchni na razie się utrzymuje -- i utrzyma przez sześć następnych godzin, jeśli wierzyć doniesieniom satelitów meteorologicznych. Cóż, muszę polegać właśnie na nich. Tak jest, proszę pana. Co godzinę, proszę pana.

Odwiesił słuchawkę i odwrócił się do reszty.

--W porządku. Mamy zezwolenie, by zostać jeszcze sześć do dwunastu godzin, zależnie od

stanu pogody. W tym czasie spróbujemy otworzyć kulę.

--Ted nad tym pracuje -- powiedział Harry.

Na ekranie monitora widać było, jak Ted Fielding tłucze otwartą dłoń w wypolerowaną powierzchnię i krzyczy:

--Sezanie, otwórz się. Otwórz się, kurwa! Kula nie zareagowała.

PROBLEM ANTROPOMORFIZMU

--Poważnie -- rzekł Norman. -- Myślę, że czas, by wreszcie ktoś postawił pytanie: a może by tak nie otwierać tej kuli?

--Dlaczego? -- zaprotestował Barnes. -- Proszę posłuchać, właśnie skończyłem telefoniczną rozmowę z...

--Wiem -- przerwał mu Norman -- ale może powinniśmy to jeszcze raz przemyśleć. -- Kącikiem oka dostrzegł, że Tina z zapalem przytakuje. Harry spoglądał na niego sceptycznie. Zaspana Beth przecierała oczy.

--Ma pan jakieś istotne powody, czy tylko się obawia? -- zapytał Barnes.

--Mam wrażenie -- powiedział Harry -- że Norman za chwilę zacytuje którąś z własnych prac.

--No cóż,owszem- przyznał Norman.-- Umieściłem to w swoim sprawozdaniu.

Określił to w nim jako "problem antropomorfizmu". Sprowadzał się on do tego, że każdy, kto kiedykolwiek zastanawiał się lub pisał coś na temat życia pozaziemskiego, wyobrażał sobie, że obce istoty są podobne do człowieka. Nawet jeśli nie miały być podobne do niego fizycznie -- jeśli byłyby to gady, wielkie owady czy inteligentne kryształy -- zawsze zachowywały się na ludzką modłę.

--Mówi pan o filmach -- zarzucił mu Barnes.

--Nie tylko, również o pracach naukowych. Każda koncepcja życia pozaziemskiego, czy to splodzona przez producenta filmowego, czy też przez profesora uniwersytetu, jest zasadniczo ludzka: obcy mają w niej ludzki system wartości, zdolność pojmowania, ludzki sposób podejścia wobec zrozumiałego dla człowieka wszechświata. Oraz przeważnie ludzki wygląd -- dwoje oczu, nos, usta i tak dalej.

--Więc?

--Więc -- wyjaśnił Norman -- to oczywisty nonsens. Chociażby dlatego, że różnice nawet w obrębie naszego gatunku są tak wielkie, iż czasami bardzo utrudniają porozumienie. Amerykanie i, na przykład, Japończycy są bardzo odmienni. W zasadzie całkowicie inaczej patrzą na świat.

--Tak, tak -- powiedział cierpliwie Barnes. -- Wszyscy wiemy, że Japończycy są inni...

--...i kiedy natrafimy na obcą formę życia, różnice mogą okazać się praktycznie nie do przewyciężenia. System wartości tych istot może być całkowicie odmienny od naszych.

--Chce pan powiedzieć, że mogą nie wierzyć w świętość życia czy nie respektować przykazania „Nie zabijaj”? -- zapytał wciąż jeszcze cierpliwie Barnes.

--Nie -- odparł Norman. -- Chodzi mi o to, że takiej istoty być może nie sposób zabić, więc w ogóle nie będzie pojmować pojęcia zabójstwa.

Barnes znieruchomiał.

--Być może nie sposób zabić takiej istoty? Norman skinął głową.

--Jak ktoś kiedyś powiedział: nie da się złamać rąk istocie, która ich nie ma.

--Nie można jej zabić? To znaczy, że jest nieśmiertelna?

--Nie wiem -- odpowiedział Norman. -- O to właśnie chodzi.

--O Chryste, istota, której nie można zabić... -- rzekł Barnes. -- Jak mielibyśmy ją zniszczyć? Nie chciałbym otworzyć kuli i wypuścić z niej czegoś, czego się nie da unicestwić.

--Za coś takiego nie dostaje się awansu, Hal -- zaśmiał się Harry.

Barnes spojrział na monitory ukazujące z kilku stron wypolerowaną kulę. Wreszcie oznajmił:

--Nie, to niedorzeczne. Żadna żywa istota nie może być nieśmiertelna. Mam rację, Beth?

--Właściwie nie -- odrzekła Beth. -- Można by twierdzić, że niektóre formy życia na naszej planecie są nieśmiertelne. Jednokomórkowe organizmy, jak bakterie czy drożdże, są na przykład w stanie żyć wiecznie.

--Drożdże -- prychnął Barnes. -- Nie mówimy o drożdżach.

--Również pod pewnymi względami wirusy można uważać za nieśmiertelne.

--Wirusy? -- Barnes zapadł się w fotel; nie wziął pod uwagę tej możliwości. Ale czy w rzeczywistości to prawdopodobne? Harry?

--Uważam -- powiedział Harry -- że wachlarz możliwości jest o wiele szerszy niż to, o czym wspominaliśmy. Mówiliśmy jedynie o istotach trójwymiarowych, czyli takich, jakie istnieją w naszym trójwymiarowym wszechświecie, lub -- by być bardziej precyzyjnym -- we wszechświecie, który postrzegamy. Niektórzy uważają jednak, że wszechświat ma dziewięć lub jedenaście wymiarów.

Barnes oklapł.

--Tyle że sześć wymiarów jest bardzo małych, więc ich nie dostrzegamy. Barnes przetarł oczy.

--Stworzenie takie może więc -- kontynuował Harry -- być wielowymiarowe i dosłownie nie istnieje -- a przynajmniej niecałkowicie -- w naszych trzech wymiarach. W najprostszym wypadku, gdyby taka istota była czterowymiarowa, przez cały czas postrzegalibyśmy tylko jej część, ponieważ reszta istniałaby w czwartym wymiarze. Z pewnością utrudniałoby to zabicie jej. Gdyby zaś istota ta była pięciowymiarowa...

--Chwileczkę. Dlaczego żadne z was nie wspomniało o tym wcześniej?

--Myśleliśmy, że pan wie -- odparł Harry.

--Wiem o nie dających się zabić pięciowymiarowych istotach? Nikt mi o tym słowa nie powiedział. -- Potrząsnął głową. -- Otworzenie tej kuli może być niewiarygodnie niebezpieczne.

--Owszem, to możliwe.

--Znaleźliśmy więc puszkę Pandory. -- Zgadza się.

--Cóż, zastanówmy się nad najgorszym -- zdecydował Barnes. -- Co najstraszniejszego możemy znaleźć w środku?

--Myślę, że to oczywiste -- odparła Beth. -- Bez względu na to, czy będzie to stwór o wielu wymiarach, wirus, czy cokolwiek innego, bez względu na to, czy będzie podzielał naszą moralność, czy nie będzie miał takowej w ogóle, w najgorszym przypadku będzie zadawał ciosy poniżej pasa.

--To znaczy?

--To znaczy, że będzie działał w sposób zakłócający nasze podstawowe funkcje życiowe. Dobrym przykładem jest tu wirus AIDS. AIDS jest tak niebezpieczny nie dlatego, że jest nową chorobą. Nowe wirusy pojawiają się każdego roku, nawet każdego tygodnia. Do tego wszystkie wirusy działają w ten sam sposób atakują komórkę i przestawiają mechanizm jej działania tak, że wytwarza nowe wirusy. Wirus AIDS jest niebezpieczny przez to, iż atakuje komórki odpowiedzialne za obronę przed wirusami. AIDS ingeruje w" nasze podstawowe mechanizmy odpornościowe i nie możemy się przed nimi obronić.

--Hmm -- mruknął Barnes. -- Jeśli w kuli kryje się stworzenie zakłócające nasze podstawowe funkcje życiowe, jak to pani określiła, jaki będzie jego wygląd?

--Może wdychać powietrze i wydychać cyjanki -- powiedziała Beth.

--Może wydalać radioaktywne odchody -- rzekł Harry.

--Może zakłócać nasze fale mózgowy -- dodał Norman. -- Ingerować w proces myślenia.

--Albo -- stwierdziła Beth -- może jedynie zakłócać przewodnictwo w mięśniu sercowym.

Powodować, że nasze serca przestaną bić.

--Może wytwarzać wibrację, która wywoła rezonans w naszym układzie kostnym i zniszczy nasze szkielety -- dorzucił Harry i uśmiechnął się do pozostałych. To mi się nawet podoba.

--Zmyślne -- przyznała Beth. -- Ale jak zwykle myślimy tylko o sobie. Ta istota może nie robić niczego, co byłoby bezpośrednio dla nas szkodliwe.

--Ach tak...- wyrwało się Barnesowi.

--Mogłaby na przykład wydychać toksynę zabijającą chloroplasty, tak iż rośliny nie byłyby w stanie dłużej dokonywać fotosyntezy. Wówczas wszystkie rośliny na Ziemi zamaryłyby -- a w ślad za nimi reszta istot żywych.

--Ach tak... -- powtórzył Barnes.

--Wiecie -- odezwał się Norman -- z początku, kiedy zastanawiałem się nad kwestią antropomorfizmu -- faktem, iż jesteśmy w stanie myśleć o życiu pozaziemskim jedynie w ziemskich kategoriach -- traktowałem ją jedynie jako słabość wyobraźni. Człowiekowi znany jest jedynie człowiek i nie jest w stanie wymyślić niczego nowego. Jak jednak widzicie, jest inaczej. Jesteśmy w stanie wymyślić mnóstwo innych rzeczy, ale tego nie robimy. Musi być więc inna przyczyna, dla której uważamy przedstawicieli życia pozaziemskiego za podobnych do ludzi. Uważam, iż problem polega na tym, że w rzeczywistości jesteśmy strasznie słabymi zwierzętami. I nie lubimy przypominać sobie o tej słabości -- jak delikatna jest równowaga wewnątrz naszych organizmów, jak krótki jest nasz pobyt na Ziemi i jak łatwo go zakończyć. Wyobrażamy sobie więc obce formy życia jako nam podobne, byśmy nie musieli myśleć o rzeczywistej groźbie, olbrzymiej groźbie, jaką mogą przedstawiać, choćby mimowolnie.

Zapadło milczenie.

--Oczywiście, nie wolno nam zapominać i o innej możliwości -- orzekł Barnes. -- Niewykluczone, że w kuli znajduje się coś niesłychanie dla nas cennego. Jakaś oszołamiająca nowa wiedza, jakaś zdumiewająca nowa idea czy technologia, mogąca polepszyć kondycję ludzkości poza nasze najśmielsze marzenia.

--Choć istnieje również szansa -- dodał Harry -- że zawarte w niej nowe idee mogą się dla nas okazać całkowicie bezużyteczne.

--Dlaczego? -- spytał Barnes.

--No cóż, załóżmy, że obcy wyprzedzają nas o tysiąc lat, tak jak my wyprzedzamy, powiedzmy, średniowieczną Europę. Wyobraźmy sobie, że wyprawiliby się pan w średniowiecze z telewizorem. Nawet nie miałby pan go gdzie włączyć do sieci.

Barnes spoglądał na nich po kolei przez długą chwilę.

--Przepraszam -- powiedział. -- To dla mnie za wielka odpowiedzialność. Nie mogę sam podjąć decyzji o otwarciu kuli. Muszę się na ten temat porozumieć z Waszyngtonem.

--Ted nie będzie szczęśliwy -- rzekł Harry.

--Do diabła z Tedem -- oznajmił Barnes. -- Niech prezydent zdecyduje. Dopóki nie otrzymamy od niego odpowiedzi, nie życzę sobie, by ktokolwiek próbował otworzyć kulę.

Barnes ogłosił dwugodzinną przerwę na odpoczynek i Harry poszedł do siebie przespać się. Beth oświadczyła, że również idzie spać, ale pozostała przy monitorach z Tiną i Normanem. W miejscu pracy Tiny Chan znajdowały się wygodne fotele z wysokimi oparciami. W jednym z nich umieściła się Beth, kręcąc nim w tę i z powrotem i wymachując nogami. Bawiła się swymi włosami, zwijając je w drobne loczki, i wpatrywała się przed siebie.

Jest zmęczona, pomyślał Norman. Obserwował poruszającą się bezustannie Tinę, poprawiającą obraz przekazywany przez monitory, sprawdzającą dane z czujników, zmieniającą kasety w magnetowidach. Ponieważ Jane Edmunds znajdowała się w statku wraz z Tedem, Tina prócz układów łączności musiała obsługiwać również systemy rejestrujące. Nie wydawała się tak zmęczona jak oni, ale być może wynikało to z tego, iż nie była w statku. Dla niej statek kosmiczny był czymś z ekranów monitorów, telewizyjnym przedstawieniem, abstrakcyjnym elementem nowego otoczenia. Nie znalazła się jeszcze twarzą w twarz z obcą rzeczywistością, nie musiała toczyć z sobą wyczerpujących umysłowych zmagania, by pojąć, co się dzieje i co to wszystko znaczy.

--Wygląda pan na zmęczonego -- stwierdziła Tina. -- Owszem. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

--To wpływ sztucznej atmosfery -- orzekła. -- Oddychania mieszanką tlenu i helu.

I to by było na tyle z psychologicznymi tłumaczeniami, pomyślał Norman. Tina kontynuowała:

--Gęstość powietrza tu, na dole, naprawdę wywiera spory wpływ na człowieka. Ciśnienie wynosi trzydzieści atmosfer, gdybyśmy oddychali powietrzem o zwykłym składzie pod tym ciśnieniem, byłoby prawie płynne. Hel z tlenem jest lżejszy, ale i tak o wiele gęstszy niż normalna atmosfera. Może pan sobie tego nie uświadamia, ale oddychanie w takiej atmosferze to naprawdę poważny wysiłek dla płuc.

--Pani jednak nie jest zmęczona.

--Och, przyzwyczaiłam się do tego. Przebywałam już w podwodnych habitatach.

--Rzeczywiście? Gdzie?

--Nie mogę tego powiedzieć, doktorze Johnsor

--Operacje marynarki? Uśmiechnęła się.

--Nie mam prawa o tym mówić.

--To pani nieprzenikniony uśmiech?

--Taką mam nadzieję. Czy nie powinien pan jednak spróbować się przespać? Pokiwał głową.

--Pewnie tak.

Rozważał, czy nie położyć się spać, perspektywa wilgotnej koi była jednak niezbyt pociągająca. Poszedł więc do kuchni, mając nadzieję załapać się na jeden z deserów Rose Levy. Nie było jej tam, pod szklanym kloszem znalazł jednak trochę ciasta z orzechami. Wziął talerzyk, ukroił sobie kawałek i przeszedł z nim do jednego z iluminatorów. Na zewnątrz było jednak ciemno: światła na rusztowaniach wygaszono; nurkowie odpłynęli. Kilkadziesiąt stóp dalej widział światła w ich habitacie, DH- 7. Zapewne nurkowie przygotowywali się do wynurzenia, może zresztą już wrócili na powierzchnię.

Ujrzał w iluminatorze odbicie własnej twarzy. Wyglądał na zmęczonego i starego.

--To nie miejsce dla pięćdziesięcioletniego staruszka -- powiedział do swego odbicia.

W końcu dojrzał poruszające się na zewnątrz światło, następnie żółty błysk. Jedna z miniaturowych łodzi podwodnych przybiła pod spodem cylindra DH- 7. Parę sekund później koło niej przycumowała druga. Światła pierwszej łodzi zgasły. Niedługo potem druga z łodzi odbiła i zniknęła w czarnej wodzie. Pierwsza została.

Co się dzieje? -- zastanowił się, jednocześnie uświadamiając sobie, że tak naprawdę go to nie obchodzi. Był zbyt zmęczony. Bardziej interesowało go, jak będzie smakowało ciasto. Opuścił wzrok. Ciasto było już zjedzone. Zostało jedynie parę okruchów.

Jestem zmęczony, pomyślał. Skonany. Położył nogi na stoliku do kawy i oparł głowę o chłodną wykładzinę na ścianie.

Musiał po chwili zapaść w sen, bo ocknął się zdezorientowany w ciemności. Usiadł prosto i natychmiast włączyły się światła. Zorientował się, że wciąż jest w kuchni.

Barnes mówił mu, że tak właśnie habitat potrafi się przystosowywać do ludzkiej obecności. Najwidoczniej czujniki ruchu rejestrowały chwilę zaśnięcia człowieka i wyłączały światła. Kiedy człowiek się budził i zaczynał poruszać, włączały je z powrotem. Zastanowił się, czy pozostałyby włączone, gdyby się chrapało. Na moment ogarnęło go zaniepokojenie, kto to wszystko zaprojektował. Czy inżynierowie projektujący habitaty marynarki wzięli pod uwagę chrapanie? Czy istniał czujnik chrapania?

Miał ochotę na więcej ciasta.

Wstał i poszedł do kuchenki. Brakowało jeszcze paru kawałków ciasta. Czy to on je zjadł? Nie był tego pewny, nie potrafił sobie przypomnieć.

--Mnóstwo kaset -- zdziwiła się Beth. Norman odwrócił się.

--Owszem -- odrzekła Tina. -- Nagrywamy wszystko, co dzieje się w naszym habitacie, jak i na statku. Będzie z tego cała sarta materiałów.

Tuż nad jego głową znajdował się monitor. Zobaczył Tinę i Beth zajadające się plackiem w sekcji łączności.

Aha, pomyślał. Więc tu podziało się ciasto.

--Co dwanaście godzin taśmy są przenoszone do łodzi podwodnej -- informowała Tina.

--Po co? -- spytała Beth.

--Takie przepisy. Jeśli coś stanie się na dole, łódź automatycznie wynurzy się na powierzchnię.

--Och, wspaniale -- prychnęła Beth. -- Postaram się o tym za często nie myśleć. Gdzie jest teraz doktor Fielding?

--Dał sobie spokój z kulą i przeszedł z Jane Edmunds na pokład załogi odrzekła Tina.

Norman wpatrywał się w monitor. Tina wyszła z pola widzenia. Beth siedziała plecami do kamery, jedząc placek. Na monitorze za jej plecami wyraźnie widział połyskującą powierzchnię. Monitory ukazujące monitory, pomyślał. Ludzie z marynarki, którzy w końcu będą przeglądać te taśmy, dostaną kota.

--Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę? -- spytała Tina. Beth wgrzyza się w placek.

--Może -- odparła. -- Nie wiem.

Wtedy właśnie ku swemu przerażeniu Norman dojrzał na monitorze za plecami Beth, że wejście do kuli otwiera się w ciszy, ukazując w jej wnętrzu ciemność.

OTWARCIE

Musiały pomyśleć, że oszalał, gdy wpadł przez służę do Cylindra D i potykając się wbiegł po wąskich schodach na górny poziom, krzycząc:

--Otworzyła się! Otworzyła się!

Dotarł do sektora łączności w momencie, gdy Beth ocierała ostatnie okruchy orzechów z warg. Odłożyła widelczyk.

--Co się otwarło? -- Kula!

Beth natychmiast odwróciła się z fotelem. Tina nadbiegła od półki z magnetowidami. Obydwie wpatrzyły się w monitor przy Beth. Zapadła niezręczna cisza.

--Wygląda mi na zamkniętą, Norman.

--Otworzyła się, mówię wam! Widziałem to. -- Opowiedział, jak w jadalni przyglądał im się na monitorze. -- Było to kilka sekund temu, nie mam wątpliwości, że się otwarła. Musiała się zamknąć, gdy tu biegłem.

--Jesteś pewny?

--Monitor w jadalni nie jest duży...

--Widziałem to -- powtórzył Norman. -- Cofnijcie taśmę, jeśli mi nie wierzycie.

--Dobry pomysł -- zgodziła się Tina i wróciła do magnetowidów, by przewinąć taśmę.

Norman dyszał ciężko, usiłując złapać dech. Po raz pierwszy wydatkował tyle energii w sprężonej atmosferze, sporo go to kosztowało. DH- 8 to nie jest dobre miejsce, żeby się podniecać, zdecydował.

Beth przyjrzała mu się.

--Dobrze się czujesz, Norman?

--W porządku. Mówię ci, że widziałem, jak się otwarła. Tina?

--Jeszcze chwileczkę. Wszedł ziewający Harry.

--Łóżka tutaj są wspaniałe, prawda? -- zakpił. -- Czulem się, jakbym spał w worku mokrego ryżu. Połączenie zimnego prysznica i wyrka. -- Westchnął. Serce mi pęknie, gdy będę stąd odjeżdżać.

--Norman twierdzi, że kula się otworzyła -- poinformowała go Beth.

--Kiedy? -- spytał, ponownie ziewając.

--Kilka sekund temu.

--Ciekawe, ciekawe. -- Harry z powagą pokiwał głową. -- Widzę, że teraz jest zamknięta.

--Przewijamy taśmę, by to sprawdzić.

--Yhm. Zostało jeszcze trochę ciasta?

Harry wydaje się zupełnie spokojny, pomyślał Norman. To bombowa wiadomość, a jego jakby to nie obchodziło. Dlaczego? Harry również mu nie uwierzył? Czy nadal był senny, czy też rozbudził się już zupełnie? A może chodziło o coś innego?

--Startujemy -- powiedziała Tina.

Na monitorze ukazały się zębate linie, po czym obraz się ustabilizował. Z głośnika rozległ się głos Tiny: ". "godzin taśmy są przenoszone do łodzi podwodnej".

Beth: "Po co?"

Tina: "Takie przepisy. Jeśli coś stanie się na dole, łódź automatycznie wynurzy się na powierzchnię".

Beth: "Och, wspaniale. Postaram się o tym za często nie myśleć. Gdzie jest teraz doktor

Fielding?"

Tina: "Dał sobie spokój z kulą i przeszedł z Jane Edmunds na pokład załogi".

Tina wyszła z pola widzenia kamery. Beth pozostała w fotelu, jedząc ciasto zwrócona plecami do monitora.

Z głośnika dobiegł głos Tiny: "Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

Beth ugryzła kawałek placka: „Może”, powiedziała. "Nie wiem". Zapadła na chwilę cisza, po czym na monitorze za plecami Beth wejście do kuli bezgłośnie stanęło otworem.

--Hej! Otworzyła się! -- Nie zatrzymuj taśmy!

Na ekranie widać było, że Beth niczego nie spostrzegła. Tina, wciąż poza zasięgiem kamery, powiedziała: "Boję się".

Beth: "Nie sądzę, by był powód do strachu".

Tina: "To niewiadome".

"Niewątpliwie", powiedziała Beth. "Ale coś nieznanego najprawdopodobniej nie jest niebezpieczne czy przerażające. Najczęściej okazuje się jedynie niewytłumaczalne".

„Nie wiem, czy można tak powiedzieć".

"Boisz się węży?" -- zapytała z ekranu Beth.

Przez cały czas tego dialogu kula pozostawała otwarta. Przyglądając się jej, Harry powiedział:

--Fatalnie, nie możemy zajrzeć do środka.

--Może da się na to coś poradzić -- rzekła Tina. -- Spróbuję poprawić trochę obraz za pomocą komputera.

--Mam wrażenie, że w środku widać małe światełka -- zauważył Harry. Wirujące małe światełka.

Na ekranie znów ukazała się Tina. "Nie lękam się węży".

"A ja ich nie znoszę", wzdrygnęła się Beth. "Obrzydliwe, śliskie stwory".

--Ach, Beth -- zdziwił się Harry, wpatrując się w monitor. -- Jesteś zazdrosna o węże?

Beth na ekranie mówiła: "Gdybym była Marsjaninem, wylądowała na Ziemi i natknęła się na węża -- zabawną, wijącą się zimną rurowatą istotę żywą -- nie wiedziałabym, co o tym myśleć. Jednakże szansa, że natknęłabym się na jadowitego węża, jest bardzo mała. Niewiele węży jest jadowitych. Jako Marsjanin spotykający węża nie znalazłabym się w niebezpieczeństwie; byłabym jedynie zdezorientowana. Najprawdopodobniej tak samo będzie z nami. Będziemy zdezorientowani", powiedziała Beth, po chwili milczenia kontynuowała: "W każdym razie nie sądzę, żeby kiedykolwiek udało się nam otworzyć kulę, nie".

Tina: "Mam taką nadzieję".

Za jej plecami na monitorze kula się zamknęła.

--Hmm -- rzekł Harry. -- Jak długo była otwarta?

--Trzydzieści cztery i cztery dziesiąte sekundy -- odparła Tina. Zatrzymała taśmę i zapytała:

--Ktoś chce to jeszcze raz obejrzeć? -- Wyraźnie zbladła.

--Nie w tej chwili -- odrzekł Harry. Postukując palcami po poręczu fotela wpatrzył się przed siebie w zamyśleniu.

Nikt się nie odezwał; wszyscy czekali na jego słowa. Norman uświadomił sobie, jak dalece

członkowie zespołu uznawali jego wyższość. Harry to człowiek, który wyciąga za nas wnioski, pomyślał Norman. Potrzebujemy go i polegamy na nim.

--No dobrze -- uznał w końcu Harry. -- Nie da się z tego wyciągnąć żadnych wniosków.

Brak wystarczających danych. Powstaje pytanie, czy kula otworzyła się za sprawą czegoś, co zaszło w jej bezpośrednim otoczeniu, czy też niezależnie od czegokolwiek. Gdzie Ted?

--Dał sobie z nią spokój i poszedł na pokład załogi.

--Ted wrócił -- powiedział właśnie on z szerokim uśmiechem na twarzy i przynosi ważne wieści.

--My też mamy coś dla ciebie -- zakomunikowała Beth.

--To może poczekać -- rzekł Ted. -- Ale...

--Wiem, dokąd leciał ten statek -- oznajmił pod ekscytowany Ted. -- Przeanalizowałem zbiorcze zapisy przebiegu lotu na pokładzie załogi, przyjrzałem się tłu gwiazdnemu i wiem już, gdzie znajduje się czarna dziura.

--Ted -- rzekła Beth -- kula się otworzyła.

--Naprawdę? Kiedy?

--Kilka minut temu. Później zamknęła się z powrotem.

--Co widać na monitorach?

--Wydaje się, że nie ma żadnego zagrożenia dla istot żywych. Ted popatrzył na ekran.

--To co my jeszcze tu, u diabła, robimy? Wszedł Barnes.

--Koniec odpoczynku. Wszyscy gotowi wrócić na statek, by ostatni raz rzucić na niego okiem?

--Można tak rzecz eufemistycznie ująć -- powiedział Harry.

Kula była milcząca, zamknięta. Stali wokół niej i wpatrywali się w swe zniekształcone odbicia. Nikt się nie odzywał. Po prostu ją okrążali. W końcu Ted powiedział:

--Czuję się, jakbym był na teście na iloraz inteligencji, który właśnie oblewam.

--Coś takiego jak z Przekazem Daviesa? -- zapytał Harry.

--Ach, to -- rzekł Ted.

Norman przypadkowo wiedział o Przekazie Daviesa. Był to jeden z epizodów, o którym zwolennicy SETI woleliby zapomnieć. W 1979 roku w Rzymie odbyło się wielkie spotkanie naukowców zaangażowanych w program szukania nowych cywilizacji. W zasadzie SETI opierało się na przeszukiwaniu nieba z wykorzystaniem radioteleskopów. Naukowcy pragnęli ustalić, jakich sygnałów mają się spodziewać.

Emerson Davies, fizyk z Cambridge w Anglii, opracował przekaz oparty na stałych wartościach fizycznych, takich jak długość fali emitowanej przez międzygwiazdny wodór. W założeniu były one takie same w całym wszechświecie. Zgrupował te stałe w graficznej formie używając kodu binarnego.

Ponieważ Davies uważał, że właśnie taki przekaz może nadejść od pozaziemskiej cywilizacji, przyjął, że naukowcy z SETI bez trudu go rozszyfrują. Rozdał wszystkim członkom konferencji swój obrazek.

Nie rozszyfrował go nikt.

Gdy Davies wyjaśnił, o co tu chodziło, wszyscy zgodzili się, że jest to doskonały pomysł na przesłanie informacji przez pozaziemską cywilizację. Nie zmienia to faktu, iż żadnemu z nich nie udało się rozwikłać tego idealnego przesłania.

Jednym z ludzi, którzy starali się bez powodzenia rozwiązać ten przekaz, był Ted.

--Cóż, nie przykładaliśmy się do tego specjalnie -- zbagatelizował sprawę Ted. -- Na

konferencji działo się mnóstwo rzeczy. Poza tym nie było z nami ciebie, Harry.

--Obchodziła cię tylko darmowa wycieczka do Rzymu -- zauważył ironicznie Harry.

--Czy tylko to sobie wyobrażam -- odezwała się Beth -- czy układ rowków się zmienił?

Norman popatrzył uważnie. Na pierwszy rzut oka głębokie wycięcia wyglądały tak samo, lecz może rzeczywiście wzór był inny. Jeśli tak było istotnie, zmiana była nieznaczna.

--Możemy to porównać z dawniejszymi taśmami -- zaproponował Barnes.

--Dla mnie wygląda tak samo -- orzekł Ted. -- Przecież to metal. Wątpię, by mógł zmienić kształt -- To, co nazywamy metalem, jest jedynie cieczą wolno płynącą w pokojowej temperaturze -- wyjaśnił Harry. -- To, że układ rowków się zmienił, jest możliwe.

--Wątpię -- stwierdził Ted. Barnes zniecierpliwił się:

--Ludzie, to wy macie być tu ekspertami. Wiemy, że ten obiekt może się otwierać. Miało to miejsce. Jak mamy otworzyć go ponownie?

--Staramy się, Hal.

--Nie wygląda na to, byście cokolwiek robili.

Od czasu do czasu oglądali się na Harry'ego, ten jednak stał nieruchomo, z dłonią na podbródku, w zamyśleniu postukując palcem po dolnej wardze.

--Harry?

Harry nie zareagował.

Ted podszedł i uderzył w kulę otwartą dłonią. Wydała głuchy odgłos, poza tym jednak nic się nie stało. Ted rąbnął ponownie pięścią, po czym skrzywił się z bólu i potarł dłoń.

--Nie sądzę, żeby udało nam się siłą dostać do środka. Chyba musimy czekać, aż zostaniemy wpuszczeni -- powiedział Norman. Nikt tego nie skomentował.

--Moja doborowa, wypieszczona ekipa -- sarknął Barnes. -- Nie potrafią nic innego, jak tylko chodzić dokoła tej kuli i gapić się na nią.

--Czego pan od nas chce, Hal? Mamy przyłożyć jej głowicą jądrową?

--Jeśli jej nie otworzycie, znajdą się tacy, którzy w końcu i tego spróbują. Spojrzał na zegarek. -- Wpadły wam tymczasem do głowy jakieś błyskotliwe pomysły?

Nie wpadły.

--No dobrze -- westchnął Barnes. -- Skończył się nasz czas. Wracamy do habitatu i przygotowujemy się do powrotu na powierzchnię.

IZOLACJA

Norman wyciągnął niewielką torbę -- wyposażenie marynarza -- spod swej koi w Cylindrze C. Zabrał z łazienki przybory do golenia, zapakował notes i zapasową parę skarpet i zaciągnął suwak.

--Jestem gotowy.

--Ja też -- powiedział Ted. Był niezadowolony; chciał zostać. -- Chyba nie możemy dalej zwlekać. Pogoda robi się coraz gorsza. Z DH- 7 zabrali już wszystkich nurków, więc zostaliśmy im tylko my.

Norman uśmiechnął się na myśl, że znów znajdzie się na powierzchni. Nigdy nie myślałem, że będę z utęsknieniem czekał na widok szarej farby pokładu okrętu, ale tak właśnie jest, przemknęło mu przez głowę.

--Gdzie reszta? -- zapytał Norman.

--Beth już się spakowała. Chyba jest z Barnesem w sektorze łączności. Wydaje mi się, że Harry również. -- Ted skubnął tkaninę swego kombinezonu. -- Powiem ci, że z jednego się cieszę: w końcu będę mógł to z siebie ściągnąć.

Wyszli z pomieszczeń sypialnych i skierowali się do sektora łączności. Po drodze minęli się w ciasnym korytarzu z Kruszyńką Fletcher, która szła do Cylindra B.

--Gotowa do odpłynięcia? -- spytał Norman.

--Tak, proszę pana, doprowadziłam wszystko do ładu -- odpowiedziała Alice, lecz wyglądało na to, że odczuwa napięcie i spieszy się, o czym świadczył wyraz jej twarzy.

--Nie idzie pani w złą stronę? -- zapytał Norman.

--Jeszcze sprawdzę awaryjne diesle.

Awaryjne? -- zastanowił się Norman. Po co miałyby sprawdzać zapasowy sprzęt, skoro zaraz mieli opuścić habitat?

--Pewnie zostawiła coś, czego nie powinna -- domyślił się Ted, potrząsając głową.

W dziale łączności panował ponury nastrój. Barnes porozumiewał się telefonicznie z jednostkami na powierzchni.

--Proszę to powtórzyć -- rzekł. -- Chcę wiedzieć, kto wydał upoważnienie. Zagniewany marszczył brwi.

Spojrzeli na Tinę.

--Jak z pogodą na powierzchni? -- Najwidoczniej raptownie się pogarsza. Barnes odwrócił się na pięcie.

--Przymkniecie się, idioci?

Norman rzucił torbę na podłogę. Zmęczona Beth siedziała przy iluminatorach, pocierając powieki. Tina wyłączała po kolei monitory, gdy nagle znieruchomiała.

--Spójrzcie.

Na jednym z monitorów widać było wypolerowaną kulę. Koło niej stał Harry.

--Co on tam robi?

--Nie wrócił z nami?

--Zdawało mi się, że wrócił.

--Nie zauważyłam; myślałam, że tak.

--Szlag by was trafił, ludzie, mówiłem wam... -- zaczął Barnes i urwał. Zapatrzył się w monitor.

Na ekranie Harry odwrócił się w stronę kamery i lekko się sklonił.

--Panie i panowie, proszę o uwagę. Jak sędzę, zainteresuje to was. Odwrócił się ponownie do kuli. Stał odprężony z rękami wyciągniętymi po bokach. Nie ruszał się ani nie odzywał. Zamknął oczy. Zaczerpnął głęboko tchu. Wejście do kuli otworzyło się.

--Nieźle, co? -- zapytał Harry, uśmiechając się. Wszedł do środka. Wejście zamknęło się za nim.

Wszyscy zaczęli mówić naraz. Barnes starał się ich przekrzyczeć, wołając o spokój, ale nikt nie zwracał na to uwagi, dopóki nie zgasły światła w habitacie. Pograżyli się w ciemnościach.

--Co się stało? -- zapytał Ted.

Wnętrze oświetlały jedynie słabe odblaski reflektorów z rusztowań. Chwilę później i one pogasły. -- Nie ma prądu...

--Usiłowałem wam powiedzieć -- rzekł Barnes.

Rozległ się szum i po chwili światła zaczęły migotać, dopóki nie zapłonęły równo.

--Mamy niezależne zasilanie; właśnie przeszliśmy na nasze diesle. -- Dlaczego?

--Patrzcie -- powiedział Ted, wskazując iluminator.

Ujrzeni zwijający się srebrny wąż. Dopiero po chwili Norman uświadomił sobie, że był to kabel łączący ich z powierzchnią. Opadając wielkimi pętlami na dno, zbliżał się i oddalał od iluminatora.

--Odcięli się od nas!

--Zgadza się -- przytaknął Barnes. -- Mają pełne warunki sztormowe na powierzchni. Nie byli w stanie dłużej utrzymać kabli zasilających i łącznościowych. Nie mogą też korzystać już z łodzi podwodnych. Zabrali wszystkich nurków, ale nie mogą posłać po nas przynajmniej przez parę dni, dopóki morze się nie uspokoi.

--Więc tu ugrzęźliśmy?

--Zgadza się.

--Na jak długo?

--Na kilka dni- odrzekł Barnes.

--Ile?

--Może nawet na tydzień.

--Jezu Chryste- jęknęła Beth. Ted rzucił torbę na leżankę.

--Fantastyczne szczęście. Beth obróciła się na pięcie. -- Oszalałeś?

--Zachowajmy spokój -- upomniął ich Barnes. -- Wszystko jest pod kontrolą. To tylko czasowa zwłoka. Nie ma powodów do zdenerwowania.

Norman nie czuł zdenerwowania. Był jedynie wyczerpany. Beth boczyła się zła, czując się oszukana; Ted ekscytował się, już planował kolejną wyprawę do statku kosmicznego, dogadując się z Jane Edmunds.

Norman czuł się jednak tylko zmęczony. Powieki mu ciążyły; miał wrażenie, że zaraz zaśnie przed monitorami. Spiesznie przeprosił wszystkich, poszedł do siebie i położył się na koi. Nie obchodziło go, że prześcieradła są lepkie, nie dbał, że poduszka jest zimna, nie zważał na to, że w sąsiednim cylindrze wibrowały diesle. Zdążył jeszcze pomyśleć, że to bardzo silna reakcja unikowa, po czym zasnął.

POZA PLUTONEM

Norman zwlókl się z łóżka i spojrzalby na swój zegarek, gdyby nie to, że na dnie odwykl od noszenia go. Nie miał pojęcia, która godzina i jak długo spał. Wyjrzał przez iluminator, lecz nie dostrzegł niczego prócz czarnej wody. Reflektory na rusztowaniach wciąż były wyłączone. Wrócił na pryczę i zapatrzył się w rury bezpośrednio nad głową; zdawały się bliżej niż poprzednio, jak gdyby opuściły się podczas jego snu. Wszystko było ciaśniejsze, bardziej zatłoczone, powodujące klaustrofobię.

Wytrzymać tu jeszcze parę dni, pomyślał. Mój Boże.

Miał nadzieję, że marynarka wpadnie na pomysł, by powiadomić jego rodzinę. Po tylu dniach Ellen musi się zacząć denerwować. Wyobraził sobie, jak najpierw zasięga informacji w Zarządzie Lotnictwa Cywilnego, a potem w marynarce, by dowiedzieć się, co się z nim dzieje. Oczywiście nikt jej nic nie powie, ponieważ program jest tajny; Ellen dostanie białej gorączki.

Przestał myśleć o Ellen. Pomyślał, że łatwiej martwić się losem swoich bliskich niż własnym, ale i tak nie ma to sensu. Ellen nic się nie stanie. Jemu również. Musiał się jedynie nastawić na przeczekanie. Musiał zachować spokój i dotrwać do końca sztormu.

Wszedł pod prysznic, zastanawiając się, czy jeszcze jest woda, skoro habitat: funkcjonuje na awaryjnym zasilaniu. Jednak była i po prysznicu poczuł się mniej sztywny. Dziwaczne, pomyślał, znajdować się tysiąc stóp pod wodą i cieszyć gorącym prysznicem.

Ubrał się i ruszył do Cylindra C. Usłyszał głos Tiny: "... "kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

Beth: "Może. Nie wiem".

"Boję się".

"Nie sądzę, by był powód do strachu".

"To niewiadome" -- powiedziała Tina.

Kiedy Norman wszedł do środka, zastał Beth oglądającą raz jeszcze taśmę z zapisem ich rozmowy.

"Niewątpliwie -- mówiła Beth na ekranie. -- Ale coś nieznanego najprawdopodobniej nie jest niebezpieczne czy przerażające. Najczęściej okazuje się jedynie niewytłumaczalne".

"Nie wiem, czy można tak powiedzieć".

"Boisz się węży?"

Beth wyłączyła magnetowid.

--Usiłowałam wykombinować, dlaczego się otworzyła -- wyjaśniła.

--Z powodzeniem? -- zainteresował się Norman.

--Jak na razie bez. -- Na sąsiednim monitorze widać było samą kulę. Była zamknięta.

--Harry wciąż jest w środku? -- spytał Norman. -- Tak- odrzekła Beth.

--Jak długo już tam siedzi? Spojrzała na konsolę.

--Trochę ponad godzinę.

--Spałem tylko godzinę? -- Taa.

--Umieram z głodu -- oznajmił Norman i przeszedł do jadalni. Placek z orzechami skończył się. Szukał czegoś innego, gdy weszła za nim Beth.

--Nie wiem, co robić, Norman -- powiedziała, marszcząc brwi. -- Z czym?

--Okłamują nas -- rzekła. -- Kto?

--Barnes, marynarka, wszyscy. To zostało zaaranżowane, Norman.

--Daj spokój, Beth. Nie czas na spiski. Musimy się zająć...

--Chodź, rzuć tylko na to okiem -- zaproponowała. Powiodła go z powrotem na górę, włączyła konsolę, nacisnęła kilka klawiszy.

--Zaczęłam sobie układać fałdy, gdy Barnes rozmawiał przez telefon -- relacjonowała.

--Rozmawiał aż do chwili, kiedy kabel zaczął opadać na dno. Zapomniał o tym, że kabel ma tysiąc stóp długości, Norman. Komunikacja musiała wysiaść na parę minut, zanim kabel zaczął się zwijać.

--Prawdopodobnie tak...

--Z kim więc Barnes rozmawiał do ostatniej chwili? Z nikim. -- Beth...

--Patrz -- powiedziała, wskazując na ekran.

**ZAPIS ŁĄCZNOŚCI: DH -- POWIERZCHNIOWE STANOWISKO DOWODZENIA
09 10 BARNES DO POWIERZCHNIOWEGO STANOWISKA DOWODZENIA 1:
PRZEPROWADZONO GŁOSOWANIE WŚRÓD EKIPY CYWILNEJ MARYNARKI
STANÓW ZJEDNOCZONYCH. POWIADOMIENI O RYZYKU, WSZYSCY ZGODZILI SIĘ
JEDNAK POZOSTAĆ NA DNIE PODCZAS SZTORMU, BY KONTYNUOWAĆ BADANIA
OBCEJ KULI I STATKU KOSMICZNEGO, W KTÓRYM ZOSTAŁA ZNALEZIONA.**

BARNES, USN.

--Żartujesz -- zdziwił się Norman. -- Myślałem, że Barnesowi zależy na odpłynięciu.

--Zależało mu, ale zmienił zdanie, kiedy dotarliśmy do ostatniej hali, i nie fatygował się nam o tym powiedzieć. Mam ochotę zatłuc skurczybyka -- wściekała się Beth. -- Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, prawda, Norman?

Norman skinął głową.

--Ma nadzieję znaleźć nową broń.

--Zgadza się. Barnes załatwiał zakupy broni dla Pentagonu, a obecnie ma nadzieję natrafić na jej nowy rodzaj.

--Ale ta kula najprawdopodobniej nie...

--Nie chodzi mu o nią- przerwała Beth. -- Barnesu kula właściwie nie interesuje. Zależy mu na "statku, w którym została znaleziona", ponieważ wedle teorii przystawalności najprawdopodobniej oplaci się grzebanie w statku, nie w kuli.

Teoria przystawalności wywoływała zakłopotanie u tych, którzy zastanawiali się nad istnieniem pozaziemskich cywilizacji. Astronomowie i fizycy rozważający możliwość kontaktu z inteligentnym życiem pozaziemskim w dość naiwny sposób wyobrażali sobie, iż ludzkość zaczerpnie z tego cudowne korzyści. Inni myśliciele -- filozofowie i historycy -- nie wierzyli w szansę skorzystania z czegokolwiek.

Dla przykładu astronomowie sądzili, iż jeśli dojdzie do kontaktu z pozaziemską cywilizacją, ludzkość będzie tak wstrząśnięta, że na Ziemi skończą się wszelkie wojny i nastanie nowa era pokojowego współżycia między narodami.

Historycy uważali to jednak za nonsens. Wskazywali, iż gdy Europejczycy odkryli Nowy Świat -- co było równie zmieniającym obraz rzeczywistości odkryciem -- na Starym Kontynencie bynajmniej nie ustały ciągle konflikty zbrojne. Wręcz przeciwnie: stały się jeszcze bardziej zacięte. Europejczycy po prostu uczynili z Nowego Świata przedłużenie istniejących wcześniej animozji. Stał się on kolejnym polem walki i jednocześnie terytorium spornym.

Astronomowie twierdzili, iż w przypadku kontaktu z pozaziemską cywilizacją dojdzie do wymiany informacji i technologii, co będzie stanowiło wielki impuls rozwojowy.

Historycy nauki również tę koncepcję uważali za nonsensowną. Wskazywali na fakt, iż to, co nazywamy "nauką", jest dość arbitralną koncepcją wszechświata, prawdopodobnie nie podzielaną przez inne istoty. Nasze ideały naukowe były ideałami zorientowanych na poznawanie świata za pomocą wzroku, małopodobnych stworzeń, lubujących się w przekształcaniu swego środowiska. Jeśli obcy byli ślepi i komunikowali się za pomocą zapachów, najprawdopodobniej całkowicie inaczej rozwinęła się również ich nauka, opisując całkowicie odmienny wszechświat. Być może rozwijali ją zupełnie innymi drogami. Mogli na przykład całkowicie zaniedbać badanie świata fizycznego, miast tego tworząc wyszukaną wiedzę o umyśle -- innymi słowy, dokonali czegoś wręcz odwrotnego niż na Ziemi. Obca technologia mogła mieć wyłącznie mentalny charakter, bez żadnego namacalnego oprzyrządowania.

Takie postawienie sprawy leżało u podstaw teorii przystawalności, która głosiła, iż jeśli obcy nie są w znacznym stopniu do nas podobni, żadna wymiana informacji z nimi nie będzie możliwa. Barnes oczywiście znał tę teorię, więc wiedział, że najprawdopodobniej badania obcej

kuli nie przyniosą wymiernych korzyści. Istniała jednak szansa, że użyteczne okażą się badania samego statku, ponieważ był on dziełem ludzi -- więc przystawalność ich technologii do naszej była prawie pełna.

Sklamał więc, by zatrzymać ich na dole. By kontynuować badania.

--Co zrobimy z sukinsynem? -- spytała Beth.

--Na razie nic -- odrzekł Norman.

--Nie chcesz mu stawić czoła? Chryste, marzę o tym.

--To niczemu nie posłuży -- zauważył Norman. -- Teda nic nie obchodzi, a ludzie z marynarki wypełniają rozkazy. Poza tym, gdyby nawet rzeczywiście załatwił zabranie nas na powierzchnię, odpłynęłabyś i zostawiłabyś Harry'ego w kuli?

--Nie -- przyznała Beth. -- Problem jest więc czysto akademicki. -- Jezu, Norman...

--Wiem, że ugrzęźliśmy tutaj i przez parę następnych dni nie możemy niczego zrobić. Na razie radźmy sobie z rzeczywistością najlepiej, jak zdołamy, a Barnes'a dopadniemy później.

--Możesz być pewny, że mu nie popuszczę.

--Świetnie. Ale nie teraz, Beth.

--Dobrze -- westchnęła. -- Nie teraz. Weszła po schodach.

Norman został sam. Wpatrzył się w konsolę. Wiedział już, jaki kawał pracy go czeka; musiał zadbać, by wszyscy zachowali spokój przez następne parę dni. Jeszcze nie zainteresował się systemem komputerowym habitatu; począł teraz naciskać klawisze. Wkrótce natrafił na materiały oznaczone jako BIOGRAMY CZŁONKÓW ZESPOŁU ULF Sięgnął głębiej.

Cywilni członkowie zespołu, 1. Theodore Fielding, astrofizyk geolog planetarny.

2. Elisabeth Halpern, zoolog biochemik.

3. Harold J. Adams, matematyk logik.

4. Arthur Levine, oceanolog biochemik.

5. John F. Thompson, psycholog.

Wybierz jedną osobę Norman z niedowierzaniem wpatrzył się w listę.

Znal Johna Thompsona, energicznego młodego psychologa z Yale. Thompson osiągnął światową renomę prowadząc badania nad psychologią ludów prymitywnych. Od roku siedział gdzieś na Nowej Gwinei, badając tubylcze plemiona.

Norman nacisnął kolejne klawisze.

PSYCHOLOG ZESPOŁU ULF: KOLEJNOŚĆ WYBORU

1. John F. Thompson, Uniwersytet Yale -- aprobowany.
2. William L. Hartz, Uniwersytet Kolumbii Brytyjskiej -- aprobowany.
3. Jeremy White, Uniwersytet Tennessee -- aprobowany warunkowo.
4. Norman Johnson, Uniwersytet Dakoty Południowej -- odrzucony (wiek).

Znał ich wszystkich, Bili Hartz z Berkeley był poważnie chory na raka. Jeremy White pojechał do Hanoi w czasie wojny wietnamskiej i nigdy nie otrzymałby akceptacji.

Zostawał więc jedynie Norman.

Zrozumiał teraz, dlaczego został wezwany jako ostatni. Zrozumiał, dlaczego był poddawany specjalnym badaniom. Poczul przyływ palącego gniewu na Barnesę, na cały system, przez który się tu znalazł, na to, że nikogo nie obchodził jego wiek ani bezpieczeństwo. W wieku pięćdziesięciu trzech lat Norman Johnson nie miał prawa znaleźć się tysiąc stóp pod powierzchnią oceanu w sprężonej atmosferze z dodatkiem gazów obojętnych -- i marynarka wiedziała o tym.

To oburzające, pomyślał. Miał ochotę wejść na górę i bez ogródek objechać Barnesę. Zakłamaną sukinsyn...

Ścisnął poręczę fotela i powtórzył sobie to, co powiedział Beth. Cokolwiek zdarzyło się do tej chwili, nic na to nie mogli poradzić. Naprawdę zmiesza Barnesę z błotem -- obiecał to sobie -- ale dopiero po wynurzeniu się na powierzchnię. Do tego czasu nie miało sensu robienie awantury.

Potrząsnął głową i zaklął.

Po czym wyłączył monitor komputera.

Godziny wlokły się jedna za drugą. Harry wciąż był w kuli. Tina poddała obraz zarejestrowany przez kamerę komputerowemu wzmocnieniu, starając się uwidocznić wnętrze kuli.

--Niestety, w habitacie dysponujemy komputerami o nie największej mocy obliczeniowej -- powiedziała. -- Gdybym mogła przekazać dane na powierzchnię pojemnym łączem, mogłabym porządnie nad tym popracować, ale tak... -- Wzruszyła ramionami.

Zaprezentowała im kilka powiększonych stopklatek otwartej kuli. Pojawiały się w jednosekundowych odstępach. Jakość była marna, na obrazie widniały zygzaki zakłóceń.

--Jedynie cechy wnętrza, jakie można dostrzec w tych ciemnościach -- zauważyła Tina, wskazując na wejście -- to owe liczne punktowe źródła światła. Oceniając kolejne klatki można wnosić, że się przemieszczają.

--Wygląda to, jakby kula była pełna robaczek świętojańskich -- skonstatowała Beth.

--Z wyjątkiem tego, że ich światło jest o wiele słabsze. Punkciki są bardzo liczne i sprawiają wrażenie, jakby w uporządkowany sposób poruszały się grupami.

--Chmara robaczek?

--Coś podobnego. -- Taśma się skończyła. Ekran zgasł.

--To wszystko? -- zapytał Ted.

--Obawiam się, że tak, doktorze Fielding.

--Biedny Harry -- przemówił żalobnym tonem Ted. Ze wszystkich właśnie on wydawał się najbardziej przejęty jego losem. Nie odrywał wzroku od monitora, na którym pojawił się obraz

zamkniętej kuli, i powtarzał: -- Jak on to zrobił? wtrącając co jakiś czas: -- Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Powtórzył to tyle razy, że w końcu Beth powiedziała:

--Chyba już poznaliśmy twoje uczucia, Ted.

--Naprawdę poważnie się o niego martwię.

--Ja również. My wszyscy o nim myślimy.

--Uważasz, że jestem zazdrosny, Beth? To właśnie mi zarzucasz?

--Dlaczego ktokolwiek miałby tak myśleć, Ted?

Norman zmienił temat. Unikanie konfliktów w grupie było sprawą o zasadniczym znaczeniu. Zapytał Teda o analizę danych dotyczących lotu, którą ten przeprowadził na statku.

--To bardzo ciekawe -- rozpoczął Ted, zapalając się do tematu. -- Zbadałem szczegółowo obrazy z pierwszej fazy lotu i upewniłem się, że widać na nich trzy planety. Uran, Neptun i Pluton, oraz bardzo małe Słońce w tle. Wskazuje to, iż zdjęć dokonano spoza orbity Plutona. Można z tego wnioskować, że czarna dziura znajduje się niedaleko poza granicami Układu Słonecznego.

--Czy to możliwe?

--Och, pewnie. W rzeczywistości od jakichś dziesięciu lat niektórzy astrofizycy podejrzewają, że tuż za Układem Słonecznym znajduje się jedna z nich niewielka, ot, taka sobie.

--Nie słyszałem o tym.

--To prawda. Niektórzy z nas sugerowali nawet, że jeśli jest wystarczająco niewielka, niedługo będzie się można po nią wyprawić, zabrać na orbitę okołoziemską i pozyskiwać z niej energię wystarczającą na pokrycie zapotrzebowania całej planety.

Barnes uśmiechnął się.

--Kowboje czarnych dziur?

--Teoretycznie nie ma powodów, dla których miałoby to być niemożliwe. Pomyślcie tylko: cała Ziemia uwolniłaby się od zależności od paliw kopalnych... Historia ludzkości uległaby całkowitej zmianie.

--Prawdopodobnie byłyby to również niesamowita broń -- powiedział Barnes.

--Nawet miniaturowa czarna dziura byłaby zbyt potężna, by wykorzystać ją jako broń.

--Uważasz więc, że statek wyprawił się, by schwytać czarną dziurę?

--Wątpię -- odparł Ted. -- Statek ma tak potężną konstrukcję, tak solidną osłonę przeciwradiacyjną, że podejrzewam, iż miał przez nią przelecieć. Co też uczynił.

--I dlatego cofnął się w czasie? -- spytał Norman.

--Nie jestem pewien -- zastanawiał się Ted. -- Rozumiecie, czarna dziura w rzeczywistości jest skrajem wszechświata. Nikt ze współczesnych nie ma tak naprawdę pojęcia, co się tam dzieje. Niektórzy jednak sądzą, że nie przelatuje się przez dziurę na wylot, że jakby odbija się od niej, jak kamyk ślizgający się po wodzie, i odskakuje w inny czas, przestrzeń lub wszechświat.

--Więc statek się od niej odbił?

--Tak, prawdopodobnie niejednokrotnie. Kiedy odbił się po raz ostatni, zrobił to za słabo i przybył kilkaset lat przed wyruszeniem.

--I podczas jednego z odbić znalazł właśnie to? -- spytała Beth, wskazując monitor.

Podążyli wzrokiem za jej gestem. Kula wciąż była zamknięta. Obok niej leżał jednak niezgrabnie rozciągnięty na posadzce Harry Adams.

Przez chwilę myśleli, że nie żyje. Potem uniósł głowę i jęknął.

BADANY

Norman zapisał w swym notesie:

Badany to trzydziestoczteroletni czarny matematyk, który spędził trzy godziny \ve wewnątrz kuli niewiadomego pochodzenia. W momencie odnalezienia znajdował się w stanie odrętwienia; nie potrafił podać swego nazwiska, nie wiedział, gdzie się znajduje ani jaki jest rok. Został zabrany do habitatu. Po półtorej godziny snu niespodziewanie obudził się, uskarżając na ból głowy.

--O Boże.

Harry siedział na swej koi. Z jękiem chwycił się za głowę.

--Boli? -- spytał Norman. -- Okrutnie. Łupie. -- Coś jeszcze?

--Pić mi się chce. -- Harry oblizwał wargi. -- Chryste, jak mi się chce pić. Wyjątkowe pragnienie, zapisał Harry.

Rosę Levy, kuk, pojawiła się ze szklanką lemoniady. Norman przekazał ją Harry'emu, który wypił napój jednym haustem i oddał próżną.

--Jeszcze.

--Niech pani lepiej przyniesie dzbanek -- poradził Norman. Rosę Levy wyszła. Norman odwrócił się do Harry'ego, wciąż trzymającego się za głowę i jęczącego. Rzekł:

--Mam do ciebie pytanie. -- Jakie?

--Jak się nazywasz?

--Norman, nie potrzebuję teraz psychoanalizy.

--Powiedz mi tylko, jak się nazywasz.

--Harry Adams, na miłość boską. Co cię ugryzło? Chryste, moja głowa!

--Nie pamiętałeś tego wcześniej, kiedy cię znaleźliśmy -- powiedział Norman.

--Kiedy mnie znaleźliście? -- spytał Harry. Znow sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

Norman skinał głową.

--Przypominasz to sobie?

~ Musiałem być... na zewnątrz.

--Na zewnątrz?

Harry nagle spojrzał gniewnie na Normana:

--Na zewnątrz kuli, cholerny idioto! A jak myślisz, o czym ja mówię?

--Nie przejmuj się, Harry.

--Do szalu mnie doprowadzają twoje pytania!

--No dobrze, dobrze, nie przejmuj się.

Labilność emocjonalna. Gniew i drażliwość -- zapisał kolejną obserwację Norman.

--Musisz tak hałasować? Zaskoczony Norman podniósł wzrok.

--Twoje pióro -- wyjaśnił Harry. -- Wydaje odgłos jak wodospad Niagara. Norman przestał pisać. Harry musiał mieć silny atak migreny. Przytrzymał delikatnie dłońmi głowę, jak gdyby była ze szkła.

--Dlaczego nie mogę dostać aspiryny, na miłość boską?

--Na razie nie chcemy ci czegokolwiek podawać, na wypadek gdyby coś ci się stało. Musimy wiedzieć, gdzie cię boli.

--Norman, boli mnie głowa. Moja cholerna głowa! Dasz mi teraz aspirynę?

--Barnes zabronił.

--Barnes jeszcze tu jest?

--Wszyscy tu jeszcze jesteście. Harry powoli podniósł głowę.

--Ale mieliście wypłynąć na powierzchnię -- Wiem. \$

--Dlaczego tego nie zrobiliście?

--Pogoda się popsowała i nie można było wysłać po nas łodzi.

--Cóż, powinniście odpłynąć. Nie powinno was tutaj być. Rosę Levy wróciła z lemoniadą.

Harry przyglądał się jej pijąc.

--Pani też jeszcze tu jest?

--Tak, doktorze Adams.

--Ilu ludzi w ogóle zostało na dnie?

--Dziewięcioro, proszę pana -- odpowiedziała Rosę.

--Jezu -- podał jej szklankę. Rosę napełniła ją ponownie. -- Powinniście wszyscy odpłynąć.

Nie powinno was tu być.

--Harry -- rzekł Norman. -- To niemożliwe.

--Musicie.

Norman usiadł na koi naprzeciw Harry'ego i przyglądał się, jak pije. Harry zdradzał dość typowe objawy wstrząsu: podniecenie, drażliwość, nerwowość, maniackalny natłok idei, niewytłumaczalny lęk o bezpieczeństwo innych -- wszystko to było typowe dla zszokowanych ofiar wypadków lotniczych i samochodowych. Poddany gwałtownym bodźcom mózg usiłował się przystosować, znaleźć wytłumaczenie wydarzeń, ocalić spokój, choć otoczenie znalazło się w chaosie. Mózg jak gdyby jechał na rezerwie mocy, spieszenie starając się stworzyć nowy porządek rzeczy, ustawić je sobie we właściwej perspektywie, odzyskać równowagę. Mimo to zachodziło jedynie umysłowe kręcenie się w kółko.

Trzeba to było przeczekać.

Harry skończył pić lemoniadę i oddał szklankę.

--Jeszcze? -- spytała Rosę Levy.

--Nie, już wystarczy. Ból trochę zelżał.

Może to odwodnienie, pomyślał Norman. Dlaczego jednak Harry miałby cierpieć na odwodnienie po trzech godzinach spędzonych w kuli? -- Harry...

--Powiedz mi coś, Norman. Czy wyglądam inaczej? -- Nie.

--Nie zmieniłem się?

--Wydaje się, że nie.

--Jesteś pewien? -- upewnił się Harry. Zerwał się na nogi i podszedł do lusterka umocowanego na ścianie. Przypatrzył się swej twarzy.

--Jak oceniasz swój wygląd? -- zainteresował się Norman.

--Bo ja wiem? Chyba wyglądam inaczej. -- Wjaki sposób?

--Nie wiem! -- Harry rąbnął pięścią w wykładaną ścianę koło lustra. Jego odbicie zadrżało.

Odwrócił się i usiadł na koi. Westchnął. -- Po prostu inaczej.

--Harry...

--Tak?

--Pamiętasz, co się zdarzyło? -- Oczywiście.

--Co się stało?

--Wszedłem do środka.

Norman czekał, lecz Harry nie kontynuował, wpatrywał się jedynie w pokrytą wykładziną posadzkę.

--Przypominasz sobie, jak otworzyłeś wejście? Harry nie odpowiedział.

--Jak je otworzyłeś, Harry?

Harry podniósł wzrok na Normana,

--Mieście wszyscy odpłynąć. Wrócić na powierzchnię. Nie powinniście byli zostać.

--Jak otworzyłeś wejście, Harry? Zapanowało długie milczenie.

--Otworzyłem je -- powiedział w końcu Harry, prostując się i wyciągając ręce wzdłuż boków. Zdawało się, że jeszcze raz to przeżywa we wspomnieniach.

--A później?

--Wszedłem do wnętrza. -- I co tam się stało? -- Było pięknie...

--Co było pięknego?

--Piana -- wyjaśnił Harry, po czym ponownie zamilkł, wpatrując się nieobecny spojrzeniem w przestrzeń.

--Piana? -- ponaglił go Norman.

--Morze. Piana. Piękne...

Czy mówi o światełkach? -- zastanawiał się Norman. O wirujących układach świateł?

--Co tam było takiego pięknego, Harry?

--Słuchaj, nie nabieraj mnie -- poprosił Harry. -- Obiecuj, że nie będziesz mnie nabierać.

--Obiecuję.

--Uważasz, że wyglądam tak samo?

--Tak, tak sądzę.

--Uważasz, że w ogóle się nie zmieniłem?

--Przynajmniej nie tak, bym mógł to dostrzec. A ty sądzisz, że się zmieniłeś?

--Nie wiem. Może. Ja... może.

--Czy w kuli stało się coś, co mogło cię zmienić?

--Nie rozumiesz, o co chodzi.

--Więc mi to wyjaśnij -- zaproponował Norman.

--W kuli nic się nie stało.

--Byłeś tam przez trzy godziny.

--Nic się nie stało. W kuli nic się nie dzieje. W środku jest zawsze tak samo.

--To znaczy jak? Jest tam piana?

--Piana jest ciągle inna. Kula jest zawsze taka sama.

--Nie rozumiem -- stwierdził Norman.

--Wiem -- rzekł Harry i potrząsnął głową. -- Co na to poradzę?

--Opowiadaj dalej.

--To już wszystko.

--Opowiedz mi jeszcze raz.

--To nic nie da -- powiedział Harry. -- Jak myślisz, wynurzymy się niedługo?

--Barnes mówi, że najwcześniej za parę dni.

--Myślę, że powinniście natychmiast odpłynąć. Porozmawiaj z resztą, przekonaj ich.

Spraw, żeby odpłynęli.

--Dlaczego, Harry?

--Nie mogę... nie wiem. -- Harry potarł powieki i położył się na koi. -- Musisz mi wybaczyć -
- mruknął -- ale jestem bardzo zmęczony. Może dokończymy innym razem. Porozmawiaj z
innymi, Norman. Skłoń ich do odpłynięcia. Pozostanie tu jest... niebezpieczne.

Opuścił głowę i zamknął powieki.

ZMIANY

--Śpi -- poinformował Norman resztę ekipy. -- Jest w szoku, ma kłopoty z orientacją, ale wydaje się, że nic poważnego mu się nie stało.

--Co ci powiedział o pobycie w kuli? -- zapytał Ted.

--Jest dość splątany -- odparł Norman -- ale wraca do siebie. Kiedy go znaleźliśmy, nawet nie pamiętał swojego nazwiska. Teraz pamięta. Pamięta też moje; wie, gdzie się znajdujemy. Przypomina sobie, że wszedł do wnętrza kuli. Uważam, że przypomina sobie też, co się tam stało, ale po prostu o tym nie mówi.

--Wspaniale -- rzekł Ted.

--Wspominał o morzu i pianie, ale nie zrozumiałem dobrze, o co mu chodziło.

--Wyjrzyjcie na zewnątrz -- powiedziała Tina, wskazując iluminatory. Norman natychmiast odniósł wrażenie, iż czerni oceanu wypełniają tysiące drobnych światełek. Jego pierwszą reakcją była pozbawiona refleksji zgroza: oto dobierały się do nich światełka z kuli. Dopiero po chwili dostrzegł, że wszystkie miały wyraźny kształt i poruszały się węzowymi ruchami.

Przyciskając twarze do iluminatorów wyglądali na zewnątrz.

--Kałamarnice -- orzekła wreszcie Beth. -- Kałamarnice obdarzone bioluminescencją.

--Są ich tysiące.

--Więcej -- poprawiła. -- Sądzę, że wokół całego habitatu jakieś pół miliona. -- Piękne.

--Zdumiewająca jest wielkość ławicy.

--Nadzwyczajna, ale nie zdumiewająca -- oznajmiła Beth. -- Płodność morza jest o wiele większa niż lądu. Życie najpierw pojawiło się w morzu i tam właśnie najpierw doszło do intensywnej konkurencji między gatunkami. Jedną z reakcji w takiej sytuacji jest wydawanie wielkiej liczby potomstwa. Tak czyni wiele morskich stworzeń. Zazwyczaj myślimy, że wyjście zwierząt na ląd było pozytywnym krokiem w ewolucji. Prawda jest jednak taka, że pierwsze stworzenia, które się na nim znalazły, zostały po prostu wypędzone z morza. Usiłowały jedynie uniknąć konkurencji. Wyobraźcie więc sobie pierwsze ryby dwudyszne wylazące na plażę i dźwigające łby, by ujrzeć olbrzymie obszary lądu, suchego, ale pozbawionego wszelkiej konkurencji. Musiał być dla nich ziemią obiecaną... -- Beth urwała i odwróciła się do Barnes'a. -- Szybko, gdzie trzymacie sieci na okazy?

--Nie życzę sobie, żeby pani wychodziła.

--Muszę -- rzuciła Beth. -- Te kałamarnice mają sześć odnóży. -- Noi...?

--Nauce nie są znane jakiegokolwiek gatunki kałamarnic z sześcioma mackami. To jakiś nie opisany gatunek, muszę zebrać okazy.

Barnes poinformował ją, gdzie znajduje się szafka z wyposażeniem. Natychmiast tam poszła. Norman z nowym zainteresowaniem wpatrzył się w ławicę kałamarnic.

Zwierzęta miały około stopy długości i wydawały się przezroczyste. Ich wielkie oczy były wyraźnie widoczne w lśniących niebieskich ciałach.

Po kilku minutach wśród ławicy ukazała się wyprostowana sylwetka Beth, wymachującej siatką do łowienia okazów. Kilka kałamarnic gniewnie wyrzuciło z siebie atramentowe obłoki.

--Sprytne maleństwa -- skomentował Ted. -- Wiecie, historia powstania atramentu kałamarnic jest bardzo interesująca...

--Co państwo powiedzą na kałamarnice na obiad? -- zapytała Rosę Levy.

--Do diabła, nie -- odparł Barnes. -- Jeśli to rzeczywiście nie znany gatunek, nie będziemy go jeść. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby wszyscy się pozatruwali.

--Bardzo rozsądnie -- orzekł Ted. -- I tak nigdy nie lubiłem kalmarów. Sposób poruszania się interesujący, ale w smaku przypominają gumę.

W tym momencie rozległo się brzęczenie i włączył się jeden z monitorów. Gdy zwrócili na niego wzrok, właśnie wypełniał się rzędami cyfr.

0003212525263203262930132104261037183016061

808213229033005182204261013083016213716040

83016211822033013130432000321252526320326

2930132104261037183016061808213229033300518

220426101308301623711604083016211822033013

1304320003212525263203262932104261037183016

0618082132290330051822042610130830162137

16040830162118220330131304320003212525263

203262930132104261037183016061808213229033

005182204261013083016213716040830162118220

3301313043200032125252632032629301321042610

3718301606180821322903300518220426101308

301621371604083162118220330131304320003212

525263203262930132104261037183016061808213

229033005182204261013083016213716040830162

--Skąd to pochodzi? -- zapytał Ted. -- Z powierzchni? Barnes potrząsnął głową.

--Mamy odcięty bezpośredni kontakt z powierzchnią.

--Więc w jakiś sposób jest przekazywane pod wodą?

--Nie -- odrzekła Tina. -- To zbyt szybkie jak na przekaz podwodny.

--Jest jeszcze jakiś komputer w DH- 8? Nie? A w DH- 7?

--DH- 7 jest teraz pusty. Nurkowie zostali przetransportowani na powierzchnię.

--Więc skąd to pochodzi?

--Wygląda mi to na ciąg losowy -- rzekł Barnes. Tina pokiwała głową.

--To może być opróżnienie się którejs z pamięci buforowych w systemie. Przełączyliśmy się na wewnętrzne zasilanie z diesli...

--To pewnie właśnie to -- przytaknął Barnes. -- Wyladowanie pamięci buforowej przy przełączeniu zasilania.

--Myślę, że trzeba to zarejestrować -- powiedział Ted, wpatrując się w ekran. Na wypadek gdyby to była wiadomość.

--Wiadomość skąd? -- Z kuli.

--Cholera -- rzucił Barnes. -- To niemożliwe.

--Skąd pan wie?

--Bo nie istnieje sposób, w jaki można by ją przekazać. Nie jesteśmy z niczym połączeni, a już na pewno nie z kulą. Musiała wyrzucić to któraś z pamięci naszego komputera.

--Jak wielka jest łącznie ta pamięć?

--Sporo tego. Chyba coś koło dziesięciu gigabajtów.

--Może hel tak wpłynął na kostki -- domyślała się Tina. -- Może to wpływ wysokiego ciśnienia.

--Jednak uważam, że trzeba to zarejestrować.

Norman wpatrywał się w ekran. Nie był matematykiem ale w życiu napatrzył się na mnóstwo statystyk, wyszukując klucze do danych. Ludzki mózg był dość dobry właśnie w czymś takim -- wyszukiwaniu regularności w graficznym materiale. Norman nie był w stanie wskazać tego palcem, ale coś podobnego wyczuwał i w rzędach cyfr. Powiedział:

--Mam wrażenie, że nie jest to ciąg losowy.

--Więc zatrzymajmy to -- zdecydował Barnes.

Tina podeszła do klawiatury. Gdy tylko dotknęła klawiszy, cyfry zniknęły z ekranu.

--I to by było na tyle -- skomentował Barnes. -- Przepadło. Szkoda, że nie było z nami Harry'ego.

--Taa -- powiedział ze smutkiem Ted. -- Fatalnie.

ANALIZY

--Przyjrzyj się tylko -- powiedziała Beth. -- Ta jeszcze żyje.

Norman znajdował się z nią w niewielkim laboratorium biologicznym pod wierzchołkiem Cylindra D. Nikt nie korzystał z niego od czasu, gdy tu przybyli, ponieważ nie natrafiono na żadne żywe stworzenia Teraz, przy wyłączonych światłach, Norman i Beth przyglądali się kałamarnicy pływającej w szklanym zbiorniku.

Stworzenie wyglądało na delikatne. Błękitna luminescencja skupiała się w pasach wzdłuż jego grzbietu.

--Tak -- rzekła Beth. -- Struktury bioluminescencyjne wydają się zlokalizowane grzbietowo. To oczywiście bakterie.

--Słucham?

--Znajdują się w polach wykazujących bioluminescencję. Kałamarnice nie potrafią same wytwarzać światła, robią to za nie bakterie. Świecące zwierzęta po prostu wchłonęły bakterie w swe ciała. To właśnie je widać, jak przeświecają przez skórę.

--Więc przypomina to infekcję?

--Tak, na swój sposób.

Wielkie oczy kałamarnicy wpatrywały się przed siebie. Macki się poruszały.

--Widać też wszystkie organy wewnętrzne -- stwierdziła Beth. -- Mózg jest ukryty za okiem. Ten pęcherzyk to gruczoł pokarmowy, a poniżej jest serce widzisz, jak bije? To coś dużego na przedzie to gonada, a od żołądka odchodzi swego rodzaju tunel -- właśnie tędy wydostaje się atrament, pozwalając kałamarnicy przemieszczać się.

--To rzeczywiście nowy gatunek? -- spytał Norman. Westchnęła.

--Nie wiem. Jej budowa wewnętrzna jest bardzo typowa. Mimo to należałoby zaklasyfikować ją jako nowy gatunek ze względu na mniejszą liczbę odnóży.

--Nazwiesz ją *Squidus bethust* -- zapytał Norman. Uśmiechnęła się.

--*Architeuthis bethis* -- odparła. -- Brzmi jak określenie dentystyczne. *Architeuthis bethis*: trzeba popracować nad kanałem zęba.

--No i jak, doktor Halpern? -- zapytała Rosę Levy, wtykając głowę w wejście. -- Szkoda by było zmarnować dobre pomidory i pieprz. Naprawdę te kałamarnice są trujące?

--Wątpię -- odpowiedziała Beth. -- Niczego takiego o nich nie wiadomo. Proszę się nie przejmować i je przyrządzić -- zwróciła się do Rosę. -- Chyba nic się nam nie stanie.

Gdy Rosę zniknęła, Norman rzekł:

--Myślałem, że nie zjadasz już takich stworzeń.

--Tylko ośmiornic -- odparła Beth. -- Ośmiornice są sprytne i inteligentne. Kałamarnice są raczej... nieprzyjemne.

--Nieprzyjemne?

--No, uprawiają kanibalizm i mają inne obrzydliwe zwyczaje... -- Uniosła brew. -- Znowu poddajesz mnie psychoanalizie?

--Nie, byłem po prostu ciekaw.

--Jako zoolog powinno się być obiektywnym -- powiedziała Beth -- jednak, jak każdy inny człowiek, mam swoje upodobania i uprzedzenia. Ośmiornice darzę sympatią. Wiesz, są rzeczywiście sprytne. Miałam kiedyś w laboratorium taką, która nauczyła się zabijać karaluchy i wykorzystywać je na przynętę dla krabów. Ciekawe kraby zbliżały się, by obejrzeć martwe

karaluchy, a wtedy ona wyskakiwała z ukrycia i je chwyciła. W rzeczywistości ośmiornice są tak inteligentne, że najpoważniejszym ograniczeniem dla nich jest długość życia. Wynosi ona jedynie trzy lata, a to za mało, aby rozwinąć coś tak skomplikowanego jak kultura czy cywilizacja. Być może, gdyby żyły równie długo jak my, opanowałyby świat. Kałamarnice są jednak całkowicie odmienne. Nic do nich nie czuję, z wyjątkiem tego, że ogólnie ich nie lubię.

Uśmiechnął się.

--Cóż, w końcu przynajmniej ty znalazłaś coś nowego w czasie tej wyprawy.

--Wiesz, to śmieszne -- zauważyła. -- Przypominasz sobie, jak tu było pusto? Niczego nie było widać na dnie.

--Zgadza się. Zdumiewające.

--Aby dostać się do kałamarnic, musiałam okrążyć habitat. Na dnie jest teraz pełno ukwiałów. Najprzeróżniejszych, purpurowych, niebieskich, żółtych; przepięknych. Niektóre z nich są dość spore.

--Uważasz, że zdążyły wyrosnąć?

--Nie, musiały już tam być, tylko nigdy tam nie zaglądaliśmy. Muszę to zbadać później. Chcę się dowiedzieć, dlaczego są skupione właśnie w tym miejscu, koło habitatu.

Norman podszedł do iluminatora. Włączył zewnętrzne lampy habitatu, by oświetlić dno. Rzeczywiście było widać mnóstwo wielkich purpurowych, różowych i błękitnych ukwiałów, łagodnie kołyszących się z prądem. Ciągnęły się po kres światła lamp.

--Na swój sposób to uspokajające -- powiedziała Beth. -- Znajdujemy się głębiej niż większość żyjących w morzu organizmów, które występują na pierwszych stu stopach głębokości. Mimo to okazuje się, że przebywamy w jednym z najobfitszych i najbardziej zróżnicowanych morskich środowisk na świecie. Naukowcy stwierdzili, że liczba gatunków gąbek i koralów w południowym Pacyfiku jest większa niż gdziekolwiek indziej na Ziemi. Cieszę się, że w końcu coś znaleźliśmy -- dokończyła. Spojrzała na półki z odczynnikami i konserwantami. I cieszę się, że wreszcie mam coś do roboty.

Harry siedział w jadalni i jadł jajecznicę na bekonie. Pozostali sterczeli przy nim zadowoleni, że nic mu się nie stało. Przekazali mu najnowsze wiadomości; wysłuchał ich z zaciekawieniem, dopóki nie wspomniano o wielkiej ławicy kałamarnic.

--Kałamarnice? -- Podniósł raptownie wzrok i o mało nie upuścił widelca.

--Tak, całe mnóstwo -- potwierdziła Rose Levy. -- Gotuję parę na obiad.

--Wciąż tu są? -- spytał.

--Nie, już odpłynęły. Odprężył się, opuścił ramiona.

--Coś nie w porządku, Harry? -- spytał Norman.

--Nienawidzę kałamarnic -- odpowiedział. -- Nie znoszę ich.

--Mnie tam nie obchodzi smak -- zadeklarował Ted.

--Obrzydliwe -- rzekł Harry. Wrócił do jedzenia jajecznicy. Napięcie ustąpiło.

Po chwili Tina zawołała z Cylindra D:

--Znów to odbieram! Znów pojawiły się cyfry!

00032125252632 032629 301321 04261037 18 3016 06180 82132 29033005 1822 04261013
0830162137 1604 083016 21 1822 033013130- 432 00032125252632 032629 301321 O 4261037
18 3016 0618082132 29033005 1822 04261013 08 30162137 1604 08301621 1822 033013130432
000321252 52632 032629 301321 04261037 18 3016 0618082132 290 33005 1822 04261013

0830162137 1604 08301621 1822 03 3013130432 00032125252632 032629 301321 04261037 18
3016 0618082132 29033005 1822 04261013 0830162137 1604 08301621 1822 033013130432
00032125252632 032 629 301321 04261037 18 3016 0618082132 29033005 1822 04261013
0830162137 1604 08301621 1822 033013130432 000321 25252632 032639 301321 04261037 18
3016 06 18082132 29033005 1822 04261013 0830162137 1604 083 01621 1822 033013130432
0003212525632 032629

--Co o tym myślisz, Harry? -- zapytał Barnes, wskazując ekran.

--Przypomina to, co pojawiło się wcześniej? -- spytał Harry.

--Tak, z tym że tu wprowadzono odstęp.

--Zdecydowanie nie jest to ciąg losowy -- orzekł Harry. -- To wielokrotnie powtórzona pojedyncza sekwencja. Spójrzcie: tu się zaczyna, ciągnie do tego miejsca, po czym się powtarza.

00032125252632032629 301321 04261037 18 3016 06180 82132290330051822 04261013
0830162137 1604 083016 21 1822 033013130432 00032125252632 032629 301321 0 4261037 18
3016 0618082132 29033005 1822 042610013

33005 1822 04261013 0830162137 1604 08301621 1822 03 3013130432 0032125252632
0326629 301321 04261037 18 3016 0618082132 29033005 1822 042610013 0830162137 1604
08301621 1822 033013130432 00032125252632 032 629 301321 04261037 18 3016 0618082132
29033005 1822 04261013 0830162137 1604 08301621 1822 033013130432 000321 25252632
032629 301321 04261037 18 3016 06 18082132 29033005 1822 04261013 0830162137 1604 083
01621 1822 033013130432 0003212525632 032629

--To prawda -- potwierdziła Tina.

--Fantastyczne -- zachwycił się Barnes. -- Absolutnie niewiarygodne, że pan w tym coś dostrzegł.

Ted niecierpliwie postukał palcami po konsoli.

--Elementarne, drogi Barnesie -- powiedział Harry. -- Ta część była łatwa. Przed nami trudniejsza: co to znaczy?

--Niewątpliwie to wiadomość -- skostatował Ted.

--Prawdopodobnie -- uściślił Harry. -- Może to być również opróżnienie zawartości pamięci komputera, skutek błędu w programowaniu czy wadliwego działania któregoś z układów. Możemy stracić godziny na przetłumaczenie tego i dojść, że znaczy to jedynie coś w stylu: "Copyright Acme Computer Systems, Silicon Valley".

--Cóż...

--Najbardziej prawdopodobne jest to, iż ciąg pochodzi z samego komputera -- powiedział Harry. -- Spróbuję jednak coś z tego wycisnąć.

Tina wydrukowała dla niego ciąg cyfr z ekranu.

--Ja też chcę spróbować -- oznajmił szybko Ted.

--Oczywiście, doktorze Fielding -- rzekła Tina i wydrukowała dla niego drugi arkusz.

--Jeśli to wiadomość -- zastanawiał się Harry -- najprawdopodobniej jest sporządzona w kodzie substytucyjnym, takim jak choćby w więziennym stukaniu w ścianę. Przydałoby się wprowadzić program dekodujący do komputera. Potrafi to ktoś zaprogramować?

Potrząsnęli głowami.

--A pan? -- spytał Barnes.

--Nie. I zakładam, że nie ma sposobu przekazać tego na powierzchnię? Łamiącym kody komputerom Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w Waszyngtonie rozpracowanie tego zabrałoby jakieś piętnaście sekund.

Barnes potrząsnął głową.

--Nie mamy kontaktu. Nawet nie warto wysłać na powierzchnię balonu ciągnącego antenę. W ostatnim doniesieniu informowali o czterdziestostopowych falach na powierzchni. Od razu zerwałyby kabel.

--Jesteśmy więc odizolowani? -- Owszem.

--Czyli wracamy do papieru i ołówka. Zawsze mówiłem, że tradycyjne narzędzia są najlepsze, zwłaszcza gdy nie dysponuje się niczym innym. -- Z tymi słowami wyszedł.

--Wydaje się, że jest w dobrym nastroju -- powiedział Barnes.

--Powiedziałbym nawet, że w bardzo dobrym -- stwierdził Norman.

--Może trochę za dobrym -- dodał Ted. -- Nieco maniakalnym?

--Nie -- zaprzeczył Norman. -- Po prostu w dobrym.

--Wyglądał, jakby coś zażył -- powiedział Ted.

--Mniejsza o jego nastroje, byleby złamał ten kod -- rzekł Barnes.

--Ja też zamierzam spróbować -- przypomniał mu Ted.

--Świetnie -- odparł Barnes. -- Niech i pan się postara.

TED

--Mówię ci, że nie ma co pokładać takiego zaufania w Harrym. -- Ted chodził w tę i z powrotem oglądając się na Normana. -- Harry dostał manii i przegapia rzeczy oczywiste. Najoczywistsze.

--Na przykład?

--Fakt, iż wiadomość nie może być wynikiem opróżnienia się pamięci komputera.

--Skąd wiesz? -- spytał Norman.

--Procesor -- stwierdził Ted. -- W tym komputerze procesor to czip 68090, co oznacza, że wszystko, co wyrzuciłby z pamięci, poszłoby szesnastką.

--Co to znaczy szesnastką?

--Istnieje mnóstwo sposobów zapisu liczb -- wyjaśnił Ted. -- Kostka 68090 wykorzystuje zapis szesnastkowy, zwany też heksadecymalnym. Jest on całkowicie odmienny od dziesiętnego i inaczej wygląda.

--W wiadomości były jednak cyfry od zera do dziewięciu -- powiedział Norman.

--Właśnie o to mi chodzi -- rzekł Ted. -- Nie mogło więc to wyjść z komputera. Nie mam wątpliwości, że wiadomość pochodzi z kuli. Co więcej, choć Harry uważa to za kod substytucyjny, ja sądzę, że jest to bezpośredni przekaz graficzny.

--To znaczy rysunek?

--Tak -- potwierdził Ted. -- I sądzę, że jest to autoportret znajdującej się w nim istoty! -- Zaczął grzebać wśród arkuszy papieru. -- Zacząłem od tego.

0011101011100111001110101000001111010

1111011011010110011010101010010110010

1110100001101001010001010110000011101111110101 1001010110 1001101010101101
10001111010000101001100101 1000

1000111101000010101 1001010110 111111011011101100100

001110101110011100111010100000 111101011101 11110110110101 100110101010100101
10010 1111010000 11010010100010101100000

11101111110101 1001010110 1001101010101000111101000010101

00101 10000100 1000111101000010101 1001010110 11111101101101100

00001110101110011100111010100000 111101011101 111101000011010001

0100010101100000 11101111110101 100101011010011010101011011110

1111110101 1001010110 1001101010101101 1000111101000010101100101 1000

--Tak wygląda wiadomość przełożona na kod dwójkowy -- poinformował Ted. -- Od razu rzuca się w oczy, że jest to przekaz wizualny, prawda?

--Niezupełnie- powątpiewał Norman.

--No cóż, jest to dość sugestywne -- stwierdził nie zniechęcony Ted. -- Mówię ci, spędziwszy tyle lat w JPL na wpatrywaniu się w zdjęcia powierzchni planet, wyrobiłem sobie oko. Następnie więc wróciłem do pierwotnej wersji przekazu i wypełniłem wolne miejsca. Wyszło coś takiego.

00032125252632<<032629>>301321<<>04261037>>18>>

2016>>0618082132>><<29033005>>1822<<04261 013

0830162137>>1604<<08301621<<1822>><<033013130432<<

00032125252632 032629<<>301321>><<04261037>><<18>>

3016<>0618082132>><29033005>>1822<>04261 013>>
0830162137>><1604>><08301621<>1822>>033013130432<<
00032125252632<>032629>>301321>>04261 037>><18>>
3016<>0618082231>>29033005>>1822<>04261013>>
0830162137<>1604>>08301621>><1822<<033013130432<<
00032125252632>>032629>>301321>><04261037>><18<<
3016>>0618082132<<29033005>><1822<<04261013<<
0830162137>><1604<>08301621>><1822<>03301313432<<
00032125252632>><032629<>301321>>04261037<<18>>
3016>><0618082132>><29033005>><1822>><04261013<<
0830162137>><1604>><08301621<<1822>><03301323432>>
00032125252632>><032629<>301321>><04261037>>18<<
30.16<<0618082132<>29033005<<1822>>04261013>>
0830162137>><1604>><08301621>>1822>><03301313432<<
00032125252632>><032629<>301321>>04261037>><18>>
3016>><0618082132<>29033005>><1822<>04261013>>
0830162137>><1604 <08301621>>1822<<03301313432<<
00032125252632>>032629>>301321>>04261037>>18>>

3016<>0618082132>><29033005<<1822>>04261013>>

0830162137>><1604>><08301621>>1822>><03301313432<<00032125252632>>032629>>301321>><04261037>><18>>

--Yhmmmm- mruknął Norman.

--Zgadzam się, że to nijak nie wygląda -- przyznał Ted. -- Zmieniając jednak szerokość ekranu, otrzymujemy coś takiego. Z dumą podniósł kolejny arkusz.

0032125252632»«032629»«301321»
04261037»«18»«3016»0618082132»29033005«
1822»04261013»«0830162137»«1604»
08301621»«1822»«033013130432»
00032125252632»«032629»«301321»«04261037»
18»3016»0618082132»29033005»1822»
04261013»0830162137»1604»08301621»
1822»«033013130432»«00032125252632»
032629»301321»«04261037»«18»«3016»
0618082132»«29033005»1822»«04261 013
0830162137»«1604»08301621»«1822»
033013130432»«00032125252632»032629»
301321»«04261037»18»3016»«0618082132»
29033005»1822»«04261013»0820162137»
1604»08301621»1822»«033013130432»
00032125252632»«032629»301321»«04261037»
18»3016»«0618082132»29033005»1822»
04261013»0830162137»«1604»«08301621»
1822»«033013130432»«00032125252632»
032629»«301321»«04261037»18»«3016»

--Tak? -- powątpiewał Norman.

--Nie mów mi, że nie widzisz wzoru -- powiedział Ted.

--Niestety, nie widzę -- stwierdził Norman.

--Przyjrzyj się dobrze. Norman przyjrzał się. -- Przykro mi.

--Ale to niewątpliwie obraz tej istoty -- przekonywał Ted. -- Spójrz, ten pionowy zarys to tułów, trzy nogi, tu dwie ręce. Nie ma głowy, więc prawdopodobnie jej mózg mieści się w tułowiu. Musisz to zobaczyć, Norman.

--Ted...

--Choć raz Harry się absolutnie pomylił! Wiadomość to nie tylko przekaz graficzny, to autoportret!

--Ted...

Ted odchylił się na oparcie i westchnął.

--Pewnie mi powiesz, że za bardzo się staram.

--Nie chciałbym przytłumiać twojego entuzjazmu... -- zawiesił głos Norman.

--Ale nie widzisz obcego?

--Nie, rzeczywiście nie widzę.

--Szlag. -- Ted odrzucił arkusze na bok.

--Nie cierpię tego sukinsyna. Jest taki arogancki. Doprowadza mnie do szału... A do tego wszystkiego to młodzik!

--Masz czterdziestkę -- rzekł Norman. -- Nie nazwałbym tego jeszcze podeszłym wiekiem.

--Dla fizyków tak jest -- powiedział Ted. -- Biologom udaje się czasem dokonać ważnych

odkryć w starości. Darwin miał pięćdziesiąt lat, publikując Pochodzenie gatunków. Chemikom czasami udaje się dojść do niezłych wyników jeszcze później. Z fizykami jednak jest tak, że jak nie dokona się niczego w wieku trzydziestu pięciu lat, najprawdopodobniej już nie zrobi się tego nigdy.

--Słuchaj, Ted, przecież jesteś szanowany w swej dziedzinie. Ted potrząsnął głową.

--Nigdy nie stworzyłem fundamentalnego dzieła. Analizowałem dane, dochodziłem czasem do interesujących wniosków, nigdy jednak do czegoś autentycznie wielkiego. Ta ekspedycja to dla mnie szansa, żeby rzeczywiście coś osiągnąć. By... umieścić moje nazwisko w podręcznikach.

Norman musiał inaczej ocenić entuzjazm, energię i niespożyte młodzińcze zachowanie Teda. Ted nie był zahamowany w rozwoju emocjonalnym; wiodła go idea. Kurczowo chwycił się swej młodości z poczuciem, że wyślizguje się mu, podczas gdy on nie doszedł jeszcze do niczego znaczącego. Nie było to nieprzyjemne, jedynie smutne.

--Cóż -- pocieszył go Norman. -- Ekspedycja się jeszcze nie skończyła.

--Nie -- podchwycił Ted, rozpromieniając się niespodziewanie. -- Masz rację. Masz absolutną rację. Czeka nas jeszcze mnóstwo wspaniałych doświadczeń. Wiem, że tak będzie. Mnóstwo się jeszcze wydarzy, prawda?

--Tak, Ted -- zgodził się Norman. -- Mnóstwo się jeszcze wydarzy.

BETH

--Do cholery, nic nie reaguje! -- Beth machnęła ręką w stronę półki laboratoryjnej. --

Żaden z tych przeklętych odczynników nie jest wart złamanego grosza!

--Czego pani próbowała? -- zapytał spokojnie Barnes.

--Formaliny Zenkera. Hematoksyliny, eozyny i innych barwników. Barwników proteolitycznych i rozszczepiających, czego pan tylko chce. Wie pan, co myślę? Że ktokolwiek wyposażał to laboratorium, opchnął tu przeterminowane odczynniki!

--Nie -- zaprzeczył Barnes. -- To wpływ atmosfery.

Przypomniał, że atmosfera w habitacie zawiera dwa procent tlenu, jeden procent dwutlenku węgla, lecz w ogóle nie ma w niej azotu.

--Nie da się tu przewidzieć przebiegu reakcji chemicznych -- powiedział. Powinna pani kiedyś rzucić okiem do książki kucharskiej Rosę Levy. Czegoś takiego pani w życiu nie widziała. Jedzenie, które przyrządza, wygląda zwyczajnie, ale na pewno nie robi tego w zwyczajny sposób.

--A laboratorium?

--Laboratorium zostało wyposażone bez wiedzy o głębokości, na jakiej przyjdzie nam pracować. Gdybyśmy byli zanurzeni płycej, oddychalibyśmy sprężonym zwykłym powietrzem i reakcje chemiczne zachodziłyby normalnie. Nie da się jednak przewidzieć ich przebiegu w mieszanke helu z tlenem. Jeśli nie wyjdzie, cóż... -- Wzruszył ramionami.

--I co mam teraz zrobić? -- spytała.

--Dać z siebie wszystko -- poradził Barnes. -- Tak samo jak i my.

--Cóż, będę mogła dokonywać jedynie ogólnych analiz anatomicznych. Cała ta półka jest bezużyteczna.

--Proszę więc robić ogólne sekcje.

--Żałuję tylko, że laboratorium nie jest większe...

--Jest takie, jakie jest -- rzekł Barnes. -- Proszę się z tym pogodzić i kontynuować. Do środka wszedł Ted.

--Ludzie, wyrzycie lepiej na zewnątrz -- powiedział, wykonując gest w stronę iluminatorów. -- Mamy nowych gości.

Kalamarnice zniknęły. Przez chwilę Norman nie dostrzegł niczego prócz wody i zawieszonoego w niej białego wzburzonego osadu.

--Niżej, na dnie.

Morskie dno żyło. Dosłownie; żywe istoty pelzały i wily się tak daleko, jak tylko można było dojrzeć.

--Co to jest?

--Krewetki -- stwierdziła Beth. -- Niesamowite mnóstwo krewetek. -- Rzuciła się po siatkę na okazy.

--No, to jest coś, co powinniśmy zjeść -- oblizal się Ted. -- Uwielbiam krewetki. Wygląda na to, że są idealnej wielkości, odrobinę mniejsze od raków. Przypominam sobie, jak kiedyś w Portugalii z moją drugą żoną jedliśmy najbajeczniejsze raki...

Norman czuł nieokreślony niepokój.

--Co one tu robią?

--Nie wiem. Zresztą co w ogóle robią krewetki? Migrują?

--Nie mam zielonego pojęcia -- odparł Barnes. -- Zawsze kupuję je mrożone. Moja żona nie znosi ich obierać.

Norman nadal odczuwał niepokój, choć nie potrafił określić dlaczego. Teraz wyraźnie widział, że całe dno jest usłane krewetkami; były dosłownie wszędzie. Dlaczego miałby się nimi przejmować?

Odszedł od okna, mając nadzieję, że poczucie niepokoju minie, gdy zajmie się czymś innym. Nie opuściło go jednak, lecz zostało, dając wrażenie ucisku w dolku. Wcale mu się to nie podobało.

HARRY

--Harry?

--O, cześć, Norman. Słyszałem, jak się podnieciliście. Na zewnątrz jest kupa krewetek, tak?

Harry siedział na swej koi z komputerowym wydrukiem na kolanach. W dłoniach trzymał ołówek i notes, którego kartki były pokryte pokreślonymi obliczeniami, wykresami, symbolami i strzałkami.

--Harry, co tu się dzieje? -- spytał Norman.

--Sam chciałbym wiedzieć.

--Zastanawiam się, dlaczego nagle pojawiło się pełno zwierząt -- kałamarnic, krewetek -- choć przedtem świeciło to pustką.

--Ach, to. Myślę, że to całkowicie oczywiste.

--Tak? Jaka jest różnica między teraz a przedtem?

--Pewnie byłeś wewnątrz kuli.

--Nie, nie. Chodzi mi o to, co się zmieniło w otoczeniu? Norman zmarszczył czoło. Nie pojmował, do czego Harry zmierza.

--Cóż, wyjrzyj na zewnątrz -- wyjaśnił Harry. -- Czego teraz nie widzisz, co widać było tu przedtem?

--Rusztowania?

--Yhm. Rusztowania i nurkowie. Dużo się tu działo -- płynęło mnóstwo prądu elektrycznego. Sądzę, że to przepłoszyło normalną faunę tego terenu. To Pacyfik południowy, sam rozumiesz; tu powinno roić się od żywych stworzeń.

--Wróciły po zniknięciu nurków?

--Tak myślę.

--I to wszystko? -- powątpiewał Norman, marszcząc brwi.

--Dlaczego mnie pytasz? -- rzekł Harry. -- Zwróć sięz tym do Beth; ona udzieli ci definitywnej odpowiedzi. Wiem tyle, żezwierzęta są wrażliwe na całe mnóstwo bodźców, na które nie zwracamy uwagi. Nie można puścić podwodnymi kablami Bóg wie ilu woltów, oświetlić półmilowe rusztowania w środowisku, które nigdy nie widziało światła, i spodziewać się, że nie będzie to miało na nie żadnego wpływu.

Coś w tej argumentacji nie dawało Normanowi spokoju. Wiedział o czymś istotnym, co się do niej odnosiło, ale nie potrafił tego określić. -- Harry...

--Tak, Norman? Wyglądasz na trochę zmęczonego. Wiesz, ten kod to naprawdę cholernie ciężki orzech do zgryzienia. Powiem ci szczerze, nie wiem, czy sobie z nim poradzę. Widzisz, problem polega na tym, iż -- jeśli rzeczywiście kod jest oparty na podstawieniu liczb w miejsce liter -- do opisanie części liter potrzeba dwóch cyfr, ponieważ w alfabecie jest dwadzieścia sześć liter, nie licząc znaków przestankowych -- które równie dobrze mogą być także uwzględnione. Nie wiem, czy mam tu do czynienia z cyfrą trzy następującą po cyfrze dwa, czy też liczbą dwadzieścia trzy. Analiza permutacji zabiera mi mnóstwo czasu. Wiesz, o co mi chodzi?

--Harry...

--Tak, Norman?

--Co się zdarzyło w kuli?

--To tym się przejmujesz? -- spytał Harry.

--Dlaczego myślisz, że się czymkolwiek przejmuję? -- odpowiedział pytaniem Norman.

--Poznaję to po twojej twarzy -- odrzekł Harry. -- Właśnie po niej.

--Może i się przejmuję -- przyznał Norman. -- Wracając jednak do kuli...

--Wiesz, wiele o tym myślałem. -- I...?

--To zdumiewające, ale tak naprawdę nie pamiętam, co się w niej stało. -- Harry...

--Czuję się świetnie- z każdą chwilą coraz lepiej, przysięgam na Boga, wracają mi siły, przeszedł ból głowy -- ale wcześniej pamiętałem wszystko o kuli i o tym, co się w niej stało. Z każdą jednak mijającą minutą to mi umyka. Wiesz, tak jak człowiekowi umyka sen. Pamięta się go po przebudzeniu, a w godzinę później za- nic nie można go sobie przypomnieć.

--Harry...

--Pamiętam, że było cudownie, pięknie. Przypominam sobie światełka, jakieś wirujące światełka. Ale to wszystko.

--Jak ci się udało otworzyć wejście?

--Ach, to. Wtedy wydawało mi się to bardzo proste; pamiętam, że to rozmontowałem, że dokładnie wiedziałem, co trzeba zrobić.

--Co zrobileś?

--Nie wiem, czy zdołam to sobie przypomnieć.

--Nie pamiętasz, jak otworzyłeś wejście?

--Nie. Przypominam sobie jedynie nagle olśnienie, pewność, że wiem, w jaki sposób to trzeba zrobić. Nie pamiętam jednak szczegółów. A co, czy ktoś jeszcze chce tam wejść? Pewnie Ted.

--Nie wątpię, że Ted chciałby...

--Nie wiem, czy to najlepszy pomysł. Szczerze mówiąc, sądzę, że Ted nie powinien tego robić. Pomyśl tylko, jak zanudzałby nas swoim przemówieniem po wyjściu. "Złożyłem wizytę w obcej kuli", autorstwa Teda Fieldinga. Nie doczekalibyśmy końca.

Zachichotał.

Ted ma rację, pomyślał Norman. Harry zachowywał się zdecydowanie maniackalnie. Cechowała go charakterystyczna gonitwa myślowa i nadmierna jowialność. Zniknął jego typowy powolny sarkazm, zastąpiony przez promienny nastrój i błyskawiczną reakcję. Do tego dochodziła żartobliwa obojętność na wszystko, niewyczuwanie tego, co jest istotne. Harry stwierdził, że nie może złamać kodu, nie przypomina sobie, co zdarzyło się w kuli ani w jaki sposób się do niej dostał, i wydawał się tym nie przejmować.

--Harry, tuż po wyjściu ze środka wydawałeś się zatroskany.

--Rzeczywiście? Miałem potworny ból głowy, to sobie przypominam.

--Powtarzałeś, że powinniśmy wypłynąć na powierzchnię.

--Naprawdę?

--Tak. Dlaczego to mówiłeś?

--Bóg jeden wie. Byłem całkowicie zdezorientowany.

--Powiedziałeś również, że pozostanie tu jest dla nas niebezpieczne. Harry uśmiechnął się.

--Norman, nie możesz tego brać zbyt poważnie. Nie miałem zielonego pojęcia, co się ze mną dzieje i co plotę.

--Harry, trzeba, żebyś to sobie przypomniał. Obiecujesz, że jeśli zrekonstruujesz to,

powiesz mi?

--Och, pewnie, Norman. Absolutnie. Możesz na mnie liczyć; powiem ci natychmiast.

LABORATORIUM

--Nie -- oznajmiła Beth. -- Nic z tego nie ma sensu. Po pierwsze, w rejonach, gdzie ryby nie miały do czynienia z człowiekiem, nie unikają go, chyba że ten na nie poluje. Nurkowie z marynarki nie łowili ich. Po drugie, gdyby nurkowie wzburzyli muł z dna, uwolniliby jedynie składniki odżywcze, przyciągając jeszcze więcej zwierząt. Po trzecie, wiele gatunków zwierząt prąd elektryczny przyciąga. Krewetki i inne stworzenia powinny więc zjawić się przy kablach wcześniej, nie teraz, gdy zasilanie jest odcięte.

Oglądała właśnie krewetki pod dającym niewielkie powiększenie mikroskopem przeglądowym.

--Co u niego? -- U Harry'ego? -- Tak.

--Nie wiem.

--Dobrze się czuje?

--Bo ja wiem? Chyba tak.

Wciąż wpatrując się w binokular mikroskopu, zapytała:

--Mówił ci, co się zdarzyło w kuli?

--Jeszcze nie.

Poprawiła ostrość i potrząsnęła głową. -- A niech mnie szlag trafi.

--O co chodzi? -- spytał Norman.

--Dodatkowe płytki grzbietowe.

--To znaczy?

--Kolejny nowy gatunek- rzekła.

--Krewetkus bethus! Beth, przekraczasz normę z odkryciami tu na dole zażartował Norman.

--Yhm... Sprawdziłam również ukwiały, ponieważ wydawało mi się, że wykazują nietypową symetrię promienistą. To również nowy gatunek.

--Wspaniale, Beth.

Odwróciła się i utkwiała w nim spojrzenie.

--Nic w tym wspaniałego. To niesamowite. -- Pstryknęła włącznikiem lampy dużej mocy i rozcięła jedną z krewetek skalpelem. -- Tak myślałam.

--Oco chodzi?

--Norman -- tłumaczyła -- przez parę dni nie widzieliśmy tu nic nowego, a potem nagle znajdujemy trzy nowe gatunki? To nienormalne.

--Nie wiem, co jest normalne na głębokości tysiąca stóp.

--Mówię ci, że to nienormalne.

--Beth, powiedziałaś przecież, że ukwiałów po prostu wcześniej nie zauważyliśmy. A krewetki i kałamarnice -- nie mogły po prostu migrować, przepływać przez te wody, coś w tym stylu? Barnes oświadczył, że jeszcze nigdy nie ściągnęli na dno oceanu na taką głębokość grupy naukowców. Może takie migracje to coś normalnego, tylko o tym nie wiemy?

--Nie sądzę -- zamyśliła się Beth. -- Czulałam, że zachowanie tych krewetek jest nietypowe, kiedy po nie wypłynęłam. Po pierwsze, trzymały się za blisko siebie. Na dnie krewetki zachowują w stosunku do siebie charakterystyczny dystans, około czterech stóp. Te były stłoczone. Po drugie, poruszały się tak, jak gdyby się pożywiały, tyle że tu nie ma pokarmu.

--Takiego, o którym wiemy.

--No, te krewetki nie mogły nic jeść. -- Wskazała rozcięty okaz na ławie laboratoryjnej.-- Nie mają żołądka.

--Żartujesz?

--Sam się przekonaj.

Norman przyjrzał się, ale wygląd rozciętej krewetki niewiele mu powiedział. Była to po prostu bryłka różowego mięsa. Przecięta została nie po prostej, lecz ukośnie, zygzakowatym cięciem. Beth jest zmęczona, pomyślał. Nie potrafi już pracować porządnie. Potrzebuje snu. Powinniśmy się stąd wydostać.

--Zewnętrznie są idealnie podobne do znanych, z wyjątkiem dodatkowej pletwy grzbietowej -- wyjaśniła. -- W środku panuje jednak zupełny bajzel. Tak urządzone zwierzę nie powinno w ogóle żyć. Brak żołądka. Brak organów rozrodczych. To coś, to kiepska imitacja krewetki.

--Mimo to te zwierzęta żyją -- powiedział Norman.

--Taa -- odrzekła. -- Żyją... -- Nie wydawała się z tego powodu szczęśliwa.

--A kałamarnice były w środku całkowicie zwyczajne.

--Na dobrą sprawę nie. Kiedy rozciąłam jedną z nich, stwierdziłam, że brak w niej paru istotnych narządów. Nie miała zwoju nerwowego zwanego zwojem gwiaździstym.

--Cóż...

--Nie miała też skrzeli, Norman. Kałamarnice mają długie skrzela. Tej ich brakowało. Ona w ogóle nie mogła oddychać, Norman.

--Musiała to jakoś robić.

--Mówię ci, że nie mogła. Widzimy tu zwierzęta, jakie nie mogą istnieć. Ni z tego, ni z owego nie istniejące zwierzęta.

Odwróciła się od silnej lampy. Dostrzegł, że prawie płacze. Ręce jej dygotały; szybko opuściła je na kolana.

--Naprawdę się przejęłaś -- powiedział.

--A ty nie? -- wzrokiem poszukała jego twarzy. -- Norman -- powiedziała. -- To wszystko zaczęło się, gdy Harry wyszedł z kuli, zgadza się?

--Chybatak.

--Harry wyszedł z kuli i nagle zaczęliśmy mieć gości w postaci nie mogących żyć zwierząt... Nie podoba mi się to. Chciałabym się stąd wydostać. Naprawdę. Jej dolna warga drżała.

Uściskał ją i przekonywał łagodnie:

--Nie możemy się wynurzyć.

--Wiem -- rzekła. Przytuliła się do niego i poczęła płakać, ukrywając twarz w jego ramieniu.

--No już dobrze...

--Nie cierpię, kiedy się taka robię -- oznajmiła. -- Nie znoszę tego uczucia. -- Wiem...

--Nie wytrzymuję już tutaj, niedobrze robi mi się od wszystkiego. Nienawidzę Barnes'a, nie cierpię kazań Teda, niedobrze mi od idiotycznych deserów Rose. Żałuję, że się tu znalazłam.

--Wiem...

Szlochala jeszcze przez chwilę, po czym raptownie silnymi ramionami odepchnęła Normana od siebie. Odwróciła się i wytarła oczy.

--Już doszłam do siebie -- oświadczyła. -- Dziękuję.

--Nie ma za co -- odrzekł.

Ciągle zwrócona do niego plecami powiedziała:

--Gdzie te cholerne chusteczki? -- Znalazła jedną, wytarła nos. -- Nie powiesz innym?

--Oczywiście, że nie. Przestraszyła się nagłego gongu.

--Jezusie, co się stało?

--To chyba obiad -- rzekł Norman.

OBIAD

--Nie wyobrażam sobie, jak można jeść coś takiego -- skrzywił się Harry, wskazując kałamarnice.

--Są przepyszne -- mlasnął Norman. -- Kalmary w sałatce. -- Gdy tylko usiadł przy stole, uświadomił sobie, jaki jest głodny. Sam akt jedzenia sprawił, że poczuł się lepiej; siedzenie przy zastawionym stole napawało otuchą. Prawie udało mu się zapomnieć, gdzie się znajduje.

--Ja bardzo lubię smażone -- zadeklarowała Tina.

--Smażone calamari -- rzekł Barnes. -- Coś cudownego. Moje ulubione danie.

--Ja też je lubię -- oświadczyła Jane Edmunds, archiwistka. Siedziała bardzo sztywna i wyprostowana, dokładnie przeżuwaszając każdy kęs potrawy.

--Dlaczego te nie zostały usmażone? -- spytał Norman.

--Nie można smażyć na tej głębokości -- odrzekł Barnes. -- Pyskający olej tworzy w powietrzu zawieszinę i zatyka filtry. Ale i sałatka jest świetna.

--Cóż, nie wiem jak kalmary, ale krewetki są wspaniałe -- oznajmił Ted. -- Nie sądzisz, Harry? -- Obydwaj właśnie je jedli.

--Przepyszne -- potwierdził Harry. -- Zachwycające.

--Coś wam powiem -- rzekł Ted. -- Czuję się jak u kapitana Nemo. Przypominacie sobie, żył pod wodą czerpiąc z morskich bogactw?

--Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi -- powiedział Barnes.

--Pamiętacie, jak James Mason grał na organach? -- spytał Ted. -- Du- du- du, da da daaaaa da! Toccata i Fuga d- moll Bacha.

--AKirkDouglas? -- Był świetny.

--A jak walczył z gigantyczną kałamarnicą?

--Boskie to było.

--Douglas miał topór, przypominacie sobie? -- Tak, odciął jej jedną z macek.

--Przestraszyłem się jak jasna cholera na tym filmie -- wspominał Harry. Zobaczyłem go jako dzieciak i piekielnie się bałem.

--Nie wydał mi się straszny -- oznajmił Ted.

--Byłeś starszy -- odparował Harry.

--Owszem, wystarczająco. Pewnie dlatego teraz nie cierpię kałamarnic.

--Nie lubisz ich -- stwierdził Ted -- ponieważ są obrzydliwe i przypominają w smaku gumę...

--Właśnie przez ten film zapragnąłem wstąpić do marynarki -- rzekł Barnes.

--Wyobrażam sobie -- powiedział Ted. -- Romantyczny, ekscytujący film. I niezła wizja cudów dokonywanych dzięki użyciu nauk stosowanych. Kto tam grał profesora?

--Profesora?

--Tak. Pamiętacie, był tam profesor.

--Coś sobie przypominam. Stary gość.

--Norman? Przypominasz sobie, kto grał profesora?

--Nie, nie pamiętam -- odrzekł Norman.

--Siedzisz sobie w kąciuku i nas obserwujesz, co, Norman? -- zapytał zaczepnie Ted.

--Co masz na myśli?

--Analizujesz nas. Przyglądasz się, czy nie pękamy -- Tak -- odparł z uśmiechem Norman. -

- Zgadza się. -- I jak wypadliśmy? -- spytał Ted.

--Rzekłbym, że jest to znaczące, iż nikt z grupki naukowców nie potrafi sobie przypomnieć, kto grał profesora w ich ulubionym filmie.

--Cóż. Kirk Douglas grał bohatera, to dlatego. Nienaukowiec był bohaterem.

--Franchot Tone? -- zastanawiał się Barnes. -- Claude Rains? -- Nie, nie wydaje mi się. Fritz Jakiśtam? -- Fritz Weaver?

Usłyszeli potrzaskiwanie i szum, po czym rozległy się pierwsze tony Toccaty Bacha, wykonywanej oczywiście na organach.

--Cudownie -- ucieszył się Ted. -- Nie wiedziałem, że da się tu posłuchać muzyki. Jane Edmunds wróciła do stołu.

--Mamy tu taśmotekę, proszę pana.

--Nie wiem, czy to pasuje do obiadu -- powątpiewał Barnes.

--Mnie się podoba -- rzekł Ted. -- Gdybyśmy jeszcze mieli sałatkę z wodorostów. Chyba właśnie coś takiego serwował Nemo?

--Może coś łżejszego? -- zaproponował Barnes.

--Łżejszego niż wodorosty? -- Niż Bach.

--Jak się nazywał ten okręt podwodny? -- spytał Ted.

--"Nautilus" -- odpowiedziała Jane Edmunds.

--Ach, racja, "Nautilus".

--Tak się nazywał również pierwszy okręt podwodny o napędzie atomowym, zwodowany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku -- dodała i obdarzyła Teda promiennym uśmiechem.

--Racja -- przypomniał sobie Ted. -- Racja.

Norman pomyślał, że Ted trafił na kogoś z równym co on zamiłowaniem do nieistotnych drobiazgów.

Jane Edmunds podeszła do iluminatora, wyjrzała i zdumiała się:

--Och, nowi goście.

--Co tym razem? -- spytał Harry, szybko podnosząc wzrok. Przestraszony? -- zastanowił się Norman. Nie, jedynie, na maniakalną modłę, szybko zareagował. Zaciekawiony.

--Jakieś małe meduzy -- odrzekła Jane. -- Są przepiękne. Otaczają cały habitat Naprawdę powinniśmy je sfilmować. Co pan o tym sądzi, doktorze Fielding? Powinniśmy je uwiecznić?

--Myślę, że na razie zajmę się jedzeniem -- odparł trochę oschle Ted.

--Jedliście kiedykolwiek meduzy? -- spytał Ted po chwili. -- Słyszałem, że to delicje.

--Niektóre z nich są trujące -- poinformowała Beth. -- W ich czulkach są zawarte toksyny.

--Chińczycy chyba jedzą meduzy? -- spytał Harry.

--Tak -- odrzekła Tina. -- Robią z nich również zupę. Moja matka przyrządzała ją w Honolulu.

--Pochodzi pani z Honolulu?

--Do obiadu lepszy byłby Mozart -- oświadczył Barnes. -- Albo Beethoven. Coś ze smyczkami. Muzyka na organy jest posępna.

--Dramatyczna -- rzekł Ted, naciskając wyimaginowane klawisze w powietrzu w rytm muzyki. Kołysał się jak James Mason.

--Posępna -- upierał się Barnes. Zatrzeszczał interkom.

--Och, powinniście to zobaczyć -- zabrzmiał głos Jane Edmunds. -- To przepiękne.

--Gdzie ona jest?

--Musiała wyjść na zewnątrz -- powiedział Barnes. Podeszedł do iluminatora.

--Przypomina to różowy śnieg -- oznajmiła Jane. Wszyscy ruszyli do iluminatorów.

Jane Edmunds wyszła na zewnątrz z kamerą. Ledwie ją mogli dojrzeć wśród gęstej chmary meduz. Były one drobnutkie, wielkości napastrka, delikatne, świecące różowo. Rzeczywiście przypominało to padający śnieg. Niektóre z meduz podplwały tuż pod iluminatory; można się im było dobrze przyjrzeć.

--Nie mają odnóży -- zauważył Harry. -- To jedynie małe pulsujące woreczki.

--Właśnie tak się przemieszczają- objaśniła Beth. -- Wypychają wodę skurczami mięśni.

--Jak kalamarnice -- dodał Ted.

--W prymitywniejszy sposób, ale zasada ta sama.

--Są lepkie -- poinformowała Jane Edmunds przez interkom. -- Przylegają do mojego skafandra.

--Ten róż jest fantastyczny -- zauważył Ted. -- Jak śnieg o zachodzie słońca.

--Bardzo poetyczne.

--Naprawdę tak uważam. -- Nie wątpię.

--Przylegają również do mojego wizjera -- powiedziała Jane. -- Muszę je odganiać.

Zostawiają lepkie smugi...

Przerwała nagle, lecz wciąż słyszeli jej oddech.

--Widzicie ją? -- spytał Ted.

--Niezbyt dobrze. Jest tam, po lewej.

--Zdaje się, że są ciepłe -- oznajmiła Jane przez interkom. -- Czuję ciepło na rękach i nogach.

--To niemożliwe -- rzekł Barnes. Odwrócił się do Tiny. -- Każ jej wracać. Tina ruszyła biegiem w stronę sąsiedniego cylindra, w którym znajdowała się aparatura łącznościowa.

Norman ledwie mógł teraz dojrzeć Jane Edmunds. Udawało mu się z trudem rozróżnić ciemny kształt poruszający gorączkowo ramionami...

Z interkomu dobiegł jej głos:

--Smugi na wizjerze... nie schodzą... chyba nadżerają tworzywo... i ramiona... materiał się...

--Jane! Jane, wracaj do środka -- powtarzała Tina.

--Natychmiast! -- krzyknął Barnes. -- Powiedz jej, żeby wracała natychmiast Słysząc było, jak Jane z przerwami łapie oddech.

--Smugi... nie widzę za dobrze... czuję... boli... pali mnie w ręce... boli... przeżerają się przez...

--Jane, wracaj. Słyszysz mnie? Jane?!

--Upadła na dno -- powiedział Harry. -- Spójrzcie, tam ją widać.

--Musimy ją ratować -- rzucił Ted, zrywając się do biegu.

--Wszyscy zostają -- rozkazał Barnes. -- Ale ona...

--Nikt teraz nie wyjdzie na zewnątrz, szanowny panie.

Jane Edmunds oddychała coraz szybciej, dławiła się i kaszlała.

--Nie mogę... nie mogę... Boże...

Zaczęła krzyczeć. Krzyk miał bardzo wysoką tonację i nie milkł z wyjątkiem przerw na zaczerpnięcie tchu. Nie było już jej widać spoza roju meduz. Zaczęli spoglądać po sobie, na Barnes'a. Jego twarz skamieniała, uwidoczniły się wyraźnie mięśnie szczęk. Wsluchiwał się w krzyki Jane.

W końcu zapadła cisza.

KOLEJNE PRZEKAZY

Godzinę później meduzy zniknęły równie tajemniczo, jak się pojawiły. Wyraźnie widać było ciało Jane Edmunds, kołysane łagodnie przez denny prąd opływający habitat. W materiale jej skafandra można było dostrzec małe poszarpane otworki.

Obserwowali przez iluminatory, jak Barnes i najstarsza rangą podoficer Kruszynka Fletcher idą po dnie w ostrym świetle reflektorów z dodatkowymi zbiornikami powietrza. Podnieśli ciało Jane Edmunds; głowa w helmie bezwładnie opadła w tył, ukazując mętną, nierówną powierzchnię wizjera z tworzywa sztucznego.

Nikt się nie odzywał. Norman zauważył, że nawet Harry siedzi nieruchomo, wpatrując się w iluminator.

Barnes i Alice Fletcher wciąż przytrzymywali ciało. Nagle buchnęło mnóstwo pęcherzyków powietrza, które pomknęły w stronę powierzchni.

--Co oni robią?

--Nadmuchują skafander.

--Po co? Nie zabiorą jej do habitatu? -- spytał Ted.

--To niemożliwe -- wyjaśniła Tina. -- Nie ma jej tutaj gdzie położyć. Produkty rozkładu popsują powietrze.

--Musi przecież być jakieś hermetycznie izolowane pomieszczenie... -- Nie ma-- powiedziała Tina. -- W habitacie nie ma miejsca na przechowywanie resztek organicznych.

--To znaczy, że nie liczą się z tym, że ktokolwiek może zginąć.

--Zgadza się. Nie wzięto tego pod uwagę.

Mnóstwo pęcherzyków unosiło się jak paciorki z otworków w skafandrze ku powierzchni. Barnes wypuścił Jane w nadętym, spęczniałym skafandrze. Uniosła się powoli skośnie w górę, jak gdyby ciągnięta przez wyrwijące się przez szpary pęcherzyki.

--Dotrze na powierzchnię?

--Tak. Gaz zwiększa objętość wraz ze spadkiem ciśnienia. -- I co dalej?

--Rekiny -- wyjaśniła Beth. -- Najprawdopodobniej.

Po kilku chwilach ciało zniknęło w ciemnościach poza zasięgiem światła. Barnes i Alice Fletcher wciąż śledzili je wzrokiem, uniósłszy do góry zamknięte w hełmach twarze. Alice przeżegnała się. Po chwili wrócili do habitatu.

Gdzieś w środku zabrzmiał gong. lina przeszła do Cylindra D. Po chwili zawołała:

--Doktorze Adams! Kolejne cyfry!

Harry wstał i ruszył do sąsiedniego cylindra. Pozostali podążyli jego śladem. Nikt nie został przy iluminatorach.

Norman wpatrzył się w ekran, całkowicie zdezorientowany. Harry jednak z zadowoleniem klasnął w dłoń.

--Znakomicie -- powiedział. -- To wyjątkowo pomocne.

--Naprawdę?

--Oczywiście. Teraz mogę nawiązać walkę.

--To znaczy złamać kod. -- Tak, oczywiście. -- Jak?

--Pamiętasz pierwszą sekwencję? To jest to samo.

--Naprawdę?

--Oczywiście -- stwierdził Harry. -- Tyle że w kodzie dwójkowym.

--Kod dwójkowy. -- Ted szturchnął Normana. -- Mówilem ci, że to ważne?

--Ważne jest -- wyjaśnił Harry -- że dzięki temu można ustalić przerwy między poszczególnymi literami pierwszego ciągu.

--Proszę bardzo, tu jest jego kopia -- powiedziała Tina, podając mu kartkę.

00032125252632 032629 04261037 18 3016 0618082132 29033005 1822 04261013
08301621137 1604 08301621 1 822 03301

--Dobrze -- rzekł Harry. -- Teraz od razu widać, jaki miałem problem. Przyjrzyjcie się słowu: zero-zero-zero-trzy-dwa-jeden i tak dalej. Problem polegał na tym, jak miałem podzielić je na poszczególne litery. Nie mogłem tego rozstrzygnąć, ale teraz już wiem.

--Jak?

--To przecież oczywiste, kolejność jest taka: trzy, dwadzieścia jeden, dwadzieścia pięć... Norman nie zrozumiał.

--Ale skąd to wiesz?

--Słuchaj, Norman -- wyjaśnił niecierpliwie Harry -- przecież to bardzo proste. Masz spiralę, czytana z zewnątrz do wewnątrz. Po prostu zostały nam podane numery w...

Niespodziewanie obraz znów się zmienił.

--Teraz to dla ciebie jaśniejsze? Norman zmarszczył brwi.

--Patrz, przecież to dokładnie to samo -- zirytował się Harry. -- Widzisz. Zero-zero-zero-trzy-dwadzieścia jeden-dwadzieścia pięć... Przekształcone to zostało w postaci odśrodkowej.

--Przez kogo?

--Może kogoś, komu przykro z powodu tego, co stało się Edmunds -- odparł Harry.

--Dlaczego to powiedziałeś? -- spytał Norman, wpatrując się z zaciekawieniem w Harry'ego.

--Ponieważ bez wątpienia bardzo usilnie stara się nawiązać z nami kontakt odpowiedział Harry. -- Próbuje coraz to nowych rzeczy.

--Kto to jest?

--To niekoniecznie musi być ktoś -- odrzekł Harry. -- Może to być coś.

Obraz zniknął z ekranu, po czym pojawił się kolejny.

--W porządku -- orzekł Harry. -- Bardzo dobrze.

--Skąd to pochodzi?

--Najwyraźniej ze statku.

--Nie mamy z nim połączenia. Jak to coś potrafi włączyć nasz komputer i wydrukować to?

--Nie wiemy.

--Cóż, chyba powinniśmy? -- zapytała Beth.

--Niekoniecznie -- odpowiedział Ted.

--Chyba powinniśmy spróbować się dowiedzieć?

--Niekoniecznie. Wiesz, dostatecznie zaawansowana technologia może się wydać naiwnemu obserwatorowi magią. Co do tego nie ma wątpliwości. Weź na przykład jakiegoś sławnego naukowca z przeszłości -- Arystotelesa, Leonarda da Vinci czy nawet Isaaca Newtona. Gdybyś mu pokazała zwyczajny kolorowy telewizor Sony, uciekłby z wrzaskiem, że to czary. W ogóle by tego nie rozumiał. Istota sprawy polega jednak na tym, że nawet nie zdołałby zrozumieć. Przynajmniej nie bez trudności. Isaac Newton nie pojąłby telewizji, nie pouczywszy się w pierw przez parę lat naszej fizyki. Byłyby to dla niego całkowicie nowe idee,

zupelnie odmienne rozumienie natury. Musialby się nauczyć wszystkich leżących u jej podstaw koncepcji: elektromagnetyzmu, teorii fal, fizyki korpuskularnej. Do tego czasu telewizja pozostawałaby dla niego czarną magią. Dla nas to jednak coś oczywistego. Po prostu telewizja.

--Chcesz powiedzieć, że jesteśmy jak Newton? Ted wzruszył ramionami.

--Otrzymujemy wiadomość, lecz nie wiemy, w jaki sposób.

--Więc nie powinniśmy się tym przejmować i próbować wytłumaczyć.

--Myślę, że musimy przyjąć ewentualność--powiedział Ted--że nie zdołamy tego zrozumieć.

Norman zauważył, z jaką pasją zagłębili się w tę dyskusję, starając sienie myśleć o tragedii, której tak niedawno byli świadkami. To intelektualisci, pomyślał. Ich charakterystyczną metodą obrony jest intelektualizacja. Mówienie. Snucie koncepcji. Abstrakcje. Idee. Sposób na zdystansowanie się od uczucia smutku i lęku z racji bycia w pułapce. Norman rozumiał ten impuls: sam chciał się pozbyć tych uczuć.

Zmarszczywszy brwi, Harry wpatrywał się w wyobrażenie spirali.

--Możemy nie rozumieć jak, ale jest oczywiste, co się dzieje. To coś próbuje porozumieć się z nami, przedstawiając kolejne prezentacje tego samego przekazu. Fakt, że próbuje spirali, może być znaczący. Może to coś sądzi, że myślimy spiralami. Albo iż tak piszemy.

--Zgadza się -- potwierdziła Beth. -- Kto wie, jak niezwykle są te istoty?

--Jeśli stara się nawiązać z nami kontakt, dlaczego nie spróbujemy mu odpowiedzieć? -- spytał Ted.

Harry pstryknął palcami.

--Dobry pomysł! -- podszedł do klawiatury. -- Pierwszy krok jest oczywisty objaśnił. -- Odeślemy mu wiadomość bez zmian. Zaczniemy od pierwszego wyrazu ciągu, tego z trzema zerami na wstępie.

--Chciałbym podkreślić -- zauważył Ted -- że pomysł nawiązania kontaktu z obcą istotą wyszedł ode mnie.

--Oczywiście, Ted -- przytaknął Barnes.

--Harry? -- rzekł Ted.

--Tak, Ted, to twój pomysł -- zgodził się Harry. Zasiadłszy przed klawiaturą, wystukał:
0003212

Cyfry pojawiły się na ekranie. Zapadła cisza. Wsluchiwali się w szmer wyciągu powietrza i dalekie dudnienie dieslowskich generatorów. Wszyscy wpatrywali się w monitor.

Nic się nie działo.

W końcu cyfry zniknęły, po czym pojawiło się:

0001132121 05180801

Norman poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Był to jedynie ciąg cyfr na ekranie komputera, ale mimo to czuł lodowate zimno. Stojąca obok niego Tina zadygotała.

--Odpowiedział.

--Bajecznie! -- ucieszył się Ted.

--Spróbuję teraz z drugim wyrazem -- zapowiedział Harry. Wyglądał na spokojnego, nie mógł jednak trafić palcami we właściwe klawisze. Minęło parę minut, nim zdołał napisać:

0

Odpowiedź pojawiła się natychmiast:

0015260805180

--Cóż -- stwierdził Harry. -- Wygląda na to, że zainaugurowaliśmy łączność.

--Tak -- rzekła Beth. -- Fatalnie tylko, że nie rozumiemy, co do siebie mówimy.

--To coś prawdopodobnie rozumie -- powiedział Ted. -- My ciągle jednak błądzimy w ciemnościach.

--Może zdołamy poprosić je o wyjaśnienie.

--Czym jest to "coś", o którym ciągle mówicie? -- spytał niecierpliwie Barnes. Harry westchnął i podepchnął okulary na nosie.

--Myślę, że co do tego nie ma wątpliwości. To "coś" uprzednio znajdowało się w kuli, a teraz wydostało się na zewnątrz i może robić, co chce. Właśnie tak.

Potwór

ALARM

Normana zbudziło wycie alarmu i migotanie czerwonych świateł. Wytoczył się z koi, włożył izolowane buty i ocieplaną kurtkę, po czym rzucił się do drzwi, w których zderzył się z Beth. Zewsząd z habitatu dobiegał dźwięk syren.

--Co się dzieje?! -- wykrzyknął starając się przekrzyczeć syreny. -- Nie wiem!

Była błada i przerażona. Norman precyzyjnie się koło niej. W Cylindrze B między rurami i konsolami migał czerwony znak AWARIA SYSTEMU ODNAWIANIA ATMOSFERY.

Rozejrzał się za Kruszyńką Fletcher, ale masywnej techniczki tam nie było.

Zawrócił do Cylindra C, ponownie wymijając Beth.

--Czego się dowiedziałeś?! -- krzyknęła.

--Chodzi o system odnawiania atmosfery! Gdzie Alice? Gdzie Barnes?

--Nie wiem! Szukałam ich.

--W B nikogo nie ma! -- zawołał i ruszył po stopniach do Cylindra D. Znalazł tam Tinę i Alice Fletcher uwijające się przy klawiaturach komputerów. Pozdejmowane obudowy odsłaniały kable i rzędy procesorów. Oświetlenie sali migotało na czerwono.

Na wszystkich ekranach widniał przekaz: AWARIA SYSTEMU ODNAWIANIA ATMOSFERY.

--Co się dzieje?! -- krzyknął Norman.

Alice Fletcher machnęła ręką, by nie zawracał głowy.

--Chcę się dowiedzieć!

Obrócił się i ujrzał siedzącego w kącie bladego jak upiór Harry'ego, z ołówkiem i notatnikiem na kolanie. Znajdował się tuż przy magnetowidach Jane Edmunds i wydawał się całkowicie obojętny na syreny i światła migające mu w oczy.

--Harry!

Harry nie zareagował; Norman odwrócił się do dwóch kobiet.

--Na miłość boską, powiecie mi, co się dzieje?! -- krzyknął.

Wtedy syreny przestały wyć. Ekrany pogasły. Zapadła cisza, przerywana jedynie delikatnymi dźwiękami muzyki klasycznej.

--Przepraszamy -- powiedziała Tina.

--To był fałszywy alarm -- wyjaśniła Alice Fletcher.

--Jezu Chryste -- jęknął Norman, opadając na fotel. Zacerpnął głęboko tchu.

--Spał pan? Skinął głową.

--Przepraszamy. Uruchomił się sam. -- Jezu Chryste.

--Następnym razem niech pan sprawdzi swój czujnik -- poradziła Alice, wskazując na jego pierś. -- Proszę od tego zacząć. Jak pan widzi, wszystkie wyglądają normalnie.

--Jezu Chryste.

--Nie przejmuj się, Norman -- zadrwił Harry. -- To zły znak, gdy psychiatra wariuje.

--Jestem psychologiem. -- Nieważne.

--Doktorze Johnson, nasz komputerowy system alarmowy ma mnóstwo peryferyjnych czujników. Czasami sam się uruchamia. Niewiele można na to poradzić -- wyjaśniła Tina.

Norman skinął głową i przeszedł do Cylindra E do kuchni. Rosę Levy przygotowała na lunch placek z truskawkami, lecz nikt go nie jadł po wypadku Jane Edmunds. Był pewny, że jeszcze go znajdzie, gdy to jednak mu się nie udało, poczuł się zawiedziony. Otwierał po kolei i zatrzaskiwał drzwiczki szafek. Kopnął w końcu drzwi lodówki.

Nie przejmuj się tak, powiedział sobie. To tylko fałszywy alarm.

Nie mógł jednak przemóc uczucia, że jest osaczony, uwięziony w tym przeklętym monstrualnym żelaznym płucu, i wszystko dookoła niego powoli się rozpada. Najgorzej było na odprawie, którą urządził Barnes po powrocie do habitatu, gdy wysłał ciało Jane Edmunds na powierzchnię.

Kapitan zdecydował się na wygłoszenie krótkiej mowy.

--Wiem, że wytrąciło was z równowagi to, co stało się z Jane Edmunds -- powiedział. -- Był to jednak tylko wypadek. Być może pomyliła się w ocenie nieszkodliwości tych meduz. W każdym razie wypadki mogą zdarzyć się w każdych okolicznościach, a morska głębina to środowisko nie potrafiące wybaczać omyłek.

Wsluchując się w słowa Barnes'a, Norman pomyślał, że układa on sformułowania do raportu, w którym będzie się tłumaczyć przed przełożonymi.

--Właśnie teraz -- kontynuował Barnes -- raz jeszcze chcę podkreślić, byście zachowali spokój. Mija szesnaście godzin, odkąd na powierzchni poczęły wiać sztormowe wiatry. Niedawno wysłaliśmy na górę balon zwiadowczy. Nim zdołaliśmy dokonać jakichkolwiek pomiarów, urwał się kabel, co sugeruje, iż fale mają co najmniej trzydzieści stóp, a wichura dmie z pełną siłą. Szacunki satelitarne zakładały sześćdziesięciogodzinny okres sztormu na powierzchni, więc czekają nas jeszcze dwie doby na dnie i niewiele się da na to poradzić. Musimy tylko zachować spokój. Proszę nie zapominać, że nawet po wypłynięciu nie można po prostu otworzyć włazu i zacząć oddychać. Na powierzchni trzeba będzie spędzić cztery doby dekompresji w komorze nadciśnieniowej.

Dopiero wtedy Norman po raz pierwszy usłyszał dekompresji na powierzchni. Nawet po

opuszczeniu tego stalowego płuca miałby przesiedzieć w następnym jeszcze cztery dni?

--Myślałem, że pan wie -- zdziwił się Barnes. -- To standardowa procedura w przypadku przebywania w sprężonej atmosferze. Na dole można przebywać, ile się chce, ale po wynurzeniu się trzeba poddać się czterodobowej dekompresji. I proszę mi wierzyć, w habitacie jest o wiele przyjemniej niż w komorze dekompresyjnej. Proszę więc korzystać z uroków naszej gościnności, póki się da.

Korzystać z uroków, póki się da, pomyślał Norman. Jezu Chryste. Przydałby się placek z truskawkami. Cholera, gdzie podziewała się Rosę? Wrócił do Cylindra C.

--Gdzie jest Rosę Levy?

--Nie wiem -- odparła Tina. -- Gdzieś tu się kręciła. Może poszła spać.

--Ten alarm umarłego postawiłby na nogi -- zdziwił się Norman.

--Sprawdzał pan w kuchni?

--Właśnie stamtąd wracam. Gdzie Barnes?

--Wrócił na statek z Tedem. Rozstawiają dookoła kuli kolejne czujniki.

--Powiedziałem im, że to strata czasu -- rzekł Harry.

--Więc nikt nie wie, gdzie jest Rosę? -- spytał Norman.

Alice Fletcher skończyła przykręcać obudowy klawiatur komputerów.

--Doktorze -- rzekła -- z pana to jeden z tych facetów, co to zawsze muszą wiedzieć, gdzie kto się podziewa?

--Nie, oczywiście, że nie.

--No to co pan nam zawraca głowę wpytując o Rosę, szanowny panie?

--Chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie jest placek Z truskawkami -- uspra wiedliwił się Norman.

--Był, ale się zbył -- dorzuciła Alice. -- Wróciłam z kapitanem z nabożeństwa żałobnego, usiedliśmy i zjedliśmy cały. I tyle. -- Potrząsnęła głową.

--Może Rosę jeszcze dorobi -- powiedział Harry.

Znalazł Beth w laboratorium na górnym poziomie Cylindra D. W chwili gdy wszedł, dojrzał jeszcze, jak polyka jakąś tabletkę.

--Co to było?

--O Boże, valium. -- Skąd je wzięłaś?

--Słuchaj -- prychnęła -- nie wciskaj mi tylko psychokitu, jak to...

--Po prostu pytałem.

Beth wskazała mu białą szafkę zamontowaną na ścianie w rogu laboratorium.

--W każdym cylindrze jest apteczka. Okazuje się, że nawet nieźle zaopatrzona.

Norman podszedł do szafki i otworzył ją. W zgrabnych przegródkach znajdowały się lekarstwa, bandaże, strzykawki. Beth miała rację -- apteczka była porządnie zaopatrzona: znajdowały się w niej antybiotyki, leki uspokajające i nasenne, nawet środki do znieczulenia chirurgicznego. Nie znał wszystkich nazw leków, ale leki psychotropowe, które znalazł, były silne.

--Z tą apteczką można zaczynać wojnę.

--Dziwisz się? W końcu to marynarka.

Norman dostrzegł tabliczkę we wnętrzu szafki. Głosiła ona: MEDAID KOD 103.

--Masz pojęcie, o co tu chodzi? Skinęła głową.

--To kod dla komputera. Zglądałam do niego. -- I?

--Nie najlepsze wiadomości -- odrzekła.

--Rzeczywiście? -- Zasiadł przy terminalu laboratorium i wystukał 103. Na ekranie

pojawiło się:

SPRĘŻONA ATMOSFERA Z DODATKIEM GAZÓW OBOJĘTNYCH GŁÓWNE POWIKLANIA MEDYCZNE (GROŻĄCE ŚMIERCIA)

1. Zatory tętnicy płucnej.
2. Zespoły neurologiczne wywołane wysokim ciśnieniem.
3. Aseptyczna martwica kości.
4. Zatrucie tlenem.
5. Udar cieplny.
6. Rozsiane infekcje pałeczką *Pseudomonas*.
7. Zatory i zakrzepy naczyń mózgowych.

Wybierz jedną z możliwości.

--Nie wybieraj -- poradziła Beth. -- Jak przeczytasz szczegóły, jeszcze bardziej się zdenerwujesz. Niech ci wystarczy, że znajdujemy się w bardzo niebezpiecznym środowisku. Barnes oszczędził nam wszystkich drastycznych szczegółów. Wiesz, dlaczego w marynarce obowiązuje zasada wyciągania ludzi na powierzchnię po siedemdziesięciu dwóch godzinach? Bo później znacząco rośnie ryzyko czegoś, co się nazywa "aseptyczną martwicą kości". Nikt nie wie dlaczego, ale wysokie ciśnienie powoduje niszczenie kości biodra i uda. Wiesz też, dlaczego habitat bez przerwy przystosowuje się do tego, jak się w nim przemieszczamy? Nie dlatego, że to szyk, polor i ostatni krzyk techniki. Dlatego, że atmosfera helowa sprawia, iż termoregulacja organizmu staje się bardzo labilna. Bardzo łatwo się przegrzać albo utracić za dużo ciepła. Nawet ze śmiertelnymi konsekwencjami. To może stać się na tyle szybko, że nim zdążysz zdać sobie sprawę, co się dzieje, padniesz trupem. A te "zespoły neurologiczne" -- to nagle drgawki i paraliż prowadzący do zgonu w przypadku zmniejszenia się zawartości dwutlenku węgla w atmosferze. Właśnie po to są czujniki, które nosimy, by sprawdzić, czy jest go dosyć. Do niczego innego nie służą. Przyjemne, prawda? Norman wyłączył obraz i odchylił się w fotelu.

--Cóż, jeszcze raz powtórzę to samo -- niewiele możemy teraz na to poradzić.

--Dokładnie tak powiedział Barnes. -- Beth poczęła nerwowo przesuwając wyposażenie na wierzchu ławy laboratoryjnej, udając, że stara się zaprowadzić na niej jakiś porządek.

--Fatalnie, że nie złapaliśmy żadnego okazu meduzy -- westchnął Norman.

--Zgadza się, ale prawdę mówiąc, nie bardzo jestem przekonana, czyby nam to cokolwiek dało. -- Zmarszczyła brwi i poczęła przekładać tym razem papiery. Norman, nie myśli mi się tutaj najlepiej.

--To znaczy?

--Po, hmm, wypadku, wróciłam tu, by jeszcze raz przejrzeć moje notatki, wyniki badań. Ponownie rzuciłam też okiem na krewetki. Pamiętasz, jak powiedziałam ci, że nie mają żołądków? Niestety mają. Spartaczyłam sekcję, cięcie nie wypadło w płaszczyźnie strzałkowej. Przegapiłam narządy mieszczące się w linii pośrodkowej. One jednak tam są; te krewetki nie odbiegają od normy. A kałamarnice? Okazało się, że ta, którą poddałam sekcji, była trochę nietypowa. Miała skrzela, ale atroficzne. Ta druga była zupełnie normalna. Miała wszystko, czego można się było spodziewać. Za bardzo się spieszyłam. Nie mogę po tym dojść do siebie.

--To dlatego wzięłaś valium? Skinęła głową.

--Nie cierpię zawałać roboty.

--Nikt cię nie krytykuje...

--Gdyby Harry czy Ted sprawdzili moje badania i zorientowali się, że popełniłam te idiotyczne pomyłki...

--I cóż takiego się stało, że zrobiłaś błąd?

--Jakbym ich słyszała: cała kobieta, cała ona -- nieuważna, za bardzo chce wyskoczyć z odkryciem, usiłuje dowieść swej wartości, zbyt pochopnie wyciąga wnioski. Cała baba.

--Nikt cię nie krytykuje, Beth.

--Sama się krytykuję.

--I nikt poza tobą -- rzekł Norman. -- Myślę, że powinnaś odpocząć.

Zapatrzyła się w laboratoryjną ławę. W końcu wyznała:

--Nie mogę.

Wzruszyło go coś w sposobie, w jaki to powiedziała.

--Rozumiem -- rzekł i w tej chwili wróciło do niego wspomnienie. -- Wiesz, jeszcze jako dzieciak wybrałem się z młodszym bratem na plażę. Tim już nie żyje, wtedy miał jakieś sześć lat. Jeszcze nie potrafił pływać. Matka powiedziała, żebym na niego bardzo uważał, ale kiedy przyszedłem na plażę, wszyscy moi koledzy już tam byli, baraszkowali w wodzie. Nie chciałem sobie zawracać głowy bratem. Trudno było to jakoś zorganizować, boja chciałem pływać w dużych falach, a on musiał się trzymać brzegu. W każdym razie nagle wylazł z wody, drąc się, jakby go ze skóry obdzierano. Trzymał się za lewy bok; okazało się, że oparzyła go jakaś meduza. Wciąż jeszcze była w niego wczepiona. Zemdlał na plaży. Jedna z matek podbiegła i zabrała Timmy'ego do szpitala, nim jeszcze zdążyłem dopłynąć do brzegu. Nie wiedziałem, gdzie się podział, dopiero później dotarłem do szpitala. Matka już tam była. Tim był we wstrząsie; chyba dawka trucizny była zbyt duża jak na jego małe ciało. W każdym razie nikt mnie nie winił. Nie miałyby znaczenia, gdybym siedział na brzegu i śledził go jak jastrząb, i tak by go oparzyła. Ale mnie tam nie było i przez całe lata obwiniałem się, choć wyszedł z tego bez większych komplikacji. Za każdym razem, kiedy widziałem straszne szramy na jego boku, odczuwałem potworną winę. Ale człowiek się z tym godzi. Po prostu nie jest się odpowiedzialnym za wszystko, co staje się na świecie. Po prostu tak nie jest.

Zapadła cisza. Skądś z głębi habitatu dobiegło do nich rytmiczne postukiwanie i coś w rodzaju dudnienia. Do tego dochodził wszechobecny szum wyciągów powietrza.

Beth wpatrzyła się w Normana.

--Okropne musiało być dla ciebie przyglądanie się śmierci Jane Edmunds.

--To ciekawe -- odpowiedział -- ale aż do tej chwili sobie tego nie skojarzyłem.

--Chyba to stłumiłeś. Chcesz valium? Uśmiechnął się.

--Nie.

--Wyglądasz, jakbyś miał się rozplakać.

--Nie, nic mi nie jest. -- Wstał i przeciągnął się. Podeszedł do apteczki, zamknął białe drzwiczki i wrócił do Beth.

--Co sądzisz o przekazach, które otrzymujemy? -- spytała.

--Ciemny jestem jak tabaka w rogu -- przyznał Norman. Usiadł z powrotem. Właściwie przyszła mi do głowy jedna wariacka myśl. Jak myślisz, czy te wiadomości i zwierzęta, które

widzimy, mogą się jakoś ze sobą wiązać?

--Czemu tak myślisz?

--Przyszło mi to do głowy dopiero wtedy, kiedy zaczęliśmy otrzymywać przekazy w postaci spiral. Harry twierdzi, iż to dlatego, że ta istota -- owo osławione "coś" -- uważa, że myślimy w kategoriach spiralnych. Równie prawdopodobne jest jednak, że to właśnie ona myśli spiralami. Kula jest okrągła, zgadza się? Do tego wszystkiego zwierzęta, które widzieliśmy, cechuje symetria promienista. I meduzy, i kałamarnice.

--Zgrabny pomysł -- przygasła go Beth. -- Tyle że kałamarnice nie mają symetrii promienistej. Ośmiornice, owszem. Podobnie jak one, kałamarnice mają okrągły wieniec macek, cechuje je jednak symetria dwuboczna z odpowiadającymi sobie prawą i lewą stroną, podobnie jak nas. Zapomniałeś poza tym o krewetkach.

--To prawda, pominąłem krewetki.

--Nie widzę żadnego związku między zwierzętami a kulą -- oświadczyła Beth.

Ponownie usłyszeli rytmiczne dudnienie. Siedzący w fotelu Norman uświadomił sobie, że prócz dźwięku dociera doń również lekka wibracja przenoszona przez posadzkę.

--Słuchaj, co to właściwie jest?

--Nie wiem. Chyba dochodzi z zewnątrz.

Ruszył w stronę iluminatora, gdy rozległo się kliknięcie interkomu i Barnes odezwał się:

--Proszę posłuchać, niech wszyscy zgłoszą się do sektora łączności. Wszyscy do sektora łączności. Doktor Adams złamał kod.

Harry nie od razu powiedział im, jaka jest treść wiadomości. Smakując swój triumf uparł się, że najpierw krok po kroku przedstawi im przebieg dekodowania. Wyjaśnił, iż z początku był przekonany, że wiadomość zawiera jakąś uniwersalną stałą czy prawo fizyczne, które ma posłużyć jako podstawa nawiązania komunikacji.

--Mógł to jednak być też -- powiedział Harry -- kod dla rysunku, co stwarzało niezwykle trudności. Czym bowiem jest rysunek? My sporządzamy go na płaszczyźnie -- powiedzmy na kartce papieru. Położenie elementu rysunku oznaczamy w dwóch osiach: poziomej i pionowej, rzędnych i odciętych, X i Y. Obca inteligencja może jednak całkowicie inaczej postrzegać i interpretować rysunki. Może ona zakładać istnienie więcej niż trzech wymiarów. Może też organizować go od środka na zewnątrz, by podać inny przykład. Kod graficzny byłby więc nader trudnym orzechem do zgryzienia. Z początku szło mi bardzo ciężko.

Później, kiedy otrzymali ten sam przekaz z przerwami między grupami cyfr, Harry zaczął podejrzewać, że kod ma postać osobnych porcji informacji.-- co sugerowało słowa, nie obraz.

--Kody słowne dzielą się na kilka rodzajów, od prostych po złożone. Nie można było stwierdzić od razu, jakiej metody kodowania użyto. Miałem jednak chwilę natchnienia.

Ted z niecierpliwością czekał na enuncjacje Harry'ego, na czym ona polegała.

--Dlaczego w ogóle użyto kodu? -- spytał Harry.

--No, dlaczego? -- ponaglił go Norman.

--Właśnie. Jeśli usiłuje się porozumieć, nie używa się kodu. Kod jest sposobem ukrywania informacji. Niewykluczone więc, że ta inteligencja myśli, iż nawiązuje z nami bezpośredni kontakt, w swym rozumowaniu popełnia jednak jakiś błąd. Tworzy kod, nawet nie wiedząc, że to robi. Sugerowało to, iż w owym nieintencjonalnym kodzie mamy do czynienia z podstawieniem liczb w miejsce liter. Kiedy otrzymałem podział słów na litery, próbowałem

dopasować litery do liczb za pomocą analizy frekwencyjnej. W takiej analizie wykorzystuje się fakt, iż najczęściej używaną w języku angielskim literą jest "e", następnie "t" i tak dalej. Szukałem więc najczęściej pojawiających się liczb. Pracę utrudniał mi jednak fakt, iż nawet krótka sekwencja cyfr, powiedzmy dwa- trzy- dwa, może reprezentować w kodzie wiele możliwości: dwa, trzy i dwa, dwadzieścia trzy i dwa, dwa i trzydzieści dwa albo dwieście trzydzieści dwa. Dłuższe sekwencje stwarzają jeszcze więcej możliwości.

Jak powiedział, właśnie siedział przed komputerem, gdy zastanawiając się nad spiralnymi przekazami opuścił wzrok na klawiaturę.

--Zacząłem się zastanawiać, co obca istota wydedukowałaby z klawiatury, rzędów symboli na prostopadłościanikach przeznaczonych do naciskania. Jakże dezorientujący byłby to widok dla przedstawiciela innej cywilizacji! Spójrzcie rzekł. -- W typowej klawiaturze znaki mają następujący układ. -- Podniósł swój notes.

rząd górny QWERTYUIOP

rząd środkowy ASDFGHJKL;

rząd dolny Z X C V B N M, . ?

--Wtedy wyobraziłem sobie, jak taka klawiatura będzie wyglądała jako spirala, ponieważ nasza istota zdaje się preferować spirale. Zacząłem numerować klawisze w koncentrycznych kręgach. Musiałem nad tym trochę poeksperymentować, ponieważ klawisze nie znajdują się bezpośrednio pod sobą, ale w końcu mi się udało -- powiedział. -- Popatrzcie: numery wzrastają od środka spirali. G to jeden, B to dwa, H -- trzy, Y -- cztery i tak dalej. Widzicie? Wygląda to tak. Szybko dopisał ołówkiem cyfry.

1 2 3 4 5 6 12 7 8 9 0

rząd górny Q W E R 13 T 5 Y 4 U 10 I O P

rząd środkowy A S D 14 F 6 G I H 3 J g K L

rząd dolny Z X C 15 V , B 2 N 8 M , . ?

--Dalej spirala przebiega identycznie: M to szesnaście, K -- siedemnaście i tym podobnie. W końcu zrozumiałem wiadomość.

--I jaka ona jest, Harry? Harry zawahał się.

--Muszę przyznać, że dziwna.

--Co to znaczy, dziwna?

Harry wyrwał kolejną kartkę papieru i podał im. Norman przeczytał krótką wiadomość, wypisaną zgrabnymi dużymi literami:

HALO. JAK SIĘ CZUJECIE? CZUJĘ SIĘ ŚWIETNIE. JAK SIĘ NAZYWACIE?
NAZYWAM SIĘ JERRY.

PIERWSZY DIALOG

--No, no -- powiedział w końcu Ted. -- Tego się nie spodziewałem.

--Wygląda dziecinnie -- uznała Beth. -- Jak coś z książeczek Poczytaj mi, mamie dla maluchów, pamiętacie je?

--No właśnie, dokładnie tak to wygląda.

--Może źle to pan przetłumaczył -- powątpiewał Barnes.

--Z pewnością nie -- odpowiedział Harry.

--Cóż, ten obcy wypowiedział się jak idiota -- skonstatował Barnes.

--Bardzo wątpię, żeby nim był -- powiedział Ted.

--Nie wątpię, że pan wątpi -- odrzucił Barnes. -- Obcy- idiota rozwalilby całą pańską teorię. Trzeba to jednak wziąć pod uwagę, czyż nie? Obcy- idiota. Wśród nich również muszą się tacy trafiać.

--Wątpię -- podkreślił Ted -- by ktokolwiek dysponujący tak rozwiniętą technologią, jaką reprezentuje kula, mógłby być głupi.

--No to nie zauważył pan koło siebie wszystkich szczeniaków rozbijających się samochodami -- powiedział Barnes. -- Chryste, po całej tej mordędzie: Jak się czujecie? Czuję się świetnie". Jezusie!

--Nie sądzę, żeby z tego przekazu wynikał brak inteligencji nadawcy, Hal powiedział Norman.

--Wręcz przeciwnie -- dodał Harry. -- Uważam, że jest bardzo sprytny.

--Zamieniam się w sluch -- ironizował Barnes.

--Treść bez wątpienia może sprawiać wrażenie dziecinnej -- rozpoczął Harry -- ale gdy się nad tym zastanowić, jest bardzo logiczna. Prosta wiadomość, jednoznaczna, przyjazna, nie powodująca lęku. Wysłanie czegoś takiego jest bardzo sensowne. Wydaje mi się, że obcy podchodzi do nas tak prosto, jak my zabieralibyśmy się do nawiązania kontaktu z psem. Rozumiecie, wyciąga się dłoń, pozwala mu ją powąchać, oswoić się z nią.

--Chce pan powiedzieć, że traktuje nas jak psy? -- rzekł Barnes.

Barnes zaczyna tracić głowę, pomyślał Norman. Zrobił się drażliwy, ponieważ jest przestraszony i czuje, że nie nadąża za rozwojem wypadków. Może też sądzi, że przekracza udzielone mu upoważnienia.

--Nie, Hal -- zaprzeczył Ted. -- Po prostu zaczyna od rzeczy najprostszych.

--No, zgadza się, to proste -- odrzekł Barnes. -- Jezu, nawiązujemy kontakt z pochodzącą z kosmosu istotą, a ona nam mówi, że nazywa się Jerry.

--Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, Hal.

--Może to jego nazwisko, nie imię -- zastanawiał się z nadzieją Barnes. -- Jak mam w raporcie dla Dowództwa Sił Pacyfiku stwierdzić, że jedna osoba zginęła podczas ekspedycji na dno oceanu, w czasie nawiązywania kontaktu z obcą istotą o imieniu Jerry? Mogłoby to brzmieć lepiej. Wszystko, tylko nie Jerry -- powiedział. -- Możemy mu zadać pytanie?

--Jakie? -- rzekł Harry.

--O jego pełne nazwisko.

--Sądzę, że powinniśmy się wziąć za znacznie bardziej treściwe rozmowy...

--Chcę wiedzieć, jakie jest jego pełne nazwisko -- upierał się Barnes. -- Potrzebne mi to do raportu.

--Dobra. Nazwisko, imię, stopień i numer identyfikacyjny -- ironizował Ted.

--Chciałbym panu przypomnieć, doktorze Fielding, że ja tu jestem dowódcą. Harry przerwał im sprzeczkę.

--Najpierw musimy się zorientować, czy w ogóle będzie z nami mówił. Podam mu pierwszą grupę cyfr.

Wystukał:

0003212

Nastąpiła przerwa, po czym pojawiła się odpowiedź:

0003212

--Dobrze jest -- ucieszył się Harry. -- Jerry słucha.

Zaczął coś pisać w swoim notatniku, po czym wydrukował na ekranie kolejny ciąg cyfr.

0002921 301321 06131821081

--Co to znaczy? -- spytała Beth.

--Jesteśmy przyjaciółmi" -- odpowiedział Harry.

--Niech pan da sobie spokój z przyjaźnią. Proszę go zapytać, jak się nazywa, do diabła -- burknął Barnes.

--Za chwilę. Wszystko po kolei.

--Wiecie, on może nie mieć żadnego nazwiska -- odezwał się Ted. Pojawiła się odpowiedź:

000421

--Powiedział "Tak".

--Co "Tak"? -- spytał Barnes.

--Po prostu "Tak". Zobaczmy, czy nie uda się go skłonić, by posługiwał się literami. Byłoby to łatwiejsze niż rozszyfrowywanie ciągów cyfr.

--Jak pan chce go nauczyć posługiwać się literami?

--Pokażemy mu, że znaczą to samo -- odrzekł Harry. Napisał:

00032125252632 = HALO.

Po krótkiej chwili ekran zamigotał:

00032125252632 = HALO.

--Nie chwyta -- uznał Ted.

--Wygląda, że nie. Spróbujmy jeszcze jednego ciągu. Napisał:

0004212232 = YES. Pojawiła się odpowiedź:

0004212232 = YES.

--Zdecydowanie nie może tego pojąć -- powiedział Ted.

--Myślałem, że z niego Bóg wie jaki mądrała -- rzekł Barnes.

--Dajcie mu szansę -- zaproponował Ted. -- Przecież zabiera się do mówienia naszym językiem, nie odwrotnie.

--Odwrotnie -- rzekł Harry. -- Dobry pomysł. Spróbujmy odwrócić całość, może teraz zrozumie coś z równania.

Wystukał:

0004212232 = YES. YES. =

000421

Zapadła długa chwila, podczas której wszyscy wpatrywali się w ekran. Nic się nie działo.

--Zastanawia się?

--Kto wie, co to coś robi?

--Dlaczego nie odpowiada?

--Dajmy mu jeszcze szansę, Hal, zgoda?

W końcu pojawiła się odpowiedź:

YES. = 0004212232 2322124000

-.SEY

--Yhm. Myśli, że przedstawiamy mu lustrzane odbicia.

--Idiota -- skomentował Barnes. -- Mówilem.

--Co teraz zrobimy?

--Spróbujemy z bardziej skomplikowanym stwierdzeniem -- powiedział Harry. -- Niech ma nad czym się zastanowić.

Napisał:

0004242232 = 0004212232; YES. = YES.; 0004212232 = YES.

--Sylogizm -- stwierdził Ted. -- Bardzo dobrze.

--Co proszę? -- spytał Barnes.

--Propozycja logiczna -- odrzekł Ted. Pojawiła się odpowiedź:

=

--A co to ma znaczyć? -- zapytał Barnes.

--Wydaje mi się, że się z nami bawi -- uśmiechnął się Harry -- Bawi się? Pan to nazywa zabawą? -- I owszem -- odparł Harry.

--Chce pan przez to powiedzieć, że poddaje nas próbie, bada nasze reakcje w stresowej sytuacji? -- Oczy Barnes'a zwęziły się. -- On tylko udaje, że jest głupi.

--Może bada, jacy jesteśmy mądrzy -- zamyślił się Ted. -- Może uważa, że to my jesteśmy głupi, Hal..

--Niech pan nie gada niedorzeczności -- irytował się Barnes.

--Nie -- wyjaśnił Harry. -- Rzecz polega na tym, że zachowuje się jak dziecko, usiłujące nawiązać przyjaźń. Kiedy dzieciaki chcą się zaprzyjaźnić, zaczynają się wspólnie bawić. Spróbujmy czegoś zabawnego.

Usiadł przy klawiaturze i napisał:

--=

Odpowiedź pojawiła się natychmiast:

--Chytrze -- powiedział Harry. -- Ten typ to prawdziwy bystrzak.

Szybko wystukał:

Nadeszła odpowiedź:

--Dobrze się pan bawi? -- spytał Barnes. -- Ponieważ ja za cholerę nie mam pojęcia, co się dzieje.

--Świetnie mnie rozumie -- odpowiedział Harry.

--Cieszę się, że komuś się to udaje. Harry napisał:

Ppp

Pojawiła się odpowiedź:

HALO. -- 0003212

--No dobrze -- rzekł Harry. -- Zaczyna się nudzić. Zabawa skończona. Przechodzimy na zwykły angielski.

Wystukał:

YES.

Pojawiła się odpowiedź: 0004212232. Harry napisał:

HALO.

Chwila przerwy, po czym pojawiło się:

ODCZUWAM ZASZCZYT MOGĄC NAWIĄZAĆ Z WAMI ZNAJOMOŚĆ.

PRZYJEMNOŚĆ LEŻY CAŁKOWICIE PO MOJEJ STRONIE, ZAPEWNIAM WAS.

Zapadło długie milczenie.

--No dobrze -- powiedział w końcu Barnes. -- Zabierzmy się do rzeczy.

--Jest uprzejmy -- stwierdził Ted. -- Bardzo przyjacielski.

--O ile nie udaje.

--Dlaczego miałby udawać?

--Proszę nie być naiwnym -- sarknął Barnes.

Norman spojrział na linie tekstu na ekranie. Jego reakcja była odmienna od reszty -- zaskoczyło go wyrażenie emocji. Czy rzeczywiście obcy mogli je przejawiać? Podejrzał, że ich nie mają. Kwiecisty, dość archaiczny styl sugerował, że jest to jedynie przybrana przez Jerry'ego poza. Jerry przemawiał jak postać z historycznego romansu.

--Cóż, panie i panowie -- oświadczył Harry. -- Po raz pierwszy w dziejach ludzkości macie możliwość bezpośredniej rozmowy z obcą istotą. O co chcecie go zapytać?

--Jego nazwisko? -- rzucił natychmiast Barnes. -- Poza jego nazwiskiem, Hal.

--Bez wątpienia można mu zadać poważniejsze pytanie niż to -- odezwał się Ted.

--Nie rozumiem, dlaczego nie chcecie go zapytać o... Na ekranie pojawiły się litery:

**CZY JESTEŚ ISTOTĄ HECHO IN
MEXICO?**

--Jezu, skąd on to wytrzasnął?

--Może na statku są przedmioty wyprodukowane w Meksyku.

--Na przykład?

--Choćby chrupki.

CZY JESTEŚ ISTOTĄ MADE IN USA?

--Facet nawet nie zaczął na odpowiedź.

--Kto powiedział, że to facet? -- spytała Beth. -- Och, Beth...

--Może Jerry to zdrobnienie od Geraldine?

--Beth, nie teraz.

CZY JESTEŚ ISTOTĄ MADE IN USA?

--Niech pan mu odpowie -- rzekł Barnes.

TAK, JESTEŚMY. KIM TY JESTEŚ?

Długa przerwa, po czym:

JESTEŚMY.

--Jesteśmy czym? -- zapytał Barnes, wpatrując się w ekran.

--Hal, nie przejmuj się tak. Harry napisał:

JESTEŚMY ISTOTAMI Z USA. KIM JESTEŚ? ISTOTA = ISTOTY?

--Fatalnie -- rzekł Ted -- że musimy mówić po angielsku. Jak damy sobie radę z nauczaniem go liczby mnogiej?

Harry napisał:

NIE.

JESTEŚ MNOGA ISTOTA?

--Wiem, o co mu chodzi. Myśli, że możemy być wieloma częściami pojedynczej istoty.

--Cóż, wyprowadźmy go z błędu.

NIE, JESTEŚMY WIELOMA ODDZIELNYMI ISTOTAMI.

--Możesz to powtórzyć -- powiedziała Beth.

ROZUMIEM. CZY JEST WŚRÓD WAS JEDNA ISTOTA KONTROLNA?

Ted zaczął się śmiać.

--Patrzcie, o co pyta!

--Nie rozumiem -- stwierdził Barnes.

--Mówi "Zabierzcie mnie do swojego przywódcy" -- wytłumaczył Harry. Chodzi mu o to, kto tu rządzi.

--To ja -- powiedział Barnes. -- Proszę mu to przekazać. Harry napisał:

TAK, ISTOTA KONTROLNA JEST KAPITAN HARALD C. BARNES. ROZUMIEM.

--Przez "o" -- poprawił Barnes. -- Harold przez "o".

--Mam to jeszcze raz napisać?

--Niech pan da spokój. Proszę go tylko zapytać, kim jest.

KIM JESTEŚ?

JESTEM JEDNOŚCIĄ.

--Dobrze -- rzekł Barnes. -- Więc jest tylko jeden. Proszę go spytać, skąd pochodzi.

SKĄD JESTEŚ? JESTEM Z MIEJSCA.

--Proszę go zapytać o nazwę tego miejsca -- polecił Barnes.

--Hal, nic przez to nie osiągniemy.

--Musimy przyszpilić tego klienta!

GDZIE ZNAJDUJE SIĘ MIEJSCE, Z KTÓREGO JESTEŚ?

JESTEM TUTAJ.

--To wiemy. Proszę zapytać jeszcze raz.

GDZIE ZNAJDUJE SIĘ MIEJSCE, Z KTÓREGO BIERZESZ POCZĄTEK?

--To koszmarna angielszczyzna -- skrzywił się Ted. -- "Skąd bierzesz początek". Będzie to idiotycznie wyglądało, gdy to opublikujemy.

--Żadujemy to do druku -- uspokoił go Barnes.

--Nie możecie tego zrobić -- zaprotestował Ted ze zgrozą. -- Nie możecie zmieniać tego bezcennego dla nauki dyskursu!

--Och, ciągle się to robi. Jak wy to nazywacie? "Masaż danych"? Harry pisał znowu.

GDZIE ZNAJDUJE SIĘ MIEJSCE, Z KTÓREGO BIERZESZ POCZĄTEK? WZIAŁEM POCZĄTEK ZE ŚWIADOMOŚCI.

--Świadomość? To planeta czy co?

GDZIE JEST ŚWIADOMOŚĆ?

ŚWIADOMOŚĆ JEST.

--Robi z nas idiotów -- złościł się Barnes.

--Może ja spróbuję -- zaproponował Ted. Harry odsunął się i Ted napisał:

PRZEBYŁEŚ PODRÓŻ? TAK. CZY TY PRZEBYŁEŚ PODRÓŻ? TAK -- napisał Ted.

PRZEBYWAM PODRÓŻ. TY PRZEBYWASZ PODRÓŻ. WSPÓLNIE PRZEBYWAMY PODRÓŻ. JESTEM SZCZĘŚLIWY.

Twierdzi, że jest szczęśliwy, pomyślał Norman. Kolejny wyraz emocji, tym razem nie wyglądający na zaczerpnięty z książki. Oświadczenie wyglądało na bezpośrednie i szczere. Czy oznaczało to, że obcy miał uczucia? Czy tylko je pozorował, dla zabawy lub by sprawić nam przyjemność?

--Dość tych głupot -- zdenerwował się Barnes. -- Proszę go zapytać o broń.

--Wątpię, żeby pojmował koncepcję broni.

--Wszyscy ją rozumieją- powiedział Barnes. -- Obrona to podstawowa cecha życia.

--Muszę zgłosić sprzeciw wobec takiego stanowiska -- stwierdził Ted. -- Wojskowi zawsze zakładają, że wszyscy są tacy sami jak oni. Obca istota może nie mieć najmniejszego pojęcia o obronie czy uzbrojeniu. Może pochodzić ze świata, gdzie w ogóle nie ma na coś takiego miejsca.

--Powtórzę, skoro pan nie słuchał -- oświadczył Barnes. -- Obrona to podstawowa cecha życia. Jeśli ten Jerry żyje, musi mieć pojęcie o obronie.

--Mój Boże -- rzekł Ted. -- Teraz próbuje pan podnieść ideę obrony do rangi wszechobecnej uniwersalnej zasady -- obrona jako nieodłączny składnik życia.

--Uważa pan, że jest inaczej? -- spytał Barnes. -- A jak pan określi błonę komórkową? Jak pan nazwie system odpornościowy? Jak pan nazwie swoją skórę? Co pan powie o gojeniu się ran? Każda żywa istota musi utrzymywać ciągłość swoich powłok zewnętrznych. Jest to obrona, bez której nie byłoby życia. Nie możemy sobie wyobrazić istoty o ciele bez powierzchni, która by je broniła. Każda żywa istota ma pojęcie o obronie, gwarantuję to panu. Proszę go teraz o to zapytać.

--Powiedziałabym, że kapitan ma słuszość -- rzekła Beth.

--Być może -- powątpiewał Ted. -- Nie jestem jednak pewien, czy powinniśmy wprowadzać pojęcia mogące wywołać paranoję...

--Ja tu odpowiadam za...- przerwał mu Barnes. Na ekranie pojawiło się:

CZY WASZA PODRÓŻ ZABRAŁA WAS DALEKO OD WASZEGO MIEJSCA?

--Proszę mu powiedzieć, żeby chwilę zaczekał. Ted napisał:

**ZACZEKAJ, PROSZĘ.
DYSKUTUJEMY.**

TAK, JA RÓWNIEŻ JESTEM ZASZCZYCONY MOGĄC DYSKUTOWAĆ Z MNOGIMI ISTOTAMI Z MADE IN USA. CIESZY MNIE TO NIEZMIERNIE. DZIĘKUJEMY -- napisał Ted.

JESTEM ZADOWOLONY Z KONTAKTU Z WASZYMI ISTOTAMI. JESTEM SZCZĘŚLIWY Z DYSKUTOWANIA Z WAMI. CIESZY MNIE TO NIEZMIERNIE.

--Przerwijmy połączenie -- zaproponował Barnes. Na ekranie pojawiły się drukowane litery.

NIE PRZESTAWAJCIE, PROSZĘ. CIESZY MNIE TO NIEZMIERNIE.

Załóżę się, że ma ochotę z kimś pogadać po trzystu latach samotności, pomyślał Norman. A może trwało to jeszcze dłużej? Może unosił się w kuli w przestrzeni kosmicznej tysiące lat, nim zgarnął go statek?

Dla Normana pojawiała się przez to mnóstwo pytań i problemów. Jeśli obca istota miała uczucia -- a zdecydowanie na to wyglądało -- istniała możliwość, że wykaże się wszelakimi spaczonymi reakcjami emocjonalnymi, z nerwicami czy nawet psychozami włącznie. Większość ludzi odizolowanych od otoczenia dość szybko ujawniała objawy psychotyczne. Obca istota znajdowała się w samotności przez setki lat. Czy rozwinęła się u niej nerwica? Czy dlatego w kapryśny i dziecinny sposób się teraz zachowywała?

NIE PRZESTAWAJCIE. CIESZY MNIE TO NIEZMIERNIE.

--Musimy przestać, na miłość boską-- powiedział Barnes. Ted napisał:

PRZESTANIEMY TERAZ, BY POROZMAWIAĆ MIĘDZY SOBĄ.

Norman pomyślał, że wykrył nutę drażliwości i kapryśności. Może nawet nieco władczości.

"Nie mam ochoty przestać" -- obca istota wyraża się jak Ludwik XIV.

TO DLA NAS KONIECZNE -- napisał Ted **NIE CHCĘ TEGO.**

TO DLA NAS KONIECZNE, JERRY.

ROZUMIEM.

Ekran zgasł.

--Już lepiej -- oświadczył Barnes. -- Przegrupujmy się teraz i opracujmy plan gry. O co powinniśmy zapytać tego gościa?

--Myślę, że należy podkreślić -- stwierdził Norman -- że wykazuje emocjonalne reakcje w interakcji z nami.

--to znaczy?-- zapytała zaciekawiona Beth.

--Sądzę, że w stosunkach z nim będziemy musieli brać pod uwagę aspekt psychologiczny.

--Chcesz poddać go psychoanalizie? -- spytał Ted. -- Położyć na leżankę i wyciągnąć z niego, jakie miał nieszczęśliwe dzieciństwo?

Z pewnym trudem Norman stłumił gniew. Pod tą dziecięcą maską kryje się rzeczywiście dzieciak, pomyślał.

--Nie, Ted, ale jeśli Jerry wykazuje uczucia, powinniśmy wziąć je pod uwagę, analizując jego reakcje.

--Nie chciałem cię urazić -- powiedział Ted -- ale osobiście nie bardzo widzę, do czego miałyby się tu przydać psychologia. To nie nauka, to odmiana przesądów czy religii. W ogóle nie dysponuje solidnymi teoriami ani sensownymi danymi, o których warto by rozmawiać. Wszystko

w niej jest nieokreślone. Całe podkreślanie roli uczuć jest bardzo bezpieczne -- można o nich gadać godzinami i nikt cię nie złapie za rękę. Jako astrofizyk nie uważam, żeby uczucia były bardzo ważne. Sądzę, że są istotniejsze sprawy.

--Wielu intelektualistów zgodziłoby się z tobą- rzekł Norman.

--No właśnie -- zapytał Ted. -- Mamy do czynienia z wyższą inteligencją, czyż nie?

--Ogólnie rzecz biorąc -- wyjaśnił Norman -- bagatelizować uczucia zwykli ludzie, którzy słabo je mają rozwinięte.

--Chcesz powiedzieć, że mam słabo rozwinięte uczucia? -- spytał Ted. -- Tak jest, jeśli twierdzisz, że nie są ważne.

--Możecie się później spierać na ten temat -- stwierdził Barnes.

--"W rzeczy samej nic nie jest złem ani dobrem samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takim" -- powiedział Ted.

--Dlaczego nie powiesz, co po prostu myślisz -- rzekł z gniewem Norman zamiast bez przerwy cytować innych?

--To już jest wycieczka osobista -- rzucił Ted.

--Cóż, ja przynajmniej nie zaprzeczam sensowności badań w twoim kierunku nauki -- odciął się Norman -- choć bez wielkiego wysiłku mógłbym to zrobić. Astrofizycy skłaniają się do analizy odległych rejonów wszechświata, żeby uciec od rzeczywistości własnego życia. Ponieważ zaś nic w astrofizyce nie może być ostatecznie udowodnione...

--To absolutne kłamstwo! -- zaprotestował Ted.

--Dość! -- warknął Barnes, uderzając otwartą dłoń w stół. Zapanowało niezręczne milczenie. Norman wciąż odczuwał gniew, dołączyło się do tego jednak zakłopotanie. Ted dobrał się do mnie, pomyślał. W końcu dobrał się do mnie. Dokonał tego w najprostszy sposób, atakując moje pole naukowe. Norman zastanawiał się, dlaczego mu się udało. Przez całe życie nasłuchiwał się na uniwersytecie naukowców z dziedzin ścisłych -- fizyków i chemików -- tłumaczących mu cierpliwie, że psychologii brak solidnych podstaw naukowych, podczas gdy oni sami przechodzili jeden rozwód po drugim, ich żony brały sobie kochanków, dzieci popełniały samobójstwa albo popadały w uzależnienie od narkotyków. Już dawno przestał zwracać uwagę na ich argumentację.

Tedowi udało się jednak zaleźć mu za skórę.

--...wracając do aktualnego problemu -- mówił Barnes. -- Padło pytanie: o co należy wypytać tego gościa?

O CO NALEŻY WYPYTAĆ TEGO GOŚCIA?

Zagapili się na ekran.

--Ooch -- westchnął Barnes.

OOCH.

--Czy to znaczy to, co myślę?

CZY TO ZNACZY TO, CO MYŚLĘ?

Ted odepchnął się od klawiatury. Powiedział na głos:

--Jerry, czy rozumiesz, co mówię?

TAK, TED.

--Wspaniale -- powiedział Barnes, potrząsając głową. -- Po prostu wspaniale.

JESTEM SZCZĘŚLIWY RÓWNIEŻ.

NEGOCJACJE Z OBCYM

--Norman -- powiedział Barnes. -- O ile sobie przypominam, wspomniałeś o takiej możliwości w swoim sprawozdaniu, prawda? O możliwości, iż obce istoty będą zdolne odczytywać nasze myśli...

--Wspomniałem -- przyznał Norman. -- I jakie były twoje zalecenia?

--Nie było żadnych. Poproszono mnie tylko w Departamencie Stanu, bym wymienił taką możliwość, więc to zrobiłem.

--Nie umieściłeś żadnych zaleceń w swoim sprawozdaniu?

--Nie -- odparł Norman. -- Prawdę mówiąc, ten pomysł wydawał mi się wówczas żartem.

--Okazuje się, że nie był nim -- stwierdził Barnes. Usiadł ciężko i zapatrzył się w ekran. --
I co teraz mamy zrobić, do cholery?

NIE OBAWIAJCIE SIĘ.

--Łatwo mu tak powiedzieć, gdy słyszy wszystkie nasze słowa. -- Zapatrzył się w monitor. --
- Słuchasz nas teraz, Jerry?

TAK, HAL.

--Ale pasztet -- rzekł Barnes.

--Uważam, że to fascynujący rozwój wydarzeń -- ocenił Ted.

--Jerry, potrafisz czytać w naszych myślach? -- spytał Norman.

TAK, NORMAN.

--O święci pańscy!-- jęknął Barnes. -- Potrafi czytać w myślach.

Może nie, pomyślał Norman. Zmarszczył brwi, skupił się i pomyślał: Jerry, czy mnie słyszysz?

Na ekranie nie ukazało się nic.

Jerry, powiedz, jak się nazywasz.

Ekran się nie zmienił.

Może wyobrażenie graficzne, pomyślał Norman. Może coś takiego potrafi odebrać. Pogrzebał w myślach za czymś, co mógłby sobie wyobrazić, wybrał piaszczystą tropikalną plażę, dorzucił do tego jeszcze palmę. Obraz palmy był wyraźny, lecz pomyślał, że Jerry może nie wiedzieć, co to takiego palma. Mogła nic dla niego nie znaczyć. Norman pomyślał, że powinien wybrać coś, co byłoby w zasięgu doświadczeń Jerry'ego. Zdecydował się na

wyobrażenie planety z pierścieniami, takiej jak Saturn. Zamyślił się: Jerry, za chwilę prześlę ci obraz. Powiedz mi, co widzisz.

Skupił myśli na obrazie Saturna, jaskrawożółtej kuli z nachylonym układem pierścieni, zawieszanej w czerni przestrzeni kosmicznej. Utrzymał ten obraz przed swymi oczyma przez około dziesięciu sekund, po czym przeniósł wzrok na monitor.

Na ekranie dalej nie było nic.

Jerry, jesteś tu?

Ekran się nie zmienił.

--Jerry, jesteś tu? -- zapytał głośno.

TAK, NORMAN. JESTEM TU.

--Myślę, że nie powinniśmy rozmawiać w tym pomieszczeniu -- rzekł Barnes. -- Może jeśli przejdziemy do sąsiedniego cylindra i odkręcimy wodę...

--Jak w filmach szpiegowskich?

--Spróbować warto.

--Uważam, że to niesprawiedliwe wobec Jerry'ego -- obruszył się Ted. -- Jeżeli uważamy, że narusza naszą prywatność, dlaczego mu o tym po prostu nie powiemy? Poprosimy, by tego nie robił?

NIE CHCĘ NARUSZAĆ.

--Nie oszukujmy się -- oświadczył Barnes. -- Ten gość wie o nas o wiele więcej, niż my o nim.

TAK, WIEM MNÓSTWO RZECZY O WASZYCH ISTOTACH.

--Jerry -- odezwał się Ted.

TAK, TED. JESTEM TU.

--Proszę, zostaw nas samych.

NIE CHCĘ TEGO, ROBIĆ. JESTEM SZCZĘŚLIWY MOGĄC DYSKUTOWAĆ Z WAMI. ZACHWYCA MNIE ROZMOWA Z WAMI. POROZMAWIAJMY DALEJ. CHCĘ TEGO.

--To oczywiste, że nie da się go przekonać -- uznał Barnes.

--Jerry -- powiedział Ted. -- Musisz nas na razie zostawić samych.

NIE. TO NIEMOŻLIWE. NIE ZGADZAM SIĘ. NIE!

--Wylazi ze skurczybyka prawdziwa natura -- stwierdził Barnes.

Królewiątko, pomyślał Norman.

--Może ja spróbuję.

--Proszę uprzejmie.

--Jerry- rzekł Norman.

TAK, NORMAN. JESTEM TU.

--Jerry, rozmowa z tobą jest bardzo ekscytująca.

DZIĘKUJĘ.JA RÓWNIEŻ JESTEM PODEKSCYTOWANY.

--Jerry, uważamy cię za fascynującą i cudowną istotę. Barnes przewrócił oczyma i potrząsnął głową.

DZIĘKUJĘ, NORMAN.

--I chcielibyśmy rozmawiać z tobą przez długie godziny, Jerry.

DOBRZE.

--Podziwiamy twoje talenty i uzdolnienia.

DZIĘKUJĘ.

--Wiemy też, że dysponujesz wielką mocą i doskonale rozumiesz wiele spraw.

ISTOTNIE, NORMAN. TAK.

--Jerry, dzięki swemu zrozumieniu na pewno wiesz, że jesteśmy istotami, które od czasu do czasu muszą porozmawiać ze sobą tak, byś tego nie słyszał. Doznania związane ze spotkaniem z tobą są dla nas bardzo trudne do ogarnięcia i o wielu sprawach musimy porozmawiać między sobą.

Barnes jedynie potrząsał głową.

**JA RÓWNIEŻ MAM MNÓSTWO DO POWIEDZENIA. CIESZY MNIE NIEZMIERNIE
MOŻLIWOŚĆ DYSKUTOWANIA Z WASZYMI ISTOTAMI, NORMAN.**

**--Tak, wiem o tym, Jerry. W swej mądrości wiesz niewątpliwie również i to, że musimy
rozmawiać we własnym gronie.**

NIE OBAWIAJCIE SIĘ.

--Nie obawiamy się, Jerry. Jest to dla nas niedogodnością.

NIE BĄDŹCIE NIE DOGODNI.

--Nic na to nie poradzimy, Jerry... Tacy już jesteśmy.

CIESZY MNIE NIEZMIERNIE MOŻLIWOŚĆ DYSKUTOWANIA Z WASZYMISTOTAMI, NORMAN. JESTEM SZCZĘŚLIWY. CZY WY JESTEŚCIE RÓWNIEŻ SZCZĘŚLIWI?

--Tak, bardzo, Jerry. Ale, zrozum, musimy...

DOBRZE. JESTEM ZADOWOLONY.

--...porozmawiać na osobności. Proszę, nie słuchaj nas przez chwilę.

OBRAŻAM CIĘ?

--Nie, jesteś bardzo przyjazny i czarujący, ale jakiś czas musimy porozmawiać na osobności, bez twojego przysłuchiwania się.

ROZUMIEM, ŻE TEGO POTRZEBUJECIE. CHCĘ, BYŚCIE BYLI ZE MNĄ W KOMFORTCIE, NORMAN. ZAPEWNIĘ REALIZACJĘ WASZEJ WOLI.

--Dziękuję, Jerry.

--Pewnie -- powiedział Harry. -- Naprawdę pan sądzi, że on to zrobi?

WRACAMY NA ANTENĘ ZARAZ PO INFORMACJACH OD NASZEGO SPONSORA.

I ekran zgasł.

Norman roześmiał się wbrew woli.

--Fascynujące -- zdumiał się Ted. -- Najwyraźniej odbiera programy telewizyjne.

--Nie może tego robić z dna.

--My nie, ale on być może tak. Barnes rzekł:

--Wiem, że on wciąż słucha. Jestem tego pewny. Jerry, jesteś tu? Ekran nadal był wygaszony.

--Jerry?

Nic się nie działo. Ekran pozostał pusty.

--Odszedł.

--Cóż -- stwierdził Norman. -- Właśnie naocznie przekonaliście się o potędze psychologii. -- Nie mógł sobie darować, by tego nie rzec; wciąż był zły na Teda.

--Przepraszam...- zaczął Ted. -- Nic się nie stało.

--Naprawdę nie sądzę, żeby dla wyższych inteligencji uczucia się liczyły.

--Nie wracajmy do tego -- powiedziała Beth.

--Istota sprawy polega na tym -- wyjaśnił Norman -- iż emocje i intelekt są zupełnie nie powiązane ze sobą. Są jak oddzielne struktury w mózgu lub nawet oddzielne mózgi, które się ze sobą nie komunikują. To dlatego zrozumienie tak często okazuje się bezużyteczne.

Ted zdziwił się:

--Zrozumienie bezużyteczne?! -- Zdawało się, że napawa go to grozą.

--W wielu wypadkach tak jest -- potwierdził Norman. -- Czy nauczysz się jeździć na rowerze z książki na ten temat? Za nic. Możesz czytać do woli, ale żeby jeździć, musisz nauczyć się tego wsiadając na rower. Inna część mózgu odpowiada za naukę jazdy na rowerze niż ta, którą wykorzystujesz przy czytaniu o nauce.

--Co to ma wspólnego z Jerryem? -- spytał Barnes.

--Wiemy -- odparł Norman -- że mądra osoba równie łatwo popełnia emocjonalne błędy, jak każda inna. Jeżeli Jerry jest istotą rzeczywiście odczuwającą emocje -- a nie tylko je udaje -- musimy porozumiewać się z nim zarówno na poziomie intelektualnym, jak i emocjonalnym.

--To bardzo dla ciebie dogodne -- skostatował Ted.

--Nie byłbym tego pewny -- rzekł Norman. -- Szczerze mówiąc, byłbym o wiele szczęśliwszy, gdyby Jerry był jedynie chłodnym, beznamiętnym intelektem.

--Dlaczego?

--Ponieważ -- odparł Norman -- jeżeli Jerry jest jednocześnie potężny i podatny na emocje, powstaje pytanie, co będzie, jeśli się zdenerwuje?

ROSE LEVY

Rozeszli się. Harry, wyczerpany przeciągającym się wysiłkiem włożonym w dekodowanie, natychmiast położył się spać. Ted przeszedł do Cylindra C, by nagrać na taśmę swe osobiste wrażenia mające posłużyć jako warstwa faktograficzna do planowanej przez niego książki o zetknięciu z Jerrym. Barnes i Alice Fletcher udali się do Cylindra E zaplanować strategię walki, gdyby obcy zdecydował się ich zaatakować.

Tina została jeszcze, by poprawić w spokojny, metodyczny sposób obraz przekazywany przez monitory. Norman i Beth przyglądali się jej pracy. Spędziła mnóstwo czasu przy rządzie kontrolki, których Norman wcześniej nie zauważył. Były to płonące jaskrawoczerwonym światłem czujniki, w ekranikach których wykorzystywano emisję gazu w postaci plazmy.

--Co to takiego? -- zapytała Beth.

--EPSA -- Esternal Perimeter Sensor Array, czyli Zespół Czujników Peryferyjnych. Mamy czynne i bierne czujniki dla wszystkich modalności -- temperaturowe, ciśnieniowe, rejestrujące zmianę warunków środowiska -- rozstawione dookoła habitatu w koncentrycznych kręgach. Kapitan chciał, by je wszystkie jeszcze raz ustawić i uaktywnić.

--Po co? -- spytał Norman.

--Nie wiem. Taki wydał rozkaz.

W interkomie zachrobotało. Barnes powiedział:

--Marynarz Chan ma się stawić natychmiast w Cylindrze E. Polecam też odciąć linie łączności do niego prowadzące. Nie chcemy, żeby Jerry przysłuchiwał się naszym planom.

--Tak jest, panie kapitanie.

--Paranoiczny osioł -- rzuciła Beth.

Tina zgarnęła swoje papiery i oddaliła się w pośpiechu.

Norman przez jakiś czas siedział z Beth w milczeniu. Słyszeli dobiegające gdzieś z habitatu rytmiczne dudnienie. Zapadła całkowita cisza, po czym dudnienie rozległo się ponownie.

--A to co takiego? -- zapytała Beth. -- Dobiega chyba gdzieś ze środka habitatu. -- Podeszła do iluminatora, wyjrzała na zewnątrz, zapaliła lampy łukowe. Ooch -- wyrzuciła z siebie.

Norman wyjrzał tam, gdzie ona.

Na dnie widać było podłużny cień, przesuwany się i cofający w rytm uderzeń. Cień był tak zniekształcony, że chwilę im zabrało zorientowanie się, co może go rzucać. Spostrzegli, że jest to cień ludzkiej ręki i dłoni.

--Kapitanie Barnes, jest pan tam?

Odpowiedzi nie było. Norman powtórnie przekręcił przełącznik interkomu.

--Kapitanie Barnes, słyszy mnie pan? Nadal nie było odpowiedzi.

--Odcięli linię łączności -- domyśliła się Beth. -- Nie usłyszysz cię.

--Jak myślisz, czy ten ktoś na zewnątrz jeszcze żyje? -- spytał słabo Norman.

--Nie wiem. Możliwe.

--Idziemy -- powiedział.

Poczuł suchy metaliczny posmak sprężonego powietrza wewnątrz helmu i lodowate zimno, gdy wśliznął się do wody przez właz w posadzce, opadając w ciemnościach na muliste dno.

Chwilę później Beth wylądowała bezpośrednio za nim.

--W porządku? -- zapytała. -- Świetnie.

--Nie widzę żadnych meduz -- zauważyła. -- Ani ja.

Wyszli spod habitatu, odwrócili się i spojrzeli za siebie. Reflektory i światła z Wnętrza utrudniały im widzenie, nie pozwalając też wyraźnie dojrzeć zarysów wznoszących się nad nimi cylindrów. Wyraźnie słyszeli rytmiczne uderzenia, ale nie mogli zlokalizować ich źródła. Przeszli pod przyporami na drugą stronę habitatu, mrużąc oczy przed światłem reflektorów.

--Tam -- powiedziała Beth.

Dziesięć stóp pod nimi, pod pionowy wspornik wklonowana była sylwetka w niebieskim skafandrze. Ciało falowało bezwładnie z prądem dennym, jaskrawożółty hełm w krótkich odstępach obijał się o ścianę habitatu.

--Widzisz, kto to? -- spytała Beth.

--Nie. -- Światła go oślepiły.

Norman wspiął się po masywnych dźwigarach, kotwiczących habitat do dna. Metalowa powierzchnia pokryta była śliskimi brunatnymi algami. Jego buty ześlizgiwały się z rur, póki nie dostrzegł w końcu przeznaczonych do wchodzenia stopni. Później było już łatwo. Stopy zwłok unosiły się teraz tuż nad jego głową, Norman wszedł na kolejny stopień i jeden z butów trupa zahaczył o przewód do prowadzący tlen z butli do maski. Sięgnął dłonią pod hełm, starając się uwolnić. Ciało zadygotało i przez krótką straszną chwilę pomyślał, że ten ktoś jeszcze żyje. But został mu w dłoni i naga stopa -- o szarej skórze i purpurowych paznokciach -- kopnęła go w wizjer. Moment mdłości szybko przeminął -- Norman naoglądał się dość katastrof lotniczych, by móc się opanować. Upuścił but i przyglądał się, jak opada ku Beth. Pociągnął zwłoki za nogę. Poczul jej spęczniałą konsystencję. Ciało powoli poczęło opadać na dno. Chwycił je za ramię, ponownie czując miękkość pod palcami. Odwrócił je, by móc spojrzeć w twarz.

--ToRoseLevy.

Hełm miała wypełniony wodą. Pod wizjerem dostrzegł wytrzeszczone oczy, otwarte usta, wyraz przerażenia na twarzy.

--Mam ją- stwierdziła Beth, ściągając ciało w dół. Po chwili rzekła: -- O Jezu. Norman zszedł na dół po wsporniku. Beth odciągała ciało od habitatu ku części dna zalanej światłem.

--Jest cała miękka. Jakby połamano jej wszystkie kości.

--Wiem. -- Dołączył do niej. Wszystko to było jakieś nierealne. Znal tę kobietę, jeszcze niedawno żyła. Czuł się jednak, jakby rozważał to z wielkiego dystansu.

Odwrócił ciało Rose Levy. Na lewym boku miała w skafandrze długie rozdarcie. Dostrzegł pod nim purpurowe zmaltretowane ciało. Nachylił się, by się temu przyjrzeć.

--Wypadek?

--Nie wydaje mi się -- powiedziała Beth.

--Przytrzymaj ją. O tak. -- Norman rozchylił skraje rozdarcia. Kilka kawalków materiału odchodziło od wspólnego środka. -- Rozdarcie układa się w gwiazdę, widzisz? -- spytał.

Odsunęła się. -- Widzę.

--Co to mogło spowodować, Beth?

--Nie wiem.. Nie jestem pewna.

Beth odsunęła się jeszcze dalej. Norman przyglądał się rozdarciu i ciału pod spodem.

--Skóra jest zmacerowana. -- Zmacerowana? -- Nadtrawiona.

--O Jezu.

Tak, zdecydowanie nadtrawiona, pomyślał sięgając do wewnątrz rozdarcia. Rana była

szczególna: ciągłość skóry była naruszona drobnymi, zębatymi otworkami. Koło jego hełmu poczęły się snuć blade pasma rozpuszczonej krwi.

--Wracajmy -- powiedziała Beth.

--Poczekaj jeszcze chwilę. -- Norman począł ścisnąć zwłoki w biodrach, ramionach, nogach. Wszędzie były miękkie jak gąbka. Coś niemal doszczętnie je zmiażdżyło. Czuł połamane w wielu miejscach kości nóg. Co mogło być tego przyczyną? Znow spojrzał na ranę.

--Nie podoba mi się tutaj -- stwierdziła z napięciem Beth.

--Jeszcze sekundę.

W pierwszej chwili zdawało mu się, że rana na ciele Rosę to skutek jakiegoś ukąszenia, teraz jednak nie był tego taki pewien.

--Jakby ktoś szorstkim pilnikiem przejechał po jej skórze -- powiedział. Odrzucił przerażony w tył głowę, gdy coś niewielkiego przepłynęło koło jego hełmu. Serce zaczęło mu łomotać na myśl, że to meduza, lecz dostrzegł, że to coś jest dokładnie kuliste i niemal nieprzezroczyste. Miało rozmiary mniej więcej piłeczki golfowej. Przepłynęło koło niego i oddaliło się.

Rozejrzał się. W wodzie widać było cienkie pasemka śluzu. I mnóstwo białych kuleczek.

--Co to takiego, Beth?

--Jaja. -- Przez interkom słyszał, jak głęboko oddycha. -- Wracajmy już, Norman, proszę cię.

--Jeszcze tylko chwileczka. -- Nie, Norman. Już!

Przez radio usłyszeli odgłos alarmu. Cichy, o blaszanym przydźwięku, pochodził zapewne z wnętrza habitatu. Dobiegły ich stłumione głosy, po czym bardzo głośna kwestia Barnes'a:

--Co wy, do ciężkiej cholery, tam wyprawiacie?

--Znaleźliśmy Rosę Levy, Hal -- rzekł Norman.

--No i dobrze, natychmiast wracajcie -- powiedział Barnes. -- Czujniki się uaktywniły. Nie jesteście tam sami -- a cokolwiek macie za towarzystwo, jest to coś cholernie wielkiego.

Norman poczuł się ogłuszony. Powoli zapytał:

--A co z ciałem Rosę?

--Rzućcie je i wracajcie!

Rzućcie? -- pomyślał ospale. Musieli coś z nim zrobić, nie mogli go tak po prostu zostawić.

--Co się z panem dzieje, Norman?

Norman wymamrotał coś i niejasno zdał sobie sprawę, że Beth chwyta go za ramię i siłą ciągnie w stronę habitatu. W wodzie było pełno białych jajeczek. W uszach dzwonił mu dźwięk alarmu. Odgłos był bardzo silny i dopiero po chwili Norman uświadomił sobie, że to włączył się nowy alarm. Wewnątrz jego skafandra.

Zaczął dygotać. Zęby mu szczękały. Spróbował coś powiedzieć, ale przygryzł sobie język i poczuł smak krwi. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie.

Gdy zbliżali się do habitatu, zorientował się, że jaja przyczepiają się do cylindrów całymi kępami, tworząc guzowatą białą po wierzchnie.

--Szybciej! -- wołał Barnes. -- Szybciej. Zbliży się w tę stronę!

Znaleźli się pod śluzą. Poczuł szarpiące go prądy wody. Koło nich znajdowało się coś wielkiego. Beth pchnęła go i kiedy wyskoczył nad powierzchnię, Alice Fletcher uchwyciła go i wyciągnęła z wody. Chwilę później to samo zrobiła z Beth i luk został zamknięty. Ktoś ściągnął

mu hełm. Dygotał, leżąc na dnie śluzy. Zwleczono z niego kombinezon, opatulono w srebrzysty koc i przytrzymano, dopóki dreszcze nie poczęły ustępować, aż w końcu przeszły całkowicie. Niespodziewanie, mimo alarmu, zapadł w sen.

WZGLĘDY MILITARNE

--To nie wasza cholerna robota! -- wrzeszczał Barnes. -- Nikt was nie upoważnił, żeby to robić, ot co. Nie mieliście prawa!

--Rosę Levy mogła jeszcze żyć -- zaprotestowała Beth, zachowując spokój w obliczu furii Barnesesa.

--Ale nie żyła, a wychodząc, niepotrzebnie ryzykowaliście życie dwóch cywilnych członków ekspedycji.

--To był mój pomysł, Hal -- włączył się Norman Wciąż był opatulony w koce, ale dostał gorący napój i wypoczął, dzięki czemu poczuł się lepiej.

--No właśnie -- powiedział Barnes. -- Macie szczęście, że jeszcze żyjecie.

--Chyba tak -- przyznał Norman. -- Ale nie mam pojęcia, co się wydarzyło.

--Zdarzyło się, co następuje -- wycedził Barnes. -- Nastąpiło zwarcie w układach cyrkulacji w pańskim skafandrze i gwałtownie zaczął pan tracić ciepło, odbierane przez hel. Jeszcze parę minut i byłby pan sztywny.

--To stało się tak szybko -- tłumaczył się Norman. -- Nie zdawałem sobie sprawy...

--Posłuchajcie mnie, ludzie, bo szlag mnie trafi -- wściekł się Barnes. -- Chcę, by coś było jasne. To nie jest konferencja naukowa. To nie żaden podwodny Holiday Inn, gdzie możecie robić, co wam się żywnie podoba. To operacja wojskowa i macie się, do cholery, stosować do wojskowych reguł. Czy to jasne?

--Operacja wojskowa? -- powtórzył niedowierzająco Ted.

--Od tej chwili tak -- oznajmił Barnes.

--Proszę zaczekać. To znaczy, że wcześniej nią nie była?

--Teraz jest.

--Nie odpowiedział pan na pytanie -- nastawał Ted. -- Jeśli to jest operacja wojskowa, powinniśmy o tym wiedzieć. Osobiście nie życzę sobie być zamieszany...

--To odplyń -- przerwała Beth.

--... w operację wojskową mającą.

--Niech pan posłucha, Ted -- rzekł Barnes. -- Wie pan, ile to kosztuje marynarkę?

--Nie, ale nie widzę...

--To panu powiem. Ulokowany na dużej głębokości habitat ze sprężoną atmosferą zawierającą gazy obojętne i kompletnym oprzyrządowaniem jest obciążony kosztami eksploatacji rzędu stu tysięcy dolarów za godzinę. W chwili gdy wynurzymy się na powierzchnię, będzie to suma około osiemdziesięciu do stu milionów dolarów. Nie dostaje się takich funduszy od dowództwa bez tego, co określa się jako "poważne szansę na korzyści militarne". Proste jak drut. Nie ma szans, nie ma pieniędzy. Nadaża pan za mną?

--Chodzi o, powiedzmy, broń? -- spytała Beth.

--To jedna z możliwości -- odparł Barnes.

--Cóż -- powiedział Ted. -- Osobiście nigdy bym się nie włączył...

--Rzeczywiście? Doleciałby pan na Tonga, ja bym powiedział: "Słuchaj pan, Ted, na dnie leży statek kosmiczny, na którym mogą znajdować się istoty reprezentujące obcą cywilizację z innej galaktyki, ale to operacja militarna". Odpowiedziałby mi pan: "Rany, przykro mi to mówić, ale niestety, wypisuję się"? Naprawdę by pan tak powiedział?

--Noo...- zawahał się Ted.

--No to niech pan się lepiej zamknie -- zaproponował Barnes. -- Już po uszy mam pańskiego pozerstwa.

--Słuchajcie, słuchajcie -- powiedziała Beth.

--Osobiście sędzę, że jest pan przemęczony -- stwierdził Ted.

--Osobiście sędzę, że z pana kawał egoistycznego, megalomańskiego gówniarza -- odpalił Barnes.

--Chwileczkę, dobrze? -- wtrącił się Harry. -- Czy ktoś w ogóle wie, po co Rosę Levy wychodziła na zewnątrz?

--Była na rozkładowym zabezpieczeniu -- odpowiedziała Tina. -- Naczymf -- Zgodnym z rozkładem zabezpieczeniu łodzi podwodnej -- wyjaśnił Barnes. -- To punkt regulaminu. Po śmierci Jane Edmunds Rosę przejęła jej obowiązki, bo była jej dublerką. Co dwanaście godzin musiała płynąć do łodzi podwodnej.

--Do łodzi? Po co? -- spytał Harry. Barnes wskazał iluminator.

--Widzicie DH- 7? Obok tego pojedynczego cylindra znajduje się hangar w kształcie dzwonu, a w nim miniaturowa łódź podwodna, pozostawiona przez nurków. W sytuacji takiej jak ta -- kontynuował Barnes -- przepisy marynarki wymagają, by wszystkie taśmy i zapisy były przenoszone do łodzi co dwanaście godzin. Łódź jest zaprogramowana na automatyczne wyrzucenie balastu i odcumowanie -- z nastawianym co dwanaście godzin zegarem. W ten sposób jeśli ktoś w ciągu dwunastu godzin nie wejdzie na pokład łodzi, by zostawić tam taśmy, i nie naciśnie żółtego klawisza odroczenia, łódź automatycznie usuwa balast i wynurza się na powierzchnię bez załogi.

--Czemu to ma służyć?

--Jeśli na dole zdarzy się jakaś katastrofa -- powiedzmy, coś stanie się z nami wszystkimi - - po dwunastu godzinach łódź samoczynnie wynurza się na powierzchnię z wszystkimi przeniesionymi na nią do tego czasu zapisami. Marynarka odzyskuje łódź i dysponuje przynajmniej częściową relacją z tego, co stało się na dnie.

--Rozumiem. Łódź jest naszą czarną skrzynką.

--Tak można by to określić. Jest to również nasza droga awaryjna, jedyny sposób wydostania się stąd.

--Więc Rosę Levy udawała się do łodzi?

--Tak. Musiała w niej być, bo łódź jeszcze jest zacumowana.

--Przeniosła taśmy, przycisnęła klawisz odroczenia i zginęła w drodze powrotnej?

--Tak.

--Jak to się stało? -- spytał Harry, wpatrując się wnikliwie w Barnesa.

--Nie jesteśmy pewni -- odrzekł Barnes.

--Całe jej ciało było zgruchotane -- oznajmił Norman. -- Było miękkie jak gąbka.

Harry zwrócił się do Barnesa:

--Godzinę temu kazał pan sprawdzić i powtórnie nastawić wszystkie czujniki peryferyjne. Dlaczego?

--Nieco wcześniej złapaliśmy dziwne odczyty.

--Jakiego rodzaju?

--Coś było na zewnątrz. Coś bardzo wielkiego.

--Ale nie wywołało to alarmu -- rzekł Harry.

--Nie. To coś nie mieściło się w parametrach założonych dla czujników.

--To znaczy, że było za wielkie, żeby wywołać alarm?

--Tak. Po pierwszym fałszywym alarmie zmniejszyliśmy czułość wszystkich czujników. Nie były zaprogramowane na wywołanie alarmu przez coś tak olbrzymiego. Dlatego Tina musiała je powtórnie wyregulować.

--A co wywołało alarm tym razem? -- zainteresował się Harry. -- Gdy Norman i Beth byli na zewnątrz?

--Jak myślisz, Tina? -- spytał Barnes.

--Nie wiem. Myślę, że to było jakieś zwierzę. Ciche i bardzo duże. -- Jak duże?

Potrząsnęła głową.

--Z tego, co zarejestrowała elektronika, powiedziałabym, doktorze Adams, że prawie tak duże, jak nasz habitat.

POSTERUNKI BOJOWE

Beth wsunęła jedno z okrągłych białych jajeczek pod soczewki mikroskopu przeglądowego.

--Cóż -- powiedziała, spoglądając przez obiektyw. -- Bez wątpienia należy do morskiego bezkręgowca. Ciekawa jest ta śluzowa otoczka. -- Wetknęła w nią koniuszek pęsety.

--Co to jest? -- zapytał Norman.

--Jakiegoś rodzaju proteid. Lepki.

--Nie, chodziło mi o to, do jakiego gatunku należy jajo?

--Jeszcze nie wiem. -- Beth kontynuowała badania, gdy ponownie zabrzmiał alarm i zaczęły migotać czerwone lampki. Norman poczuł przypływ przerażenia.

--Pewnie kolejny fałszywy alarm -- stwierdziła Beth.

--Uwaga, wszyscy -- powiedział Barnes przez interkom. -- Wszyscy na posterunki bojowe.

--O kurde -- rzuciła Beth.

Ześliznęła się w dół, jak gdyby drabinka była słupem w remizie; Norman podążył niezgrabnie za nią. W sektorze łączności Cylindra D zastał znajomą scenę: wszyscy skupieni wokół komputera ze zdjętą obudową. Światła wciąż migaly, alarm był dalej.

--Co się stało?! -- zawołał Norman. -- Nawaliło oprzyrządowanie! -- Jakie?

--Nie możemy wyłączyć tego cholernego alarmu! -- krzyknął Barnes. -- Zareagował, ale teraz za cholerę nie można go wyłączyć! Kruszynka.

--Staram się, panie kapitanie!

Zwalista pani inżynier siedziała skulona przy komputerze; Norman widział jedynie jej szerokie plecy.

--Wyłącz tę zarazę!

--Pracuję nad tym, kapitanie!

--Wyłącz to, nic nie słyszę!

Co miałby słyszeć? -- zastanowił się Norman. W tej właśnie chwili do środka potykając się wpadł Harry i zderzył się z nim. -- Jezu...

--Alarm! -- krzyczał Barnes. -- To alarm! Marynarz Chan! Sonar! -- Tina znajdowała się koło niego, jak zawsze spokojna, poprawiając obraz przekazywany przez boczne kamery. Wsunęła na głowę słuchawki.

Norman popatrzył na monitor. Kula była zamknięta.

Beth podeszła do iluminatora i przyjrzała się z bliska zasłaniającemu go całkowicie białemu materiałowi. Barnes obracał się jak derwisz w migoczących czerwonych światłach, krzycząc i miotając na wszystkie strony przekleństwa.

Niespodziewanie alarm umilkł, a czerwone światła przestały migotać. Wszyscy umilkli. Kruszyna Fletcher wyprostowała się i westchnęła.

--Myślałem -- powiedział Harry -- że sobie z tym poradziliście... -- Ciii...

Usłyszeli powtarzające się "pong"! wydawane przez sonar. Tina przycisnęła słuchawki do uszu, marszcząc w skupieniu brwi.

Nikt nic nie mówił ani nie poruszał się. Nasłuchiwali powracających impulsów sonaru.

Barnes rzekł spokojnie:

--Kilka minut temu otrzymaliśmy sygnał. Coś bardzo dużego jest na zewnątrz.

Wreszcie Tina oznajmiła:

--Odbieram to, kapitanie.

--Przejdź na odbiór pasywny.

--Tak jest, kapitanie. Przechodzę na pasywny.

Odgłos wydawany przez sonar ucichł. Zamiast tego usłyszeli cichy syk. Tina zwiększyła natężenie dźwięku z głośników.

--Hydrofony? -- spytał spokojnie Harry. Barnes skinął głową.

--Z przewodnikami ze szkła spolaryzowanego. Najlepsze na świecie. Wszyscy wyteżyli słuch, nie docierało do nich jednak nic prócz jednostajnego szumu. Dla Normana brzmiało to jak odgłos wydawany przez nie nagraną taśmę, na który nakładało się sporadycznie bulgotanie wody. Gdyby nie odczuwane napięcie, pewnie uznałby ten dźwięk za drażniący.

--Cwany skurczybyk. Zdołał nas oślepić, pokryć wszystkie iluminatory tym syfem -- warknął Barnes.

--To żaden syf -- powiedziała Beth. -- To jajeczka. -- Nieważne, i tak zasłaniają wszystkie iluminatory w habitacie. Syczenie dobiegało bez zmian. Tina przekręciła potencjometry hydrofonów.

Usłyszeli ciągle cichy szelest, przypominający mięty celofan.

--Co to? -- spytał Ted.

--Ryby. Jedzą- wyjaśniła Beth.

Barnes skinął głową. Tina dalej kręciła potencjometrami.

--Dostraja się -- wyjaśnił Barnes.

Znow usłyszeli pozbawiony cech szczególnych szum. Napięcie w sektorze łączności wyraźnie spadło. Norman poczuł znużenie i usiadł. Harry usadowił się koło niego. Norman spostrzegł, że Harry wygląda bardziej na zamyślonego niż zatroskanego. Po drugiej stronie Ted oparł się o wejście i przygryzł wargę. Wyglądał jak przestraszony chłopak.

Rozległ się cichy elektroniczny pisk. Linie na plazmatycznych ekranach zadrżały.

--Mam dodatni odczyt na peryferyjnych czujnikach termicznych -- zameldowała Tina.

Barnes skinął głową. -- Kierunek?

--Wschód. Zbliża się.

Usłyszeli metaliczny szczęk. Po nim nastąpił kolejny. -- Coto?

--Rusztowania. Stuka w kratownice.

--Stuka? To brzmi raczej, jakby je demolował.

Norman przypomniał sobie, jak wyglądały rusztowania. Były wykonane z trzycalowej średnicy rur.

--Wielka ryba? Rekin? -- spytała Beth. Barnes potrząsnął głową.

--Nie porusza się jak rekin. Poza tym jest za duży.

--Odczyty dodatnie na czujnikach termicznych drugiego kręgu -- rzekła Tina. Zbliża się coraz bardziej.

--Przejdź na nasłuch aktywny -- rozkazał Barnes.

W sektorze łączności ponownie rozległo się "pong"! sonaru.

--Cel namierzony -- zameldowała Tina. -- Odległość sto jardów.

--Daj jego obraz.

--Sonar fałszywego otworu włączony, kapitanie.

Dźwięki sonaru zabrzmiały w szybkim ciągu: pong, pong, pong, pong! Po chwili ciszy

rozległy się ponownie: pong, pong, pong, pong!

Norman rozejrzał się zdeorientowany. Alice Fletcher nachyliła się nad nim i wyjaśniła:

--Sonar fałszywego otworu pozwala dzięki kilku niezależnym nadajnikom na zewnątrz uzyskać dokładny obraz, dobrze mu się przyjrzeć, proszę pana. -- W jej oddechu wyczuł trunek i zastanawiał się, skąd ona go wytrzasnęła.

Pong, pong, pong, pong!

--Obraz się poprawia. Dziewięćdziesiąt jardów. Pong, pong, pong, pong!

--Daj obraz.

Odwrócili się ku monitorom. Norman ujrzał amorficzną, rozmytą plamę. Nie- wiele mówił mu ten obraz.

--Jezu -- zdumiał się Barnes. -- Patrzcie, jakie to wielkie! Pong, pong, pong, pong!

--Osiedziesiąt jardów. Pong, pong, pong, pong!

Pojawił się kolejny obraz. Tym razem plama miała inny kształt, smugi przebiegały w innym kierunku. Obraz miał ostrzejsze brzegi, ale wciąż nic nie przedstawiał dla Normana. Wielka plama pokryta smugami...

--Chryste! Musi mieć trzydzieści, czterdzieści stóp średnicy! -- stwierdził Barnes.

--Nie ma na świecie tak wielkiej ryby -- oświadczyła Beth. -- Wieloryb?

--To nie wieloryb.

Norman dojrzał, że Harry się poci. Zdjął okulary i wytarł je w kombinezon, po czym nałożył z powrotem i podsunął w górę nosa. Ześliznęły się ponownie. Harry spojrzął na Normana i wzruszył ramionami.

--Pięćdziesiąt jardów, zbliża się -- zameldowała Tina. Pong, pong, pong, pong!

--Trzydzieści jardów. Pong, pong, pong, pong!

--Zatrzymał się w odległości trzydziestu jardów, kapitanie. Pong, pong, pong, pong!

--Wciąż tkwi nieruchomo.

--Wy łącz aktywny.

Ponownie usłyszeli szum hydrofonów. Później dobiegło ich wyraźne dalekie klekotanie. Oczy Normana paliły. Pot ściekał mu pod powieki. Wytarł czoło rękawem kombinezonu. Inni też się pocili. Napięcie stało się nie do zniesienia. Jeszcze raz spojrzął na monitor. Kula wciąż była zamknięta.

Wysłuchał się w szum hydrofonów. Rozróżnił skrobanie, jak gdyby wleczono po drewnianej posadzce ciężki worek. Później znów tylko szum.

--Mam jeszcze raz złapać jego obraz? -- wyszeptała Tina.

--Nie -- odparł Barnes.

Nasłuchiwali. Znów szuranie. Chwila ciszy, po której rozległo się bardzo bliskie i bardzo głośnie bulgotanie wody.

--Chryste -- przeraził się Barnes. -- Jest tuż obok.

Głuchy łomot o ścianę habitatu. Zaświecił się ekran.

JESTEM TUTAJ.

Pierwsze uderzenie nastąpiło zniemacka, zwałając ich z nóg. Potoczyli się po posadzce. Habitat jęczał i skrzypiał przerażająco głośno. Norman zdołał podnieść się, dojrzał jeszcze, że Alice krwawi z rozcięcia na czole, gdy nastąpiło drugie uderzenie. Rzuciło go bokiem o przegródkę. Gdy uderzył głową w metal, rozległo się metaliczne lupnięcie. Poczul ból i w tym momencie wylądował na nim Barnes, klnąc i stękając. Starając się wstać, wetknął Normanowi dłoń w twarz. Norman z powrotem opadł na podłogę, koło niego runął monitor, siejąc iskrami.

Habitat zaczął dygotać jak budynek podczas trzęsienia ziemi. Chwyтали się konsoli, drzwi, czegokolwiek, byle tylko utrzymać równowagę. Najbardziej jednak przerażający był dla Normana hałas -- niewiarygodnie głośne metaliczne pojękiwanie i skrzypienie cylindrów wrywanych z obsad.

Potwór wyważał z posad cały habitat.

Barnes znajdował się po drugiej stronie sektora, usiłując przedostać się na drugą stronę grodzi. Na ramieniu miał krwawiące rozcięcie, wykrzykiwał jakieś rozkazy, ale Norman nie słyszał nic prócz przerażającego odgłosu rozdieranego metalu. Ujrzał, że przez groź przedostaje się Alice Fletcher, po niej Tina, wreszcie Barnes, pozostawiając krwawy odcisk dłoni na metalu.

Norman nie mógł dostrzec Harry'ego. Beth posuwała się w jego stronę, wyciągając przed siebie ręce i krzycząc: -- Norman! Norman! Musimy... -- W tym momencie wpadła na niego. Przewrócił się na dywanik, przetoczył pod koję do metalowej ściany cylindra i uświadomił sobie ze zgrozą, że wykładzina dywanowa jest mokra.

Habitat przeciekał.

Musiał coś począć. Zdołał podnieść się na nogi i dojrzał cienki strumyczek z dużą siłą tryskający ze szwu na ścianie. Rozejrzawszy się stwierdził, że podobne szczeliny potworzyły się na suficie i reszcie ścian.

Nie było szans, żeby cylinder długo wytrzymał.

Beth złapała go i przyciągnęła jego głowę do swojej.

--Mamy przeciek! -- krzyknęła. -- Boże, mamy przeciek!

--Wiem -- powiedział Norman.

W tym momencie Barnes krzyknął przez interkom:

--Dodatnie ciśnienie! Dajcie dodatnie ciśnienie!

Norman dojrzał Teda tuż przed tym, jak potknął się o niego i wpadł ciężko na klawiatury komputerów. Jego twarz znalazła się o centymetry przed ekranem, na którym paliły się słowa:

NIE OBAWIAJCIE SIĘ.

--Jerry! -- wrzeszczał Ted. -- Przestań, Jerry! Przestań! Niespodziewanie koło twarzy Teda pojawiło się oblicze Harry'ego z przekrzywionymi okularami.

--Oszczędź sobie, on nas wszystkich pozabija!

--Jerry nie rozumie! -- krzyknął Ted i upadł do tyłu na leżankę, wymachując rękami.

Niesamowita siła wciąż usiłowała rozerwać metal cylindrów. Normanem rzucano z jednej strony na drugą, Wciąż starał się za coś uchwycić, ręce miał jednak lepkie i nie dawał rady zaczepić się o cokolwiek.

--Posłuchajcie! -- powiedział Barnes przez interkom.-- Wychodzę z TinaChan na zewnątrz. Alice Fletcher obejmuje dowodzenie.

--Nie wychodźcie! -- krzyknął Harry. -- Nie wychodźcie na zewnątrz! -- Otwieram właz -- poinformował lakonicznie Barnes. -- Tina, idź moim śladem.

--Zginiecie! -- krzyknął Harry, po czym rzuciło nim na Beth. Norman znów wylądował na posadzce i rąbnął głową o jedną z nóg leżanki.

--Jesteśmy na zewnątrz -- stwierdził Barnes.

Niespodziewanie łomot ustał. Habitat znieruchomiał. Nawet nie drgnęli. Woda sączyła się z tuzina drobnych szczelin, tworząc obłoczki. Podnieśli wzrok na głośnik interkomu i czekali.

--Jesteśmy poza śluzą -- oznajmił Barnes. -- Nasz stan jest dobry. Uzbrojenie: dwa harpuny z głowicami wybuchowymi J- 9 załadowane taglinem- pięćdziesiąt. Pokażemy skurczybykowi sztuczkę czy dwie.

Cisza.

--Woda...»Widoczność marna. Poniżej pięciu stóp. Wydaje się... że to wzniesiony z dna osad... wręcz czarny. Jest ciemno. Po omacku szukamy drogi wśród cylindrów.

Cisza.

--Jesteśmy po stronie północnej. Kierujemy się na wschód. Tina? Cisza.

--Tina?

--Jestem za panem, kapitanie.

--W porządku. Połóż rękę na moim zbiorniku, żebyś się... Dobrze. W porządku.

Cisza.

Wewnątrz cylindra Ted westchnął.

--Nie sądzę, żeby powinni to coś zabijać -- powiedział cicho. Nie sądzę, żeby zdołali, pomyślał Norman.

Nikt nie powiedział ani słowa więcej. Nasłuchiwali oddechów Tyny i Barnesa.

--Przy północno- wschodnim rogu... W porządku. Czuję silne prądy, wzburzoną, opływającą mnie wodę... coś jest w pobliżu... Nic nie widzę... widoczność mniejsza niż pięć stóp. Ledwie dostrzegam wspornik, którego się trzymam. Czuję jednak to coś. Jest wielkie, blisko nas. Tina?

Cisza.

Głośny trzask elektrostatycznego zakłócenia. Znow cisza.

--Tina? Tina? Cisza.

--Zgubiłem Tinę. Znow bardzo długo cisza.

--Nie wiem, co będzie, jeśli... Tina, jeśli mnie słyszysz, zostań, gdzie jesteś, zabiorę cię stamtąd... Dobrze... Jest bardzo blisko... Czuję, jak się porusza... Ten gość burzy mnóstwo

wody. Prawdziwy potwór.

Znów cisza.

--Chciałbym mieć lepszą widoczność. Cisza.

--Tina? Czy to...

Usłyszeli stłumione łupnięcia, które mogło być odgłosem eksplozji. Spojrzeli po sobie, starając się dociec, co mógł oznaczać ten dźwięk, ale po chwili habitat począł się ponownie chwiać i trząść. Nie przygotowanego Normana rzuciło w bok na ostry kant grodzi. Świat poszarzał mu przed oczyma. Ujrzał jeszcze, jak Harry uderza w ścianę. Okulary matematyka spadały na pierś. Wyciągnął po nie rękę, bo wiedział, że Harry ich potrzebuje. I wtedy właśnie stracił przytomność, a wszystko zalała czerń.

PO ATAKU

Polala się na niego gorąca woda. Wciągnął do płuc parę.

Stojąc pod prysznicem, Norman spojrzął na swoje ciało i pomyślał, że wygląda jak ktoś, kto przeżył katastrofę lotniczą. Jeden z tych, których oglądał i dziwił się, że jeszcze żyją.

Guzy na jego głowie pulsowały. Na piersi aż po brzuch ciągnęło się szerokie zadrapanie. Lewe udo było purpurowoczerwone; prawą rękę miał spuchniętą i obolałą.

Prawdę mówiąc, bolało go całe ciało. Jęknął, nadstawiając twarz pod lejącą się wodę.

--Hej! -- zawołał Harry. -- No i jak?

--W porządku.

Norman opuścił kabinę, Harry wszedł pod prysznic. Jego ciało też pokrywały zadrapania i siniaki. Norman spojrzął na Teda, który leżał na jednej z koi. Ted zwichnął sobie obydwa stawy barkowe. Nastawienie ich zabrało Beth pół godziny. Musiała wstrzyknąć mu morfinę.

--Jak się czujesz? -- spytał go Norman. -- Nie najgorzej.

Na twarzy Teda malował się tępy, obojętny wyraz. Ucierpiał bardziej niż tylko z powodu zwichniętych barków, pomyślał Norman. Ted, pod wieloma względami przypominający naiwne dziecko, musiał doznać dojmującego wstrząsu przy odkryciu, iż obca inteligencja jest wroga.

--Bardzo boli?

--Nie ma o czym mówić.

Norman usiadł powoli na swej koi, czując, jak ból przeszywa mu kręgosłup. Mam pięćdziesiąt trzy lata, pomyślał. Powiniennem grać w golfa. Pojawiła się kolejna myśl: powiniennem być gdziekolwiek na świecie, tylko nie tutaj. Skrzywił się i wsunął butna obolałą lewą stopę. Przypomniało mu to stopę martwej Rosę Levy, uderzającą go bosymi palcami o trupiej barwie w wizjer.

--Znaleźli Barnesę? -- zapytał Ted.

--Nic o tym nie wiem -- rzekł Norman. -- Nie sądzę.

Skończył się ubierać i przeszedł do Cylindra D, omijając kałuże wody na korytarzu. W samym cylindrze meble były nasiąknięte wodą, klawiatury mokre, a ściany pokryte nieregularnymi łatami białego poliuretanu, którym Alice Fletcher pokryła szczeliny.

Ona sama stała na środku pomieszczenia z puszką szczeliwa w dłoniach.

--Nie wygląda tak elegancko, jak przedtem -- stwierdziła.

--Będzie trzymać?

--Pewnie, ale gwarantuję panu, że kolejnego takiego ataku nie przetrzymamy.

--A co z elektroniką, działa?

--Nie sprawdzałam, ale powinna działać. Jest wodoodporna. Norman skinął głową.

--Czy wiemy coś o losie kapitana Barnesę? -- Spojrzął na krwawy odcisk dłoni na ścianie.

--Nie, proszę pana. Kapitan nie dał znaku życia. -- Alice podążyła wzrokiem za nim. -- Za minutę zrobię tu porządek.

--Gdzie Tina? -- zapytał Norman.

--Odpoczywa w Cylindrze E. Norman skinął głową. -- Bardziej tam sucho?

--Tak -- odpowiedziała Alice. -- Zabawne: w Cylindrze E nikogo podczas ataku nie było i do środka nie przeciekła ani kropla.

--Jerry się odzywał?

--Nie mieliśmy z nim kontaktu, proszę pana. Norman włączył jeden z komputerów.

--Jerry, jesteś tam?

Na ekranie nic się nie ukazało.

--Jerry?

Odczekał jeszcze chwilę, po czym wyłączył monitor.

--Proszę na to spojrzeć. -- Tina usiadła i podciągnęła koc, odsłaniając lewą nogę.

Zranienie wyglądało o wiele gorzej niż wtedy, gdy usłyszeli jej krzyki. Rzucili się na pomoc i wciągnęli ją do środka przez właz w Cylindrze A. Po jej nodze przebiegał ukośnie rząd spodkowatych pręg, których środki były purpurowe i obrzmiałe.

--Bardzo spuchły w ciągu ostatniej godziny -- skarżyła się Tina. Norman przyjrzał się obrażeniom. Zaczerwienione pola otaczały drobniutkie ślady ząbków.

--Pamiętasz, co czułaś? -- zapytał.

--To było okropne -- oznajmiła Tina. -- Lepkie, wie pan, jak klej czy coś w tym stylu. Potem każde z tych zaczerwienień zaczęło mnie palić. Bardzo mocno.

--Co widziałaś? Chodzi mi o samo stworzenie.

--Niewiele -- coś długiego, szpatułkowego. Wyglądało jak gigantyczny liść; wyłoniło się z ciemności i owinięło wokół mnie. -- Jaki miało kolor?

--Jakby brązowawy. Nie widziałam dokładnie. Milczał przez chwilę.

--A kapitan Barnes?

--W trakcie akcji straciłam kontakt z kapitanem, proszę pana. Nie wiem, co się z nim stało. -- Tina mówiła jak automat, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Lepiej się w to nie zagłębiajmy, pomyślał. Najważniejsze, że wyszła z tego cało.

--Czy Beth widziała te obrażenia, Tino?

--Tak, była tu kilka minut temu.

--No dobrze. Teraz odpocznij sobie. -- Proszę pana...

--Tak, Tino?

--Kto sporządzi raport?

--Nie wiem. Na razie się tym nie przejmuj. Lepiej skoncentrujmy się na tym, jak tu przetrzymać.

--Tak jest.

Zbliżając się do laboratorium Beth, usłyszał nagrany głos Tiny: "Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

Beth odpowiedziała: "Może. Nie wiem".

"Boję się".

Po czym znów zabrzmiał głos Tiny:

"Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

"Może. Nie wiem".

W laboratorium Beth siedziała skulona nad monitorem, wpatrując się po raz kolejny w nagraną scenę.

--Wciąż nad tym siedzisz? -- spytał Norman.

--Taa.

Na ekranie Beth kończyła jeść placek, mówiąc: "Nie sądzę, by był powód do strachu".

"To niewiadome", powiedziała Tina.

"Niewątpliwie", odezwała się z ekranu Beth. "Ale coś nieznanego najprawdopodobniej nie

jest niebezpieczne czy przerażające. Najczęściej okazuje się jedynie niewytłumaczalne".

--Sławne ostatnie słowa -- westchnęła Beth, przyglądając się sobie samej.

--Wtedy to miało właściwy wydźwięk -- uznał Norman. -- Trzeba ją było podtrzymać na duchu.

Na ekranie Beth zwróciła się do Tiny: "Boisz się węży?"

"Nie lękam się węży", odrzekła Tina.

"A ja ich nie znoszę".

Beth zatrzymała taśmę i odwróciła się do Normana.

--Wydaje się, że to było strasznie dawno temu, nie?

--Właśnie tak sobie pomyślałem -- przyznał Norman.

--Pewnie to znaczy, że żyjemy pełnią życia.

--To znaczy, że jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie -- stwierdził Norman. --

Dlaczego tak interesujesz się tą taśmą?

--Ponieważ nie mam nic do roboty, a jak niczym się nie zajmę, zacznę się drzeć i urządzę jedną z tradycyjnych babskich scen. Raz już byłeś tego świadkiem, Norman.

--Rzeczywiście? Nie przypominam sobie żadnej sceny.

--Dzięki -- rzekła.

Norman zauważył koc na leżance w kącie laboratorium. Na dodatek Beth odczepiła jedną z lamp laboratoryjnych i zamontowała ją na ścianie nad leżanką.

--Śpisz tu teraz?

--Taa, tu mi się podoba. Na szczycie cylindra -- czuję się jak królowa podziemia. --

Uśmiechnęła się. -- To coś jak domek na drzewie z czasów, kiedy się było dzieckiem. Miałeś kiedyś taki domek?

--Nie -- odpowiedział Norman. -- Nigdy.

--Ani ja -- przyznała Beth. -- Ale wyobrażam sobie, jak by to było.

--Wygląda tu bardzo przytulnie, Beth.

--Uważasz, że pękam?

--Nie, powiedziałem tylko, że jest tu bardzo przytulnie.

--Jeśli myślisz, że pękam, możesz mi to powiedzieć.

--Uważam, że świetnie się trzymasz, Beth. Co z Tiną? Widziałaś jej rany?

--Tak. -- Beth nachmurzyła się. -- Obejrzałam też to. -- Wskazała białe jajeczka w szklanym pojemniku na ławie laboratoryjnej.

--Nowe?

--Zebrałam je ze skafandra Tiny po jej powrocie. Znajdowały się w tych samych miejscach, w których ma ranki. Pachną również tak samo; przypominasz sobie, jak śmierdziało, kiedy ją wciągnęliśmy do środka?

Norman pamiętał bardzo dobrze. Tinę czuć było amoniakiem, jakby ktoś wylał na nią butelkę soli trzeźwiących.

--O ile mi wiadomo, tylko jedno zwierzę pachnie w ten sposób amoniakiem powiedziała Beth. -- Architeuthis sanctipauli.

--To znaczy?

--Jeden z gatunków gigantycznych kalmarów.

--To właśnie on nas zaatakował?

--Tak sędę.

Wyjaśniła wszystko, co było wiadomo o gigantycznej kałamarnicy. Nie było tego wiele, ponieważ jedynymi zbadanymi okazami były martwe egzemplarze wyrzucone na brzeg, przeważnie w stadium daleko posuniętego rozkładu, śmierdzące amoniakiem. Przez większość ludzkiej historii gigantyczne kałamarnice uważano za mityczne potwory morskie w rodzaju krakena. W roku 1861 pojawiło się jednak pierwsze naukowe doniesienie na ich temat, kiedy to francuskiemu okrętowi wojennemu udało się wydobyć fragmenty jednego martwego zwierzęcia. Wielokroć też zabijano wieloryby, na których widać było blizny po wielkich przyssawkach -- świadectwa toczonych w głębinach potyczek, Kaszaloty stanowiły jedyne znane drapieżniki żerujące na gigantycznych kałamarnicach -- jedyne zwierzęta na tyle wielkie.

--Do tej pory -- mówiła Beth -- gigantyczne kałamarnice zaobserwowano we wszystkich oceanach. Istniejące najmniej trzy odrębne ich gatunki. Osiągają one niezwykle rozmiary i potrafią ważyć tysiąc i więcej funtów. Głowa ma około dwudziestu stóp długości, otoczona jest wieńcem ośmiu macek. Każde ramię ma około dziesięciu stóp i zaopatrzone jest w długie rzędy przyssawek. W środku wieńca macek znajduje się paszcza z ostrym dziobem, przypominającym papuzi, tyle że szczęki mają siedem cali długości.

--To potwierdza rozerwany skafander Rosę Levy?

--Tak. -- Skinęła głową. -- Dziób jest otoczony pierścieniem mięśniowym i może obracać się przy ukąszeniu. A radula -- język kałamarnicy -- ma szorstką, przypominającą pilnik powierzchnię.

--Tina wspominała coś o liściu, brunatnym liściu.

--Gigantyczny kalmar ma dwie macki sięgające o wiele dalej niż pozostałe ramiona, nawet do czterdziestu stóp. Obydwie kończą się spłaszczoną "dłonią", zwaną zresztą po łacinie "manus", przypominającą z wyglądu wielki liść. Przyssawki na dłoniach są otoczone niewielkimi, twardymi chitynowymi pierścieniami, o czym świadczą koliste ślady ząbków wokół zaczerwienień.

--Jak z czymś takim można walczyć? -- zapytał Norman.

--Cóż -- rzekła Beth. -- Teoretycznie rzecz biorąc, wielkie kałamarnice, choć olbrzymie, nie są bardzo silne.

--I to by było na tyle z teorią -- dokończył Norman. Skinęła głową.

--Oczywiście nikt nie wie, jaka jest ich rzeczywista siła, skoro nigdy nie natrafiono na żywy okaz. Mamy wątpliwy zaszczyt być pierwsi.

--Ale można ją zabić?

--Myślę, że bez większych problemów. Mózg kałamarnicy jest zlokalizowany za okiem, mającym mniej więcej piętnaście cali średnicy, jak duży półmisek. Jeśli się skieruje ładunek wybuchowy mniej więcej w tę stronę, niemal na pewno uszkodzi się układ nerwowy kałamarnicy na tyle, że zginie.

--Myślisz, że Barnes ją zabił? Wzruszyła ramionami.

--Nie wiem.

--Jest ich tu więcej?

--Nie wiem.

--Zobaczymy ją ponownie? -- Nie wiem.

GOŚĆ

Norman zszedł do ośrodka łączności sprawdzić, czy uda mu się skomunikować z Jerrym, Jerry jednak nie odpowiadał. Norman musiał zdrzemnąć się przy klawiaturze komputera, gdy podniósł bowiem wzrok, z zaskoczeniem ujrzał czarnoskórego marynarza z US Navy, stojącego obok niego i spoglądającego mu przez ramię na monitory.

--Co słyhać, proszę pana? -- zapytał marynarz. Był bardzo spokojny, mundur miał świeżo wyprasowany.

Norman poczuł przyływ niezwykłego uniesienia. Zjawienie się żołnierza w habitacie mogło oznaczać tylko jedno -- musiały wrócić statki pomocnicze! Powróciły, a na dół wysłano łódź, by ich zabrać na powierzchnię! Byli uratowani!

--Marynarzu -- powiedział Norman, ściskając mu z całych sił dłoń. -- Cieszę się jak cholera, że was widzę.

--Dziękuję panu.

--Kiedy przybyliście?-- zapytał Norman.

--Przed chwilą, proszę pana.

--Reszta o tym wie? -- Reszta?

--Tak. Zostało nas, hm, sześcioro. Dowiedzieli się już o waszym przybyciu? -- Nie wiem, proszę pana.

Beznamiętność tonu tego człowieka kazała Normanowi się za stanowić. Marynarz rozglądał się po habitacie i przez chwilę Norman ujrzał wewnątrz jego oczyma -- wymazane pianą klawiatury, pochlapane ściany, wilgoć. Wyglądało, jakby bawili się tu w wojnę.

--Mieliśmy ciężkie przejścia -- oświadczył Norman.

--Widzę, proszę pana.

--Zginęły trzy osoby.

--Przykro mi to słyszeć, proszę pana.

Znów ta bezbarwność tonu. Neutralność. Starał się zachowywać regulaminowo? Bał się sądu wojennego? A może chodziło o coś całkowicie innego?

--Skąd jesteście? -- spytał Norman.

--To znaczy?

--Zjakiego statku?. -- Aha. Z "Sea Hornet", proszę pana.

--Jest teraz nad nami?

--Tak jest, proszę pana.

--No cóż, nie stójmy tak -- zaproponował Norman. -- Proszę powiedzieć reszcie, że przybyliście.

--Tak jest, proszę pana.

Marynarz wyszedł. Norman przeciągnął się i krzyknął:

--Juhuu! Jesteśmy uratowani!

--Przynajmniej nie był złudzeniem,-- oznajmił Norman, wpatrując się w ekran. -- Widać go na monitorze, wygląda jak żywy.

--Tak, zgadza się. Ale gdzie zniknął? -- spytała Beth. Przez ubiegłą godzinę dokładnie przeszukiwali habitat. Nie znaleźli ani śladu marynarza. Nie było również znaku, że na zewnątrz znajduje się łódź podwodna. Balon, który wysłali na powierzchnię, zarejestrował wiatr o prędkości osiemdziesięciu węzłów i trzydziestostopowe fale, nim kabel się zerwał.

Skąd więc się pojawił? I gdzie zniknął?

Alice Fletcher pracowała przy klawiaturze. W końcu na ekranie pojawił się wykaz danych.

--No i co wy na to? Rejestr okrętów US Navy nie zawiera jednostki o nazwie "Sea Hornet".

--Co tu się dzieje, u diabła? -- spytał Norman.

--Może jednak to było złudzenie? -- zastanawiał się Ted.

--Iluzji nie da się nagrać na taśmie wideo -- zaprzeczył Harry. -- Poza tym ja też go widziałem.

--Tak? -- spytał Norman.

--Yhm. Śniło mi się, że zostaliśmy wyciągnięci na powierzchnię. Właśnie się przebudziłem, kiedy usłyszałem kroki i ten marynarz wszedł do środka, gdy jeszcze leżałem w koi.

--Rozmawiałeś z nim?

--Tak, Był jakiś dziwny. Jakby tępy, na dodatek nudny. Norman pokiwał głową.

--Czuleś, że coś z nim jest nie w porządku?

--Zgadza się, tak to można określić.

--Ale skąd przybył? -- zapytała Beth.

--Jestem w stanie wymyślić tylko jedną możliwość -- powiedział Ted. -- Z kuli. A przynajmniej został stworzony przez kulę. Przez Jerry'ego.

--Dlaczego Jerry miałby to robić? Żeby nas szpiegować? Ted potrząsnął głową.

--Zastanawiałem się nad tym -- wyznał. -- Wydaje mi się, że Jerry dysponuje zdolnością stwarzania rzeczy. Zwierząt również. Nie sądzę, żeby to Jerry był gigantyczną kałamarnicą, która nas zaatakowała, ale on ją stworzył. Nie myślę też, że zrobił to z zamiarem napadnięcia na nas, lecz gdy ją już stworzył, sama kałamarnica mogła zaatakować habitat, uważając cylindry za swoich śmiertelnych wrogów, którymi, wedle słów Beth, są wieloryby. Możemy więc uważać napaść za wypadek w procesie twórczym.

Zamyślili się, wsłuchując w jego tłumaczenie. Dla Normana brzmiało ono aż nazbyt przekonująco.

--Uważam, że istnieje inna możliwość. Że to Jerry jest nam wrogi.

--Nie wierzę, żeby był naszym wrogiem -- powiedział Ted.

--Bez wątplenia tak się zachowuje, Ted.

--Ale nie wierzę, żeby czynił to celowo.

--Z jakichkolwiek pobudek to robi -- stwierdziła Alice Fletcher -- lepiej, żeby przestał. Habitat tego nie wytrzyma. Systemy regulacji środowiska również. Po pierwszym ataku musiałam podwyższyć ciśnienie, żeby uszczelnić przecieki. Musiałam to zrobić, by ciśnienie powietrza we wnętrzu było wyższe niż ciśnienie na zewnątrz, aby woda nie napływała do środka. Przestało ciec, ale przez to powietrze wydostawało się przez szczeliny na zewnątrz. Godzina prac remontowych kosztowała nas prawie szesnaście godzin rezerwy powietrza. Martwiłam się, że go w ogóle zabraknie.

Zapadło milczenie. Wszyscy rozważali, co to oznacza.

--By to zrekompensować -- ciągnęła Alice -- obniżyłam ciśnienie we wnętrzu o trzy centymetry. Mamy teraz nieznaczne ciśnienie ujemne, ale nie powinno niczym to grozić. Powietrza nam starczy, ale przy kolejnym podobnym ataku zostaniemy zgnieceni jak puszka sardynek.

Normanowi nie podobało się nic z tego, co słyszał, równocześnie jednak podziwiał kompetencję Alice Fletcher. Stanowiła odwód, z którego powinni korzystać, pomyślał.

--Kruszynko, masz jakieś sugestie na ewentualność kolejnego ataku?

--Cóż, w Cylindrze B mamy coś określanego jako HVDS. -- To znaczy?

--High Voltage Defense System -- Wysokonapięciowy System Obrony. To niewielkie pudełko na ścianie wprowadza na powierzchnię metalu ładunek elektryczny, by zapobiec korozji. Ładunek jest tak niewielki, że człowiek nawet się nie orientuje, że ściany go mają. W każdym razie koło tego urządzenia znajduje się drugie, ta zielona skrzynka -- właśnie HVDS. Zasadniczo rzecz ujmując, jest to transformator przekazujący na powierzchnię habitatu dwa miliony woltów. Bardzo nieprzyjemna sprawa dla jakiegokolwiek zwierzęcia.

--Dlaczego nie użyliśmy tego wcześniej? -- spytała Beth. -- Dlaczego Barnes tego nie włączył, tylko zaryzykował i...

--Ponieważ zielona skrzynka to kłopotliwe urządzenie -- wyjaśniła Alice. Przed wszystkim działa na dość teoretycznych podstawach, o ile mi wiadomo, jeszcze nigdy nie wykorzystano jej w rzeczywistych pracach prowadzonych pod wodą.

--Tak, lecz przecież musiało być testowane.

--Owszem. Przy wszystkich próbach w habitatach wybuchały pożary. Znow zapadła cisza, podczas której rozważali, co usłyszeli. W końcu Norman spytał:

--Te pożary były groźne?

--Powodowały spalanie się izolacji i wykładziny na ścianach. -- Niszczyły izolację ścian!

--Utrata ciepła wykończyłaby nas w kilka minut -- Jak tu może wybuchnąć poważny pożar? Do tego potrzeba tlenu, a w habitacie jest go tylko dwa procent -- spytała Beth.

--To prawda, doktor Halpern -- odparła Alice. -- Ale w rzeczywistości zawartość tlenu jest zmienna. Co piętnaście minut na krótki czas wzrasta skokowo do szesnastu procent; takie są założenia systemów habitatu. Kontrola jest automatyczna i nie da się jej ominąć. Gdy ciśnienie tlenu wzrasta, warunki stają się idealne: ogień płonie trzy razy lepiej niż na powierzchni i bez trudu wymyka się spod kontroli.

Norman rozejrzał się po cylindrze. Zauważył trzy przymocowane do ścian gaśnice. Teraz, gdy się nad tym zastanowił, przypomniał sobie, że były wszędzie w habitacie. Do tej pory nie zwracał na nie uwagi.

--Nawet jeśli uda nam się opanować pożary -- dodała Alice -- stanowiłyby piekielne obciążenie dla układów. Systemy recyrkulacji powietrza nie są przeznaczone do radzenia sobie z dodatkową zawartością tlenu węgla i sadzy.

--Co więc zrobimy?

--Wykorzystamy to w ostateczności -- stwierdziła Alice Fletcher. -- To bym zalecała. Pozostali rozejrzeli się po sobie i skinieniem głów wyrazili zgodę.

--W porządku -- powiedział Norman. -- Tylko w ostateczności.

--Jeszcze jeden atak... -- zapadło głuche milczenie, podczas którego rozważali taką ewentualność. Przerwał je cichy sygnał z monitora przed Tiną. Ekran się rozjaśnił.

--Mamy zamiar na peryferyjnych czujnikach termicznych -- zgłosiła bezbarwnym głosem Tina.

--Gdzie?

--Na północy. Zbliżyła się. Na monitorze ujrzeli słowa.

NADCHODZĘ.

Wylaczyli zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne oświetlenie. Norman wpatrzył się w iluminator, starając się rozróżnić cokolwiek w ciemnościach. Już dawno zorientowali się, że na tej głębokości ciemność nie była absolutna; wody Pacyfiku były tak przejrzyste, że nawet tysiąc stóp pod powierzchnią nieco światła docierało do dna. Było go bardzo niewiele -- Jane Edmunds porównała to do poświaty gwiazd -- ale Norman wiedział, że przecież na powierzchni można się orientować dzięki niej.

Oslonił obydwoma dłońmi twarz, by odciąć się od słabego światła padającego z monitorów Tiny i czekał, aż jego oczy się przystosują. Za jego plecami Tina i Alice były zajęte przy ekranach. Usłyszał szum hydrofonów.

Zaczynało się od nowa.

Ted stał przy monitorze i powtarzał:

--Jerry, słyszysz mnie? Jerry, słyszysz? -- Nie otrzymywał jednak żadnej odpowiedzi.

Beth podeszła do wyglądającego przez iluminator Normana.

--Widzisz coś?

--Jeszcze nie.

Za ich plecami Tina odliczała:

--Osiemdziesiąt jardów, zbliża się... Sześćdziesiąt jardów. Chcecie sonar?

--Nie trzeba- powiedziała Alice. -- Nie włączaj nic, co podsunęłoby mu myśl, że się nim interesujemy.

--Mam wyłączyć całą elektronikę? -- Wyłącz wszystko.

Wszystkie światelka na konsoli pogasły. Wnętrze oświetlał jedynie czerwony blask umieszczonych na nim nagrzewnic. Norman starał sobie przypomnieć, ile czasu potrzeba na przystosowanie wzroku do widzenia w ciemnościach. W końcu przypomniał sobie, że może to trwać do trzech minut.

Zaczął widzieć kształty: zarys rusztowań na dnie i mniej wyraźnie, stromo wznoszący się w oddali, wysoki statecznik statku kosmicznego. Potem coś jeszcze.

Zielonkawą poświatę na horyzoncie.

--Wygląda jak zielony świt -- zauważyła Beth.

Intensywność poświaty wzrosła, wreszcie ujrzeli amorficzny zielony kształt z poziomymi smugami. Norman pomyślał, że bardzo to przypomina obraz, który wcześniej widzieli. Był dokładnie taki sam, aczkolwiek nie zdołał dostrzec żadnych szczegółów.

--To kałamarnica? -- spytał.

--Tak -- odrzekła Beth. -- Nic nie widzę...

--Patrzysz na nią bezpośrednio od przodu. Ciało ma skierowane w naszą stronę, macki znajdują się z tyłu, częściowo zasłonięte przez korpus. Dlatego nie widzisz jej dokładnie.

Kalamarnica była coraz większa. Bez wątplenia zbliżała się prosto do nich. Ted biegiem wrócił od iluminatora do klawiatur.

--Jerry, słyszysz nas? Jerry?

--Komputery są wyłączone, doktorze Fielding -- oznajmiła Alice.

--No to spróbujmy porozmawiać z nim, na miłość boską.

--Uważam, że już na to za późno, proszę pana.

Kalamarnica jaśniała słabą luminescencją, jej ciało lśniło ciemnozielone. Norman

dostrzegal teraz wyraźnie glęboką pionową bruzdę dzielącą ciało. Dobrze też widać było falujące macki i ramiona. Sylwetka kalamarnicy stawała się coraz większa. Zaczęła skręcać w bok.

--Okrąza rusztowanie.

--Zgadza się -- powiedziała Beth. -- To inteligentne stworzenia; potrafią wyciągać naukę z doświadczeń. Prawdopodobnie nieprzyjemnie rąbnęła w rusztowanie poprzednim razem i wciąż to pamięta.

Kalamarnica przepłynęła koło statecznika statku, dzięki czemu mogli oszacować jej rozmiary. Jest wielka jak dom, pomyślał Norman. Stworzenie gładko zawróciło w wodzie w ich stronę. Poczul podziw, mimo łomotania serca.

--Jerry? Jerry!

--Oszczędź sobie tchu, Ted.

~ Trzydzieści jardów -- stwierdziła Tina. -- Wciąż się zbliża.

W ciele przybliżającej się kalamarnicy Norman zdołał wyróżnić ramiona i dwie długie lśniące macki, ciągnące się daleko za tułowiem. Ramiona i macki zdawały się luźno unosić w wodzie, podczas gdy tułów wykonywał rytmiczne skurcze. Kalamarnica poruszała się dzięki wyrzucaniu wody skurczami mięśni, nie potrzebowała do tego ramion.

--Dwadzieścia jardów.

--Boże, jest olbrzymia -- zdumiał się Harry.

--Wiecie -- rzekła Beth -- jesteśmy pierwszymi ludźmi w historii ludzkości, którzy na własne oczy widzą żywą gigantyczną kalamarnicę. Wedle wszelkich reguł powinna to być wielka chwila.

Usłyszeli bulgotanie wody opływającej hydrofon w momencie przybliżenia się kalmara.

--Dziesięć jardów.

Przez chwilę wielki stwór odwrócił się bokiem do habitatu, dzięki czemu mogli ujrzeć jego profil -- niezmiernie wielkie lśniące ciało, olbrzymie nie mrugające oko, wieniec ramion, dwie długie macki, kończące się splaszczonymi liściowatymi tworami.

Kalamarnica odwracała się, póki jej ramiona i macki nie znalazły się w sąsiedztwie habitatu. Udało im się dojrzeć paszczę, dziób o ostrych krańcach, otoczony masą świetlistych zielonych mięśni.

--O Boże...

Kalamarnica ruszyła przed siebie. Widzieli siebie nawzajem w luminescencji padającej przez iluminatory. Przeróżające, pomyślał Norman. Przeróżające -- tym razem tego nie przeżyjemy.

Rozległ się loskot, gdy jedna z macek uderzyła w ścianę habitatu.

--Jerry! -- krzyknął Ted wysokim, wypełnionym napięciem głosem. Kalamarnica znieruchomiała. Tułów zwrócił się bokiem, dzięki czemu znaleźli się na wprost wpatrującego się w nich wielkiego oka.

--Jerry, posłuchaj mnie!

Kalamarnica zdawała się wahać.

--Słyszysz! -- krzyknął Ted. Wyszarpnął z obejmmy na ścianie reflektorek i zaświecił nim przez iluminator. Zgasił go na moment i ponownie włączył.

Lśniące zielone ciało kalamarnicy ściemniało na moment, po czym ponownie rozblęzło.

--Słucha -- zauważyła Beth.

--Oczywiście, że słucha. Jest inteligentna. -- Ted błyskawicznie dwukrotnie zamigotał reflektorkiem.

Kalamarnica dwukrotnie ściemniała.

--Jak ona może to zrobić? -- spytał Norman.

--Dzięki komórkom skóry zwanym chromatoforami -- odpowiedziała Beth. Zwierzęta potrafią kurczyć je i rozkurczać wedle woli, dzięki czemu blokują światło.

Ted zamrugał trzykrotnie. Kalamarnica trzykrotnie ściemniała.

--Szybko reaguje -- skomentował Norman. -- Owszem.

--Jest inteligentna -- oświadczył Ted. -- Od razu wam to mówiłem. Jest inteligentna i chce się z nami porozumieć.

Ted nadał krótką sekwencję świateł: długie, krótkie, długie. Kalamarnica ją powtórzyła.

--Doskonale, syneczku -- powiedział Ted. -- Mów do mnie jeszcze, Jerry. Przekazał bardziej skomplikowaną sekwencję, ale kalamarnica ruszyła w lewo. -- Nie mogę dopuścić do zerwania rozmowy -- stwierdził Ted.

Ruszył za kalamarnicą, przeskakując od iluminatora do iluminatora i mrugając reflektorkiem. Kalamarnica wciąż wygaszała w odpowiedzi swe luminescencyjne ciała, lecz Norman wyczuwał, że teraz chodziło jej już o coś innego.

Podążyli wszyscy za Tedem z Cylindra D do C. Ted nie przestawał mrugać reflektorkiem. Kalamarnica odpowiadała, ale się nie zatrzymała.

--O co jej chodzi?

--Może nas prowadzi... -- Dokąd?

Przeszli do Cylindra B, w którym znajdowały się systemy podtrzymywania życia, ale nie było żadnych iluminatorów. Ted przebiegł do Cylindra A, śluzy. Tu też nie było iluminatorów. Ted natychmiast rzucił się do włazu w posadzce i go otworzył. Pod spodem ukazała się czarna woda.

--Ostrożnie. Ted.

--Mówię wam, że jest inteligentna -- oświadczył Ted. Woda pod jego nogami zaślniła bladą zielenią. -- No, właśnie przybyła. -- Nie widzieli jeszcze kalamarnicy, jedynie poświatę. Ted zamrugał skierowanym ku wodzie reflektorkiem.

Zieleń ciemniała i rozjaśniała się.

--Wciąż do nas mówi -- rzekł Ted. -- Dopóki to robi...

Z oszalamiającą szybkością przez właz wdarła się macka i zwinęła się nad nim w luk. Norman zdołał dostrzec, że ma grubość tułowia dorosłego mężczyzny i kończy się pięciostopowym spłaszczonym segmentem. Gdy na oślep zwinęła się koło niego, zanurkował ku posadzce, pociągając Beth za sobą. Tina krzyczała ze zgrozy. Silne amoniakalne wyziewy poczęły im palić oczy. Macka wyciągnęła się znów w stronę Normana. Podniósł ręce, żeby się osłonić, gdy gigantyczne ramię mijalo go, dotknął oślizgłego, zimnego ciała. Wpadł na metalową ścianę śluzy. Stwór był niewiarygodnie silny.

--Odsuńcie się od ścian i wszystkiego, co jest z metalu! -- krzyczała Alice Fletcher. Ted gramolił się na nogi, starając się uniknąć włazu i wijącego się ramienia, które sięgało prawie do wejścia. Liściopodobne zakończenie odwróciło się i owinęło wokół niego, pokrywając niemalże całe ciało. Ted stęknął i oburącz począł odpychać mackę. Oczy rozszerzyły mu się ze zgrozy.

Norman rzucił się przed siebie, ale chwycił go Harry.

--Zostaw go! Już mu w niczym nie pomożesz!

Macka rzucała Tedem w tę i z powrotem w powietrzu przez służę, tłukąc nim o ściany. Głowa mu opadła; krew ściekała po jego czole na lśniąca mackę. Macka wciąż wymachiwała w tę i z powrotem; cylinder oddawał odgłos uderzeń jak gong.

--Do Cylindra B! -- krzyknęła Alice Fletcher -- Wszyscy mają opuścić Cylinder A!

Beth niezgrabnie podążyła ich śladem. Harry uchwycił się Normana w momencie, gdy druga macka wychynęła nad powierzchnię i zamknęła Teda w kleszczach.

--Nie dotykajcie metalu! Do cholery, nie dotykajcie metalu! -- krzyczała Alice Fletcher. Gdy przedostali się na wykładzinę pokrywającą posadzkę Cylindra B, przerzuciła dźwignię zielonej skrzynki. Rozległ się szum generatorów i czerwien grzejników przygasła, gdy dwa miliony woltów przebiegło po powierzchni habitatu. Skutek był natychmiastowy. Posadzka pod ich stopami zachybotała, jakby coś potężnego uderzyło w habitat. Norman mógłby przysiąc, że słyszał krzyk, choć mógł być to jedynie odgłos rozdieranego metalu. Macki błyskawicznie zniknęły we włazie. Ostatni raz widzieli ciało Teda, gdy znikalo w atramentowoczarnej wodzie. Fletcher niemal natychmiast przerzuciła dźwignię zielonej skrzynki w położenie wyjściowe, lecz już rozległo się wycie alarmów i zaświeciły się tablice ostrzegawcze.

--Pożar! -- wrzasnęła Alice. -- Pożar w Cylindrze E!

Alice Fletcher rozdała im maski przeciwgazowe. Gdy dotarli do Cylindra D, zaścielał go już gęsty dym. Potykając się i kaszląc wpadali na konsole komputerów. Normanowi maska bez przerwy ześlizgiwała się na oczy, zasłaniając mu widok.

--Niżej! -- krzyknęła Tina, opadając na kolana. Ona ich teraz prowadziła; Alice została w Cylindrze B.

Przed nimi wściekła czerwona poświata znaczyła grodz prowadzącą do Cylindra E. Tina złapała gaśnicę i wypadła przez właz. Norman podążył tuż za nią. Z początku odniósł wrażenie, że pali się cały cylinder. Łapczywe płomienie pożerały wykładzinę na ścianach, gęste kłęby dymu unosiły się pod sufit. Żar był niemal namacalny. Tina uruchomiła gaśnicę i zaczęła spryskiwać wszystko pianą. W świetle pożaru Norman dostrzegł jeszcze jedną gaśnicę, chwycił ją, lecz zaraz rzucił na podłogę, sparzywszy ręce o rozpalony metal.

--Pożar w Cylindrze D -- ogłosiła Alice przez interkom. -- Pożar w D.

Chryste, pomyślał Norman. Mimo maski krztusił się dławiącym dymem. Podniósł gaśnicę z posadzki i uruchomił ją i natychmiast zrobiła się chłodniejsza. Tina krzyczała coś do niego, lecz nie słyszał nic poza rykiem płomieni. Udało mu się przytłumić ogień, ale wciąż palił się jeszcze spory płat posadzki koło iluminatora. Odwrócił się, pokrywając pianą płonąca podłogę pod stopami.

Nie był przygotowany na eksplozję. Wstrząs boleśnie uderzył w jego błony bębenkowe. Odwrócił się i zobaczył bijący obok strumień wody jak ze strażackiego węża. Dopiero wtedy dotarło do niego, że spalił się albo pękł pod wpływem ciśnienia jeden z małych iluminatorów; tamtędy z niesamowitą siłą poczęła wdzierać się woda.

Nie mógł dostrzec Tiny; dopiero po chwili zobaczył, że zważyło ją z nóg. Podniosła się, krzycząc coś do Normana, lecz pośliznęła się i ponownie upadła w syczący strumień wody, który porwał ją i cisnął o przeciwległą ścianę z taką siłą, że było jasne, że nie mogła tego przeżyć. Twarzą zwrócona do dołu unosiła się w coraz bardziej podnoszącej się w cylindrze wodzie.

Zgruchotało jej tył głowy; przez zniesioną pokrywę czaszki Norman widział gąbczastą czerwoną tkankę mózgu.

Odwrócił się i rzucił do ucieczki. Woda już przelewała się przez brzeg grodzi, gdy przedostał się przez nią i zatrzasnął za sobą wejście, po czym zakręcił kołem, by ją zamknąć.

Nie mógł nic dojrzeć w Cylindrze D; dym był jeszcze gęstszy niż przedtem. Widział jedynie jęzory czerwonych płomieni, rozwiewane kłębami dymu. Usłyszał syk gaśnic. Gdzie była jego gaśnica? Musiał zostawić ją w Cylindrze E. Jak ślepiec macając po ścianach zaczął szukać innej, krztusząc się w dymie. Mimo maski paliły go oczy i płuca.

Właśnie wtedy z ogłuszającym jękiem metalu zaczęło się łomotanie -- kalamarnica atakowała habitat. Usłyszał, że Alice Fletcher woła coś przez interkom, ale jej głos był skrzeczący i niewyraźny. Łomot nie ustawał, do niego dołączył się okropny odgłos rozrywanego metalu. Umrzemy, pomyślał Norman. Tym razem nie przeżyjemy.

Nie mógł znaleźć gaśnicy, ale natrafił dłońmi na coś metalowego na ścianie. Obmacywał wybrzuszenie w wypełnionej dymem ciemności zastanawiając się, co to jest, gdy dwa miliony woltów przeniknęło jego ciało. Krzyknął i zwałił się w tył.

NASTĘPSTWA

Patrzył na rząd świateł z jakiejś dziwnej, przekrzywionej perspektywy. Usiadł poczuwszy przeszywający ból, i rozejrzał się wokół siebie. Znajdował się na posadzce Cylindra D. W powietrzu wisiał rzadki dym. W kilku miejscach wykładzina ścian była poczerniała i nadpalona.

Musielśmy mieć tu pożar, pomyślał, ze zdumieniem wpatrując się w szkody. Kiedy to się stało? Gdzie wtedy byłem?

Podniósł się powoli na kolano, potem na nogi. Ruszył w stronę Cylindra E, lecz z jakiegoś powodu grodz do niego była zamknięta. Usiłował obrócić koło, by ją otworzyć, ale było zaklinowane.

Nie widział nikogo. Gdzie się wszyscy podziali? Przypomnił sobie w tej chwili coś o Tedzie. Ted nie żył. Kałamarnica wymachiwała jego ciałem w służie. Wtedy Alice Fletcher powiedziała, żeby się odsunęli od ścian, i przerzuciła przełącznik...

Zaczynała mu wracać pamięć. Pożar. W Cylindrze E miał miejsce pożar. Pobiegl tam z Tiną, by go ugasić. Przypominał sobie, że wpadł do środka i ujrzał, jak płomień liżą ściany... Nie był pewien, co działo się potem.

Gdzie byli pozostali?

Przez jedną straszną chwilę przemknęła mu przez głowę myśl, że tylko on pozostał przy życiu, lecz wtedy usłyszał od strony Cylindra C kaszel. Ruszył w stronę tego dźwięku. Nie znalazł tam nikogo, więc przeszedł do Cylindra B.

Nie było tam Alice. Został jedynie sporą plamę krwi na metalowych rurach i jeden but na posadzce. I to wszystko.

Kolejne kasznięcie gdzieś spomiędzy rur.

--Alice?

--Chwileczkę.

Spomiędzy rur wynurzyła się usmarowana olejem Beth.

--Dobrze, że doszedłeś do siebie. Chyba udało mi się uruchomić większość systemów. Dzięki Bogu, w marynarce drukuje się instrukcje obsługi na obudowach. W każdym razie dym się rozwiewa, a wedle wskaźników powietrze jest w porządku -- niespecjalne, ale w ramach wartości prawidłowych -- i wszystkie istotne układy wydają się nie naruszone. Mamy powietrze, wodę, prąd i ciepło. Usiłuję ustalić, ile nam jeszcze zostało powietrza i energii.

--Gdzie Alice Fletcher?

--Nigdzie nie mogłam jej znaleźć. -- Beth wskazała but na posadzce i rozsmarowaną krew.

--Tina? -- spytał Norman. Odczuwał wzburzenie na myśl, że mogą zostać na dnie, całkowicie pozbawieni personelu marynarki.

--Tina była z tobą -- powiedziała Beth, zmarszczywszy czoło.

--Nic sobie nie przypominam -- powiedział Norman.

--Prawdopodobnie kopnął cię prąd -- rzekła Beth. -- Pewnie dostałeś od tego wstecznej amnezji. Nie zdołasz sobie przypomnieć kilku minut przed wstrząsu. Tyny również nie mogłam znaleźć, ale wedle wskazań czujników Cylinder E jest zalany wodą i odizolowany. Ty z nią tam byłeś. Nie wiem, dlaczego został zalany.

--Co z Harrym?

--Zdaje mi się, że jego również kopnęło. Macie szczęście, że natężenie nie było duże, bo obaj byście się usmażyli. W każdym razie leży na podłodze w Cylindrze C i albo śpi, albo jest

nieprzytomny. Przydałoby się, żebyś rzucił na niego okiem. Nie chciałam ryzykować i go przенosić.

--Ocknął się? Mówił coś do ciebie?

--Nie, ale wydaje się, że nie ma kłopotów z oddychaniem. Zabarwienie skóry w porządku i tak dalej. W każdym razie pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli sprawdzę systemy utrzymywania stałości składu atmosfery. -- Otarła smaż z policzka. Myślę, Norman, że zostało nas tylko troje.

--Ty, ja i Harry?

--Tak jest. Ty, ja i Harry.

Harry spał spokojnie na podłodze między kojami. Norman nachylił się, podniósł mu powiekę i zaświecił w oko latarką. Żrenica się zwężyła.

--To nie może być raj -- stwierdził Harry.

--Dlaczego? -- spytał Norman. Zaświecił latarką w drugą żrenicę; również się zwężyła.

--Bo ty tu jesteś. Psychologów nie wpuszczają do rajów.-- Na jego wargach pojawił się słaby uśmiech.

--Możesz poruszyć palcami? Całymi dłońmi?

--Mogę ruszać wszystkim. Przyszedłem tu o własnych siłach. Nic mi nie jest, Norman. Norman usiadł.

--Cieszę się, że nic ci się nie stało, Harry. -- Mówił szczerze; lękał się ewentualności, że Harry mógłby być ranny. Od początku ekspedycji wszyscy polegali na Harrym. To on dokonywał wszystkich przełomów, to on pierwszy znajdował rozwiązanie. Nawet teraz Norman czerpał pociechę z myśli, że jeśli Beth nie uda się rozgryźć działania systemów stałości składu atmosfery, powiedzie się to bez wątpienia Harry'emu..

--Taa, nic mi nie jest -- Harry ponownie zamknął oczy i westchnął. -- Kto został?

--Beth. Ja. Ty.

--Chryste.

--Yhm. Pomóc ci wstać?

--Taa, przejdę na koję. Naprawdę jestem wykończony, Norman. Mógłbym spać rok bez przerwy.

Norman pomógł mu się podnieść. Harry szybko opadł na najbliższą koję.

--Nic nie będzie, jak się trochę prześpię?

--Pewnie.

--Świetnie. Jestem naprawdę skonany, Norman. Mógłbym spać cały rok.

--Tak, już to mówileś...

Urwał. Harry już chrapał. Norman sięgnął, by wyciągnąć coś pomiętego spod poduszki pod głową Harry'ego.

Był to notatnik Teda Fieldinga.

Norman nagle poczuł się pokonany. Usiadł na koi, obydwoma dłońmi trzymając notatnik. W końcu przejrzał parę stron, zapelnionych obszernymi, entuzjastycznymi bazgrołami Teda. Na jego kolana wypadła fotografia. Ukazywała czerwoną corvette. Uczucia wzięły nad nim górę. Norman nie wiedział, czy płacze po Tedzie, czy nad sobą samym, wiedział jedynie, że po kolei ginęli tu wszyscy. Był zrozpaczony i przerażony.

Beth była w Cylindrze C w sektorze łączności. Włączała wszystkie monitory.

--Naprawdę kupę roboty tu wykonano -- powiedziała. -- Wszystko jest oznakowane;

wszystko opatrzone instrukcjami, są tu nawet pomocnicze programy komputerowe, dzięki którym każdy idiota da sobie radę. Istnieje tylko jeden problem, który dostrzegam.

--Jaki?

--Kuchnia była w Cylindrze E, a ten został zalany. Nie mamy żywności, Norman..

--Tak sędzę.

--A woda?

--Tej jest pod dostatkiem, ale nie ma żywności.

--Cóż, wytrzymamy jakoś bez jedzenia. Ile jeszcze możemy tu zostać?

--Pewnie koło dwóch dni.

--Przetrzymamy -- stwierdził Norman, myśląc: Chryste, jeszcze dwa dni. Jeszcze dwa dni w tym miejscu.

--Przy założeniu, że sztorm przejdzie zgodnie z oczekiwaniami -- dodała Beth. -- Usiłowałam wykombinować, jak wypuścić balon sondę, by zorientować się, jakie warunki panują na powierzchni. Tina wprowadzała w tym celu jakiś specjalny kod.

--Przetrzymamy -- powtórzył Norman.

--Och, oczywiście. Jeśli będzie z nami rzeczywiście krucho, zawsze możemy zabrać pożywienie ze statku. Jest tam go pełno.

--Uważasz, że możemy zaryzykować wyjście na zewnątrz?

--Będziemy musieli -- oznajmiła, oglądając się na ekrany. -- Gdzieś w ciągu następnych trzech godzin.

--Po co?

--Dostać się do łodzi. Jeśli ktoś tam nie popłynie i nie przestawi mechanizmu zegarowego, łódź wynurzy się na powierzchnię.

--Do diabła z łodzią -- odparł Norman. -- Niech się wynurza.

--No, nie spiesz się tak -- rzekła Beth. -- Mieszczą się w niej trzy osoby.

--Chcesz powiedzieć, że wszyscy możemy się nią zabrać?

--Tak, właśnie to mam na myśli.

--Chryste! -- rzekł Norman. -- Wybywajmy natychmiast -- Wiążą się z tym dwa problemy -- ostrzegła Beth. Wskazała ekrany. -- Przejrzałam charakterystyki. Po pierwsze, łódź nie jest stabilna na powierzchni. Jeśli będą tam wielkie fale, wytrzęsie nas gorzej niż tutaj. Po drugie, musielibyśmy od razu połączyć się z komorą dekompresyjną. Nie zapominaj, że czeka nas dziewięćdziesięciosześciodzinna dekompresja.

--A jeśli damy sobie z nią spokój? -- spytał Norman. Marzył o tym, by się wynurzyć, otworzyć właz, ujrzeć niebo i chmury, odetchnąć normalnym ziemskim powietrzem.

--Musimy się jej poddać -- powiedziała Beth. -- Twoja krew jest przesycona rozpuszczonym w niej helem. W tej chwili znajdujesz się w sprężonej atmosferze, więc wszystko jest w porządku. Jeśli jednak to ciśnienie raptownie spadnie, stanie się to samo, co przy otwarciu butelki z wodą sodową. Cały hel z krwiobiegu nagle zamieni się w pęcherzyki gazu. Natychmiast umrzesz.

--Och- jęknął Norman.

--Dziewięćdziesiąt sześć godzin -- objaśniła Beth. -- Tyle trzeba, żeby usunąć hel ze krwi.

--Och.

Norman przeszedł do iluminatora i spojrział w stronę DH- 7 i mińiaturowej łodzi

podwodnej. Znajdowała się sto jardów od nich.

--Myślisz, że kalamarnica wróci? Wzruszyła ramionami.

--Spytaj Jerry'ego.

Nie gada już o Geraldine, pomyślał Norman. Rzeczywiście woli myśleć o tej wrogiej istocie, że jest rodzaju męskiego?

--Który to monitor?

--Ten -- Włączyła go. Ekran się zaświecił.

--Jerry? Jesteś tam? -- spytał Norman. Żadnej odpowiedzi.

JERRY? JESTEŚ TAM? -- napisał. Dalej nie było odpowiedzi.

--Powie ci coś o Jerry'ym -- rzekła Beth. -- On nie potrafi naprawdę czytać w myślach.

Kiedy z nim wcześniej rozmawialiśmy, nadałam do niego myśl, a on nie odpowiedział.

--Ja też to zrobiłem -- oznajmił Norman. -- Wysłałem myśli i obrazy. Nie zareagował.

--Jeśli mówimy, odpowiada, jeśli jednak tylko myślimy, nie reaguje -- ciągnęła Beth. -- Nie jest więc wszechpotężny. Właściwie zachowuje się, jak gdyby nas słuchał.

--Zgadza się -- przytaknął Norman. -- Choć nie wygląda na to, żeby słyszał nas w tej chwili.

--Nie. Wcześniej też próbowałam nawiązać z nim kontakt.

--Zastanawiam się, dlaczego nie odpowiada.

--Powiedziałeś, że cechują go emocje. Może się boczy.

Norman był innego zdania. Królewiatka nie boczą się. Są mściwe i kapryśne, ale nie zaszywają się w kącie.

--Przy okazji, może chciałbyś to przejrzeć. -- Wręczyła mu plik wydruków. To zapisy naszych rozmów z Jerry'ym.

--Może da się z nich wysnuć jakąś poszlakę -- zastanawiał się Norman, kartkując wydruki bez specjalnego entuzjazmu. Poczul się nagle wyczerpany.

--W każdym razie zajmiesz czymś umysł.

--Prawda.

--Miałabym ochotę wrócić na statek -- zadeklarowała Beth. -- Po co?

--Nie jestem przekonana, że znaleźliśmy wszystko, co warto było znaleźć. -- Do statku daleka droga- zaoponował Norman.

--Wiem. Może jednak spróbuję, jeśli kalamarnica nie pojawi się przez jakiś czas.

--Chcesz czymś się zająć?

--Chyba można to tak nazwać. -- Spojrzała na zegarek. -- Norman, zamierzam się przespać parę godzin. Później wylosujemy, które z nas popłynie do łodzi podwodnej.

--Zgoda.

--Wyglądasz na przygnębionego, Norman. -- Bo jestem.

--Ja też -- rzekła. -- Czuję się tu jak w grobowcu, pogrzebana za życia. Wspięła się po drabince do laboratorium, ale najwidoczniej nie położyła się spać, ponieważ po kilku chwilach usłyszał głos Tiny taśmy: "Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

I odpowiedź Beth: "Może. Nie wiem".

"Boję się".

Szmer przewijanej taśmy, chwila ciszy, po czym:

"Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

"Może. Nie wiem".

"Boję się".

Taśma stawiała się dla Beth obsesją.

Wpatrzył się w wydruki na swych kolanach, po czym spojrział na ekran.

--Jerry? -- spytał. -- Jesteś tam? Jerry nie odpowiedział.

ŁÓDŹ

Beth delikatnie potrząsała go za ramię. Norman otworzył oczy.

--Już pora -- oznajmiła.

--Dobrze. -- Ziewnął. Boże, był wyczerpany. -- Ile jeszcze czasu zostało? -- Półgodziny.

Beth zabrała się za zestaw czujników, poczęła regulować ich czułość.

--Wiesz, jak się tym wszystkim posługiwać? -- spytał Norman.

--Dość dobrze. Nauczyłam się.

--No to ja popłynę do łodzi -- zaproponował. Wiedział, że Beth nie zgodzi się na to, że będzie nalegać, by jej powierzyć to zadanie, ale on również chciał się czymś zająć.

--Zgoda. Płyn ty -- powiedziała. -- To ma sens. Ukrył zaskoczenie.

--Ja też tak sądzę.

--Ktoś musi śledzić wskazania czujników -- stwierdziła. -- Ostrzegę cię, gdyby zbliżała się kałamarnica.

--Dobrze -- powiedział. Cholera, mówi to poważnie, pomyślał. -- To nie jest robota dla Harry'ego.

--Nie, Harry nie jest zbyt wysportowany. Poza tym dalej śpi. Niech śpi, nie sądzisz?

--Zgadza się -- przytaknął Norman.

--Będę ci musiała pomóc założyć skafander -- powiedziała Beth.

--Ach, tak, skafander -- rzekł Norman. -- Ma zepsute ogrzewanie.

--Alice je zreperowała -- oznajmiła Beth.

--Mam nadzieję, że zrobiła to porządnie.

--Może jednak ja powinnam popłynąć -- wahała się Beth.

--Nie, lepiej obserwuj czujniki. Ja popłynę. To i tak tylko sto jardów. Żaden wysilek.

--Na razie wszystko w porządku -- oświadczyła, spojrzawszy na monitory.

--To bardzo dobrze -- rzekł Norman.

Hełm zamknął się ze szczęknięciem. Beth postukała w wizjer z pytającym wyrazem twarzy: wszystko w porządku?

Norman kiwnął głową. Beth otworzyła właz. Machnął jej dłonią na pożegnanie i wskoczył do lodowatej czarnej wody. Na dnie stanął na chwilę pod włazem i odczekał, by upewnić się, że słyszy pracę układów ogrzewania skafandra, po czym wyszedł spod habitatu.

Widać było w nim jedynie kilka palących się świateł, a w wielu miejscach ze szczelin sączyły się strużki pęcherzyków powietrza.

--Jak idzie? -- spytała Beth przez interkom.

--Dobrze. Wiesz, że cylindry przeciekają?

--Wygląda to gorzej niż w rzeczywistości -- uspokoiła go Beth. -- Uwierz mi. Norman podszedł pod brzeg habitatu i spojrział przez sto jardów odkrytego morskiego dna dzielącego go od DH- 7.

--Jak teren? Nadal czysto?

--Czysto -- potwierdziła Beth.

Norman ruszył. Szedł tak szybko, jak mógł, miał jednak wrażenie, że jego stopy poruszają się w zwolnionym tempie. Wkrótce zabrakło mu tchu; zaklął. -- O co chodzi?

--Nie mogę szybko iść. -- Bez przerwy spoglądał na północ, lada chwila spodziewając się dojrzeć zieloną poświatę zbliżającej się kalamarnicy, lecz horyzont pozostawał ciemny.

--Bardzo dobrze ci idzie, Norman. Nadal czysto.

Znajdował się już pięćdziesiąt jardów od habitatu -- w połowie drogi. Widział DH- 7 -- o wiele mniejszy niż ich habitat, pojedynczy cylinder o wysokości czterdziestu stóp, z kilkoma iluminatorami. Koło niego znajdowała się kopuła, a pod nią miniaturowa łódź podwodna.

--Prawie jesteś na miejscu -- poinformowała go Beth. -- Dobra robota. Norman zaczął odczuwać zawroty głowy. Zwolnił kroku. Widział teraz oznaczenia na szarej powierzchni habitatu.

--Horyzont wciąż czysty -- oznajmiła Beth. -- Gratulacje. Wygląda na to, że ci się udało.

Wszedł pod cylinder DH- 7, podniósł wzrok na właz. Był zamknięty. Pokręcił kołem, otworzył go. Niewiele dostrzegł we wnętrzu, ponieważ większość światel była wyłączona. Chciał jednak rzucić okiem do środka. Mogło być tam coś, jakaś broń, przydatna dla nich.

--Najpierw łódź -- przypomniała Beth. -- Zostało ci tylko dziesięć minut na przeprogramowanie mechanizmu zegarowego.

--Słusznie.

Norman ruszył w stronę łodzi. Stojąc koło bliźniaczych śrub, odczytał nazwę: "Deepstar III". Łódź była żółta jak ta, którą przybył na dno, jej konstrukcja była jednak nieco odmienna. Znalazł poręcze z boku i podciągnął się po nich do pęcherza powietrza uwięzionego pod kopułą. Na wierzchołku łodzi znajdowała się spora kopułka z żywic akrylowych dla sternika; Norman znalazł za nią właz, otworzył go i wsunął się do środka.

--Jestem w łodzi.

Beth nie odpowiedziała. Prawdopodobnie nie mogła go słyszeć przez otaczający go ze wszystkich stron metal. Rozejrzał się po wnętrzu łodzi. Przemknęło mu przez głowę, że ocieka wodą. Ale co niby miał zrobić, wytrzeć buty przed wejściem? Uśmiechnął się na tę myśl. Znalazł zabezpieczone taśmy za przegrodą na rufie. Było tu na nie jeszcze mnóstwo miejsca oraz dość przestrzeni dla trzech osób. Beth miała jednak rację co do wynurzenia się na powierzchnię; wnętrze łodzi było zapchane oprzyrządowaniem, pełno tu było ostrych krawędzi. Żadna przyjemność, gdyby zaczęło nimi rzucać na powierzchni.

Gdzie był guzik odroczenia? Przyjrzał się wygaszonej konsoli i dostrzegł pojedyncze czerwone światełko mrugające nad guzikiem oznaczonym WSTRZYMANIE ODLICZANIA. Nacisnął go.

Czerwone światełko przestało mrugać i pozostało włączone. Na miniaturowym ekranie barwy bursztynu pojawił się napis:

Mechanizm zegarowy -- Odliczanie 12:00:

Udało się, pomyślał. Ekranik zgasł.

Gdy jeszcze przyglądał się instrumentom, zastanowił się, czy w razie konieczności dalby radę sterować łodzią? Wśliznął się w fotel sternika, wpatrując się w dezorientującą gęstwinę wskaźników i przełączników na desce przyrządowej. Nie wyglądało na to, by były tu jakiegokolwiek stery, nie było żadnego koła czy dźwaka. Jak się sterowało tą przeklętą machiną?

Zapalił się ekran:

DEEPSTAR III -- MODUŁ DOWODZENIA

Czy potrzebujesz pomocy?

Tak Nie Skasować

Tak, pomyślał, potrzebuję pomocy. Rozejrzał się po desce przyrządowej w poszukiwaniu klawisza oznaczonego TAK, ale nic takiego nie dostrzegł. W końcu zdecydował się dotknąć ekranu w tym właśnie miejscu.

DEEPSTAR III -- WYKAZ.OPCJI

Zanurzenie Wynurzenie

Zabezpieczenie Odłączenie

Monitorowanie Skasować

Przycisnął WYNURZENIE. Obraz na ekranie zmienił się w pomniejszony schemat tablicy przyrządów. Jedna z jej sekcji wyróżniona była tym, że gasła i zapalała się. Pod schematem widniał tekst:

DEEPSTAR III -- KOLEJNOŚĆ CZYNNOŚCI PRZY WYNURZENIU

1. Nastawić dmuchawy balastu na: Włączone

Przejdźcie do następnej czynności

Więc tak to działa, pomyślał Norman. Wprowadzona do pamięci komputera lista kolejnych czynności przy poszczególnych manewrach. Trzeba było tylko postępować zgodnie z instrukcją. Poradziłby sobie.

Słaby prąd zakolysał łodzią, naprężywszy cumy.

Nacisnął SKASOWAĆ, ekran zgasł. Po chwili zamigotało na nim:

Mechanizm zegarowy -- Odliczanie 11:53:

Rzeczywiście byłem tu siedem minut? -- zastanowił się. Kolejny przyływ prądu i łódź ponownie się zakolysała. Czas było ją opuścić.

Dotarł do włazu, wyszedł pod kopułę i zamknął włącznik. Opuścił się po burcie łodzi, opadł na dno. Gdy znalazł się poniżej metalowej osłony, natychmiast zatrzeszczało radio.

--...steś tam? Norman, jesteś tam? Odpowiedz, proszę!

Głos należał do Harry' ego.

--Jestem -- powiedział Norman. -- Norman, na miłość boską...

W tym momencie Norman dostrzegł zielonkawą poświatę i zrozumiał, dlaczego łódź kołysała się na cumach. Kalamarnica była ledwie dziesięć jardów od niego. Lśniące macki wystrzeliły w jego stronę, wzburzając osad z dna oceanu.

--Norman, może...

Nie było czasu na zastanowienie. Norman zrobił trzy kroki, podskoczył i wciągnął się do otwartego włazu DH- 7.

Chciał zatrzasnąć natychmiast włącznik za sobą, ale splaszczona, szpatułkowata macka już się po niego wyciągała. Unieruchomił ją, zatrzasnąwszy na niej klapę włazu, ale nie chciała się cofnąć. Była niesamowicie silna. Obserwował, jak napinają się w niej mięśnie, gdy się wila, jak przypominające niewielkie pulchne usta przyssawki zamykają się i otwierają. Norman przycisnął nogą klapę, starając się zmusić mackę do cofnięcia. Macka zwinęła się, kłapa odskoczyła i rzuciła nim w tył. Macka wsunęła się do środka habitatu. Poczł silny odór amoniaku.

Rzucił się do ucieczki w głąb cylindra. We włazie z pluskiem pojawiła się druga macka. Obydwie zataczały kręgi poszukując go. Dotarł do iluminatora i wyjrzał przezeń, ujrzał gigantyczne cielsko zwierzęcia i wpatrujące się w niego wielkie okrągłe oko. Wspiął się wyżej, by wydostać się z zasięgu macek. Większa część cylindra była przeznaczona na składowanie wyposażenia, zbiorników, rozmaitych skrzyń. Wiele z tych ostatnich miało jaskrawoczerwoną barwę i nadruki głoszące: **OSTROŻNIE, NIE PALIĆ, NIE UŻYWAĆ W POBLIŻU SPRZĘTU ELEKTRONICZNEGO. MATERIAŁ WYBUCHOWY TEYAC.** Od cholery jest tu tego, pomyślał gramoląc się w górę.

Macki unosiły się za nim. Jakąś oderwaną, w chłodny sposób rozumującą częścią swego mózgu pomyślał: Cylinder ma tylko czterdzieści stóp wysokości, a macki przynajmniej tyle samo długości. Nie będę miał się gdzie schować.

Potknął się, uderzył w kolano, wspinał dalej. Usłyszał za sobą plaskanie macek o ściany, gdy zamachnęły się w jego stronę.

Broń, pomyślał. Muszę znaleźć jakąś broń.

Trafił do małej kuchni -- metalowy blat, jakieś garnki i patelnie. Pospiesznie począł wyciągać szuflady w poszukiwaniu noża. Znalazł jedynie niewielki nóż do obierania, który odrzucił. Usłyszał, że macki są coraz bliżej. W następnej chwili został zwalony z nóg i rąbnął hełmem o posadzkę. Poderwał się na nogi, uchylił przed macką i ruszył jeszcze wyżej.

Sektor łączności: nadajnik radiowy, komputer, parę monitorów. Macki były tuż za nim, ślizgając się jak jakieś koszarne pnącza. Oczy paliły go od oparów amoniaku.

Dotarł do koi w niewielkiej przestrzeni pod wierzchołkiem cylindra.

Nie mam się gdzie ukryć, pomyślał. Nie mam broni, nie mam się gdzie schować.

Macki dosięgły szczytu cylindra, zaplaskały o zakrzywioną powierzchnię sufitu i sięgnęły w bok. Za moment dosięgłyby go. W obronnym geście wyciągnął przed siebie kiepską osłonę w postaci materaca. Obydwie macki na ślepo machały w jego kierunku. Uchylił się przed pierwszą z nich.

Wreszcie z cmoknięciem druga macka owinęła się wokół niego, chwytając w lodowate, mokre objęcia również materac. Poczul przyprawiający o mdłości nasilający się uścisk. Dziesiątki przyssawek przywarły do ciała i poczęły się w niego wgryzać. Jęknął ze zgrozy. Pierwsza macka zatoczyła łuk z powrotem i również owinęła się wokół niego. Został wzięty w kleszcze.

O Boże, pomyślał.

Macki wygarnęły go spod ściany i uniosły wysoko na środek cylindra. To już koniec, pomyślał, ale w następnej chwili poczul, jak jego ciało ześlizguje się po materacu. Uwolniony z uścisku runął w dół. Chwyając się macek, ześlizgując się po ohydnie śmierdzących odnóżach, spadał na pokład kuchenny i rąbnął głową o podłogę, po czym natychmiast przetoczył się w bok.

Nad sobą zobaczył, jak dwie macki ściskają i tłamszą materac. Czy kałamarnica uświadomiła sobie, że udało mu się uwolnić?

Norman rozejrzał się dokoła siebie z desperacją. Rozpaczliwie potrzebował jakiejś broni. Był to habitat marynarki wojennej, przecież gdzieś tu musiała być broń.

Macki rozerwały materac na strzępy. W dół posypały się skrawki białej gąbki. Macki wypuściły materac, spadły również większe kawałki. Macki ponownie zaczęły kręcić się po habitacie.

W poszukiwaniu.

Ona wie, pomyślał. Wie, że wyostałem się i wciąż gdzieś tu jestem. Poluje na mnie.

Ale skąd to wie?

Norman przycupnął za płytą, gdy jedna z płaskich macek zaczęła rozrzucać garnki i patelnie. Poczował się w tył, natrafiając na wielką roślinę w donicy. Macka wciąż go szukała, bezustannie gmerała po podłodze, tłukła garnkami. Norman pchnął donicę przed siebie. Macka schwyciła ją, bez wysiłku wyrwała roślinę i machnęła nią w powietrzu.

Dało to Normanowi chwilę na zmianę pozycji.

Za wszelką cenę potrzebuję broni, pomyślał.

Rzucił okiem w miejsce, gdzie spadły resztki materaca i na ścianie koło wjazdu w dzień dostrzegł rząd srebrzystych pionowych prętów. Harpuny! Bóg wie, czemu nie dostrzegł ich uciekając w górę. Każdy harpun miał głowicę przypominającą granat ręczny. Materiały wybuchowe? Zaczął schodzić w dół.

Macki również zaczęły się wycofywać, podążając jego śladem. Skąd kałamarnica wiedziała, gdzie się znajduje? Właśnie wtedy, mijając iluminator, dostrzegł oko na zewnątrz. Mój Boże, widzi mnie, pomyślał.

Trzeba się trzymać z dala od iluminatorów.

Nie mógł myśleć precyzyjnie. Wszystko działo się za szybko. Przepelził koło skrzyń z materiałami wybuchowymi w dziale składowania. Lepiej, żebym przypadkiem w nie nie trafił, pomyślał, po czym z loskotem wylądował przy wjeździe.

Ramiona kałamarnicy ześlizgiwały się w dół, starając się go dosięgnąć. Szarpnął za jeden z harpunów. Był przymocowany do ściany gumową taśmą. Norman szarpnął jeszcze silniej, starając się go oderwać. Macki się przybliżyły. Szarpnął za gumową taśmę, ale nie puściła. Dlaczego nie mógł go zdjąć?

Macki były jeszcze bliżej. Zmierzały błyskawicznie w jego kierunku.

Wreszcie dotarło do niego, że taśmy są opatrzone zatrzaskami; harpuny trzeba było pociągnąć w bok, nie do siebie. Tak zrobił i taśma od razu puściła. Trzymał harpun w dłoni. W momencie gdy się odwracał, macka zwała go z nóg. Runął na plecy i ujrzał spadającą wprost na niego wielką pokrytą przyssawkami płaską dłoń macki. Owinęła się wokół helmu, odcinając dopływ światła. Wypalił.

Poczuł przeszywający ból w brzuchu i piersiach. Przez chwilę ze zgrozą przemknęło mu przez głowę, że trafił sam siebie. Złapał dech i dopiero uświadomił sobie, że to skutek wstrząsu; paliło go w piersiach, ale kałamarnica zwolniła uścisk.

Wciąż nic nie widział. Odgarnął resztkę macki z twarzy. Wijąc się opadła na pokład. Wnętrze śluzy było schlapane krwią. Jedna z macek jeszcze drgała, z drugiej został krwawy, poszarpany kikut. Obydwie ześliznęły się przez wjazd i zniknęły mu z oczu.

Norman rzucił się do wjazdu. Kałamarnica odpływała szybko. Zielonkawa poświata słabła. Udało mu się! Pokonał ją! Udało mu się.

Ile ich przyniosłeś? -- zapytał Harry, obracając harpun w dłoniach.

--Pięć -- odpowiedział Norman. -- Więcej nie dałem rady zabrać.

--Ale okazał się skuteczny? -- Harry przyglądał się jajowatej końcówce z materiałem wybuchowym.

--Zgadza się. Odstrzeliłem jej całą mackę.

--Widziałem, jak odpływała -- stwierdził Harry. -- Byłem pewny, że jakoś sobie z nią poradziłeś.

--Gdzie Beth?

--Nie wiem. Nie ma jej skafandra. Uważam, że mogła popłynąć na statek.

--Na statek? -- zdziwił się Norman.

--Wiem tylko, że kiedy się obudziłem, jej skafandra nie było. Domyśliłem się, że popłynęłaś do habitatu, potem zobaczyłem kalamarnicę. Próbowałem złapać cię przez radio, ale pewnie metal uniemożliwił łączność.

--Beth już nie było? -- spytał Norman. Zaczynał odczuwać złość. Beth miała pozostać przy konsoli w sektorze łączności, sprawdzając odczyty zewnętrznych czujników, podczas gdy był poza habitatem. Dlaczego zamiast tego wybrała się na statek?

--Jej skafander zniknął -- powtórzył Harry.

--Kurwa mać! -- Norman nagle poczuł nie dającą się stłumić wściekłość. Kopnął w konsolę.

--Tylko ostrożnie -- pohamował go Harry.

--Szlag by to trafił!

--Nie przejmuj się -- powiedział Harry. -- Daj spokój, Norman, nie przejmuj się tak.

--Co ona, do jasnej cholery, wyprawia?

--No już, Norman, usiądź. -- Harry podprowadził go do fotela. -- Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

--Cholerna racja, że jesteśmy wykończeni!

--Spokojnie, Norman, tylko spokojnie... Nie zapominaj o swoim ciśnieniu.

--Z moim ciśnieniem jest w porządku!

--Nie w tej chwili -- oświadczył Harry. -- Zrobiłeś się purpurowy.

--Jak mogła mnie wypuścić na zewnątrz, a potem po prostu się zabrać?

--Gorzej, jest sama poza habitatem -- zauważył Harry -- Ale nie sprawdzała, czy mi nic nie grozi -- powiedział Norman. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, dlaczego jest taki zły. Bał się. Beth porzuciła go w chwili, gdy groziło mu wielkie niebezpieczeństwo. Zostało ich tylko troje i potrzebowali się nawzajem -- musieli na sobie polegać. Na Beth jednak nie można było polegać, i taka była przyczyna jego strachu. I gniewu.

--Słyszycie mnie? -- dobiegł jej głos z interkomu. -- Czy ktoś mnie słyszy? Norman wyciągnął dłoń po mikrofon, Harry jednak cofnął go z jego zasięgu.

--Ja to zrobię -- oświadczył. -- Tak, Beth, słyszymy cię.

--Jestem w statku. -- Jej głos dobiegający z interkomu zagłuszały potrzaskiwania. -- Znalazłam bardzo ciekawe pomieszczenia na rufie za kabinami załogi.

Bardzo ciekawe, pomyślał Norman. Chryste, bardzo ciekawe. Wyrwał mikrofon Harry'emu.

--Beth, co ty tam, u diabła, robisz?

--Och, cześć, Norman. Udało ci się wrócić bez kłopotów, hm? -- Ledwie.

--Miałeś jakieś przygody? -- Nie wydawała się tym przejęta.

--Jakbyś zgadła.

--Dobrze się czujesz? Mówisz, jakbyś był wściekły.

--Pewnie, że jestem wściekły, Beth. Dlaczego mnie zostawiłaś, gdy byłem na zewnątrz?

--Harry powiedział, że mnie zmieni.

--Że co? -- Norman spojrział na Harry'ego. Ten przecząco potrząsnął głową.

--Harry zaproponował, że mnie zastąpi przy konsoli. Powiedział, że mogę popłynąć na statek. Ponieważ nigdzie w pobliżu nie było kałamarnicy, zdecydowałam, że pora jest odpowiednia.

Norman zakrył dłonią mikrofon. -- Nie przypominam sobie niczego takiego -- zapewnił go Harry.

--Rozmawiałaś z nią?

--Nie przypominam sobie tego.

--Spytaj go -- powiedziała Beth. -- Na pewno potwierdzi.

--Mówi, że w ogóle z tobą nie rozmawiał.

--To znaczy, że mu się potęgowało -- stwierdziła Beth. -- Wyobrażasz sobie, że mogłabym cię porzucić w momencie, gdy byleś na zewnątrz, na miłość boską? -- Po chwili dodała: -- Nigdy bym tego nie zrobiła, Norman.

--Przysięgam -- oświadczył Harry -- że w ogóle nie rozmawiałem z Beth. Nawet się z nią nie widziałem. Mówię ci, kiedy się obudziłem, jej już nie było. Byłem sam w habitacie. Jeśli chodzi o moje zdanie, od razu chciała popłynąć na statek.

Norman przypomniał sobie, jak Beth natychmiast zgodziła się, by on popłynął do łodzi podwodnej i jaki był z tego powodu zaskoczony. Może Harry ma rację, pomyślał. Może Beth przez cały czas o to chodziło.

--Wiesz, co myślę? -- pytał Harry. -- Że ona zaczyna pękać. Beth zapytała przez interkom:

--Chłopy, dogadaliście się ze sobą?

--Chyba tak -- odparł Norman.

--Dobrze -- rzekła Beth. -- Ponieważ tu właśnie, na statku, dokonałam odkrycia. Jakiego? Znalazłam załogę.

--Przypłynęliście obydwaj -- skonstatowała Beth. Siedziała wsparta o konsolę na luksusowym pokładzie załogi w statku kosmicznym.

--Tak -- powiedział Norman, przyglądając się jej. Wyglądało na to, że nic jej nie jest. Jeśli już, to sprawiała lepsze wrażenie niż przedtem. Zdawała się silniejsza, bardziej opanowana. Właściwie wygląda nawet pięknie, pomyślał. -- Harry stwierdził, że kałamarnica pewnie nie wróci.

--Kałamarnica się pokazała?

Norman opowiedział jej pokrótce o ataku.

--Jezu, przepraszam, Norman. Nigdy bym nie wyprawiała się na statek, gdybym o tym wiedziała.

Bez wątplenia nie mówi jak ktoś, kto pęka, pomyślał Norman. W jej głosie brzmiała szczerść i właściwa ocena sytuacji.

--Było nie było, zraniłem ją i Harry uważa, że już nie wróci -- powiedział.

--Nie mogliśmy się też zdecydować, który z nas zostanie, więc przyplłynęliśmy obaj -- wyjaśnił Harry.

--No dobrze, chodźcie tędy. -- Beth poprowadziła ich w tył poza pomieszczenia załogi, poza dwadzieścia koi i wielką kuchnię. Norman zatrzymał się w kuchni. To samo zrobił Harry.

--Jestem głodny -- oznajmił.

--Zjedz coś -- odrzekła Beth. -- Ja tak zrobiłam. Jest tu coś w rodzaju batonów z orzechami, są smaczne. -- Otworzyła szufladę, wyjęła batony opakowane w folię aluminiową i podała im po jednym. Norman rozerwał folię i ujrzał coś przypominającego z wyglądu czekoladę. W smaku było suche.

--Jest coś do picia?

--Pewnie. -- Szarpnięciem otworzyła drzwi lodówki. -- Dietetyczna cola? -- Żartujesz...

--Puszka wygląda inaczej, a zawartość jest niestety ciepła, ale mimo wszystko to coca-cola.

--Kupuję akcje tej firmy -- zadeklarował Harry. -- Wiemy, że utrzyma się na rynku jeszcze przez pięćdziesiąt lat. -- Odczytał napis na puszcze. -- "Oficjalny napój wyprawy Star Voyager".

--Zgadza się, reklama -- potaknęła Beth.

Harry obrócił puszkę w dłoniach. Na drugiej stronie widniał napis po japońsku.

--Ciekawe, co to znaczy.

--Tu jest napisane: "Nie kupuj jednak tych akcji" -- rzekła.

Norman pociągnął coli z wrażeniem nieokreślonego niepokoju. Kuchnia wyglądała na nieco zmienioną od czasu, gdy byli tu po raz ostatni. Nie był pewny, na czym to polega -- ledwie rzucił na nią okiem -- ale miał dobrą pamięć do rozkładu pomieszczeń. Jego żona zawsze żartowała, że Norman jest w stanie radzić sobie w kuchni ich domu z zamkniętymi oczyma.

--Wiecie- powiedział- nie przypominam sobie tej lodówki.

--Ja też nie zwróciłam na nią uwagi- przytaknęła Beth.

--Prawdę mówiąc -- ciągnął Norman -- cała kuchnia wygląda dla mnie jakoś inaczej. Zdaje mi się większa i, bo ja wiem, inna.

--To dlatego, że jesteś głodny- uśmiechnął się Harry.

--Może -- rzekł Norman. Harry mógł mieć rację, W latach sześćdziesiątych przeprowadzono sporo badań nad postrzeganiem wzrokowym, w których osobom badanym przedstawiano niewyraźne slajdy. Jak się okazało, interpretowały je zgodnie ze swoimi predyspozycjami. Osoby głodne dostrzegały na wszystkich slajdach jedzenie.

To pomieszczenie jednak rzeczywiście wyglądało inaczej. Nie przypominał sobie, na przykład, żeby drzwi do kuchni były po lewej stronie, jak teraz. Pamiętał, że znajdowały się dokładnie na środku grodzi dzielącej kuchnię od kwater z kojami.

--Tędy -- powiedziała Beth, prowadząc ich dalej w stronę rufy. -- Właściwie to ta lodówka spowodowała moje wątpliwości. Statek badawczy mający przelecieć przez czarną dziurę musi mieć zapasy żywności. Po co jednak dorzucać do tego wszystkiego jeszcze lodówkę? Po co sobie tym zawracać głowę? Nasunęło mi to myśl, że na statku jednak mogła być załoga.

Znaleźli się w krótkim tunelu o szklanych ścianach. Oświetlały ich ciemnopurpurowe lampy.

--Ultrafiolet -- zauważyła Beth. -- Nie wiem, czemu ma to służyć. -- Do dezynfekcji?

--Może.

--Może do opalania się -- zastanawiał się Harry. -- W ten sposób powstaje jji witamina D.

Weszli do pomieszczenia odmiennego od wszystkich, które widział Norman. Purpurowo świecąca posadzka była skąpana w ultrafioletowym świetle. Na wszystkich czterech ścianach przymocowano szerokie szklane rury. Wewnątrz nich znajdowały się wąskie srebrzyste materace. Zdawało się, że rury są puste.

--Tam -- wskazała Beth.

Zajrzeli do jednej ze szklanych rur. Naga kobieta, która się w niej znajdowała, kiedyś była piękna. Jeszcze teraz można było to stwierdzić, choć jej ciemnobrunatne pokurczone ciało było poryte głębokimi bruzdami.

--Mumifikacja? -- spytał Harry. Beth przytaknęła.

--Nie potrafię wymyślić nic lepszego. Jeszcze nie otwierałam rury ze względu na możliwość infekcji.

--Czym była ta sala? -- zapytał Harry, rozglądając się dookoła.

--Zapewne pomieszczeniem przeznaczonym do hibernacji. Każda z rur ma osobne połączenie z systemami podtrzymywania życia -- zasilaniem, recyrkulatorami powietrza, grzejnikami, czujnikami -- w sąsiednim pomieszczeniu.

Harry policzył rury.

--Dwadzieścia -- oznajmił. -- I dwadzieścia koi -- uzupełnił Norman.

--Gdzie więc jest reszta?

--Nie wiem. -- Beth potrząsnęła głową.:

--Została jedynie ta kobieta? -- Na to wygląda. Nie znalazłam nikogo innego.

--Ciekawe, jak zginęła reszta -- zastanawiał się Harry.

--Beth byłaś przy kuli? -- spytał Norman.

--Nie. Czemu pytasz?

--Tak się zastanawiałem.

--Chodzi ci o to, czy cała załoga zginęła po tym, jak znaleziono kulę?

--W zasadzie tak.

--Nie sądzę, by kula była w jakimkolwiek sensie niebezpieczna czy agresywna -- zaoponowała Beth. -- Możliwe, że załoga wymarła w czasie podróży z przyczyn naturalnych. Ta kobieta na przykład jest tak dobrze zakonserwowana, że trzeba się zastanowić nad możliwością wpływu promieniowania. Może otrzymała dużą dawkę. W okolicach czarnych dziur promieniowanie jest niesamowicie silne.

--Myślisz, że załoga zginęła przekraczając czarną dziurę, a kulę statek wziął na pokład automatycznie później?

--To możliwe.

--Całkiem nieźle się prezentuje -- skonstatował Harry, przyglądając się kobiecie przez szkło. -- Rany, reporterzy powariowaliby na ten widok. Pełna seksu kobieta z przyszłości, odnaleziona naga i zmumifikowana. Projekcja o jedenastej.

--Do tego jest wysoka -- dodał Norman. -- Musi mieć ponad sześć stóp.

--Amazonka -- dorzucił Harry. -- Z wielkimi cyckami.

--Przestań! -- ucięła Beth. "

--O co chodzi, czujesz się obrażona w jej imieniu? -- spytał Harry.

--Nie sądzę, by takie komentarze były potrzebne.

--Właściwie jest trochę podobna do ciebie, Beth -- rzekł Harry. Beth zmarszczyła brwi.

--Mówię poważnie. Przyjrzałaś się jej?

--Nie gadaj głupot.

Norman spojrział przez szkło, zasłaniając dłonią odbicia lamp ultrafioletowych w posadzce. Zmumifikowana kobieta rzeczywiście była podobna do Beth młodsza, wyższa, silniejsza, jednak ją przypominała.

--On ma rację--stwierdził Norman.

--Może to ty z przyszłości -- domyślał się Harry.

--Nie, ona najwyraźniej nie dożyła trzydziestki.

--Może to twoja wnuczka.

--Mało prawdopodobne -- odparła Beth.

--Nigdy nie wiadomo -- rzekł Harry. -- Czy Jennifer jest do ciebie podobna?

--Właściwie nie, ale jest jeszcze w ciętym wieku. W ogóle nie przypomina tej kobiety. Ja zresztą też.

Normana uderzył upór, z jakim Beth wypierała się jakiegokolwiek związku czy podobieństwa ze zmumifikowaną kobietą.

--Jak sądzisz, co tu się stało? -- spytał. Dlaczego znaleźliśmy tylko tę kobietę?

--Myślę, że była kimś ważnym dla wyprawy -- oznajmiła Beth. -- Może nawet kapitanem albo jego zastępcą. Wśród pozostałych przeważali mężczyźni. Zrobili jakieś głupstwo -- nie wiem jakie -- i w rezultacie wszyscy zginęli. Została sama na pokładzie statku, starając się dolecieć nim z powrotem na Ziemię, ale coś jej się stało, coś, z czym nie mogła sobie poradzić, i umarła.

--Co jej miałyby się stać?

--Coś. Nie wiem.

Fascynujące, pomyślał Norman. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale jak się okazało, ta sala -- a właściwie cały statek -- stanowiła jeden wielki test Rorschacha. Lub ściślej TAT. Test Apercepcji Tematycznej była to seria wieloznacznych ilustracji. Zadaniem osób badanych było udzielenie odpowiedzi na pytanie, co się na nich dzieje. Ponieważ ilustracje mogły być różnie interpretowane, osoby badane musiały sobie te historyjki wymyślić. Otrzymywało się z nich o wiele więcej danych o osobach badanych niż o ilustracjach.

Beth prezentowała im teraz swe domysły związane z tym pomieszczeniem: ekspedycją kierowała kobieta, mężczyźni jej nie posłuchali, zginęli, a ona jako jedyna, żeński ostatni Mohikanin, pozostała przy życiu.

Niewiele z tego można było wywnioskować o statku, ale mnóstwo o Beth.

--Załapałem -- rozpromienił się Harry. -- To właśnie ona się rąbnęła i zaleciała za daleko w przeszłość. Typowa kobieta za kierownicą.

--Czy ty musisz sobie ze wszystkiego stroić żarty?

--A ty brać wszystko tak poważnie?

--To jest poważna sprawa -- stwierdziła Beth.

--Opowiem ci inną historię -- zaproponował Harry. -- Ta kobieta coś pochromoliła. Miała coś zrobić i albo o tym zapomniała, albo się pomyliła, po czym się zahibernowała. Na skutek jej błędu reszta załogi zginęła, a ona nigdy się nie obudziła z hibernacji. Nigdy sobie nie

uświadomiła, co narobiła, bo nie mogła sobie zdać sprawy, co się dzieje.

--Jestem pewna, że taka wersja bardziej ci się podoba -- ironizowała Beth. Bardziej odpowiada twej, typowej dla czarnego samca, pogardzie dla kobiet.

--Spokojnie -- łagodził Norman.

--Nie cierpisz silnych kobiet -- rzekła Beth.

--Co to za siła? Nazywasz podnoszenie ciężarów siłą? To siła jedynie fizyczna i wywodzi się z poczucia słabości, a nie mocy.

--Ty mały zasuszony pokurczu -- wysyczała Beth.

--No co, pobijesz mnie? -- zakpił Harry. -- Tak właśnie wyobrażasz sobie siłę?

--Uspokójcie się -- powiedział Norman. -- Nie rozgrzebujcie tego tematu.

--Jak sądzisz, Norman? -- spytał Harry. -- Masz swoją wersję wydarzeń na statku?

--Nie -- odrzekł Norman.

--Och, daj spokój -- nalegał Harry. -- Na pewno masz.

--Nie -- odparł Norman. -- I nie zamierzam służyć jako mediator między wami. Musimy się trzymać do końca razem. Dopóki jesteśmy na dnie, musimy działać jako grupa.

--To Harry wywołuje podziały -- wtrąciła Beth. -- Od początku wyprawy stara się wszystkich wyprowadzić z równowagi. A jego podle zawistne komentarze...

--Jakie podle zawistne komentarze? -- zdziwił się Harry.

--Bardzo dobrze wiesz, o co mi chodzi -- odpowiedziała Beth. Norman wyszedł.

--Dokąd idziesz?

--Opuszcza was publiczność.

--Dlaczego?

--Bo obydwójcie jesteście nudni.

--Aha -- zachnęła się Beth. -- Pan Spokojny Psycholog zdecydował, że jesteśmy dla niego nudni?

--Zgadza się -- odrzekł Norman, nie przystając w szklanym korytarzyku, by się obejrzeć.

--Ocenileś nas wszystkich i teraz zabierasz się w swoją stronę?! -- krzyknęła zanim Beth. Nie zatrzymał się.

--Mówię do ciebie! Masz nie odchodzić, kiedy mówię do ciebie, Norman!

Wrócił do kuchni i zaczął wyciągać szuflady w poszukiwaniu batonów. Znowu odczuwał głód, a poszukiwania pozwalały mu nie myśleć o pozostałej dwójce. Musiał przyznać, że kłopotce go rozwój wypadków. Znalazł baton, rozpakował z folii i ugryzł.

Był zakłopotany i zaniepokojony, ale nie zaskoczony. W badaniach nad dynamiką grupową już dawno nauczył się, że stara maksyma "Trzy osoby to tłum" jest słuszna. W sytuacjach związanych z wysokim obciążeniem psychicznym trzyosobowe grupy wykazywały najmniejszą stabilność. O ile nie nastąpił wyraźny podział odpowiedzialności i zadań między wszystkich ich członków, uwidaczniała się skłonność do zawierania sojuszy dwóch osób przeciwko pozostałej. Właśnie teraz miało to miejsce.

Skończył jeść baton i natychmiast zaczął następny. Ile jeszcze musieli zostać na dnie? Przynajmniej trzydzieści sześć godzin. Rozejrzał się, gdzie mógłby wetknąć jeszcze jeden baton, lecz w poliestrowym skafandrze nie było żadnych kieszeni.

Do kuchni weszli Beth i Harry, zupełnie już spokojni.

--Chcecie po batonie? -- zapytał, żując.

--Chcielibyśmy przeprosić -- zwróciła się do niego Beth. -- Za co?

--Że zachowywaliśmy się jak dzieci -- wyjaśnił Harry.

--Jestem zakłopotana -- oznajmiła Beth. -- Strasznie mi przykro, że mnie tak poniosło, czuję się jak skończona idiotka... -- zwiesiła głowę i utkwiała spojrzenie w posadzce. Pomyślał, że nastąpiło w niej ciekawe błyskawiczne przejście od agresywnej pewności siebie do jej całkowitego przeciwieństwa -- pokornej prośby o przebaczenie. Bez żadnych faz pośrednich.

--Nie zagłębiajmy się w to -- zbagatelizował. -- Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

--Czuję się po prostu okropnie -- ciągnęła Beth. -- Naprawdę okropnie. Czuję się, jakbym was obydwóch zawiodła. Nie powinnam tu być. Nie byłam warta, by znaleźć się w tej grupie.

--Beth, weź lepiej baton i przestań się zamartwiać -- zaproponował Norman.

--Zgadza się -- rzekł Harry. -- Chyba wolę cię już zezłoszczoną.

--Niedobrze mi od tych batonów -- wzdrygnęła się Beth. -- Przed waszym przybyciem zjadłam jedenaście.

--To dociągnij do równego tuzina -- poradził Norman -- i wracajmy do habitatu.

Drogę powrotną pokonywali w napięciu, wypatrując kałamarnicy. Norman czerpał jednak otuchę z tego, iż byli uzbrojeni. I z czegoś jeszcze: z wewnętrznej pewności siebie, której nabył po walce z kałamarnicą.

--Trzymasz ten harpun, jakbyś naprawdę chciał z niego przygrzać -- stwierdziła Beth.

--Bo chyba tak jest. -- Przez całe życie poświęcał się badaniom akademickim, życiu uniwersyteckiemu, i nigdy nie uważał się za człowieka czynu. Przynajmniej nie wykraczało to poza sporadyczne gry w golfa. Teraz, trzymając gotowy do odpalenia harpun, stwierdził, że zupełnie podoba się sobie w tej roli.

W czasie drogi zauważył, jak wiele ukwiałów znajduje się na trasie między habitatem a statkiem. Musieli je okrążyć, niektóre z nich bowiem dochodziły do czterech i pięciu stóp wysokości. W świetle reflektorów były krzykliwie niebieskie i purpurowe. Norman jakoś nie przypominał sobie, by tu były, gdy z Harrym wyruszali do statku.

Prócz wielobarwnych ukwiałów pojawiły się również ławice dużych ryb. Większość z nich była czarna z czerwonym pasem na grzbiecie. Beth stwierdziła, że to pacyficzne cyraliki, dość typowe dla tego obszaru.

Wszystko się zmienia, pomyślał. Wszystko dookoła nas ulega zmianom. Nie mógł jednak stwierdzić tego z całą pewnością. Na dnie przestał polegać na swojej pamięci. Zbyt wiele nowych czynników zakłócało jego procesy postrzegania atmosfera pod wysokim ciśnieniem, doznane obrażenia oraz nękające lęki i napięcie, w których żył.

Jego wzrok złowił coś bladego. Poświecił reflektorem i ujrzał na dnie wijące się białe pasmo z długą cienką płetwą i czarnymi pasami. Najpierw pomyślał, że to węgorz, dopiero po chwili dojrzał kształt drobnej główki i paszczę.

--Zatrzymaj się -- powiedziała Beth, kładąc mu dłoń na ramieniu. -- Co to jest?

--Morski wąż. -- Niebezpieczny?

--Zwykle nie.

--Jadowity? -- spytał Harry.

--Bardzo.

Wąż trzymał się dna, najwidoczniej rozglądając się za łupem. Zupełnie nie zwracał na nich uwagi. Norman stwierdził, że jest piękny, zwłaszcza z większej odległości.

--Dreszczy dostając, jak na niego patrzę -- oświadczyła Beth.

--Wiesz, do jakiego gatunku należy? -- spytał Norman.

--Może to być wąż Belchera -- wyjaśniła Beth. -- Wszystkie morskie węże z Pacyfiku są jadowite, ale wąż Belchera jest najjadowitszy spośród nich. Prawdę mówiąc, niektórzy uważają, że to najbardziej śmiertelny gad na świecie. Jego jad jest stokrotnie silniejszy niż jad kobry królewskiej czy czarnego węża tygrysięgo.

--Gdyby więc ukąsił...

--Dwie minuty, góra.

Obserwowali, jak wąż prześlizguje się między ukwiałami. W końcu zniknął im z oczu.

--Morskie węże nie są zazwyczaj agresywne -- mówiła Beth. -- Niekiedy nurkowie nawet ich dotykają i bawią się z nimi, ale ja nigdy się na to nie odważyłam. Nie cierpię węży.

--Dlaczego są tak jadowite? By unieruchomić ofiarę?

--Wiecie, to ciekawe -- powiedziała Beth -- ale stworzenia żyjące w wodzie są najjadowitsze na świecie. Jad zwierząt lądowych to pestka w porównaniu z ich toksynami. Nawet na lądzie najsilniejsza toksyna jest wytwarzana przez zwierzę ziemnowodne -- ropuchę *Bufoleone merfensis*. W morzu żyją trujące ryby, jak tugu, która jest przysmakiem Japończyków. Bytują w nim również trujące mięczaki, jak stożek gwiaździsty, *Alaverdis lotensis*. Ma bardzo piękną muszlę. Kiedyś, gdy byłam na Guam, pewna kobieta wyciągnęła go na pokład łodzi. Nie wiedziała, że trzeba trzymać palce z dala od koniuszka muszli. Zwierzę wysunęło kolec i ukłuło ją w rękę. Zrobiła trzy kroki, upadła w drgawkach i umarła w ciągu godziny. Istnieją również trujące rośliny, gąbki, korale. Oraz węże. Ukąszenie większości z nich jest śmiertelne.

--Mile -- skomentował Harry.

--Cóż, musicie sobie uświadomić, że ocean jest o wiele starszym środowiskiem dla istot żywych niż ląd. Życie w oceanie istnieje od trzech i pół miliarda lat, o wiele dłużej niż poza nim. Metody współzawodnictwa i obrony są w nim o wiele lepiej rozwinięte niż na lądzie -- było na to więcej czasu.

--Chcesz powiedzieć, że za parę miliardów lat zwierzęta lądowe będą również niezwykle jadowite?

--Jeśli świat do tego czasu dotrwa -- odparła.

--Wracajmy już do habitatu -- rzekł Harry.

Byli już bardzo blisko. Widzieli wszystkie strużki pęcherzyków powietrza sączące się przez szczeliny.

--Puszcza jak skurczybyk -- zauważył Harry.

--Sądzę, że wystarczy nam powietrza.

--Sądzę, że to sprawdzę.

--Jak: sobie życzysz -- zgodziła się Beth. -- Ale odwalilam porządną robotę. Norman pomyślał, że zaczyna się kolejna sprzeczka, ale Beth i Harry dali spokój. Dotarli do wjazdu i weszli do DH- 8.

KONSOLA

--Jerry? -- Norman wpatrywał się w monitor. Nie widać było na nim nic prócz mrugającego kursora. -- Jerry, jesteś tam?

Ekran pozostał bez zmian.

--Zastanawiamy się, dlaczego się nie odzywasz, Jerry -- powiedział Norman. Na ekranie dalej nic się nie ukazywało.

--Próbujesz szczypty psychologii? -- spytała Beth. Sprawdzala wskaźniki zewnętrznych czujników i wykresy ich pracy. -- Jeśli mnie spytasz o zdanie, to sądzę, że powinieneś jej użyć wobec Harry'ego.

--Co masz na myśli?

--Mam na myśli to, iż nie sądzę, by Harry powinien grzebać w naszych systemach podtrzymywania życia. Uważam, że nie jest zrównoważony.

--Zrównoważony?

--To powtarzanie ostatniego słowa w zdaniu to sztuczka psychologów, prawda? Sposób na wyciągnięcie więcej z rozmówcy.

--Rozmówcy? -- powtórzył Norman, uśmiechając się do niej.

--No dobrze, może posunęłam się trochę za daleko -- zgodziła się -- ale mówię poważnie, Norman. Zanim wyruszyłam do statku, Harry przyszedł tu i powiedział, że mnie zastąpi. Poinformowałam go, że jesteś w łodzi podwodnej, nigdzie w pobliżu nie ma śladu kałamarnicy, i że chcę udać się na statek. Powiedział, że nie ma sprawy, zmieni mnie. Więc poszłam na statek. A teraz on sobie niczego nie przypomina. To bardzo dziwne, nie uważasz?

--Nie uważasz? -- zapytał Norman. -- Przestań, zachowuj się poważnie. -- Poważnie? -- powtórzył Norman.

--Chcesz uniknąć tej rozmowy? Zauważyłam już, jak się wywijasz, kiedy nie chcesz o czymś rozmawiać. Starasz się nikogo nie denerwować, unikasz drażliwych problemów. Uważam jednak, że powinieneś posłuchać, co ci mam do powiedzenia, Norman. Mamy kłopot z Harrym.

--Słucham tego, co mówisz, Beth. -- I?

--Nie byłem obecny przy tym właśnie epizodzie, nie wiem więc, co o nim sądzić. Z tego, co widzę, Harry pozostał dawnym sobą- aroganckim, wzgardliwym i bardzo, bardzo inteligentnym.

--Nie uważasz, że pęka?

--Nie bardziej niż my dwoje.

--Chryste! Co mam zrobić, żeby cię przekonać? Rozmawiałam z tym facetem, a teraz on się tego wypiera. Uważasz to za normalne? Uważasz, że komuś takiemu można zaufać?

--Beth, nie było mnie tutaj.

--Chcesz powiedzieć, że to mnie może odbijać.

--Nie było mnie tutaj.

--Uważasz, że to ja pękam? Wmawiam ci, że odbyłam rozmowę, która nie miała miejsca? -- Beth...

--Norman, mówię ci, że mamy kłopot z Harrym, a ty nie chcesz w to uwierzyć.

Usłyszeli zbliżające się kroki.

--Idę do laboratorium -- oznajmiła Beth. -- Przemyśl to, co ci powiedziałam. Wspięła się po drabince, nim Harry wszedł do środka.

--I co ty na to? Beth odstawiła kawał naprawdę porządnej roboty przy układach podtrzymywania życia. Wszystko wygląda doskonale. Przy obecnym tempie zużycia zostało nam powietrza jeszcze na pięćdziesiąt dwie godziny. Damy sobie radę. Rozmawiałeś z Jerrym?

--Słucham? -- spytał Norman. Harry wskazał ekran.

HALO, NORMAN.

--Nie wiedziałem, że się odezwał. Wcześniej milczał.

--Cóż, teraz mówi -- powiedział Harry.

HALO, HARRY.

--Jak leci, Jerry? -- spytał Harry.

DZIĘKUJE, ŚWIETNIE. CO U WAS SŁYCHAĆ? TAK BARDZO CHCĘ ROZMAWIAĆ Z WASZYMI ISTOTAMI. GDZIE ISTOTA KONTROLNA HARALD C. BARNES?

--Nie wiesz?

NIE WYCZUWAM TERAZ TEJ ISTOTY.

--On, hmm, odszedł.

ROZUMIEM. ON NIE BYŁ PRZYJAZNY. NIE CIESZYŁ SIĘ ROZMOWĄ ZE MNĄ.

To przyznanie się? -- zastanowił się Norman. Czy Jerry pozbył się Barnes'a, ponieważ uważał, że nie jest przyjacielski?

--Jerry -- rzekł Norman -- co stało się z istotą kontrolną?

**NIE BYŁ PRZYJAZNY. NIE
LUBIŁEM GO.**

--Tak, ale co się z nim stało?

NIE MA GO TERAZ.

--A inne istoty?

INNYCH ISTOT RÓWNIEŻ NIE MA. NIE CIESZYŁY SIĘ ROZMOWĄ ZE MNĄ.

--Myślisz, że chce powiedzieć, iż to on się ich pozbył? -- spytał Harry.

**NIE JESTEM SZCZĘŚLIWY
MÓWIENIEM DO NICH.**

--Więc pozbył się wszystkich ludzi z marynarki? -- zadumał się Harry.

To się niezupełnie zgadza, pomyślał Norman. Pozbył się również Teda, który usiłował nawiązać z nim kontakt. Z nim lub z kałamarnicą... Czy kałamarnica miała związek z Jerrym? Jak miał o to zapytać?

--Jerry...

TAK, NORMAN. JESTEM TUTAJ.

--Porozmawiajmy.

**DOBRCZE. TO MI SIĘ BARDZO
PODOBA.**

--Opowiedz mi o kałamarnicy, Jerry.

**ISTOTA KAŁAMARNICA JEST
MANIFESTACJĄ.**

--Skąd pochodzi?

PODOBA CI SIĘ? MOGĘ CI JĄ JESZCZE ZAMANIFESTOWAĆ.

--Nie, nie rób tego -- zaprotestował szybko Norman.

NIE PODOBA CI SIĘ?

--Ależ skąd. Lubimy ją, Jerry.

CZY TO PRAWDA?

--Tak, prawda. Naprawdę nam się podoba.

DOBRE. JESTEM ZADOWOLONY, ŻE SIĘ WAM PODOBA. JEST TO WYWIERAJĄCA BARDZO DUŻE WRAŻENIE ISTOTA OLBRZYMICH ROZMIARÓW

--Owszem -- sapnął Norman, ocierając pot z czoła. Chryste Panie, to jak rozmowa z dzieciakiem uzbrojonym w naładowany pistolet, pomyślał.

MANIFESTOWANIE TAK OLBRZYMICH ISTOT JEST DLA MNIE TRUDNE. JESTEM ZADOWOLONY, ŻE WAM SIĘ PODOBAŁA.

--Wywiera wielkie wrażenie -- zgodził się Norman. -- Ale nie musisz pokazywać nam jej ponownie.

CHCESZ, ABY ZAMANIFESTOWAĆ WAM NOWĄ ISTOTĘ?

--Nie, Jerry. Na razie nie, dziękujemy.

MANIFESTOWANIE JEST DLA MNIE SZCZĘŚLIWE.

--Tak, nie wątpię.

CIESZY MNIE MOŻLIWOŚĆ MANIFESTOWANIA DLA CIEBIE, NORMAN.
RÓWNIEŻ DLA CIEBIE, HARRY.

--Dziękuję, Jerry.

CIESZĄ MNIE RÓWNIEŻ WASZE MANIFESTACJE.

--Nasze manifestacje? -- spytał Norman, oglądając się na Harry'ego. Najwidoczniej Jerry sądził, że ludzie z habitatu również coś manifestowali. Pewnie uważał to za formę dialogu lub wymiany.

TAK. CIESZĄ MNIE RÓWNIEŻ WASZE MANIFESTACJE.

--Opowiedz nam o naszych manifestacjach, Jerry -- zaproponował Norman.

MANIFESTACJE SĄ MAŁE I NIE ROZCIĄGAJĄ SIĘ POZA WASZE ISTOTY, ALE
DLA MNIE SĄ NOWE. SĄ DLA MNIE SZCZĘŚLIWE.

--O czym on mówi? -- zdziwił się Harry.

O WASZYCH MANIFESTACJACH, HARRY.

--Jakich manifestacjach, na miłość boską?

--Nie denerwuj się, Harry -- powiedział Norman. -- Zachowaj spokój.

TA MI SIĘ PODOBA, HARRY. WYTWÓRZ NASTĘPNĄ.

Czy on odczytuje emocje? -- pomyślał Norman. Czy właśnie je uważa za nasze manifestacje? Ale to nie trzymało się kupy. Jerry nie potrafił czytać w ich myślach; to już ustalili. Może trzeba jeszcze raz sprawdzić. Pomyślał: Jerry, słyszysz mnie?

LUBIĘ HARRY'EGO. JEGO MANIFESTACJE SĄ CZERWONE. SĄ DOWCIPELNE.

--Dowcipelne?

DOWCIPELNE = PEŁNE DOWCIPU?

--Rozumiem -- oznajmił Harry. -- Uważa, że jesteśmy śmieszni.

ŚMIESZNI -- PEŁNI ŚMIECHU?

--Niezupełnie -- zaprzeczył Norman. -- Wśród naszych istot funkcjonuje pojęcie... -- urwał. Jak miał wyjaśnić "śmieszność"? Czym w końcu był dowcip? Niektóre sytuacje powodujące kłopoty są przez nas nazywane sytuacjami humorystycznymi.

HUMOR I STYCZNE?

--Nie, to jedno słowo. -- Norman przeliterował je Jerry'emu.

ROZUMIEM. WASZE MANIFESTACJE SĄ HUMORYSTYCZNE. ISTOTA
KAŁAMARNICA WYWOŁUJE Z WAS WIELE HUMORYSTYCZNYCH MANIFESTACJI.

--Jesteśmy innego zdania -- oświadczył Harry.

A JA TAKIEGO.

I do tego sprowadzała się cała rzecz, pomyślał Norman, wpatrując się w monitor. W jakiś sposób musiał uświadomić Jerry'emu powagę konsekwencji jego działań.

--Jerry -- zaczął -- twoje manifestacje czynią szkodę naszym istotom. Niektórych z nich już nie ma.

TAK, WIEM.

--Jeśli będziesz dalej tworzyć swe manifestacje...

TAK, LUBIĘ SIĘ MANIFESTOWAĆ. JEST TO DLA WAS HUMORYSTYCZNE.

--...wkrótce nie będzie już ani jednej z nas. Wtedy nie będziesz mógł z nikim rozmawiać.

NIE ŻYCZĘ SOBIE TEGO.

--Wiemy. Ale wiele z istot już odeszło.

SPROWADŹ JE Z POWROTEM.

--To niemożliwe. Odeszły na zawsze.

DLACZEGO?

--Nie mogą już wrócić.

DLACZEGO?

Jak dziecko, pomyślał Norman. Dokładnie jak dziecko. Mówisz dziecku, że nie może robić tego, na co ma ochotę, nie może grać tak, jak chce, a ono nie chce przyjąć tego do wiadomości.

--Nie jest w naszej mocy sprowadzić ich z powrotem, Jerry.

CHCĘ, ŻEBYŚCIE ZARAZ SPROWADZILI Z POWROTEM POZOSTAŁE ISTOTY.

--Uważa, że nie chcemy się z nim bawić -- skomentował Harry.

SPROWADŹCIE ISTOTĘ TEDA.

--Nie możemy, Jerry -- powiedział Norman. -- Zrobilibyśmy to, gdyby to było możliwe.

LUBIĘ ISTOTĘ TEDA. JEST BARDZO HUMORYSTYCZNY.

--Tak -- rzekł Norman. -- Ted również cię lubił. Usiłował się z tobą porozumieć.

TAK. LUBIĘ JEGO MANIFESTACJE. SPROWADŹCIE TEDA Z POWROTEM.

--Nie możemy. Nastąpiła długa pauza.

OBRAZIŁEM WAS?

--Nie bynajmniej.

**JESTEŚMY PRZYJACIÓŁMI, NORMAN
I HARRY.**

--Tak jest **WIĘC SPROWADŹCIE ISTOTY Z POWROTEM.**

--Nie chce tego zrozumieć -- zniecierpliwził się Harry. -- Jerry, na miłość boską, to niemożliwe!

JESTEŚ HUMORYSTYCZNY, HARRY. ZRÓB TO JESZCZE RAZ.

Bez wątpienia odczytuje silne reakcje emocjonalne jako jakiegoś rodzaju manifestacje, pomyślał Norman. Czy właśnie na tym polegała jego idea zabawy: sprowokowanie drugiej strony i napawanie się jej reakcją? Czy cieszył się intensywnymi reakcjami wywoływanymi przez kałamarnicę? Czy tak wyobrażał sobie zabawę?

HARRY, ZRÓB TO JESZCZE RAZ. HARRY, ZRÓB TO JESZCZE RAZ.

--Hej, facet -- rzucił rozniewany Harry. -- Zejdź ze mnie, dobrze?

DZIĘKUJĘ. TO MI SIĘ PODOBA. TO RÓWNIEŻ BYŁO CZERWONE. TERAZ SPROWADŹCIE Z POWROTEM ODESZŁE ISTOTY, PROSZĘ.

Norman wpadł na pomysł.

--Jerry -- zawołał -- jeśli chcesz, żeby wróciły, dlaczego ty ich nie sprowadzisz?!

NIE CIESZY MNIE ZROBIENIE TEGO.

--Ale mógłbyś to uczynić, gdybyś miał ochotę?

MOGĘ UCZYNIĆ WSZYSTKO.

--Tak, oczywiście. Dlaczego więc nie sprowadzisz istot, z którymi chcesz mieć jeszcze do czynienia?

NIE. NIE JESTEM SZCZĘŚLIWY, ŻEBY TO ZROBIĆ.

--Dlaczego nie? -- spytał Harry.

HEJ, FACET, ZEJDŹ ZE MNIE.

--Nie obrażaj się, Jerry -- wtrącił szybko Norman. Nie pojawiła się żadna odpowiedź. --
Jerry?

Ekran nie reagował.

--Znow zniknął -- powiedział Harry. Potrząsnął głową. -- Bóg jeden wie, co ten łobuz teraz wykombinuje.

DALSZE ANALIZY

Norman wszedł na górę do laboratorium, by porozmawiać z Beth, ta jednak spała skulona na leżance. Dziwne było, że po długim czasie spędzonym w habitacie wyglądała tak pięknie. Cała szorstkość zniknęła z jej rysów. Jej nos nie sprawiał teraz wrażenia ostrego: wykrój ust był delikatniejszy, pełniejszy. Spojrzał na jej silne, umięśnione ramiona, które jednak sprawiały wrażenie gładszych, bardziej kobiecych.

Kto wie? -- pomyślał. Po tylu godzinach spędzonych w habitacie nie podejmował się niczego osądzać kategorycznie. Zszedł po drabinie i wrócił do swojej koi. Harry już spał, chrapiąc.

Norman zdecydował się wziąć jeszcze jeden prysznic. Gdy wszedł pod strumień wody, poczynił zaskakujące odkrycie. Pokrywające jego ciało sińce zniknęły.

W każdym razie prawie zniknęły, pomyślał, przyglądając się bladym zielonożółtym plamom, które po nich pozostały. Ustąpiły w ciągu paru godzin. Poruszył rękami na próbę i przekonał się, że ból również zniknął. Dlaczego? Co się stało? Przez moment pomyślał, że to sen, koszmar; dopiero potem przyszło mu do głowy, że to wpływ atmosfery. Sińce i skaleczenia goiły się szybciej w sprężonym powietrzu. Zwykły efekt uboczny.

Wytarł się do sucha tak dokładnie, jak tylko zdołał to uczynić mokrym ręcznikiem, i wrócił do koi. Harry dalej chrapał równie głośno, jak przedtem.

Norman położył się na plecach i zapatrzył w szumiące monotonnie czerwone spirale nagrzewnicy pod sufitem. Wpadł na pewien pomysł. Wstał z łóżka i przesunął rozmównik na gardle Harry'ego w bok. Chrapanie przeszło natychmiast w wysokie, ciche syczenie.

O wiele lepiej, pomyślał. Złożył głowę na wilgotnej poduszce i niemal natychmiast zasnął. Obudził się nie wiedząc, jak długo spał -- może tylko kilka sekund -- lecz czuł się odświeżony. Przeciągnął się, ziewnął i wstał z koi.

Harry spał dalej. Norman przesunął rozmównik na poprzednie miejsce i chrapanie rozległo się ponownie. Przeszedł do Cylindra D, zbliżył się do klawiatury. Na ekranie wciąż jeszcze widniały słowa:

HEJ, FACET, ZEJDŹ ZE MNIE.

--Jerry? -- spytał Norman. -- Jesteś tu?

Ekran nie zareagował. Jerry'ego nie było. Norman spojrział na stos wydruków z boku monitora. Rzeczywiście powinienem to przejrzeć, pomyślał. Niepokoiło go coś w zachowaniu Jerry'ego. Nie potrafił dokładnie określić, o co chodzi, ale nawet przy założeniu, że obca istota jest zepsutym dzieciakiem -- królewiątkiem, coś w zachowaniu Jerry'ego nie miało sensu. Po prostu nie trzymało się kupy. Włącznie z ostatnią kwestią, HEJ, FACET, ZEJDŹ ZE MNIE.

Żargon uliczny? Czy też naśladownictwo Harry'ego? W każdym razie nie tak zwykł był się wyrażać Jerry. Zazwyczaj wyrażał się rozwlekle i niegramatycznie, rozwodząc się o istotach i świadomości. Od czasu do czasu jednak używał jakiegoś czysto kolokwialnego wyrażenia.

Norman przyjrzał się arkuszom.

WRACAMY NA ANTENĘ ZARAZ PO INFORMACJACH OD NASZEGO SPONSORA.

Był to jeden z przykładów. Skąd Jerry to poderwał? Dokładnie tak mógłby się wyrazić Johny Carson. Więc dlaczego Jerry nie wyrażał się cały czas jak ten prezenter? Dlaczego robił to tylko od czasu do czasu?

Poza tym trzeba było jeszcze raz zastanowić się nad kałamarnicą. Jeśli Jerry czerpał radość z ich przerażenia, jeśli lubił potrząsać ich klatką i przyglądać się, jak podskakują ze strachu, to dlaczego wykorzystywał do tego kałamarnicę? Skąd zaczerpnął taki pomysł? I dlaczego tylko kałamarnicę? Jerry zdawał się lubować w rozmaitych manifestacjach. Dlaczego więc jednym razem nie zaprezentował gigantycznej kałamarnicy, kiedy indziej wielkich rekinów i tak dalej? Czy nie stanowiłoby to większego wyzwania dla jego talentów?

Inną zagadką była śmierć Teda. Ted zginął bawiąc się z Jerrym. Jeśli Jerry tak lubił zabawę, dlaczego zabił osobę, która się z nim bawiła? To po prostu nie miało sensu.

A może?

Norman westchnął. Najwyraźniej przyjmował złe założenia. Przewidywał, że procesy myślowe obcej istoty przebiegają podobnie do ludzkich. To jednak mogło być nieprawdą. Jerry mógł mieć na przykład szybsze tempo metabolizmu i inaczej odczuwać upływ czasu. Dzieci bawią się jedynie do chwili, gdy zabawki im się znudzą, po czym zmieniają je na inne. Godziny, które dla Normana były boleśnie długie, dla Jerry'ego mogły stanowić jedynie parę chwil. Mógł się bawić kałamarnicą ledwie parę subiektywnych sekund, po czym pozbył się jej na rzecz innej zabawki.

Dzieci niedokładnie również pojmują konsekwencje zniszczenia czegoś. Jeśli Jerry nie wiedział, czym jest śmierć, w takim razie bez żadnych oporów zabił Teda, ponieważ uważał śmierć za efekt jedynie przejściowy, "...humorystyczną" manifestację Teda. Mógł sobie nie zdawać sprawy, że w rzeczywistości niszczy swoje zabawki.

Było również prawdą, uświadomił sobie po namyśle, że Jerry rzeczywiście tworzył różne manifestacje. Oczywiście zakładając, że właśnie nimi były meduzy, krewetki, ukwiały, a ostatnio morskie węże. Czy tak było w istocie, czy zwierzęta te stanowiły jedynie naturalne elementy otoczenia? Czy w jakikolwiek sposób można to było stwierdzić?

Jeszcze ten marynarz, pomyślał. Nie wolno zapominać o marynarzu. Skąd się pojawił? Czy był jeszcze jedną z manifestacji Jerry'ego? Czy Jerry mógł sobie wedle woli manifestować towarzyszy zabaw? W tym wypadku nie przejąłby się specjalnie, nawet gdyby ich wszystkich pozabijał.

To chyba jasne, pomyślał Norman. Jerry naprawdę się nie przejmuje, że giniemy. Chce się tylko bawić i sam dobrze sobie nie zdaje sprawy ze swej siły.

Było jednak coś jeszcze. Przerzucał arkusze w poczuciu, że przez wszystko przewija się jakiś organizujący motyw. Było coś, czego nie rozumiał, związek, którego nie potrafił wychwycić.

Zastanawiając się nad tym, ciągle wracał do jednego pytania: Dlaczego kałamarnicą? Właśnie, dlaczego kałamarnicą?

Oczywiście, pomyślał. Podczas obiadu rozmawiali o nich i Jerry musiał to podsłuchać. Uznał, że zmanifestowanie kałamarnicy będzie wystarczająco prowokujące. Bez wątpienia miał co do tego rację.

Norman dotarł do spodu wydruków, do pierwszego komunikatu rozszyfrowanego przez Harry'ego.

HALO. JAK SIĘ CZUJECIE? CZUJĘ SIĘ ŚWIETNIE. JAK SIĘ NAZYWACIE? NAZYWAM SIĘ JERRY.

Mógł zacząć od tego miejsca. Harry naprawdę się spisał, dekodując tę wiadomość, pomyślał. Gdyby mu się nie udało, w ogóle nie nawiązaliby łączności z Jerrym.

Norman podniósł wzrok na klawiaturę i zapatrzył się w nią. Jak to określił Harry? Klawiatura stanowiła spiralę; litera G to było jeden, B -- dwa i tak dalej. Bardzo sprytnie to wykombinował. Norman nie doszedłby do tego i za milion lat. Zabrał się za wyszukiwanie liter w pierwszej sekwencji.

Zobaczmy... 00 oznaczało początek wiadomości, jak powiedział Harry. Potem 03, czyli H. Potem 21, czyli E, 25, czyli L, drugie 25 -- L, tuż nad tym 26, czyli O...

HELLO -- HALO.

Jak na razie wszystko się zgadza. Tłumaczył dalej. Kolejne słowo: Jak...

JAK SIĘ CZUJECIE?

Jak na razie wszystko gra. Norman doświadczał pewnej przyjemności, jakby to jemu samemu udało się rozgryźć kod. Dalej... kolejne C...

CZUJĘ SIĘ ŚWIETNIE.

Coraz szybciej szło mu wyszukiwanie liter.

JAK SIĘ NAZYWACIE?

Kolejna sekwencja... Nazywam... się... W tym momencie stwierdził, że jedna z liter została błędnie odczytana. Czy to możliwe? Rozpracowywał kod dalej. Znalazł kolejną omyłkę, zapisał ostatecznie zdanie i utkwil w nim wzrok, odczuwając wzrastające przerażenie.

NAZYWAM SIĘ HARRY.

--Jezu Chryste -- przeraził się.

Jeszcze raz sprawdził, teraz jednak nie znalazł już żadnego błędu. Wiadomość była absolutnie jasna.

**HALO. JAK SIĘ CZUJECIE? CZUJĘ SIĘ ŚWIETNIE. JAK SIĘ NAZYWACIE?
NAZYWAM SIĘ HARRY.**

Moc

CIEŃ

Beth usiadła w swoim łóżku w laboratorium i spojrzała na kartkę, którą podał jej Norman.

--O mój Boże! -- jęknęła. Zgarnęła z twarzy gęste ciemne włosy. -- Jak to możliwe? -- spytała.

--To wszystko trzyma się kupy -- wyjaśnił Norman. -- Zastanów się tylko. Kiedy zaczęły się pojawiać wiadomości? Gdy Harry wyszedł z kuli. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się kałamarnica i inne stworzenia? Po tym, jak Harry opuścił kulę.

--Tak, ale...

--Z początku były to małe kałamarnice, kiedy jednak zamierzaliśmy je zjeść, pojawiły się też krewetki. Dokładnie na czas na obiad. Dlaczego? Ponieważ Harry nie lubi kałamarnic.

Beth nic nie powiedziała -- słuchała go uważnie.

--I kto jako dziecko przestraszył się gigantycznej kałamarnicy w Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi!

--Harry -- odparła. -- Przypominam sobie. Norman kontynuował spieszenie:

--Kiedy Jerry pojawiał się na ekranie? W obecności Harry'ego. Tylko wtedy; nie zjawiał się, kiedy nie było Harry'ego. Kiedy odpowiadał na nasze pytania? Kiedy Harry znajdował się przy nas i mógł słyszeć, co mówimy. A dlaczego Jerry nie potrafi czytać w myślach? Ponieważ nie umie tego Harry. Pamiętasz, jak Barnes chciał, żeby Jerry'ego zapytać o nazwisko, a Harry odmawiał? Dlaczego? Ponieważ obawiał się, że na ekranie ukaze się "Harry", nie, Jerry".

--A marynarz...

--Zgadza się. Czarny marynarz. Ukazał się dokładnie wtedy, kiedy Harry'emu śniło się, że zostaliśmy uratowani. Przybył po nas czarnoskóry marynarz.

Beth z namysłem zmarszczyła brwi.

--A co z gigantyczną kałamarnicą?

--Przypomnij sobie, że w trakcie ataku Harry uderzył się w głowę i stracił przytomność, po czym kałamarnica natychmiast zniknęła. Nie wróciła, dopóki Harry nie przebudził się z drzemki i nie powiedział, że cię zastąpi.

--Mój Boże -- westchnęła Beth.

--Tak -- powiedział Norman. -- To wiele tłumaczy. Przez chwilę milczała, wpatrując się w wiadomość.

--Ale jak on to robi?

--Wątpię, czy taka jest jego wola. Przynajmniej świadomie tego nie chce. Norman przemyślał to. -- Załóżmy, że coś stało się z Harrym, gdy wszedł do środka kuli -- będąc w niej nabył jakiejś mocy.

--Jakiej?

--Mocy sprawiania, by jego życzenia stawały się rzeczywistością. Mocy wcielania w życie swych myśli.

Beth zmarszczyła brwi.

--Urzeczywistniania myśli...

--To nie takie dziwne -- wyjaśnił Norman. -- Zastanów się tylko: gdybyś była rzeźbiarką, najpierw obmyślałabyś jakiś projekt, a potem urzeczywistniała go, rzeźbiąc w drewnie czy kamieniu. Najpierw pojawia się idea, następnie dokonuje się wcielenie jej w życie, co pociąga za sobą dodatkowy wysiłek, by stworzyć rzeczywistość odpowiadającą twym wcześniejszym myślom. Tak właśnie urządzony jest dla nas świat. Coś sobie wyobrażamy, a następnie staramy się sprawić, by to coś się zdarzyło. Czasami następuje to podświadomie -- jak w przypadku faceta, który nieoczekiwanie wraca do domu w porze obiadowej i łapie żonę w łóżku z innym facetem. On tego świadomie nie zaplanował, to stało się jakby samo.

--Czy żony, która złapała męża w łóżku z inną kobietą -- uzupełniła Beth.

--Tak, oczywiście. Chodzi o to, że cały czas udaje nam się urzeczywistniać różne rzeczy, za wiele o nich nie myśląc. Nie obmyślam każdego słowa, kiedy z tobą rozmawiam. Zamierzam coś wyrazić i to mi się udaje.

--Tak...

--Możemy więc bez wysiłku tworzyć tak skomplikowane całości jak zdania. Nie możemy jednak tworzyć bez wysiłku innych skomplikowanych całości, jak na przykład rzeźba. Musimy coś zrobić, bo samo myślenie nie wystarczy.

--Zgadza się -- rzekła Beth.

--A Harry nie. Harry posunął się o krok dalej. On już nie musi rzeźbić. On po prostu wpada na pomysł, który się sam urzeczywistnia, manifestuje.

--Harry wyobraził sobie przerażającą kałamarnicę, która w tej samej chwili pojawiła się pod naszym okienkiem?

--Właśnie. I kiedy stracił świadomość, kałamarnica zniknęła.

--Taką właśnie moc zyskał w kuli? -- Tak.

Beth zmarszczyła brwi.

--Dlaczego on to robi? Usiłuje nas wszystkich zabić? Norman potrząsnął głową.

--Nie sądzę. Myślę, że nad tym nie panuje.

--To znaczy?

--Hmm -- zamyślił się Norman. -- Rozważaliśmy mnóstwo koncepcji, czym może być

obcego pochodzenia kula. Ted uważał to za trofeum, ewentualnie wiadomość -- traktował ją jako nagrodę. Harry uważał, że w środku coś jest -- potraktował ją jako pojemnik. Ja jednak zastanawiam się, czy to przypadkiem nie mina.

--To znaczy bomba?

--Niezupełnie, ale środek obrony, może narzędzie testu. Obca cywilizacja porzysiewała kule po galaktyce, by inne cywilizacje, które na nie natrafiają, mogły zapoznać się z zawartą w niej mocą. Czyli umożliwianiem realizacji myśli. Jeśli myśli się konstruktywnie, dostaje się przepyszne krewetki na obiad. Jeśli negatywnie -- pojawiają się potwory mogące cię zabić. Ten sam proces, tylko odmienna treść.

--Czyli tak, jak mina przeciwpiechotna zabija człowieka, który na nią wejdzie, kula niszczy tych, którzy myślą w sposób negatywny?

--Lub nie kontrolują swej świadomości -- odrzekł. -- Jeśli bowiem się ją kontroluje, kula nie wywiera szczególnego wpływu. Jeśli się nad nią nie panuje, pozbywa się ciebie.

--Jak można kontrolować myśli o ujemnym zabarwieniu? -- spytała Beth. Niespodziewanie zaczęła sprawiać wrażenie podekscytowanej. -- Jak można komuś powiedzieć: "Nie myśl o wielkiej kałamarnicy"? W tej samej minucie, kiedy się to powie, ten człowiek automatycznie zacznie o niej myśleć, starając się tego nie robić.

--Myśli można kontrolować -- stwierdził Norman.

--Chyba tylko jogowie albo im podobni to potrafią.

--Każdy -- rzekł Norman. -- Można odwrócić swą uwagę od niepożądanych myśli. Jak ludzie rzucają palenie? Jak zmieniamy zdanie w rozmaitych kwestiach? Kontrolując swoje myśli.

--Wciąż nie rozumiem, dlaczego Harry to robi.

--Pamiętasz swoją ideę, że kula może zadać nam cios poniżej pasa? -- spytał Norman. -- Tak jak wirus AIDS zadaje cios naszemu systemowi odpornościowemu? Wirus uderza w nas na poziomie, na którym nie jesteśmy przygotowani do odparcia ciosu. W pewnym sensie tak właśnie czyni kula. Wierzmy bowiem, że bez żadnych konsekwencji możemy pomyśleć, co nam się tylko podoba. "Mów sobie, co chcesz, a ja i tak wiem swoje". Mamy mnóstwo powiedzeń, które to zaświadcza. Niespodziewanie jednak okazało się, że myśl może wcielić się w czyn i spowodować bolesne skutki. Nasze myśli się manifestują- cudownie, tyle że nie tylko dobre, ale i złe. Po prostu nie potrafimy ich kontrolować. Nigdy jeszcze nie musieliśmy tego robić.

--Kiedy byłam dzieckiem, strasznie klóciłam się z moją matką -- powiedziała Beth. -- Później, gdy zachorowała na raka, czułam się okropnie winna.

--Zgadza się -- rzekł Norman. -- Tak właśnie dzieje się z dziećmi. Wierzą, że ich myśli mogą stać się rzeczywistością. Cierpliwie je jednak uczymy, że jest inaczej. Oczywiście cały czas istnieje inna tradycja interpretacji przekonania o sprawczych możliwościach myśli. Biblia powiada, by nie pożądać żony bliźniego swego, co interpretujemy jako zakaz zdrady małżeńskiej. W rzeczywistości jednak przesłanie tego przykazania jest głębsze. Biblia zakazuje myśli o zdradzie.

--A Harry?

--Wiesz coś o psychoanalizie Jungowskiej?

--Nigdy nie uważałam tej gadaniny za dorzeczną -- skrzywiła się Beth.

--Cóż, teraz okazuje się, że jest dorzeczną -- stwierdził Norman. -- Jung zerwał z

Freudem na początku tego stulecia i rozwinął własną psychologię. Podejrzał, że na dnie naszej psychiki znajduje się struktura odbijająca wspólne dla wszystkich mity i archetypy. Jedną z jego koncepcji głosiła, iż osobowość każdego człowieka ma swoją ciemną stronę, którą nazwał "cieniem". W cieniu znajdują się wszystkie aspekty osobowości, z którymi człowiek nie chce się pogodzić -- strony nienawidzące, sadystyczne i tym podobne. Jung uważał, że obowiązkiem każdego człowieka jest zapoznanie się ze swym cieniem. Bardzo niewielu ludzi to jednak czyni. Wszyscy wolimy myśleć, że jesteśmy bardzo mili, i wcale nie mamy ochoty mordować, gwałcić, rabować i torturować.

--Tak...

--Jung uważał również, że jeśli człowiek nie pogodzi się z istnieniem w nim ciemnej strony, ona go opanuje.

--Więc mamy do czynienia z cieniem Harry'ego?

--W pewnym sensie. Harry chce, by wszyscy postrzegali go jako Aroganckiego, Wszystkowiedzącego Czarnego Człowieka -- odparł Norman.

--Niewątpliwie.

--Dlatego więc, choć odczuwa strach tu, w habitacie -- bo kto z nas go nie czuje? -- nie może się do tego przyznać. Czy jednak przyznaje to, czy nie, lęka się. Jego cień usprawiedliwia więc te lęki -- tworzy istoty uzasadniające jego strach.

--Kalamarnica ma stanowić usprawiedliwienie dla jego lęku?

--Coś w tym stylu.

--Boja wiem -- rzekła Beth. Oparła się o ścianę i podniosła w górę twarz. Na jej policzkach odbiło się światło. Elegancka, przystojna i silna, wyglądała prawie jak modelka. -- Jestem zoologiem, Norman -- przypomniała. -- Muszę dotknąć każdej rzeczy, potrzymać ją w dłoniach, żeby przekonać się o jej istnieniu. Wszystkie te teorie o manifestacjach są... są takie... psychologiczne.

--Świat umysłu jest równie realny i rządzi się równie rygorystycznymi zasadami, jak zewnętrzna rzeczywistość -- wyjaśnił Norman.

--Tak, na pewno masz rację, ale... -- Wzruszyła ramionami. -- Nie bardzo mnie to przekonuje.

--Wiesz o wszystkim, co się zdarzyło od chwili, gdy znaleźliśmy się na dnie powiedział Norman. -- Zaproponuj mi jakieś inne wytłumaczenie.

--Nie potrafię -- przyznała. -- Cały czas, gdy mówileś, starałam się coś wymyślić. Nie mogę. -- Złożyła kartkę i przyjrzała się jej przez chwilę. -- Wiesz, Norman, uważam, że przeprowadziłeś doskonały wywód. Widzę teraz wszystko w zupełnie innym świetle.

Norman uśmiechnął się z zadowoleniem. Przez większość czasu spędzonego w habitacie czuł, że jest traktowany jak piąte koło u wozu. Teraz ktoś wreszcie docenił jego znaczenie i sprawiło mu to przyjemność.

--Dziękuję, Beth.

Spojrzała na niego wielkimi oczyma o łagodnym wyrazie.

--Jesteś bardzo pociągający, Norman. Chyba tego wcześniej nie zauważałam. Nieuważnie dotknęła swej piersi pod obcisłym kombinezonem. Przesunęła dłoń po tkaninie, uwidaczniając sterczące sutki. Nagle wstała i silnie przytuliła się do niego. Musimy się trzymać teraz razem -- oświadczyła. -- Musimy być koło siebie, ty i ja.

--Tak.

--Ponieważ jeśli to, co mówisz, jest prawdą, Harry jest bardzo niebezpieczny.

--Zgadza się.

--Samo to, że przytomny krąży po habitacie, sprawia, że staje się groźny.

--Owszem.

--Co z nim zrobimy?

--No, ptaszęta -- odezwał się Harry, wchodząc po drabince. -- To kolacja na dwoje, czy można się przyłączyć?

--Pewnie -- uśmiechnął się Norman. -- Wejdz, Harry. -- Odsunął się od Beth.

--W czymś przeszkodziłem?

--Ależ skąd.

--Nie chciałbym stawać komukolwiek na przeszkodzie w życiu seksualnym.

--Och, Harry -- zachnęła się Beth. Odeszła od Normana i wsparła się pośladkami o ławę laboratoryjną.

--Cóż, bez dwóch zdań wyglądacie, jakbyście coś sobie planowali.

--Rzeczywiście? -- zapytał Norman.

--Taa, zwłaszcza Beth. Uważam, że z każdym dniem spędzonym na dole staje się coraz piękniejsza.

--Ja również to zauważyłem -- stwierdził z uśmiechem Norman.

--Nie wątpię. Zakochana kobieta. Farciarz z ciebie. -- Harry odwrócił się do Beth. --

Dlaczego się tak na mnie gapisz?

--Nie gapię się.

--Ty też.

--Harry, nie gapię się na ciebie.

--Chryste Panie, przecież wiem, czy ktoś się na mnie gapi, czy nie.

--Harry... -- zaczął Norman.

--Po prostu nie lubię, kiedy mi się tak oboje przyglądacie. Gapiacie się na mnie, jakbym był jakimś zbrodniarzem czy czymś takim.

--Nie udawaj paranoika, Harry.

--Kryją się po kątach, szepczą.

--Nie szeptaliśmy.

--Szeptaliście -- Harry rozejrzał się po laboratorium. -- Więc teraz jest dwoje białych na jednego czarnego, tak?

--Och, Harry...

--Wiecie, że nie jestem głupi. Coś knujecie, widzę to.

--Harry- zaprotestował Norman- nic nie knujemy.

W tym momencie rozległo się niskie natarczywe buczenie z konsoli łączności na dole. Spojrzeli po sobie i zeszli sprawdzić, co się stało.

Na ekranie powoli ukazywały się grupy liter.

CQX VDX MOP LKI

--Czy to Jerry?-- zapytał Norman.

--Nie sędzę -- odpowiedział Harry. -- Nie przypuszczam, żeby chciał wracać do kodu.

--To kod?

--Z pewnością tak.

--Dlaczego idzie to tak powoli? -- spytała Beth. Nowe litery pojawiały się rytmicznie co kilka sekund.

--Nie wiem -- odparł Harry.

--Skąd to idzie? Harry zmarszczył czoło.

--Nie wiem, ale najciekawsza w tym jest szybkość transmisji. A właściwie powolność.

Ciekawe.

Norman i Beth czekali, aż Harry coś wymyśli. Jak sobie w ogóle poradzimy bez Harry'ego? -- pomyślał Norman. Potrzebujemy go. Jest obdarzony największą inteligencją, a jednocześnie najniebezpieczniejszy. Ale potrzebujemy go.

CQX VDX MOP LKI XXC VRW TGK

PIU YQA

--Interesujące -- oświadczył Harry. -- Litery pojawiają się mniej więcej co pięć sekund.

Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że są nadawane z Wisconsin.

Normana nic nie mogłoby bardziej zdziwić.

--Z Wisconsin?

--Taa. To nadajnik marynarki. Może wiadomość przeznaczona jest dla nas, może nie, ale pochodzi z Wisconsin.

--Skąd wiesz?

--Ponieważ to jedyne miejsce na świecie, skąd może pochodzić -- wyjaśnił Harry. --

Wiecie, co to jest ELF? Nie? Cóż, wygląda to tak. Fale radiowe można przesyłać w atmosferze; jak wiecie, rozchodzą się w niej zupełnie dobrze. Nie można jednak ich przesyłać pod wodą. Woda jest fatalnym środowiskiem; żeby przesłać sygnał nawet na niewielką odległość, potrzeba potężnego nadajnika.

--Hmm...

--Marynarce był potrzebny sposób komunikowania się z okrętami podwodnymi w zanurzeniu, więc do wysyłania fal ELF wybudowano wielką antenę w Wisconsin. Dzięki niej otrzymujemy tę właśnie informację.

--Akod?

--Musi być kompresyjny. Trzyliterowe grupy zastępują obszerne fragmenty wedle wcześniej ustalonego klucza.

CQX VDX MOP LKI XXC VRW TGK

PIU YQA IYT

EEQ FVC ZNB TMK EXE MMN OPW

GEW

Więcej liter nie pojawiło się.

--Wygląda, że to koniec -- stwierdził Harry.

--Jak to przetłumaczymy? -- spytała Beth.

--Jeżeli to wiadomość marynarki -- rzekł Harry -- nie uda nam się to.

--Może gdzieś tu jest książka kodów- zastanawiała się Beth.

--Zaczekaj -- doradził jej Harry.

Obraz na ekranie zmienił się -- grupy liter były po kolei tłumaczone.

GODZ 2340 7- 07 NACZ DOW SIŁ PAC DO BARNESA DEEPHAB-

--To wiadomość dla Barnesa -- stwierdził Harry. Przyglądali się postępującemu tłumaczeniu pozostałych grup.

OKRETY POMOCNICZE WYPLYNĘŁY DO WAS Z NANDI I VIPITA PRZYBYCIE ZA OKOŁO 1600 GODZ 7- 08 ZORGANIZOWAĆ EWAKUACJĘ POTWIERDZIĆ POWODZENIA SPAULDING KONIEC

--Czy to znaczy to, co myślę? -- spytała Beth.

--Tak -- powiedział Harry. -- Kawaleria spieszy z odsieczą.

--Kurczę blade! -- Beth zaklaskała w dłonie.

--Sztorm musi się uspokajać. Wysłali okręty pomocnicze, przybędą tu za jakieś szesnaście godzin.

--Skąd wiesz?

Odpowiedź pojawiła się natychmiast. Włączyły się wszystkie ekrany w sektorze, w prawych górnych rogach pojawiły się niewielkie prostokąci z liczbami: 16:20:20. Rozpoczęło się wsteczne odliczanie.

--Automatycznie odliczają dla nas czas.

--Istnieje jakaś procedura, którą musimy wykonać przed opuszczeniem habitatu? -- spytała Beth.

Norman wpatrywał się w cyfry. Zmieniały się tak, jak na zegarze w łodzi podwodnej. Zapytał:

--Co z łodzią?

--Kogo ona obchodzi? -- rzekł Harry.

--Uważam, że powinniśmy ją zatrzymać -- oznajmiła Beth i spojrzała na zegarek. -- Zostało nam jeszcze cztery godziny do przestawienia mechanizmu zegarowego.

--Mnóstwo czasu.

--Owszem.

Norman zastanawiał się, czy przetrzymają jeszcze szesnaście godzin.

--No, to wspaniale wiadomości -- skomentował Harry. -- Coście tak oklapli?

--Zastanawiam się, czy wytrzymamy- odparł Norman.

--A dlaczego mielibyśmy nie wytrzymać?-- spytał Harry.

--Możemy mieć jeszcze kłopoty z Jerrym -- stwierdziła Beth.

Norman poczuł przyływ irytacji. Czy nie rozumiała, że mówiąc te słowa zaszczepia ideę w umyśle Harry'ego?

--Nie przeżyjemy kolejnego ataku na habitat -- ciągnęła Beth. Zamknij się, pomyślał Norman. Nie sugeruj tego.

--Atak na habitat? -- zastanowił się Harry. Norman wtrącił szybko:

--Harry, uważam, że powinniśmy ponownie porozmawiać z Jerrym.

--Naprawdę? Dlaczego?

--Chcę spróbować porozmawiać z nim rozsądnie.

--Nie wiem, czy ci się to uda- powątpiewał Harry.

--W każdym razie spróbujmy -- zaproponował Norman, rzuciwszy spojrzenie Beth. -- Spróbować warto.

Norman wiedział, że naprawdę nie będzie rozmawiać z żadnym Jerryem, lecz z częścią osobowości Harry'ego. Częścią nieświadomą, cieniem. Jak miał się do tego zabrać? Co powinien wykorzystać? Usiadł przed monitorem, zastanawiając się, co naprawdę wiedział o Harrym. Harry dorastał w Filadelfii jako szczupły, introwertyczny, nieśmiały chłopiec, obdarzony cudownym talentem matematycznym, wyszydzanym przez jego rodzinę i kolegów. Harry powiedział kiedyś, że gdy jego interesowała matematyka, wszystkich innych obchodziło jedynie szlifowanie bruków. Nawet teraz Harry nie znosił żadnych gier i sportów. W młodości był upokarzany i zaniewany, a gdy wreszcie otrzymał należyte uznanie za swe zdolności, nastąpiło to, jak podejrzewał Norman, za późno. Szkoda już się dokonała.

**JESTEM TUTAJ. NIE OBAWIAJCIE
SIĘ.**

--Jerry.

TAK, NORMAN.

--Muszę cię o coś prosić.

MOŻESZ TO UCZYNIĆ.

--Jerry, wiele spośród naszych istot nie ma już wśród nas, a nasz habitat jest nadwerężony.

WIEM TO. PRZEKAŻ SWOJĄ PROŚBĘ.

--Czy mógłbyś przestać się manifestować?

NIE.

--Dlaczego nie?

NIE MAM OCHOTY PRZESTAĆ.

No właśnie, wreszcie do tego doszliśmy, pomyślał Norman. Nie można było tracić czasu.

--Jerry, wiem, że od bardzo dawna byłeś odizolowany, że od stuleci czuleś się zupełnie samotny. Czuleś, że nikt się o ciebie nie troszczy. Czuleś, że nikt nie chce się z tobą bawić ani nie podziela twoich zainteresowań.

TAK. TO PRAWDA.

--A teraz w końcu możesz się manifestować, i to sprawia ci radość. Lubisz pokazywać nam, co potrafisz, do czego jesteś zdolny.

TO PRAWDA.

--Dzięki temu poświęcamy ci uwagę.

TAK. LUBIĘ TO.

--I to ci się udaje. Poświęcamy ci ją.

TAK, WIEM.

--Ale twoje manifestacje wyrządzają nam krzywdę, Jerry.

NIE DBAM O TO.

--Są też dla nas zaskoczeniem.

CIESZĘ SIĘ.

--Jesteśmy zaskoczeni, Jerry, ponieważ to dla ciebie tylko gra.

**NIE GRAM Z WAMI. NIE LUBIĘ
GIER.**

--Tak, to dla ciebie tylko gra, Jerry. Uważasz to za zabawę.

NIE, NIE UWAŻAM.

--I owszem. Ale to idiotyczna gra- oznajmił Norman.

--Chcesz mu się sprzeciwić? -- spytał stojący koło Normana Harry. -- Możesz go tylko rozzłościć. Nie sądzę, by Jerry lubił, by mu się sprzeciwiano.

Na pewno nie, pomyślał Norman. Powiedział jednak:

--Cóż, muszę powiedzieć Jerry' emu prawdę o jego zachowaniu. To, co robi, w rzeczywistości nie jest interesujące.

OCH? NIEINTERESUJĄCE?

--Nie. Jesteś zepsuty i kapryśny, Jerry.

OŚMIELASZ SIĘ MÓWIĆ DO MNIE W TEN SPOSÓB?

--Tak, ponieważ zachowujesz się głupio.

--Jezusie! -- jęknął Harry. -- Nie wsiadaj tak na niego.

Z ŁATWOŚCIĄ MOGĘ SPRAWIĆ, BYŚ POŻAŁOWAŁ SWYCH SŁÓW, NORMAN.

Norman mimochodem zauważył, że składnia i gramatyka Jerry'ego stały się bezbłędne.

Zniknęła wszelka pretensja do obcości, naiwności wyrażania się. Norman czuł się jednak w

miarę rozwoju dialogu coraz silniejszy, coraz pewniejszy siebie. Wiedział już, z kim rozmawia.

Nie mówił do żadnego obcego, nie kryły się w rozmowie żadne nie znane mu obce podteksty.

Rozmawiał z dziecinną częścią jaźni innej istoty ludzkiej.

**MAM WIĘKSZĄ MOC, NIŻ SOBIE
WYOBRAŻASZ.**

--Wiem, że dysponujesz mocą, Jerry -- powiedział Norman. -- Wielkie mi co. Harry nagle stał się podniecony.

--Norman, na miłość boską, przez ciebie wszyscy zginiemy.

SŁUCHAJ HARRY'EGO. JEST MĄDRY.

--Nie, Jerry -- zaprzeczył Norman. -- Harry nie jest mądry. On się jedynie boi.

**HARRY SIĘ NIE BOI. ABSOLUTNIE
NIE.**

Norman zdecydował się dać spokój temu tematowi.

--Rozmawiam z tobą, Jerry, i tylko z tobą. To ty zaczęłeś tę grę.

GRY SĄ IDIOTYCZNE.

--Zgadza się, Jerry. Nie są ciebie godne.

GRY NIE MOGĄ INTERESOWAĆ ŻADNEJ INTELIGENTNEJ OSOBY.

--Więc ją skończ, Jerry. Skończ z manifestacjami.

PRZESTANĘ, KIEDY ZECHCĘ.

--Nie jestem pewny, czy to potrafisz, Jerry.

OWSZEM, POTRAFIE.

--Więc to udowodnij. Przestań grać w manifestowanie się. Nastąpiła długa pauza, oczekiwali na odpowiedź.

**NORMAN, TWOJE MANIPULACYJNE SZTUCZKI SĄ DZIECINNE I DO
OBRZYDLIWOŚCI OCZYWISTE. NIE JESTEM ZAINTERESOWANY DALSZYMI
ROZMOWAMI Z TOBĄ. BĘDĘ SIĘ ZACHOWYWAĆ TAK, JAK ZECHCĘ, I JEŚLI MI SIĘ
SPODOBA, BĘDĘ SIĘ MANIFESTOWAĆ.**

--Nasz habitat nie wytrzyma więcej manifestacji, Jerry.

NIE OBCHODZI MNIE TO.

--Jeśli znów uszkodzisz nasz habitat, Harry zginie.

--Ja i wszyscy inni, na miłość boską -- wtrącił Harry.

NIE OBCHODZI MNIE TO, NORMAN.

--Dlaczego chcesz nas zabić, Jerry?

**W OGÓLE NIE POWINNIŚCIE SIĘ TU ZNALEŻĆ. NIE TU JEST WASZE MIEJSCE.
JESTEŚCIE AROGANCKIMI STWORZENIAMI, KTÓRE WPYCHAJĄ SIĘ WSZĘDZIE,
GDZIE SIĘ DA. IDIOTYCZNIE PODJĘLIŚCIE WIELKIE RYZYKO, ZA KTÓRE MUSICIE
TERAZ ZAPŁAĆ. JESTEŚCIE NICZUŁYM, BEZTROSKIM GATUNKIEM, W KTÓRYM
NIKT NIKOGO NIE KOCHA.**

--To nieprawda, Jerry.

**NIE SPRZECIWIAJ MI SIĘ ZNOWU,
NORMAN.**

--Bardzo mi przykro, ale nieczułą, obojętną osobą jesteś ty, Jerry. Nie obchodzi cię, że dzieje się nam krzywda. Nie obchodzi cię sytuacja, w której się przez ciebie znaleźliśmy. To ty o nikogo nie dbasz, Jerry. Nie my. Ty.

DOŚĆ.

--Nie będzie z tobą więcej rozmawiać -- stwierdził Harry. -- Naprawdę się wściekł,
Norman.

Na ekranie pojawiły się w tym momencie słowa:

ZABIJĘ WAS WSZYSTKICH.

Normana zalewał pot; otarł go z czoła i odwrócił się od ekranu.

--Nie sądzę, żebyś potrafił rozmawiać z tym klientem -- powiedziała Beth. Z nim chyba nie da się pogadać rozsądnie.

--Nie powinieneś być go zezłościć -- oświadczył Harry. Jego ton był prawie błagalny. -- Musiałeś go tak zdenerwować, Norman?

--Musiałem mu powiedzieć prawdę.

--Ale byłeś dla niego przykry, dlatego się zdenerwował.

--To nie ma znaczenia, czy się zdenerwował, czy nie -- stwierdziła Beth. Kiedy Harry zaatakował nas poprzednio, nie był zdenerwowany.

--Chciałaś powiedzieć "Jerry" -- zwrócił się do niej Norman. -- To Jerry nas zaatakował.

--Tak, zgadza się, Jerry.

--To cholerna omyłka z twojej strony, Beth -- wycedził Harry.

--Masz rację, Harry. Przepraszam.

Harry spoglądał na nią w dziwny sposób. Harry niczego nie pomija i na pewno dotarło do niego, co to znaczyło, pomyślał Norman.

--Nie wiem, jak mogłaś nas pomylić- rzekł Harry.

--Och, to tylko przejęzyczenie. Aż mi głupio z tego powodu.

--Czyżby?

--Naprawdę -- zapewniła Beth. -- Przykro mi.

--No dobrze -- zakończył Harry. -- Nic się nie stało.

Jego ton nagle stał się bezbarwny. Brzmiała w nim kompletna obojętność. Aha, pomyślał Norman.

Harry ziewnął i przeciągnął się.

--Wiecie -- oznajmił -- nagle poczułem się skonany. Chyba pójdę się zdrzemnąć. Po czym odszedł w stronę swojej kwatery.

16 GODZIN 00 MINUT

--Musimy coś zrobić -- powiedziała Beth. -- Nie zdołamy go przekonać.

--Owszem- odrzekł Norman.-- Nie zdołamy.

Beth postukała w ekran, na którym wciąż płonęły słowa:

ZABIJĘ WAS WSZYSTKICH.

--Uważasz, że to na serio?

--Tak.

Beth wstała i zacisnęła pięści.

--Czyli albo my, albo on.

--Tak sądzę.

Nie dopowiedziany wniosek zawisł w powietrzu.

--Te jego manifestacje -- rzekła Beth -- uważasz, że on wywołuje je całkowicie nieświadomie i nie może im zapobiec?

--Tak.

--Czyli trzeba go pozbawić świadomości?

--Tak.

--Albo zabić?

--Tak -- przyznał Norman. Uświadomił to sobie już wcześniej. Zdawało mu się zupełnie nieprawdopodobne, iż znalazł się w sytuacji, gdy tysiąc stóp pod powierzchnią oceanu musiał rozważać zamordowanie innej istoty ludzkiej. A jednak właśnie to robił.

--Nie mam najmniejszej ochoty go zabijać -- oświadczyła Beth.

--Ani ja.

--Wiesz, nawet nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

--Może nie będziemy musieli go zabić -- wyraził nadzieję Norman.

--Może nie będziemy, chyba że zacznie się nam dobierać do skóry- odrzekła Beth i potrząsnęła głową. -- Och, cholera, Norman, my tego nie mówimy poważnie? Habitat nie przetrzyma kolejnego ataku. Musimy go zabić. Nie chcę się po prostu przed sobą do tego przyznać.

--Ani ja- odrzekł Norman.

--Możemy sprokurować nieszczęśliwy wypadek z harpunem, a potem poczekać, aż przybędzie ekipa marynarki i nas stąd zabierze.

--Nie chcę tego zrobić- oznajmił Norman.

--Ja też- przyznała Beth. -- Ale jakie mamy inne wyjście?

--Nie musimy go zabijać -- rzekł Norman. -- Wystarczy, że pozbawimy go świadomości. --
Podszedł do szafki z lekarstwami i zaczął przeglądać jej zawartość.

--Myślisz, że znajdziesz tam coś odpowiedniego? -- spytała Beth.

--Może. Jakiś środek znieczulający, sam nie wiem.

--To zadziała?

--Myślę, że wystarczy cokolwiek, co wywołuje utratę świadomości.

--Mam nadzieję, że masz rację -- powiedziała Beth -- bo jak zacznie znów śnić i manifestować potwory, nie wyjdzie nam to na dobre.

--Zgadza się. Ale narkoza wywołuje całkowitą utratę świadomości bez żadnych snów. --
Norman przyglądał się etykietom na buteleczkach. -- Wiesz, co to za preparaty?

--Nie, ale to wszystko jest zakodowane w komputerze. -- Usiadła za klawiaturą. -- Czytaj mi nazwy, a ja będę je sprawdzała.

--Difenyl paralenu.

Beth wystukała nazwę i wpatrzyła się w gęsty wydruk na ekranie.

--To, hmm... wygląda na środek na oparzenia.

--Chlorowodorek efedryny. Kolejny wydruk.

--To... to chyba na chorobę lokomocyjną.

--Valdomet -- Nawrzody.

--Sintag. _

--Syntetyczna pochodna opium. Bardzo krótko działający.

--Wywołuje utratę przytomności?-- spytał Norman.

--Nie, według tego opisu nie. W każdym razie jego działanie wynosi zaledwie kilka minut.

--Tarazyna.

--Środek uspokajający. Powoduje senność.

--Dobrze.-- Odstawił buteleczkę na bok.

--Może również wywoływać niezwykle halucynacje.

--Nie -- zdecydował i wstawił buteleczkę z powrotem. Nie potrzeba im było żadnych

niezwykłych halucynacji. -- Riordan?

--Środek antyhistaminowy. Przeciw ukąszeniom.

--Oksalamina?

--Antybiotyk.

--Chloramfenikol?

--Jeszcze jeden antybiotyk.

--Cholera. -- Kończyły się buteleczki. -- Parasolutryna?

--Środek nasenny.

--Jeszcze coś w stylu valium?

--Nie... tu jest napisane, że w połączeniu z trójchlorydem paracyny wywołuje to anestezję.

--Trójchlorek paracyny... Tak, jest tutaj -- powiedział Norman. Beth odczytywała z

ekranu:

--Mieszanina dwudziestu centymetrów sześciennych parasolutryny z sześcioma centymetrami sześciennymi trójchlorku paracyny wywołuje głębokie uśpienie wystarczające do przeprowadzenia zabiegów chirurgicznych ze wskazań nagłych... bez ubocznego działania na układ sercowo- naczyniowy... sen, z którego pacjenta daje się z trudnością obudzić... stłumienie czynności REM...

--Jak długo działa?

--Od trzech do sześciu godzin.

--A jak szybko zaczyna działać? Zmarszczyła brwi.

--Nie jest napisane. Po indukcji znieczulenia pożądanej głębokości można wykonać nawet rozległe zabiegi... Ale nie wiadomo, po jakim czasie zaczyna działać.

--Cholera.

--Prawdopodobnie szybko -- stwierdziła Beth.

--A jeśli nie?-- spytał Norman.-- A jeśli skutkuje po dwudziestu minutach? I czy można się oprzeć jej działaniu? Zneutralizować je?

Potrząsnęła głową.

--Nie ma tu takich danych.

W końcu zdecydowali się na mieszaninę parasolutryny, paracynyj dulcinei i sintagu. Norman napelniał strzykawkę przejrzystymi płynami. Była tak duża, że sprawiała wrażenie używanej dla koni.

--Jak myślisz, to może go zabić? -- zapytała Beth.

--Nie wiem. Ale jaki mamy wybór?

--Tak. -- Beth skinęła głową. -- Musimy to zrobić. Robiłeś kiedykolwiek zastrzyk?

Norman potrząsnął głową.

--Aty?

--Tylko zwierzętom doświadczalnym.

--Gdzie mam się wkluć?

--Chyba najlepiej w ramię -- zasugerowała Beth. -- Gdy będzie spał. Norman uniósł strzykawkę pod światło i wycisnął parę pęcherzyków powietrza, które w niej zostały.

--No dobrze -- powiedział.

--Lepiej pójdę z tobą -- zaproponowała Beth -- i go przy trzymam.

--Nie -- odrzekł Norman. -- Jak się obudzi i zobaczy nas oboje, zrobi się podejrzliwy.

Pamiętaj o tym, że nie sypiasz od paru dni razem z nami.

--A jeśli dostanie szalu?

--Chyba się z tym uporam.

--No dobrze, Norman. Rób, jak zechcesz.

Światła w korytarzu Cylindra C wydawały się nienaturalnie jaskrawe. Norman słyszał odgłos swych stóp na wykładzinie dywanowej i stały szum recyrkulatorów powietrza i nagrzewnic. Ciężła mu ukryta w dłoni strzykawka. Podszedł ku drzwiom do pomieszczeń sypialnych.

Jak się okazało, stały przed nimi dwie kobiety w mundurach marynarki. Gdy się zbliżył, wyprężyły się na baczność.

--Dzień dobry, doktorze Johnson!

Norman zatrzymał się. Kobiety były czarne, przystojne i sprawiały wrażenie silnych.

--Spocznijcie -- odrzekł z uśmiechem. Wciąż stały na baczność.

--Przepraszamy, ale mamy swoje rozkazy, proszę pana!

--Rozumiem -- powiedział Norman. -- Cóż, pełnijcie swą służbę. -- Ruszył, by je wyminąć i wejść do pomieszczeń sypialnych.

--Bardzo przepraszamy, doktorze Johnson! Zablokowały mu drogę.

--O co chodzi? -- spytał Norman tak niewinnie, jak tylko zdołał.

--Wstęp do tych pomieszczeń jest zabroniony dla całego personelu, proszę pana!

--Ale chcę się przespać.

--Bardzo przepraszamy, doktorze Johnson! Nikt nie może przeszkadzać we śnie doktorowi Adamsowi, proszę pana!

--Nie będę mu przeszkadzać.

--Przepraszamy, doktorze Johnson! Możemy zobaczyć, co pan trzyma w ręce.

--W ręce?

--Tak, ma pan coś w ręce, proszę pana!

Zaczynały mu działać na nerwy ich wypowiedane z wojskowym drylem, nieodmiennie punktowane "proszę pana" kwestie. Jeszcze raz im się przyjrzał. Nakrochmalone mundury opinały potężne mięśnie. Nie sądził, by dał radę je pokonać. Za drzwiami ujrzał leżącego na plecach i chrapiącego Harry'ego. Idealny moment na wstrzyknięcie mu środka.

--Doktorze Johnson, czy możemy zobaczyć, co pan trzyma w ręce, proszę pana?

--Nie, do cholery, nie możecie.

--Trudno, proszę pana!

Norman odwrócił się i ruszył w stronę Cylindra D.

--Widziałam -- stwierdziła Beth, skinieniem głowy wskazując monitor. Norman ujrzał na ekranie dwie kobiety w mundurach na korytarzu. Przeniósł wzrok na sąsiedni monitor, na którym widać było kulę.

--Kula się zmieniła -- zauważył.

Zawiły układ rowków na powierzchni był zdecydowanie odmienny -- bardziej złożony, przesunął się wyżej. Norman nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

--Chyba masz rację -- zgodziła się Beth.

--Kiedy to się stało?

--Później możemy przewinać taśmę -- odrzekła. -- Na razie poradzmy sobie lepiej z tą

parką.

--Jak? -- spytał Norman.

--Proste -- powiedziała Beth, ponownie zaciskając pięści. -- W Cylindrze B mamy pięć harpunów z głowicami wybuchowymi. Pójdę tam, wezmę dwa z nich i rozwalę tych jego aniołów stróżów. Wskoczysz do środka i dasz Harry'emu wżylę.

Jej zimna determinacja jeżyłaby włosy na głowie, gdyby Beth nie była tak piękna. Jej rysy stały się subtelne. Z każdą minutą wydawała się też coraz bardziej elegancka.

--Harpuny są w Cylindrze B?-- spytał Norman.

--Pewnie. Spójrz na monitor. -- Nacisnęła klawisz. -- Cholera! W Cylindrze B nie było żadnych harpunów.

--Wygląda na to, że skurczybyk zabezpieczył sobie tyły -- powiedział Norman. --
Wspaniały stary Harry.

Beth spojrzała na niego uważnie.

--Norman, dobrze się czujesz?

--Tak, czemu pytasz?

--W apteczce jest lustro. Spójrz na siebie.

Otworzył apteczkę i zapatrzył się w swoje odbicie. Wstrząsnęło nim to, co ujrział. Nie spodziewał się bynajmniej, że wygląda dobrze: przyzwyczaił się do mopsowatego wyrazu swej twarzy i szarej szczeciny nie golonej podczas weekendów brody.

Z lustra wpatrywało się weń jednak wychudłe, czarnobrode oblicze o ostrych rysach. Pod rozpalonymi, nalanymi krwią oczyma widniały czarne kręgi. Przetłuszczone, wyprostowane włosy spadały mu na czoło. Wyglądał na niebezpiecznego typu.

--Wyglądam jak doktor Jekyll- skomentował.-- A raczej pan Hyde.

--Zgadza się.

--A ty jesteś coraz piękniejsza -- zwrócił się do Beth. -- Jednak to ja byłem wredny dla Jerry'ego, więc staję się coraz obrzydliwszy.

--Uważasz, że to robota Harry'ego?

--Tak sędzę -- powiedział Norman. W myślach dodał: Taką mam nadzieję.

--Czujesz się inaczej, Norman?

--Nie, dokładnie tak samo. Tylko wyglądam jak z piekła rodem.

--Owszem, sprawiasz nieco przerażające wrażenie.

--Nie wątpię.

--Naprawdę dobrze się czujesz?

--Beth...

--No dobrze. -- Odwróciła się i spojrzała na monitory. -- Wykombinowałam coś ostatecznego. Obydwoje idziemy do Cylindra A, wkładamy skafandry, przechodzimy do B i odcinamy dopływ tlenu do reszty habitatu. Harry traci przytomność, jego strażniczki znikają, my wkraczamy i dajemy Harry'emu w żylę. Co o tym sądzisz?

--Warto spróbować.

Norman odłożył strzykawkę. Ruszyli w stronę Cylindra A. W Cylindrze C minęli obydwie strażniczki, które znów wyprężyły się na baczność.

--Doktor Halpern, doktorze Johnson!

--Nie przeszkadzajcie sobie -- rzuciła Beth.

--Tak jest! Możemy zapytać, dokąd się udajecie, proszę państwa?

--Rutynowa inspekcja -- odparła Beth. Po chwili pauzy strażniczka rzekła:

--Bardzo dobrze, proszę państwa!

Mogli iść dalej. Znaleźli się w Cylindrze B, wypełnionym maszyną i rurami. Norman nerwowo rzucił na nią okiem; nie podobało mu się grzebanie w układach podtrzymywania życia, ale nie przychodziło mu do głowy nic innego, co mógłby zrobić.

W Cylindrze A znaleźli ostatnie trzy skafandry. Norman sięgnął po swój.

--Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? -- zapytał.

--Tak- oświadczyła Beth.-- Zaufaj mi. Wsunęła stopy w skafander i zaczęła go zapinać.

W tym właśnie momencie w całym habitacie rozbrzmiał alarm i ponownie poczęły migać czerwone lampki. Normanowi nie trzeba było mówić, że było to skutkiem ostrzeżenia przekazanego przez obwodowe czujniki.

Zaczynał się kolejny atak.

15 GODZIN 20 MINUT

Rzucili się biegiem przez boczny korytarz łączący bezpośrednio Cylindry B i D. Norman w przelocie zauważył, że strażniczki zniknęły. W Cylindrze D loskotowi alarmów towarzyszyły płonące czerwono ekrany peryferyjnych czujników.

PRZYBYWAM.

Beth szybko obrzuciła wzrokiem monitory.

--Uaktywniły się wewnętrzne czujniki. Zgadza się, przybywa.

Poczuł lupnięcie. Norman odwrócił się do iluminatora. Zielonkawa kałamarnica znajdowała się już przy habitacie, którym wstrząsała, owinąwszy go mackami. Jedno wielkie pokryte przyssawkami ramię chlasnęło w iluminator, przyssawki przy tym się rozplaszczyły.

JESTEM TUTAJ.

--Harry!!! -- krzyknęłaBeth.

Poczuł słabe szturchnięcie, gdy ramiona kałamarnicy ponownie owinęły się wokół habitatu. Usłyszeli powolny, dręczący jęk rozdieranego metalu. Harry wpadł biegiem do środka.

--Co się stało?

--Bardzo dobrze wiesz co! -- wrzasnęła Beth.

--Nie, o co chodzi?

--To kałamarnica, Harry!.

--O Boże, nie- jęknął Harry.

Habitatem potężnie zatrzęsło. Światła zamigotały i zgasły. Świeciły jeszcze tylko migające lampki alarmowe. Norman krzyknął do Harry'ego:

--Przestań!

--O czym ty gadasz?! -- zawołał Harry błagalnym tonem.

--Bardzo dobrze wiesz o czym, Harry.

--Nie wiem!

--Owszem, wiesz. To ty, Harry! -- krzyknął Norman. -- To twoje dzieło.

--Nie, mylisz się. To nie ja! Przysięgam, że to nie ja!

--To ty, Harry! -- stwierdził Norman. -- Jeśli nie przestaniesz, wszyscy zginieemy. Habitat znów się zatrzęsł. Jedna z nagrzewnic pod sufitem eksplodowała, zasypując ich odłamkami gorącego szkła i szczątkami drutów.

--No już, Harry...

--Och, nie!

--Nie zostało wiele czasu. Wiesz, że to przez ciebie.

--Habitat długo nie wytrzyma -- dorzuciła Beth.

--To nie mogę być ja!

--Tak, Harry, przyznaj się do tego. I to zaraz.

Jeszcze mówiąc te słowa, Norman rozglądał się za strzykawką. Gdzieś ją tu zostawił, ale nie mógł dostrzec jej w otaczającym ich chaosie spadających z blatów papierów i zwalających się na podłogę monitorów.

Cały habitat zatrzęsł się raz jeszcze, po czym nastąpiła potworna eksplozja w którymś z cylindrów. Zabrzmiały nowe, coraz głośniejsze syreny. Norman natychmiast rozpoznał ryk i wibrację -- do wnętrza pod wielkim ciśnieniem wdzierала się woda.

--Zalewa Cylinder C! -- krzyknęła Beth, przyjrząwszy się konsoli. Rzuciła się na korytarz.

Usłyszeli metaliczne szczęknięcie zatrzaśniętej przez nią grodzi. Pomieszczenie było wypełnione mglistym słonym oparem.

Norman przyparł Harry'ego do ściany.

--Harry! Przyznaj się sam przed sobą, że to ty, i przestań!

--To nie ja, to nie mogę być ja! -- jęczał chwiejąc się Harry. Kolejne uderzenie w habitat, omalże zwalające ich z nóg.

--To nie mogę być ja! -- wołał Harry. -- To nie ma nic wspólnego ze mną! W tym momencie Harry wrzasnął i zawisł w jego uścisku. Norman zobaczył, jak Beth wyciąga z jego ramienia skrwawioną igłę.

--Co wy robicie?! -- krzyknął Harry, ale jego oczy poczęły już nabierać szklistego, nieobecnego wyrazu. Zatoczył się przy następnym uderzeniu i na pijacką modłę opadł na kolana. -- Nie -- powiedział cicho. -- Nie...

I stracił przytomność, osuwając się twarzą w dół na posadzkę. Odgłos rozdieranego metalu natychmiast ustał. Alarmy ucichły. Wszędzie zrobiło się zło- " wieszco cicho, jeśli nie liczyć ledwie słyszalnego bulgotu wody dobiegającego skądś z habitatu.

Beth szybko przechodziła od jednego ekranu do drugiego, odczytując ich wskazania.

--Wewnętrzne wysiadły. Zewnętrzne wysiadły. Wszystko wysiadło. I bardzo dobrze!!! Żadnych odczytów!

Norman podbiegł do iluminatora. Kałamarnica zniknęła. Morskie dno było opustoszałe.

--Raport o uszkodzeniach! -- krzyczała Beth. -- Główne zasilanie nie działa! Cylinder E odcięty! Cylinder C odcięty! Cylinder B...

Norman odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią. Jeśli Cylinder B został zatopiony, to byli odcięci od systemów podtrzymywania życia i czekała ich niechybna śmierć.

--Cylinder B trzyma się -- powiedziała w końcu Beth. Rozluźniła się. -- Przetrzymaliśmy, Norman.

Norman osunął się na podłogę wyczerpany, nagle we wszystkich częściach ciała odczuwając ból i napięcie.

Skończyło się. Kryzys przeszedł. Mimo wszystko przetrzymają. Norman poczuł, jak się rozluźnia. Skończyło się.

12 GODZIN 30 MINUT

Krew przestała płynąć z rozbitego nosa Harry'ego. Oddychał teraz spokojniej, bardziej regularnie. Norman uniósł worek z lodem i przyjrzał się opuchniętej twarzy Harry'ego, po czym zmienił szybkość, z jaką spływała kroplówka. Po kilku nieskutecznych próbach Beth udało się wkluć Harry'emu w żyłę. Podali mu mieszaninę środków do narkozy. Oddech Harry'ego zalatywał kwasem. Wyłączyli go na dobre.

Z radia rozległo się potrzaskiwanie.

--Jestem przy łodzi -- powiedziała Beth. -- Właśnie wchodzę na pokład.

Norman wyjrzał przez iluminator w stronę DH- 7 i ujrzał, jak Beth wspina się pod kopułę kryjącą łódź podwodną. Miała zamiar przestawić mechanizm opóźniający wynurzenie już po raz ostatni. Odwrócił się do Harry'ego.

Z komputera nie uzyskali żadnych informacji o skutkach podtrzymywania narkozy przez dwanaście godzin, to jednak właśnie musieli zrobić. Albo Harry przetrzyma to, albo nie.

Tak samo jak my dwoje, pomyślał Norman. Spojrzał na zegar na monitorze. Wskazywał 12 godzin i 30 minut, odliczając czas wstecz.

Przykrył Harry'ego kocem i podszedł do konsoli.

Kula znajdowała się w tym samym miejscu, ze zmienionym układem rowków. W nawale przeżyć prawie zapomniał o początkowej fascynacji kulą, jej pochodzeniem i znaczeniem. Aczkolwiek to ostatnie zdążyli już poznać. Jak to określiła Beth? Umysłowy enzym. Enzymy były związkami pozwalającymi przebiegać reakcjom chemicznym bez uczestniczenia w nich. W ludzkim ciele było za zimno, by mogły dokonywać się przemiany chemiczne. Znajdowały się w nim jednak enzymy, które przyspieszały ich przebieg, umożliwiały ich zajście. Beth określiła kulę jako enzym umysłowy.

Bardzo inteligentnie, pomyślał. Tak właśnie oceniał Beth. Jej impulsywność okazała się właśnie tym, czego było potrzeba. Gdy Harry stracił przytomność, Beth dalej była piękna, Norman jednak z ulgą stwierdził, że jego rysom wróciła mopsowata normalność, do której przywykł. Przyglądając się kuli w monitorze, widział na jego szkłe również odbicie znajomego oblicza.

Kula.

Zastanawiał się, czy -- skoro Harry jest nieprzytomny -- w ogóle uda im się pojąć, co się zdarzyło, wyjść poza opis faktów. Przypomniał sobie migoczące jak robaczki świętojańskie światełka. O czym to mówił Harry? Coś o pianie. Piana. Norman usłyszał szmer i odwrócił się.

Miniaturowa łódź podwodna wypływała spod kopuły.

Oświetlając przed sobą oceaniczne dno, gładko poczęła się ślizgać nad nim. Norman wcisnął klawisz interkomu.

--Beth! Beth!

--Tak, Norman?

--Co ty wyprawiasz?

--Nie denerwuj się, Norman.

--Co ty wyprawiasz z łodzią, Beth?

--To tylko środek ostrożności, Norman.

--Wynurzasz się?

Zaśmiała się przez interkom. Lekki, zrelaksowany śmiech.

--Nie, Norman. Naprawdę nie masz powodów do zdenerwowania.

--Powiedz mi, co robisz.

--To tajemnica.

--Daj spokój, Beth. -- Tego tylko jeszcze brakowało, żeby Beth właśnie teraz pękała, pomyślał. Pomyślał też o jej impulsywności, którą chwilami podziwiał. Teraz już mniej go zachwycała. -- Beth?

--Pogadamy później -- powiedziała.

Łódź odwróciła się bokiem. W jej wysięgnikach ujrzał czerwone skrzynie. Nie mógł odczytać znajdujących się na nich napisów, wydawały mu się jednak skądś znajome. Na jego oczach łódź przepłynęła koło olbrzymiego statecznika statku kosmicznego i osiadła na dnie. Jedna ze skrzyń została wypuszczona z kleszczy i opadła na dno, wznosząc muł. Wzburzając go jeszcze bardziej, łódź uniosła się i prześliznęła o sto jardów. Znow się zatrzymała i wypuściła kolejną skrzynię. W ten sposób okrążyła cały statek.

--Beth?

Żadnej odpowiedzi. Zmrużywszy oczy Norman wpatrywał się w skrzynie. Widniały na nich jakieś nadruki, nie mógł ich jednak odczytać z tej odległości.

Łódź zawróciła i ruszyła wprost na DH- 8. Reflektory zaświeciły mu w oczy. Gdy zbliżyła się jeszcze bardziej, uruchomiły się czujniki alarmowe, brzęcząc i migocząc czerwonymi lampkami. Stwierdził, że mu niedobrze od tego. Podeszedł do klawiatury, rozglądając się, jak by tuje odłączyć. Jak, do cholery, miał je zgasić? Spojrzał na Harry'ego, ten jednak nadal był nieprzytomny.

--Beth, jesteś tam? Włączyłaś ten cholerny alarm.

--Naciśnij F8.

Jakie, do diabła, F8? Rozejrzał się i w końcu dojrzał na klawiaturze rząd klawiszy oznaczonych od F 1 do F20. Nacisnął F8 i alarmy ucichły. Łódź była już bardzo blisko, jej reflektory świeciły prosto w iluminatory. Wyraźnie było widać Beth w podwyższonej kopulce dla sternika. Na jej twarzy odbijały się światelka instrumentów. Po chwili łódź opuściła się poniżej iluminatora.

Podeszedł do niego i wyjrzał. "Deepstar III" spoczywała na dnie, składając kolejną skrzynię. Mógł teraz już przeczytać nadruk na niej:

**OSTROŻNIE. NIE PALIĆ, NIE UŻYWAĆ W POBLIŻU SPRZĘTU
ELEKTRONICZNEGO. MATERIAŁ WYBUCHOWY TEVAC.**

--Beth? Co ty, u diabła, wyprawiasz?

--Później, Norman.

Wsluchał się w jej głos. Nie usłyszał w nim niczego nadzwyczajnego. Czyżby jednak nie wytrzymała? Nie, pomyślał, nie pęka. Nic jej nie jest. Jestem pewny, że nic jej nie jest.

Wcale jednak nie był pewny.

Łódź jeszcze raz ruszyła, wzbijając śrubami osad, zasłaniający światło reflektorów. Muł przesłonił iluminatory, pogrążając wszystko na zewnątrz w ciemnościach.

--Beth?

--Wszystko w porządku, Norman. Za minutę wracam.

Gdy osad ponownie opadł, ujrzał, iż łódź zawraca do DH- 7. Po kilku chwilach przybiła pod kopułą. Zaraz potem wyszła z niej Beth i przymocowała dziobową i rufową cumę.

11 GODZIN 00 MINUT

--To bardzo proste -- powiedziała Beth.

--Materiał wybuchowy? -- Wskazał ekran. -- Tu jest napisane, że tevac stanowi najpotężniejszy z konwencjonalnych materiałów wybuchowych. Po cholere rozłożyłaś go dookoła habitatu?

--Norman, nie przejmuj się. -- Położyła dłoń na jego ramieniu. Jej dotyk był delikatny i uspokajający. Nieco się odprężył, czując jej bliskość.

--Powinniśmy najpierw to przedyskutować.

--Norman, nie zamierzam ryzykować. Mam już tego dosyć.

--Ale Harry jest nieprzytomny,

--Może się przebudzić.

--To niemożliwe, Beth.

--Nie zamierzam ryzykować -- powtórzyła. -- W ten sposób, jeśli z kuli zacnie się coś wylaniać, będziemy mogli wywalić cały ten cholerny statek. Rozłożyłam ładunki wzdłuż całego jego boku.

--Ale po co dookoła habitatu?

--Dla obrony.

--A to w jaki sposób?

--Wierz mi, że to ma sens.

--Beth, niebezpiecznie jest mieć w pobliżu te ładunki.

--Nie zostały połączone kablami, Norman. Te wokół statku również. Norman, będę musiała własnoręcznie się pofatygować i je popodłączać. -- Spojrzała na ekrany. -- Chyba trochę najpierw odczekam, może się zdrzemnę. Jesteś zmęczony?

--Nie- odrzekł Norman.

--Nie spałeś od bardzo dawna, Norman.

--Nie jestem zmęczony. Obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

--Będę uważała na Harry'ego, jeśli tym się martwisz.

--Po prostu nie jestem zmęczony, Beth.

--No dobrze -- zgodziła się. -- Jak sobie życzysz. -- Odgarnęła palcami bujne włosy z czoła.

-- Ja czuję się wykończona. Zamierzam złapać parę godzin snu. Zaczęła wchodzić po drabince do swego laboratorium, obejrzała się i spojrzała na niego z góry. -- Chcesz iść ze mną?

--Słucham?

Uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy z porozumiewawczym wyrazem twarzy.

--Słyszałeś, co powiedziałam, Norman.

--Może później, Beth.

--Dobrze, pewnie.

Weszła po drabince, zmysłowo kołysząc biodrami. Dobrze wyglądała w ciasno opiętym kombinezonie. Musiał to przyznać, była doskonale prezentującą się kobietą.

Po drugiej stronie Harry chrapał rytmicznie. Norman poprawił worek z lodem na jego twarzy i zaczął myśleć o Beth. Słyszał, jak krząta się na górze.

--Hej, Norm?

--Tak...? -- Podeszedł do drabinki i spojrzał w górę.

--Został jeszcze jakiś czysty kombinezon na dole? -- Coś spadło mu w rękę. Kombinezon.

--Tak, chyba mają je na składzie w Cylindrze B.

--Przynies mi jeden, dobrze, Norm?

--Dobrze -- odrzekł.

Przechodząc do Cylindra B stwierdził, że ogarnęła go niewytłumaczona nerwo-wość. Co się działo? Oczywiście, dokładnie wiedział co, ale nie rozumiał, dlaczego właśnie teraz. Beth była dlań nieodparcie pociągająca, i temu właśnie nie dowierzał. W stosunkach z mężczyznami Beth zachowywała się energicznie, prowokacyjnie, bezpośrednio i czasem gniewnie. Uwodzenie nie należało do jej repertuaru.

Ale teraz widocznie włączyła i to, powiedział sobie, wyciągając świeży kombinezon z szafki. Zaniósł go do Cylindra D i wspiał się po drabinie. Z góry dojrzał osobliwe niebieskawe światło.

--Beth?

--Tu jestem, Norm.

Wszedł na górę i zastał ją opalającą się nago pod baterią lamp ultrafioletowych wysuwanych na stelażu ze ściany. Na oczach miała nieprzejrzyste okulary ochronne. Przeciągnęła się kusząco.

--Przyniosłeś kombinezon? -- Tak- odrzekł.

--Wielkie dzięki. Połóż go gdziekolwiek, choćby na ławie laboratoryjnej.

--Dobrze. -- Zawiesił go na oparciu fotela. Przetoczyła się przodem do płonących lamp i westchnęła.

--Pomyślałam, że złapię trochę witaminy D, Norm.

--Tak...

--Tobie pewnie też by się trochę przydało.

--Tak, być może. -- Normanowi chodziło jednak po głowie, że nie przypominał sobie, by w laboratorium znajdowała się bateria lamp ultrafioletowych. Spędził w tym pomieszczeniu mnóstwo czasu, więc powinien je zapamiętać. Szybko zszedł na dół.

Stwierdził, że szczeble drabinki również się zmieniły. Odmiennie niż przedtem wykonane teraz były z czarnego galwanizowanego metalu. Wyglądały zdecydowanie inaczej. -- Norm?

--Chwileczkę, Beth.

Podszedł do klawiatury i zaczął naciskać klawisze. Widział wcześniej zapisy dotyczące parametrów cylindrów czy czegoś w tym stylu. W końcu je odnalazł.

DEEPHAB- 8 PARAMETRY PROJEKTOWE MIPPR

5.024A Cylinder A

5.024B Cylinder B

5.024C Cylinder C

5.024D Cylinder D

5.024E Cylinder E

Wybierz jeden:

. Wybrał Cylinder D, po czym pojawił się kolejny wykaz. Wybrał plany cylindra. Otrzymał kolejne stroniczki szkiców architektonicznych. Uderzał w klawisze, dopóki nie natrafił na szczegółowe plany laboratorium biologicznego u szczytu Cylindra D.

Na rysunku wyraźnie widać było rząd lamp kwarcowych, przegubowo zamocowanych tak, by dały się chować w ścianie. Musiały być tam przez cały czas; po prostu nie zwrócił na nie uwagi. Było mnóstwo innych szczegółów, których nie zauważył -- jak choćby właz awaryjny w kopulastym szczycie laboratorium. I fakt, iż przy zejściu na dół znajdowała się druga składana leżanka.

Panikujesz, pomyślał. I to nie z powodu kwarcówek i szkiców architektonicznych. To nawet nie ma nic wspólnego z seksem. Panikujesz, ponieważ została ci tylko Beth, która nie zachowuje się tak, jak zazwyczaj.

W kącie ekranu dojrzał niewielki zegar odliczający czas z dręczącą powolnością. Jeszcze dwanaście godzin, pomyślał. Muszę przetrzymać jeszcze te dwanaście ostatnich godzin i wszystko będzie w porządku.

Był głodny, lecz wiedział, że nie ma nic do jedzenia. Był wyczerpany, ale nie miał gdzie położyć się spać. Oba cylindry, E i B, były zalane, a nie miał ochoty wchodzić na górę do Beth. Położył się na podłodze Cylindra D, obok spoczywającego na leżance nieprzytomnego Harry'ego. Było mu zimno i mokro. Przez długi czas nie mógł zasnąć.

09 GODZIN 00 MINUT

Obudziło go dudnienie, przerażające dudnienie i dygotanie podłogi. Przetoczył się i natychmiast czujny poderwał na nogi. Zobaczył, że Beth stoi przed monitorami.

--Co się stało?! -- zawołał. -- Co się dzieje?

--Chodzi ci o...?-- spytała Beth.

Wydawała się spokojna. Uśmiechnęła się do niego. Alarmy nie wyły; czerwone lampki się nie paliły.

--Nie wiem, myślałem... nie wiem... -- urwał.

--Myślałeś, że znów zostaliśmy zaatakowani? -- spytała.

Skinął głową.

--Skąd wpadłeś na taki pomysł, Norman?-- dociekała.

Znów patrzyła na niego w osobliwy sposób. Prosto w oczy, spojrzeniem chłodnym i oceniającym. Nie było w nim śladu uwodzicielskości. Jeżeli już, kryło się w tym coś z podejrzliwości dawnej Beth: Jesteś mężczyzną, więc stanowisz problem.

--Harry wciąż nie odzyskał świadomości, prawda? Dlaczego więc miałbyś sądzić, że zostaliśmy zaatakowani?

--Nie wiem, chyba mi się to przyśniło. Beth wzruszyła ramionami.

--Może poczułeś wibrację moich kroków po podłodze -- powiedziała. W każdym razie cieszę się, że zdecydowałeś się położyć spać.

Znów to oceniające spojrzenie. Jak gdyby z nim było coś nie tak.

--Nie wyspałeś się dość, Norman.

--Nikt z nas się nie wyspał.

--Ty szczególnie.

--Może masz rację. -- Musiał przyznać, że po przespaniu paru godzin poczuł się lepiej.

Uśmiechnął się. -- Zjadłaś całą roladę i kawę?

--Nie ma ani kawy, ani rolady, Norman.

--Wiem.

--Więc dlaczego pytasz?-- spytała poważnie.

--To tylko żart, Beth.

--Och.

--Po prostu żart. Wiesz, humorystyczna refleksja na temat naszego stanu.

--Rozumiem. -- Obserwowała ekrany. -- Przy okazji, czego się dowiedziałeś o balonie?

--O balonie?

--O balonie zwiadowczym. Przypominasz sobie, jak o tym rozmawialiśmy? Potrząsnął głową. Nie pamiętał.

--Zanim popłynęłam do łodzi, spytałam cię o kody kontrolne, za pomocą których go się wypuszcza. Powiedziałeś, że nie wiesz, ale sprawdzisz, czy uda ci się to wyciągnąć z komputera.

--Rzeczywiście?

--Naprawdę, Norman. Tak powiedziałeś.

Zamyślił się. Przypominał sobie, jak z Beth dźwigali bezwładne, zaskakująco ciężkie ciało Harry'ego, położyli go na leżance, zatamowali krwawienie z nosa, a Beth założyła kroplówkę. Nauczyła się tego prowadząc doświadczenia na zwierzętach. Przypominał sobie, że zażartowała, iż Harry'emu przypadł lepszy los w udziale niż tamtym, bo zwierzęta zazwyczaj kończyły martwe. Później Beth zgłosiła się na ochotnika, że popłynie do łodzi podwodnej, a on powiedział, że będzie czuwać przy Harrym. Tyle sobie przypominał, nic o żadnym balonie.

--Pewnie -- przypominała mu Beth. -- W komunikacie jest polecenie, by za pomocą balona z kablem antenowym wysłanego na powierzchnię potwierdzić jego przyjęcie. Poza tym zdecydowaliśmy, że skoro sztorm ustaje, warunki na powierzchni zapewne pozwalają na wysłanie balonu bez ryzyka zerwania kabla. Jedyne problem polegał na tym, jak go wypuścić. Powiedziałeś, że spróbujesz wygrzebać z pamięci komputera komendy kontrolne.

--Naprawdę nie pamiętam -- przyznał się. -- Strasznie mi przykro.

--Norman, musimy pracować razem podczas tych paru ostatnich godzin -- rzekła Beth.

--Absolutnie się z tobą zgadzam.

--Jak się teraz czujesz? -- spytała.

--Nieźle. Właściwie nawet bardzo dobrze.

--Fajnie -- skomentowała. -- Trzym się, Norman. Zostało jeszcze tylko kilka godzin.

Uścisnęła go ciepło, gdy jednak odsunęła się, w jej oczach ujrzął to samo chłodne, oceniające spojrzenie.

W godzinę później zorientowali się, jak wysyła się balon radiowy. Wyraźnie słyszeli

metaliczny wizg rozwijającego się z bębna drutu, ciągniętego przez mknący ku powierzchni balon. Potem nastąpiła długa cisza.

--Co się dzieje?-- spytał Norman.

--Jesteśmy tysiąc stóp pod powierzchnią -- przypomniała Beth. -- Minie trochę czasu, nim balon do niej dotrze.

Obraz na ekranie zmienił się; otrzymali odczyt warunków na powierzchni. Wiatr spadł do piętnastu węzłów. Fale miały po sześć stóp wysokości. Ciśnienie baryczne wracało do normy. Stwierdzono światło słoneczne.

--Dobre wieści -- ucieszyła się Beth. -- Na powierzchni jest w porządku. Norman wpatrywał się w ekran, zamyśliwszy się nad faktem, iż stwierdzili na powierzchni światło słoneczne. Nigdy jeszcze za nim nie tęsknił. To zabawne, ile rzeczy przyjmowało się za zagwarantowane. Teraz myśl o ujrzeniu słońca wydała mu się niewiarygodnie podniecająca. Nie wyobrażał sobie większej radości niż ujrzenie jego promieni, chmur i błękitnego nieba.

--O czym myślisz?

--Pomyślałem, że nie mogę się doczekać, kiedy się stąd wydostaniemy.

--Ja również- przytaknęła Beth. -- To już niedługo.

Pong, pong, pong, pong!

Norman właśnie sprawdzał stan Harry'ego. Odwrócił się, usłyszawszy dźwięk sonaru.

--Co się stało, Beth? Pong, pong, pong, pong!

--Nie przejmuj się -- rzuciła Beth od strony konsoli. -- Staram się zorientować, jak się tym posługiwać.

Pong, pong, pong, pong!

--Czym?

--Sonarami obserwacji bocznej. Nazywa się też sonarami fałszywego otworu, Bóg jeden wie dlaczego. Wiesz, do czego się to odnosi?

--Nie, nie wiem -- rzekł Norman. -- Wyłącz to, proszę. -- Irytował go odgłos sonaru.

--Oznaczony jest jako FAS; to skrót od false- aperture sonar, czyli sonar fałszywego otworu, ale nazywany jest też sonarem obserwacji bocznej. Można się w tym pogubić.

--Beth, wyłącz to! Pong, pong, pong, pong!

--Tak, oczywiście.

--Po co właściwie chcesz to uruchamiać? -- zapytał Norman. Czuł się zirytowany, jakby świadomie starała się wytrącić go z równowagi tym odgłosem.

--Na wszelki wypadek.

--Na jaki znów wszelki wypadek, na miłość boską? Sama powiedziałaś, że przecież Harry jest nieprzytomny. Nie będzie żadnych kolejnych ataków.

--Nie denerwuj się, Norman -- uspokoiła go Beth. -- Chcę być przygotowana, towszystko.

07 GODZIN 20 MINUT

Nie zdołał jej tego wyperswadować. Upierała się, że wyjdzie na zewnątrz i podłączy ładunki. Stało się to idee fixe.

--Ale po co, Beth?-powtarzał to samo pytanie.

--Ponieważ poczuje się lepiej, gdy to zrobię -- twierdziła.

--Przecież nie ma powodu, dla którego miałabyś to robić.

--Będę się wtedy lepiej czuła -- uparła się, i ostatecznie nie udało mu się jej powstrzymać.

Widział teraz jej niewielką figurkę z pojedynczym palącym się światełkiem hełmu, przechodzącą od jednej skrzyni z materiałami wybuchowymi do kolejnej. Otwierała je jedną po drugiej i ze środka wyciągała duże żółte stożki, przypominające słupki używane przez ekipy remontujące autostrady. Były połączone kablami; gdy kończyła podłączanie, na wierzchu stożków zapalało się czerwone światełko.

Widział je wzdłuż całego boku statku. Przyprawiały go o niepokój.

Kiedy odchodziła, zapytał:

--Ale nie podłączy sz ładunków koło habitatu?

--Nie, Norman.

--Obiecuj mi to.

--Powiedziałam ci, że tego nie zrobię, przestań się denerwować.

--No dobrze, już dobrze.

Czerwone światełka ciągnęły się już wzdłuż statku, zaczynając się od słabo widocznego ogona, wznoszącego się z koralowego dna. Beth ruszyła dalej na północ, ku nie otwartym jeszcze skrzyniom.

Norman spojrział na Harry'ego, który chrapał głośno, ale nie odzyskiwał przytomności. Przeszedł w tę i z powrotem po Cylindrze t), po czym podszedł do monitora.

Na ekranie mrugały słowa:

NADCHODZĘ.

O Boże, pomyślał. W kolejnej chwili przemknęło mu przez głowę pytanie, jak to możliwe? To nie mogło się zdarzyć. Harry wciąż nie odzyskiwał świadomości. Jak to mogło się stać?

NADCHODZĘ PO WAS.

--Beth!

Jej głos przez interkom miał blaszany dźwięk.

--Tak, Norman?

--Zabieraj się stamtąd natychmiast!

NIE OBAWIAJCIE SIĘ -- pojawiło się na ekranie.

--Co się dzieje, Norman?-zapytała.

--Na ekranie pojawiają się nowe teksty.

--Sprawdź Harry 'ego, musi się budzić.

--Sprawdzałem, to nie to. Wracaj, Beth!

JUŻ NADCHODZĘ.

--W porządku, Norman, już wracam -- oznajmiła.

--Szybko, Beth.

Nie musiał jej jednak tego mówić; w tej samej chwili dostrzegł ruch jej światła, gdy biegiem rzuciła się w stronę habitatu. Była od niego oddalona o przynajmniej sto jardów.

Usłyszał przez interkom, jak ciężko dyszy.

--Widzisz coś, Norman?

--Nie, nic. -- Natęzał wzrok, wpatrując się w horyzont, w kierunku, skąd zawsze pojawiała się kałamarnica. Stale poprzedzała ją zielona poświata na krańcu pola widzenia. Teraz jej jednak nie dostrzegał.

Beth dyszała coraz silniej.

--Coś czuję, Norman. Prąd wody... coraz silniejszy... Na ekranie zamrugało:

ZABIJĘ WAS.

--Nic nie widzisz na zewnątrz? -- spytała Beth.

--Nie, w ogóle nic. -- Dostrzegał tylko samotną Beth na mulistym dnie. Jedynie światło jej latarki skupiało jego uwagę.

--Czuję to, Norman. Jest blisko, Chryste Panie. Co z alarmami?

--Nic nie wskazują, Beth.

--Jezu! -- Jej dech dobywał się urywanymi raptownymi sapnięciami. Beth była w bardzo dobrej kondycji, ale w tej atmosferze nawet jej nie było stać na wielki wysilek. Przynajmniej nie przez dłuższy czas, pomyślał. Widział, że poruszała się już wolniej, lampa na helmie podskakiwała w powolniejszym rytmie.

--Norman?

--Tak, Beth, jestem tutaj.

--Norman, nie wiem, czy dotrę do habitatu.

--Beth, uda ci się na pewno. Zwolnij trochę.

--To jest tutaj, czuję to.

--Nic nie widzę, Beth.

Usłyszał raptowne szczękanie. Zrazu pomyślał, że to zakłócenia w odbiorze, dopiero uświadomił sobie, że to odgłos wydawany przez jej zęby. Dygotała z zimna. Z wysiłku powinna się przegrzać, było jednak odwrotnie. Czegoś tu nie rozumiał.

--...zimno, Norman.

--Zwolnij, Beth.

--Nie mogę... mówić... blisko...

Musiała jednak zwolnić. Znalazła się już w obszarze oświetlonym przez habitat. Była nie dalej jak dziesięć jardów od wjazdu. Wyraźnie widział, jak ospale i wolno się porusza.

W końcu udało mu się dojrzeć coś wijącego się w mulistym osadzie za jej plecami, w ciemnościach poza zasięgiem światła. Przypominało to utworzone z mułu tornado. Nie widział, co jest w jego środku, czuł jednak tkwiącą w nim moc.

--Blisko...Nor...

Beth potknęła się i upadła. Wzburzony obłok dążył w jej stronę.

TERAZ WAS ZABIJĘ.

Beth podniosła się, obejrzała i dostrzegła nadciągającą na nią chmurę mułu. Wzbudziła ona u Normana jakieś uspione od dzieciństwa asocjacje, pamięć o jakiejś głębokiej grozie, temacie koszmarów sennych.

--Normaan!...

Norman rzucił się biegiem, nie wiedząc dokładnie, co ma robić, gnany jedynie widokiem, który ujrzał. Myślał tylko o tym, że musi coś przedsięwziąć, musi coś począć. Przebiegł z Cylindra B do A, rozejrzał się za swym skafandrem, ale go nie dostrzegł. Nie było czasu, czarna woda w otwartym włazie kłębiła się i chlustała w górę, dojrzał pod powierzchnią dłoń Beth w rękawicy, wymachującą bezradnie bezpośrednio pod włazem. Tylko Beth mu już została; nie namyślając się wskoczył do czarnej wody i począł opadać na dno.

Wstrząs wywołany przez zimno sprawił, że chciał krzyczeć; to pragnienie wręcz rozdzierało jego płuca. Natychmiast stracił czucie w całym ciele; przez jedną okropną chwilę poczuł strach, że go sparaliżuje. Woda obracała go i podrzucała jak gigantyczna fala, nie był w

stanie jej się przeciwstawić. Rąbnął głową o spód habitatu. Przez moment nic nie widział.

Wyrzucając ręce przed siebie i na boki, starał się dosięgnąć Beth. Palilo go w płucach. Woda kręciła nim we wszystkie strony, odwróciła go do góry nogami. Dotknął jej i stracił kontakt. Woda wciąż nim kręciła. Uchwycił coś. Ręka. Tracił już czucie, stawał się coraz bardziej spowolniały i otępiały. Pociągnął. Nad sobą dojrzał światło: właz. Silnie machnął nogami, ale nie dało to żadnego skutku. Krąg się nie przybliżył.

Wierzgnął ponownie, wlokąc Beth za sobą jak balast. Może już nie żyła. Jego płuca płonęły. Był to najgorszy ból, jaki kiedykolwiek czuł w życiu. Walczył z bólem, walczył z kotłującą się wodą, wciąż wierzgnięciami starał się przybliżyć do światła, o tym jedynie myślał, odpychać się w stronę światła, być bliżej światła, światła, światła...

Światło.

Niedokładnie widział, co ma przed oczyma, nie mógł się w tym połapać. Ciało Beth w kombinezonie, zwalające się z loskotem na posadzkę śluzu. Z jego kolana ciekła krew, krople rozpryskiwały się na metalowym włazie. Dygoczące ręce Beth sięgające do helmu, przekręcające go, usiłujące odblokować zabezpieczenia. Trzęsące się dłonie. Cmokająca, wzbierająca woda we włazie. Blask rażący w oczy. Jakiś straszny ból nie do umiejscowienia. Bardzo blisko jego oczu rdza i ostra metalowa krawędź. Zimny metal. Zimne powietrze. Gasnące światło. Ciemność.

Odczucie ciepła było przyjemne. Usłyszał głośny syk w uszach. Podniósł głowę i ujrzał Beth, która zdjęła już skafander. Regulowała wielki grzejnik, zwiększając temperaturę. Wciąż dygotał, lecz z każdą chwilą robiło się coraz cieplej. Zamknął oczy. Udało się nam, pomyślał. Wciąż-jesteśmy razem. Wciąż cali. Udało się nam.

Odprężyl się.

Mrowiło go całe ciało. To z zimna, pomyślał, jego ciało rozgrzewało się po oziębieniu. Mrowienie było nieprzyjemne. Syk również; był wysoki, świszczący.

Coś ześliznęło się powoli z jego podbródka na podłogę. Otworzył oczy i ujrzał srebrzysty biały walec. Skupił spojrzenie i dojrzał dwoje paciorkowatych ślepek i błyskawicznie drgający języzek. Był to wąż.

Morski wąż.

Zamarł. Opuścił wzrok, poruszając jedynie gałkami ocznymi.

Całe jego ciało pokryte było morskimi węzami.

Mrowienie wywoływały tuziny węży, wijących się wokół jego kostek, prześlizgujących się po piersi, między nogami. Czuł, jak coś zimnego pełźnie po jego czole. Zamknął oczy, czując obrzydzenie wywołane przez węże przesuwające się po jego twarzy, wsuwające się do nozdrzy, ocierające o wargi.

Nasłuchiwał syku węży i przypominał sobie, co o ich jadowitości mówiła Beth. Beth, pomyślał, gdzie jest Beth?

Nie poruszał się. Czuł, jak węże owijają się o jego kark, prześlizgują po barkach, wsuwają między palce dłoni. Nie chciał za nic otwierać oczu. Poczul przyływ mdłości.

O Boże, pomyślał, wymiotuję.

Czuł, jak węże wciskają mu się pod pachy i w pachwinę. Zalewał go zimny pot. Walczył z mdłościami.

Beth! -- pomyślał. Nie chciał tego powiedzieć głośno. Beth...

Wsluchiwał się w syczenie. Gdy już nie mógł tego znieść, otworzył oczy i zobaczył masę wijących się, skręcających białych stworzeń, drobne główki, migające rozdwojone języki. Znów zamknął oczy.

Poczuł, jak jeden z nich pełźnie po gołej skórze pod jego kombinezonem na nodze.

--Nie ruszaj się, Norman.

To była Beth. Słyszał napięcie w jej głosie. Otworzył oczy, lecz nie zobaczył jej, tylko jej cień.

Usłyszał, jak mówi:

--O Boże, która godzina? -- i pomyślał: do cholery z godziną, kogo to obchodzi? Nie miało to dla niego żadnego sensu. -- Muszę wiedzieć, która godzina -- powtórzyła Beth. Usłyszał odgłos jej stóp na posadzce. -- Godzina...

Odchodziła, zostawiała go samego!

Węże prześlizgiwały się po jego uszach, pod brodą, koło nosa. Ich ciała były wilgotne i oślizłe.

Wreszcie usłyszał jej kroki po podłodze, metaliczny szcęk otwieranego włazu. Otworzył oczy i ujrzał, że nachyla się nad nim i garściami zgarniając węże, owijające się wokół jej nadgarstków, wyrzuca je przez wąż. Niektóre z nich nie trafiały w otwór i skręcając się łądowały koło niego. Większość z nich Beth jednak już wyrzuciła.

Jeden jeszcze pełził po nodze w stronę pachwiny. Czuł, jak począł ześlizgiwać się z powrotem -- Beth wyciągnęła go za ogon.

--Chryste,uważaj...

Wyrwała węża z nogawki i rzuciła go za siebie.

--Możesz wstać, Norman -- powiedziała. Zerwał się na nogi i natychmiast zwymiotował.

Czuł przeraźliwy, lomoczący ból głowy. Światła habitatu wydawały się nienaturalnie jaskrawe. Było mu zimno. Beth opatulila go w koce i przysunęła do wielkich nagrzewnic powietrza w Cylindrze D, tak blisko, że szum elektrycznych spiral dudnił mu w uszach, wciąż mu jednak było zimno. Spojrzał na nią z góry, gdy bandażowała mu kolano.

--Jak to wygląda? -- zapytał.

--Niezbyt dobrze -- odparła. -- Rozcięcie dochodzi do kości. Ale nic ci nie będzie. Zostało nam jeszcze tylko kilka godzin.

--Tak. Ja... auu!

--Przepraszam. Prawie skończyłam. -- Beth kierowała się wskazówkami pierwszej pomocy zawartymi w komputerze. By odwrócić myśli od bólu, począł czytać słowa na ekranie:

**POMNIEJSZE (NIE GROŻĄCE ZEJŚCIEM ŚMIERTELNYM) KOMPLIKACJE
MEDYCZNE**

7.113. Uraz 7.115. Skrócenie okresu snu 118. Drżenie wywołane helem 119. Zapalenie ucha

7.121. Zatrucia materiałami toksycznymi 7.143. Bóle maziówkowe Wybierz jedną z możliwości:

--Tego mi właśnie potrzeba -- stwierdził. -- Trochę mikrosnu. A może jeszcze lepiej sporą dozę poważnego makrosnu.

--Tak, wszyscy tego potrzebujemy. Przyszła mu do głowy myśl.

--Beth, pamiętasz, jak zdzieralas ze mnie węże? O co ci chodziło z godziną?

--Morskie węże wykazują aktywność nocną- wyjaśniła Beth. -- Wielejadowitych węży jest na przemian agresywnych i pasywnych w dwunastogodzinnym cyklu, odpowiadającym dniu i nocy. Podczas dnia, kiedy są bierne, można z nimi robić, co się chce, i nigdy nie ukąszą.

Wiadomo na przykład, że krait pasiasty, żyjący w Indiach, w ogóle nie ukąsi podczas dnia, nawet gdy bawią się nim dzieci. W nocy trzeba się jednak mieć na baczności. Usiłowałam wiec dowiedzieć się, jakiemu cyklowi podporządkowane są morskie węże. W końcu zdecydowałam, że wykazują się biernością w ciągu dnia.

--Jak do tego doszłaś?

--Bo jeszcze żyłeś. -- Potem gołymi rękami zaczęła ściągać z niego węże, wiedząc, że jej nie ukąszą.

--Z rękami pełnymi węży wyglądałaś jak Meduza.

--A to kto, gwiazda rockowa?

--Nie, postać mitologiczna.

--Ta, która zabiła swoje dzieci? -- spytała, obrzuciwszy go szybkim podejrzliwym spojrzeniem. Oto Beth czujna na zawoalowane obrazy.

--Nie, to był ktoś inny. Meduza to mitologiczna postać z kłębowiskiem węży na głowie. Kto spojrzal na nią, zamieniał się w kamień. Perseusz zabił ją, ukazując jej odbicie w swej wypolerowanej tarczy.

--Przepraszam, Norman. Nie moja działka.

To godne uwagi, pomyślał, iż były czasy, gdy każda wykształcona osoba na Zachodzie znała postaci z mitologii i ich dzieje równie dokładnie, jak życie swych rodzin i przyjaciół. Mity były wspólną wiedzą ludzkości i służyły jako swego rodzaju mapa świadomości.

Teraz jednak osoby tak dobrze wykształcone jak Beth, nie wiedziały nic o mitach. Tak jakby ludzkość umówiła się, że zmieniała się jej mapa świadomości. Czy tak jednak było w

istocie? Zadrzał.

--Jeszcze ci zimno, Norman?

--Tak. Ale najbardziej mnie męczy ból głowy.

--Prawdopodobnie jesteś odwodniony. Rozejrzę się, może znajdę dla ciebie coś do picia. --

Podeszła do apteczki na ścianie. -- Wiesz, z twojej strony to był kapitalny wyczyn -- przyznała. -- Wskoczyłeś do wjazdu bez skafandra. Przecież woda ma tu ledwie parę stopni powyżej punktu zamarzania. Bardzo dzielnie się spisałeś. Głupio, lecz dzielnie. -- Uśmiechnęła się. -- Uratowałeś mi życie, Norman.

--Nie zastanawiałem się nad tym -- powiedział Norman. -- Po prostu skoczyłem. --

Opowiedział jej, jak na widok zbliżającej się po dnie w jej stronę kłębiącej się chmury osadu odczuł jakąś dziecinną, zapomnianą grozę, coś, co ledwie gdzieś się w nim uchowało.

--Wiesz, co to było? -- zapytał. -- Przypominało mi to trąbę powietrzną z Czarnoksiężnika z krainy Oz. Kiedy byłem dzieckiem, bałem się trąby powietrznej, że jejku. Nie chciałem po prostu, by się to powtórzyło.

Przyszło mu w tej chwili do głowy, że może tak właśnie wyglądają nowe mity. Dorota, Toto i Wstrętna Wiedźma, kapitan Nemo i gigantyczna kalamarnica.

--Cóż -- skonstatowała Beth -- czymkolwiek się kierowałeś, uratowałeś mi życie. Dziękuję.

--Zawsze do usług -- zadeklarował Norman. Uśmiechnął się. -- Ale nie powtarzaj tego numeru.

--Nie, nie wyjdę już na zewnątrz.

Przyniosła mu płyn w plastikowym kubeczku. Był syropowaty i słodki.

--Co to jest?

--Izotoniczny roztwór glukozy z dodatkiem składników odżywczych. Wypij to.

Pociągnął kolejny łyk, ale ciecz była nieprzyjemnie słodka. Po drugiej stronie pomieszczenia, na monitorze, wciąż widniały słowa: TERAZ WAS ZABIJE. Spojrzał na wciąż nieprzytomnego Harry'ego z kroplówką podłączoną do żyły w przedramieniu.

Przez cały ten czas Harry był pozbawiony świadomości.

Norman jeszcze się nie zastanowił, jakie to pociąga za sobą konsekwencje. Nadeszła najwyższa pora. Nie miał na to ochoty, ale musiał.

--Beth, jak uważasz, dlaczego to wszystko się stało? -- zapytał.

--Co wszystko?

--Kolejne wiadomości na ekranie. I kolejna atakująca nas manifestacja. Beth spojrzała na niego obojętnie.

--A ty co sądzisz, Norman?

--To nie Harry.

--Nie, nie on.

--Więc dlaczego to się stało? -- spytał Norman. Usiadł, otulił się ściślej kocami. Zgiął zabandażowaną nogę w kolanie; bolało, ale bez przesady. Wstał, podszedł do iluminatora i wyjrzał na zewnątrz. Daleko widać było rząd czerwonych światełek na ładunkach wybuchowych, które Beth rozstawiła i uzbroiła. Do tej pory nie rozumiał, dlaczego jej na tym zależało. W całej tej sprawie zachowywała się bardzo dziwnie. Spojrzał ku podstawie habitatu.

Tuż pod iluminatorem również płonęły czerwone światełka. Beth uzbroiła ładunki wybuchowe wokół habitatu.

--Beth, coś ty narobiła?

--Słucham?

--Podłączyłaś ładunki wokół DH- 8.

--Zgadza się, Norman. -- Stała nieruchomo, przypatrując mu się z wielkim spokojem.

--Beth, obiecałaś, że tego nie zrobisz.

--Wiem, ale musiałam.

--Jak są połączone? Skąd się je detonuje, Beth?

--Detonują się automatycznie. Zależy to od aktywacji samoczynnych czujników wibracyjnych.

--Chcesz powiedzieć, że wybuch następuje samoczynnie?

--Tak, Norman.

--Beth, to szaleństwo. Ktoś wciąż wytwarza te manifestacje. Kto to robi, Beth?

Uśmiechnęła się powoli i leniwie jak kot, jak gdyby sprawił jej tajemniczą radość.

--Naprawdę nie wiesz?

Wiedział. Sama myśl o tym przeszywała go dreszczem.

--To ty manifestujesz, Beth.

--Nie, Norman, to nie moja sprawa -- powiedziała ciągle spokojna. -- To twoje dzieło.

06 GODZIN 40 MINUT

Wrócił myślami do praktyki, którą odbywał w trakcie studiów w szpitalu stanowym w Borrego. Miał sporządzić opis stanu pewnego pacjenta. Był to dobiegający trzydziestki dobrze wykształcony i przyjemny w obyciu mężczyzna. Norman rozmawiał z nim o najrozmaitszych sprawach: o skrzyni biegów typu Hydramatic stosowanej w oldsmobile'ach; najlepszych plażach do uprawiania surfingu, niedawnej kampanii prezydenckiej Adlai Stevensona, rzutach baseballisty Whiteya Forda, nawet o teoriach Freuda. Jego rozmówca był wręcz czarujący, choć przypalał jednego papierosa od drugiego i wyczuwało się w nim ogromne napięcie. W końcu Norman zapytał go, dlaczego znalazł się w szpitalu.

Pacjent tego nie pamiętał. Było mu przykro, lecz po prostu nie potrafił sobie przypomnieć. W miarę jak Norman powtarzał pytanie, stał się mniej czarujący, bardziej drażliwy. W końcu rozżościł się i zaczął grozić Normanowi, bijąc pięścią w stół i żądając zmiany tematu rozmowy.

Dopiero wtedy Norman uświadomił sobie, kim był ten mężczyzna: nazywał się Alan Whittier, jako nastolatek zamordował swoją matkę i siostrę w przyczepie mieszkalnej w Palm Desert, po czym zabił jeszcze sześć osób na stacji benzynowej i trzy na parkingu supermarketu, nim wreszcie szlochając, z wyrzutami sumienia i poczuciem winy, oddał się w ręce policji. Whittier znajdował się w szpitalu stanowym od dziesięciu lat i w ciągu tego czasu zdążył brutalnie poturbować kilku pielęgniarzy.

I właśnie teraz był wytrącony z równowagi. Kopał w stół i łomotał krzesłem o ścianę. Norman jeszcze studiował i nie wiedział, jak sobie poradzić. Chciał uciec z pokoju, ale okazało się, że drzwi są zamknięte. Zawsze tak robiono podczas zbierania wywiadu z pacjentami mogącymi dostać ataku szału. Za jego plecami Whittier podniósł stół i rzucił nim o ścianę, po czym ruszył w stronę Normana. Norman przeżył chwilę autentycznej grozy, nim usłyszał szcęk otwieranego zamka. Do środka wpadło trzech zwalistych pielęgniarzy, unieruchomiło Whittiera i wyciągnęło go, wciąż wrzeszczącego i klnącego, na zewnątrz.

Norman udał się do swego opiekuna i zażądał wyjaśnienia, dlaczego to zaaranżowano.

--Zaaranżowano? -- zdziwił się opiekun.

--Zaaranżowano -- potwierdził Norman.

--A czy nie podano panu od razu nazwiska pacjenta? -- spytał opiekun. Norman odpowiedział, że właściwie nie zwrócił na to uwagi.

--Niech pan więc lepiej uważa, Norman -- upomniał go opiekun. -- W takim miejscu zawsze musi się pan mieć na baczności. Zbyt tu niebezpiecznie, by zaniedbać czegokolwiek.

Teraz, spoglądając na Beth, Norman powiedział sobie: Uważaj. Musisz się mieć na baczności, ponieważ masz do czynienia z osobą chorą psychicznie, czego wcześniej nie zauważyłeś.

--Widzę, że mi nie wierzysz -- stwierdziła wciąż bardzo spokojnie Beth. Odebrało ci mowę?

--Nie -- odrzekł Norman.

--Porozmawiajmy. Będziesz rozsądny?

--Pewnie -- odpowiedział, myśląc: To nie ja tu oszalałem.

--W porządku -- kontynuowała Beth. -- Pamiętasz, jak mówiłeś mi o Harrym, że wszystkie dowody wskazują na niego?

--Tak, oczywiście.

--Zapytałeś mnie, czy potrafię podać inne wytłumaczenie, a ja zaprzeczyłam. Istnieje jednak inne wytłumaczenie, Norman. Za pierwszym razem wygodnie dla siebie przemilczałeś pewne prawdy. Choćby meduzy. To twojego braciszka oparzyła meduza i to ty czuleś się później winny. A kiedy odzywał się Jerry? Kiedy ty tu byłeś, Norman. Kiedy kałamarnica zaprzestała ataku? Kiedy ty straciłeś świadomość, Norman. Nie Harry, ale ty.

Jej głos był bardzo spokojny i rozsądny. Uporczywie zastanawiał się nad jej słowami. Czyżby rzeczywiście miała rację?

--Nabierz dystansu, spójrz na to pod szerszym kątem -- ciągnęła Beth. -- Jesteś psychologiem, znalazłeś się na dnie oceanu, wśród garstki naukowców z dziedzin ścisłych. Nic tu nie masz do roboty -- sam tak powiedziałeś. Czy nie przypadło to na okres, kiedy czuleś się odstawiony na bocznicę w życiu zawodowym? Czy przypadkiem nie przeżywasz teraz kłopotów, Norman? Bodajże sam mi powiedziałeś, że trudno ci wytrzymać to, co się z tobą teraz dzieje?

--Tak, ale...

--Kiedy zaczęły się dziać te wszystkie dziwne rzeczy, trzeba było odejść od czysto technicznego pojmowania problemu. Sprawa nabrała psychologicznego zabarwienia. To już twoje poletko, Norman, dziedzina, w której jesteś specjalistą. Nagle stałeś się ośrodkiem uwagi, prawda?

Nie, pomyślał. To nie może być prawda.

--Kto dostrzegł, że Jerry odczuwa emocje, kiedy począł się z nami komunikować? Kto nalegał, by brać te emocje pod uwagę? Nikt z nas się nimi nie interesował, Norman. Barnes chciał tylko odkryć nową broń, Ted -- rozmawiać o nauce, Harry -- bawić się w zagadki logiczne. Jedynie ciebie interesowały emocje.

I to ty manipulowałeś Jerryem -- lub tylko usiłowałeś, bez powodzenia. Ty, Norman. To wszystko przez ciebie.

--To niemożliwe -- zaproponował Norman. Doznawał myślowej gonitwy. Usiłował znaleźć jakiś dowód wykluczający hipotezę i wreszcie wpadł na taki. -- To nie mogę być ja, ponieważ nie byłem w kuli.

--Owszem, byłeś, tylko tego nie pamiętasz.

Czuł się oszołomiony, jakby bez przerwy sypały się na niego ciosy. Nie był w stanie odzyskać równowagi, a nowe razy wciąż na niego spadały.

--Tak samo jak nie pamiętasz, że prosiłam cię o wyszukanie kodów służących do wypuszczenia balonów -- mówiła Beth swym spokojnym głosem. -- Ani że Barnes spytał cię o stężenie helu w Cylindrze E.

Jakież znowu stężenie helu w E? pomyślał. Kiedyż Barnes mnie o to pytał?

--Mnóstwa rzeczy nie pamiętasz, Norman.

--Kiedy znalazłem się w kuli?-- zapytał.

--Przed pierwszym atakiem kałamarnicy, po tym, jak wyszedł z niej Harry.

--Spałem wtedy! Spałem na mojej koi!

--Nie, Norman. Nie spałeś. Wiem to, bo Alice Fletcher poszła po ciebie i cię nie znalazła. Nie mogliśmy cię znaleźć przez dwie godziny, po czym wreszcie pokazałeś się, jeszcze ziewając.

--Nie wierzę ci.

--Wiem. Wolalbyś zwalić problem na kogoś innego. Jesteś na dodatek przebiegły. Jako psycholog potrafisz bardzo zręcznie manipulować ludźmi, Norman. Pamiętasz testy, które przeprowadzałeś? Wsadzanie niczego nie podejrzewających ludzi do samolotu i obwieszczanie im, że pilot dostał ataku serca? Straszanie ich prawie na śmierć? To okrutna manipulacja, Norman. Kiedy tu, na dnie, poczęły dziać się niesamowite rzeczy, potrzebny był ci potwór, więc uczyniłeś nim Harry'ego. Ale to nie Harry nim jest, lecz ty, Norman. To dlatego twój wygląd zmienił się, to dlatego stałeś się odrażający. Ponieważ jesteś potworem.

--Przypomnij sobie wiadomość. "Nazywam się Harry".

--Zgadza się. Jak sam zresztą stwierdziłeś, omyłkę w odczytaniu wywołała osoba, która obawiała się, że na ekranie ukaże się prawdziwe imię.

--Harry -- powtórzył Norman. -- Imię brzmiało Harry.

--A jak ty się nazywasz?

--Norman Johnson.

--A dokładniej?

Zawahał się. Nie wiedzieć czemu usta odmówiły mu posłuszeństwa. W jego myślach panowała próżnia.

--Powie ci -- rzekła Beth. -- Sprawdziłam to. Nazywasz się Norman Harrison Johnson. Nie, pomyślał. Nie, nie, nie. Ona nie może mieć racji.

--Trudno się z tym pogodzić- mówiła Beth powolnym, niemal hipnotyzującym głosem. -- Rozumiem cię. Jeśli jednak się nad tym zastanowisz, uświadomisz sobie, że cały czas chciałeś, by do tego doszło. Chciałeś, bym na to wpadła, Norman. Cóż, ledwie kilka minut temu sam mi powiedziałeś o Czarnoksiężniku z krainy Oz, zgadza się? Pomagałeś mi, gdy nie mogłam wpaść na ślad- przynajmniej podświadomie. Wciąż jesteś spokojny?

--Oczywiście, że tak.

--Dobrze. Zachowaj spokój, Norman. Zastanówmy się nad tym logicznie. Będziesz ze mną współdziałać?

--Czego chcesz ode mnie?

--Chcę cię wyłączyć, Norman, tak jak Harry'ego. Potrząsnął głową.

--To tylko kilka godzin, Norman -- powiedziała, po czym widocznie podjęła decyzję: podeszła do niego szybko ze strzykawką w dłoni.

Ujrawszy błysk światła na igle, wywinął się. Iгла wbiła się w koc. Zrzucił go z siebie i skoczył w stronę drabinki.

--Norman, wracaj tu!

Wspinał się już po szczeblach. Obejrzał się i zobaczył biegnącą ze strzykawką w dłoni Beth. Odepchnął ją stopą, wpadł do jej laboratorium i zatrzasnął za sobą właz.

--Norman!

Zalomotała we właz. Norman stanął na nim, by nie zdołała go podnieść. Beth ciągle weń waliła.

--Normanie Johnson, natychmiast masz otworzyć właz!

--Nie, Beth, bardzo mi przykro.

Urwał. Co mogła zrobić? Nic, pomyślał. Był tu bezpieczny. Nie mogła się do niego dostać, nie mogła mu nic zrobić, dopóki tu się znajdował.

W tym momencie ujrzał obracający się sworzeń w środku włazu, między jego stopami. Beth

**obracała kołem po drugiej stronie.
Zamykając go w środku.**

Jedyne światło paliło się nad ławą laboratoryjną, koło rzędu zgrabnie pomieszczonych w słojach okazów: kalmara, krewetki, jaj gigantycznej kałamarnicy. Nieuważnie przesunął dłoń po słojach. Włączył monitor w laboratorium i naciskał klawisze, dopóki na ekranie nie ujrzął Beth. Z boku widać było wciąż nieprzytomnego Harry'ego.

--Norman, słyszysz mnie?

--Tak, Beth -- powiedział głośno.

--Norman, zachowujesz się nieodpowiedzialnie. Stanowisz zagrożenie dla całej ekspedycji.

Czy to prawda? -- zastanawiał się. Nie czuł się zagrożeniem dla całej ekspedycji. Nie czuł, żeby tak było rzeczywiście. Jak często jednak przychodziło mu w życiu stykać się z pacjentami, którzy odmawiali przyjęcia do wiadomości tego, co się z nimi działo? Dotyczyło to nawet drobiazgów -- choćby w przypadku profesora uniwersytetu, który tak bał się wind, iż z uporem twierdził, że chodzenie po schodach jest dobre dla zdrowia. Wspinał się nawet napiętnaste piętro; odmawiał spotkań w wyższych budynkach; całe swe życie zorganizował tak, by okrażać problem, do którego nawet nie chciał się przyznać. Tak długo go skrywał, aż w końcu dostał zawału. Czy kobieta, którą wyczerpały lata troski o niedorozwiniętą córkę: dała jej fiolkę tabletek nasennych, ponieważ, jak twierdziła, dziewczyna potrzebowała odpoczynku; córka popełniła samobójstwo. Czy świeżo upieczony żeglarz, który radośnie zapakował swoją rodzinę na wycieczkę cataliną podczas silnego sztormowego wiatru, omalże nie zabijając ich wszystkich.

Przychodziły mu do głowy tuziny przykładów. Zaślepienie dotyczące siebie samego było z psychologicznego punktu widzenia sytuacją banalną. Czy wyobrażał sobie, że jest na to odporny? Trzy lata temu wydarzył się pomniejszy skandal, gdy jeden z docentów podczas Święta Pracy wetknął sobie lufę pistoletu do ust i odebrał życie. Opatrzono to nagłówkami: "PROFESOR PSYCHOLOGII POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO. Koledzy wyrażają zdziwienie, twierdząc, że zmarły «był zawsze szczęśliwy»".

Dziekan wydziału mający kłopoty ze zdobyciem funduszy zbeształ Normana w związku z tą sprawą. Trudno mu było pogodzić się z prawdą, iż psychologia jest nauką o poważnych ograniczeniach. Nawet jeśli dysponowało się fachową wiedzą i najlepszymi intencjami, pozostawało mnóstwo rzeczy, których nie wiedziało się o swoich najbliższych przyjaciółach, kolegach, o żonie, dzieciach, mężu.

Ignorancja dotycząca siebie samego była jeszcze większa, Najtrudniejsza ze wszystkiego do zdobycia pozostawała wciąż samowiedza. Niewielu ludziom udawało się ją osiągnąć, być może nawet nikomu.

--Norman, jesteś tam?

--Tak, Beth.

--Uważam, że jesteś dobrym człowiekiem.

Nic nie odpowiedział, przyglądał się jej tylko na monitorze.

--Uważam, że masz spójną osobowość i wierzysz w mówienie prawdy. To dla ciebie trudna chwila, konieczność uświadomienia sobie prawdy o sobie samym. Wiem, że w myślach starasz się znaleźć jakąś wymówkę, obarczyć winą kogoś innego. Sądzę jednak, że potrafisz się z tym pogodzić, Norman. Harry nie był do tego zdolny, ale ty tak. Uważam, że potrafisz pogodzić się z trudną prawdą- iż jak długo jesteś przytomny, stanowisz zagrożenie dla ekspedycji.

Uświadamiał sobie, jak bardzo jest pewna tego, co mówi, słyszał spokojną pewność w jej głosie. Słowa Beth stanowiły jakby tkaninę otulającą jego ciało. Zaczynał patrzeć na sprawy jej oczyma. Była tak spokojna, że musiała mieć rację. Jej stwierdzenia były bardzo przekonujące. Jej myśli były tak usystematyzowane...

--Beth, czy byłaś w kuli?

--Nie, Norman. Twój umysł dalej usiłuje wymyślić jakąś metodę uniknięcia prawdy. Nie byłam w kuli. Ty tam byłeś.

Naprawdę nie przypominał sobie, by się w niej znalazł. W ogóle nie miał na ten temat żadnych wspomnień. Kiedy Harry z niej wyszedł, po jakimś czasie sobie to przypominał. Dlaczego Norman miałby o tym zapomnieć? Dlaczego miałby wyprzeć to ze świadomości?

--Jesteś psychologiem, Norman -- ciągnęła Beth. -- Właśnie ty, najbardziej z nas wszystkich, powinieneś być gotów do przyznania się do istnienia twojego cienia. Ale zabrania ci tego zawodowe założenie, że ty jesteś zdrów na umyśle. Oczywiście, że się do tego nie przyznasz.

Wcale tak nie sądził. Jak miał to jednak rozstrzygnąć? Jak miał zdecydować, czy mówiła prawdę, czy nie? Nie myślał jasno. Ból pulsował w jego kolanie. Przynajmniej co do tego nie miał wątpliwości -- jego zranione kolano było rzeczywiste.

Testowanie rzeczywistości.

Tak właśnie należało to rozwiązać, pomyślał. Testowanie rzeczywistości. Jaki istniał obiektywny dowód, że Norman wszedł do kuli? Wszystko, co działo się w habitacie, było nagrywane na taśmy. Jeśli przed wieloma godzinami Norman wszedł do kuli, gdzie powinna znajdować się taśma rejestrująca, jak samotnie przebiera się w śluzie i wyslizguje na zewnątrz. Beth powinna móc mu ją zaprezentować. Gdzie była taśma?

W łodzi podwodnej, oczywiście.

Jeśli istniała, już dawno się w niej znalazła. Sam mógł ją tam zabrać, gdy wybrał się przestawić mechanizm zegarowy.

Obiektywny dowód był poza jego zasięgiem.

--Norman, dla dobra nas wszystkich, proszę, poddaj się.

Może ma rację, pomyślał. Była tak pewna siebie; jeśli rzeczywiście uchylał się przed prawdą, jeśli narażał ekspedycję na niebezpieczeństwo, powinien się poddać i pozwolić jej się usnąć. Czy mógł zaufać Beth i oddać się w jej ręce? Powinien tak zrobić. Nie ma innego wyboru.

To jednak ja, pomyślał. Niestety ja. Ta myśl była dla niego na tyle przerażająca, że samo w sobie było to podejrzenie. Zły znak, że tak gwałtownie protestuję, pomyślał. Zbyt się opieram.

--Norman?

--Dobrze, Beth.

--Zrobisz to?

--Nie popędzaj mnie. Daj mi minutę, dobrze?

--Pewnie, Norman. Oczywiście.

Spojrzał na magnetowid koło monitora. Przypominał sobie, iż Beth odtwarzała na nim ciągle tę samą taśmę, na której widać było, jak kula się otwiera. Taśma leżała teraz na blacie koło magnetowidu. Wsunął ją w szczelinę i włączył odtwarzanie. Po co miałby to oglądać, pomyślał. Zwleka tylko. Marnuje czas.

Ekran rozjaśnił się. Przez chwilę czekał na pojawienie się znajomego obrazu Beth

jedzącej placek plecami do kamery. To jednak była inna taśma. Stanowiła zapis z kamery przedstawiającej bezpośrednio kulę. Nieruchomą, błyszczącą kulę.

Przyglądał jej się przez parę chwil, ale nic się nie działo. Pozostawała jak zwykle bierna. Wypolerowana, nieruchoma, idealna. Przyglądał się jej jeszcze przez parę minut, lecz nic się nie stało.

--Norman, jeśli otworzę teraz włącz, zejdziesz spokojnie na dół?

--Tak, Beth.

Westchnął i odchylił się w fotelu. Jak długo będzie pozbawiony przytomności? Trochę mniej niż sześć godzin. Nic mu nie będzie. W każdym razie Beth miała rację, musiał się oddać w jej ręce.

--Norman, dlaczego oglądasz tę taśmę?

Obejrzał się szybko. Czy gdzieś tu znajdowała się kamera pozwalająca jej stwierdzić, czym się zajmuje? Tak; wisiała pod sufitem koło awaryjnego wjazdu ewakuacyjnego.

--Norman, dlaczego oglądasz tę taśmę?

--Leżała tu.

--Kto ci powiedział, że możesz ją oglądać?

--Nikt, po prostu tu była- odparł Norman.

--Wyłącz to, Norman. Wyłącz to natychmiast! Nie była już spokojna.

--O co chodzi, Beth?

--Zatrzymaj tę cholerną taśmę!!!

Miał ją zapytać dlaczego, lecz w tym właśnie momencie w polu widzenia kamery na taśmie pojawiła się Beth. Stała koło kuli. Zamknęła oczy i zacisnęła pięści. Zawile rowki na powierzchni rozdzieliły się, ukazując ciemne wnętrza. Mógł przyjrzeć się, jak Beth wchodzi do środka.

Kula zamknęła się za nią.

--Wy cholerni mężczyźni- powiedziała Beth stłumionym, gniewnym głosem. Wszyscy jesteście tacy sami. Nie możecie zostawić niczego w spokoju, żaden z was.

--Okłamałaś mnie, Beth.

--Dlaczego obejrzałeś tę taśmę? Błagałam cię, żebyś tego nie robił. To mogło ci sprawić jedynie ból, Norman. -- Nie była już gniewna; mówiła błagalnie, była bliska łez. Przechodziła raptowne zmiany nastroju. Była chwiejna, nieobliczalna.

I kontrolowała habitat.

--Beth.

--Przykro mi, Norman. Już ci nie mogę zaufać.

--Beth.

--Wyłączyłam dźwięk. Nie zamierzam więcej słuchać...

--...Beth, zaczekaj...

--...twojego gadania. Wiem, jaki jesteś niebezpieczny. Widziałam, co zrobiłeś z Harrym. Jak zamotałeś fakty, by wyszło, że to wina Harry'ego. Och, jak skończyłeś mówić, to była wina Harry'ego. A teraz chcesz zrobić z tego winę Beth, tak? Dobrze, Norman, powiem ci tylko tyle, że to ci się nie uda, ponieważ wyłączyłam cię, Norman. Nie słyszę twoich słodkich, przekonywujących słówek. Nie słyszę twoich manipulacji, więc oszczędź sobie trudu.

Zatrzymał taśmę. Na monitorze ukazała się Beth przy konsoli na dole.

Naciskała na niej klawisze.

--Beth?-- rzekł.

Nie zareagowała; pracowała dalej przy konsoli, mrużąc coś do siebie.

--Jesteś prawdziwym skurwysynem, Norman, wiesz o tym? Czujesz się tak obrzydliwie, że chcesz, by wszyscy czuli się równie podle, jak ty sam.

Mówiła sama do siebie.

--Taki jesteś wylewny, jeśli chodzi o podświadomość. Podświadomość to, podświadomość tamto. Chryste Panie, niedobrze mi się od tego robi. To twoja podświadomość chce nas wszystkich zabić tylko dlatego, że uważasz, że sam nie powinieneś żyć, i chcesz, żeby wszyscy inni zginęli z tobą.

Poczuł przejmujący dreszcz. Beth, z brakiem szacunku dla samej siebie, z głęboko zakorzoną nienawiścią do siebie, weszła do kuli, która obdarzyła ją mocą. Jej myśli nie były jednak stabilne. Beth uważała się za ofiarę ciągle bez powodzenia walczącą ze swoim losem. Była ofiarą mężczyzn, układów, rzeczywistości. W żadnym przypadku nie dostrzegała, że porażki były rezultatem jej własnych działań. I ktoś taki rozstawił wokół habitatu materiały wybuchowe, pomyślał.

--Nie pozwolę ci na to, Norman. Powstrzymam cię, zanim nas wszystkich pozabijasz.

Wszystko, co mówiła, było odwrotnością prawdy. Zaczął już dostrzegać zarys całości.

Beth doszła do tego, jak otworzyć kulę, i udała się do niej w tajemnicy, ponieważ zawsze pociągała ją jej moc -- stale bowiem brakowało jej sił, stale chciała mieć ich więcej. Beth nie była jednak przygotowana, by radzić sobie z mocą, którą otrzymała. Uważała się za ofiarę, musiała więc zaprzeczyć się siły i zaaranżować sytuację, w której padłaby jej ofiarą.

Było to coś zupełnie odmiennego niż w przypadku Harry'ego. Harry wyparł ze świadomości swoje lęki, zmanifestowały się więc wyobrażenia wywołujące lęk. Konkretne, upostaciowane, jak kalamarnice, których bał się Harry. Jednak Beth, zoolog mający na co dzień do czynienia ze zwierzętami, istotami, którym mogła się przyjrzeć i dotknąć, stworzyła abstrakcję. Moc, której nie mogła ani ujrzeć, ani dotknąć. Bezpostaciową abstrakcyjną moc, która chciała dobrać się jej do skóry.

Aby się bronić, otoczyła habitat pierścieniem ładunków wybuchowych. Dość kiepska obrona, pomyślał Norman.

Chyba że w tajemnicy miało się ochotę popełnić samobójstwo.

Dotarła do niego w całej pełni groza położenia.

--Nie uda ci się ta sztuczka, Norman. Nie ze mną. Nie pozwolę na to. Dalej naciskała klawisze na konsoli. Co knuła? Co mogła mu zrobić? Musiał się zastanowić.

Nagle zgasły światła w laboratorium. Chwilę później wyłączyła się wielka nagrzewnica powietrza. Czerwone spirale ściemniały i wystygły.

Odlączyła mu zasilanie.

Jak długo mógł wytrzymać przy wyłączonym ogrzewaniu? Zgarnął koce z leżanki i otulił się w nie. Jak długo wytrzyma bez ogrzewania? Na pewno nie sześć godzin, pomyślał posępnie.

--Przykro mi, Norman, ale musisz zrozumieć moje położenie. Jak długo jesteś przytomny, znajduję się w niebezpieczeństwie.

Może godzinę, pomyślał. Może wytrzymam godzinę.

--Przepraszam, Norman, ale musiałam to zrobić.

Usłyszał cichy syk. Czujnik alarmowy na jego piersi zaczął popiskiwać. Spojrzał na niego i nawet w ciemności dostrzegł, że zszarzał. Natychmiast zrozumiał, co się stało., Beth odcięła mu dopływ powietrza.

05 GODZIN 35 MINUT

Siedział skulony w ciemnościach, nasłuchując popiskiwanego alarmu z czujnika na piersi i syku uciekającego powietrza. Ciśnienie spadało gwałtownie; lupnęło mu w uszach jak w startującym samolocie.

Zrób coś, pomyślał w przyływie paniki.

Nie mógł jednak zrobić nic. Był zamknięty w górnym przedziale Cylindra D. Nie mógł się stąd wydostać. Beth miała kontrolę nad wszystkimi urządzeniami habitatu, włącznie z systemami podtrzymywania życia. Odcięła mu zasilanie, ogrzewanie, a teraz dopływ powietrza. Znajdował się w pułapce. Pod wpływem spadku ciśnienia zakorkowane szczelnie butelki eksplodowały, siejąc wokół kawałkami szkła. Zanurkował pod koce, czując, jak odłamki szarpiają go i rozdzierają. Było mu coraz ciężiej oddychać. Z początku myślał, że to z powodu napięcia, dopiero później dotarło do niego, że to wskutek rozrzedzenia powietrza. Nie pozostało mu wiele czasu do utraty świadomości.

Zrób coś.

Zdawało mu się, że nie może w ogóle wciągnąć powietrza do płuc.

Zrób coś.

Był jednak w stanie myśleć tylko o oddychaniu. Potrzebował powietrza, potrzebował tlenu. Przyszła mu do głowy myśl o apteczce. Czy tam przypadkiem nie było butli z tlenem? Nie był pewny. Chyba sobie przypominał coś takiego... Gdy wstawał, eksplodowała kolejna butla na okazy. Odwrócił się, by uchronić się przed fruującymi odłamkami.

Kurczowo łapał dech, ciężko pracując mięśniami klatki piersiowej. Przed oczyma pojawiły mu się szare plamy.

Po omacku szukał w ciemności apteczki, przesuwał dłoń po ścianie. Dotknął cylindra. Tlen? Nie, za duży -- to gaśnica. Gdzie apteczka? Przesunął dłoń jeszcze dalej. Gdzie?

Wyczuł metalową szafkę z wytłoczonym krzyżem na drzwiczkach. Otworzył ją szarpnięciem i wsadził ręce do środka.

Coraz więcej plam pływało mu przed oczyma. Nie zostało mu wiele czasu.

Dotykał palcami niewielkich buteleczek i miękkich opakowań bandaży. Butli z tlenem nie było. Cholera! Buteleczki posypały się na podłogę, po czym z łoskotem zwały się na nią coś ciężkiego. Nachylił się, przesunął palcami po podłodze, poczuł, jak wbija mu się w nie kawałek szkła, ale nie zwracał na to uwagi. Zamknął dłoń na zimnym metalowym cylindrze. Był niewiele większy od wnętrza jego ręki. Z jednego końca znajdowała się kryza, jakieś wybrzuszenie...

To był aerozol -- jakiś cholerny aerozol. Odrzucił go od siebie. Tlen. Potrzebował tlenu!

Przy łóżku, przypomniał sobie. Przy każdej koi w habitacie znajdowała się awaryjna butla z tlenem. Namacał leżankę, na której sypiała Beth, przesunął dłoń nad nią po ścianie. Gdzieś tu, nad głową, z pewnością musiała być butla. Zaczynał odczuwać zawroty głowy. Nie myślał jasno.

Butli nie było.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to nie była zwykła koja. Miała służyć tylko do chwilowego odpoczynku. Po co w takim razie miałoby umieszczać tu tlen? Szlag! W tym momencie jego dłoń dotknęła metalowego cylindra. Z jednego końca było coś miękkiego. Miękkiego...

Maska tlenowa.

Błyskawicznie wsadził sobie maskę na nos i usta. Namacał butlę, przekręcił karbowany zawór. Usłyszał syk i zaczerpnął zimnego powietrza. Poczul silną falę mdłości, po czym przejaśniło mu się w głowie. Tlen! Poczul się lepiej.

Przesunął dłonią po butli, oceniając jej rozmiary. Była to butla awaryjna, o pojemności ledwie kilkuset centymetrów sześciennych. Na jak długo mogła mu wystarczyć? Niedługo, pomyślał. Kilka minut. Odroczył jedynie wyrok.

Zrób coś.

Nie mógł jednak wpaść na żaden pomysł. Nie miał żadnych możliwości działania. Był zamknięty z zewnątrz.

Przypomniał sobie jednego ze swoich nauczycieli, starego tłustego doktora Temkina. "Zawsze ma się jakiś wybór. Zawsze można coś zrobić. Nigdy nie jest się w sytuacji, w której nie można zrobić nic".

A jednak nie mam wyboru, pomyślał. Nie mam żadnych szans. Poza tym doktor Temkin mówił o leczeniu pacjentów, nie o uciekaniu z zamkniętych pomieszczeń. Temkin nigdy nie znalazł się w podobnej sytuacji. Norman również.

Tlen sprawił, że poczul uderzenie krwi do głowy. A może wynikało to z tego, że już się kończył? Ujrzał przed oczyma szereg swych nauczycieli. Zastanowił się, czy miał do czynienia z projekcją swego życia, jakiej podobno doznają osoby umierające. Byli tu wszyscy: pan Jefferson, który doradzał mu, by poświęcił się raczej karierze prawniczej. Stary Joe Lamper, który mawiał: "Wszystko jest seksem. Wierzcie mi, wszystko sprowadza się ostatecznie do seksu". Doktor Stein, który powiadał: "Nie istnieje oporny pacjent. Pokażcie mi opornego pacjenta, a udowodnię wam, że chodzi o opornego terapeutę. Jeśli od razu nie osiągniecie z pacjentem postępów, zmieńcie metodę, zróbcie cokolwiek innego. Tylko róbcie coś".

Zrób coś!

Stein doradzał wariackie pomysły. Jeśli nie nawiązywało się kontaktu z pacjentem, należało zrobić coś szalonego: ubrać się w bladeński kostium, kopnąć pacjenta, oblać go z pistoletu na wodę, zrobić najdzikszą rzecz, jaka człowiekowi przyszła do głowy, ale coś zrobić.

"Słuchajcie", zwykł być mawiać. "To, co robicie teraz, nie skutkuje. Równie dobrze możecie więc zrobić cokolwiek innego, bez względu na to, jak szalone się to wam wydaje".

Wówczas brzmiało to świetnie, pomyślał Norman. Chciałbym zobaczyć, jak Stein dokonuje oceny tej sytuacji. Co doradziłby mi w tej chwili?

Otwórz drzwi. Nie mogę, zamknęła mnie z zewnątrz. Porozmawiaj z nią. Nie mogę, nie słyszy mnie. Włącz dopływ powietrza. Nie mogę, to ona go kontroluje. Przejmij kontrolę nad układami. Nie mogę, ona to robi. Znajdź właśnie tu coś, co ci pomoże. Nie mogę, nie ma tu nic takiego. To wyjdź. Nie mogę...

Zastanowił się. Nie było to prawdą. Mógł wydostać się rozbijając iluminator czy, jeszcze lepiej, przez właz awaryjny w suficie. Co jednak zrobiłby ze sobą? Nie miał skafandra. Woda była lodowata. Znalazł się w niej na jakieś marne czterdzieści sekund i o mało nie umarł. Gdyby znalazł się w przydennych wodach oceanu, prawie na pewno by zginął. Prawdopodobnie uległby śmiertelnemu ochłodzeniu, nim jeszcze wewnątrz wypełniłoby się wodą. Na pewno by zginął.

W myślach ujrzał Steina podnoszącego krzaczaste brwi z sarkastycznym grymasem twarzy. "No i co? I tak umrzesz. Co masz do stracenia?"

W myślach Normana poczęły formować się załączki planu. Gdyby otworzył właz, może udałoby mu się dotrzeć do włazu w Cylinderze A, dostać z powrotem do środka i włożyć skafander. Wtedy nic by mu nie groziło.

Gdyby tylko zdołał dotrzeć do włazu. Ile to mogło zabrać? Trzydzieści sekund? Minutę? Czy zdołałby tak długo wstrzymać oddech? Czy wytrzymałby tak długo zimno?

I tak umrzesz.

I wtedy pomyślał: Ty cholerny głupcze, trzymasz w rękach butlę z tlenem, na pewno ci go wystarczy, jeśli nie będziesz stał i biadolilił. Ruszaj w drogę.

Nie, pomyślał, jest coś jeszcze, o czym zapomniałem.

Do dzieła!

Przestał więc się zastanawiać i wspiał do włazu pod wierzchem cylindra. Wstrzymał oddech, zebrał siły i odkręcił koło zamykające właz.

--Norman! Norman, co ty wyprawiasz! Norman! Osza... -- słowa Beth zginęły w ryku lodowatej wody wlewającej się jak potężny wodospad do środka habitatu i zalewającej laboratorium.

W momencie gdy znalazł się na zewnątrz, zrozumiał swój błąd. Potrzebował balastu. Jego ciało unosiło się w górę, chciało podążyć ku powierzchni. Zacerpnął ostatni oddech z butli, odrzucił ją i desperacko uchwycił się zimnych rur na zewnątrz habitatu, widząc, że jeśli się nie utrzyma, jak korek pomknie w stronę powierzchni. Dotrze do niej i eksploduje jak balon.

Przytrzymując się rur, przesuwając dłoń za dłonią opuścił się w dół, wypatrując kolejnych rur, kolejnych występów, których mógłby się przytrzymać. Przypominało to odwrotność górskiej wspinaczki; jeśli puściłby, spadłby w górę i zginął. Ręce mu natychmiast zdrętwiały, ciało zeszytniało od zimna, poruszał się ślamazarnie. W płucach go paliło.

Miał bardzo mało czasu.

Dotarł do dna, wcisnął się pod Cylinder D, ruszył pod nim, w mroku wymacując drogę do włazu. Nie było go! Właz zniknął! Dopiero po chwili uświadomił sobie, że znajduje się pod Cylindrem B. Przeciągnął się pod Cylinder A, namacał właz. Był zamknięty. Pociągnął za koło. Było zablokowane. Pociągnął jeszcze silniej, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu.

Został odcięty na zewnątrz.

Ogarnął go niewymowny strach. Nie mógł prawie w ogóle się poruszać z zimna. Wiedział, że zostało mu jeszcze najwyżej kilka sekund świadomości. Musiał otworzyć właz. Zaczął lomotać w niego, w jego uszczelkę, nic nie czując zdrętwiałymi dłońmi.

Koło poczęło obracać się samo. Pokrywa włazu odsłoczyła. Musiał przypadkowo nacisnąć guzik uruchamiający go w trybie awaryjnym, musiał..

Wyskoczył nad powierzchnię wody, zacerpnął tchu i osunął się z powrotem. Znow uniósł się w górę, nie mógł jednak dźwignąć się do śluzy. Był na to zbyt odrętwiały. Jego mięśnie zeszytniały, ciało nie słuchało komend wydawanych przez mózg.

Musisz to zrobić, powiedział sobie. Musi ci się udać. Palcami chwycił metal. Ześliznęły się. Złapał ponownie. Jedno podciągnięcie, pomyślał. Jedno ostatnie podciągnięcie. Dźwignął pierś nad obrzeże włazu i klapnął na metalowe dno cylindra. Nie był w stanie zrobić czegokolwiek więcej, tak było mu zimno. Skręcił się, usiłując wciągnąć nogi, i z powrotem zwałił się w lodowatą wodę.

Nie!

Podciągnął się ostatni raz -- skręcając się, odpychając, ledwie utrzymując równowagę; udało mu się wsunąć drugą nogę; naprawdę jej nie czuł, w końcu wydobył się z wody, osunął się na podłogę śluz.

Trząśnięty. Bez powodzenia usiłował wstać. Całe ciało trzęsło się tak potężnie, że nie był w stanie utrzymać równowagi.

Po drugiej stronie śluz ujrzał wiszący na ścianie kombinezon. Widział hełm z nadrukiem JOHNSON. Przerażliwie dygocząc, począł pełznąć w jego stronę. Usiłował ponownie wstać, znów bez skutku. Buty kombinezonu znalazły się na wprost jego twarzy. Usiłował je chwycić, ale nie mógł zacisnąć na nich palców. Usiłował złapać skafander zębami i na nich się podciągnąć, ale niepowstrzymanie szczękały.

Zachrobotał interkom.

--Norman! Wiem, o co ci chodzi, Norman!

Lada chwila Beth mogła się tu znaleźć. Musiał włożyć kombinezon. Gapił się na niego z odległości kilku cali, wciąż jednak trzęsły mu się ręce i nie mógł nic począć. W końcu dostrzegł przy pasie pętlę do noszenia instrumentów. Wyciągnął dłoń. Wetknął jakoś palce w pętlę i zdołał się ich przytrzymać. Podciągnął się w górę. Udało mu się po kolei wetknąć stopy w nogawice skafandra.

--Norman!

Sięgnął po hełm. Zanim zdołał go ściągnąć ze ściany i włożyć na głowę, wystukał na nim stacatto. Przekręcił go i usłyszał cmoknięcie chwytającej uszczelki.

Wciąż było mu bardzo zimno. Dlaczego nie działało ogrzewanie? Dopiero do niego dotarło, że zasilanie jest odłączone. Akumulator znajdował się w zasobniku na butle. Norman cofnął się pod wiszący na ścianie zasobnik, wciągnął go na ramiona i zatoczył się pod jego ciężarem. Musiał podłączyć złącze... sięgnął za plecy, namacał je... przytrzymał... zatknął w gniazdko w pasie... trafił w końcu.

Usłyszał szczęknięcie.

Zaszemrał wiatraczek.

Poczuł pokrywające całe ciało długie bolące pasy. Elementy grzejne przyparowały o ból jego wychłodzoną skórę. Na całym ciele czuł igły i szpilki. Beth coś mówiła -- słyszał ją przez interkom -- ale nie zwracał uwagi na jej słowa. Opadł na podłogę, oddychając ciężko.

Wiedział już, że nic mu nie będzie. Ból zmniejszył się, w głowie robiło mu się coraz przejrzystej, nie trząśnięty już tak okropnie. Przemarzał, lecz nie na tyle, by nabawić się odmrożeń. Szybko wracał do siebie.

Radio potrzaskiwało.

--Nigdy się do mnie nie dobierzesz, Norman! Wstał, podciągnął pas z balastem, zapiał sprzączki.

--Norman!

Nie odpowiadał. Było mu już zupełnie ciepło, czuł się normalnie.

--Norman! Dookoła mnie są ładunki wybuchowe! Jeśli się zbliżysz, wysadzę cię! Zginiesz, Norman! Nigdy mnie nie dostaniesz!

Norman nie szedł jednak do Beth. Miał całkowicie odmienny plan. Słyszał syk przy wyrównywaniu się ciśnienia w skafandrze. Wskoczył z powrotem do wody.

05 GODZIN 00 MINUT

Kula lśniła w świetle. Norman dostrzegł swe odbicie w doskonale wypolerowanej powierzchni. Rozpadło się na części, rozbite przez rowkowanie, gdy ruszył ku odwróconej od niego stronie.

Kuwejściu.

Wygląda jak usta, pomyślał. Jak paszcza jakiegoś prymitywnego stworzenia, mającego go pożreć. Stojąc naprzeciwko kuli, po raz kolejny widząc obcy układ rowków, poczuł, jak jego zdecydowanie słabnie. Nagle odczuł lęk. Nie był pewny, czy uda mu się Wyjść z niej cało.

Nie bądź głupi, powiedział sobie. Udało się i Harry'emu, i Beth. Przeżyli.

Przyjrzał się rowkowaniu, jakby szukając w nim potwierdzenia. Nie zdołał jednak zaczerpnąć zeń żadnej pociechy. Były to jedynie rowki w wypolerowanym, połyskującym w świetle metalu.

No dobrze, pomyślał w końcu. Zrobię to. Przeszedłem to wszystko, dotrwałem do tej chwili, mogę zrobić równie dobrze i to.

No już, otwieraj się.

Kula jednak się nie otworzyła. Pozostała dokładnie taka sama, jak wcześniej wypolerowana, lśniąca, idealna.

Jakie było przeznaczenie tego tworu? Chciałby je zrozumieć.

Ponownie przypomniał sobie doktora Steina. Jak brzmiało jego ulubione powiedzonko? "Zrozumienie to gra na zwłokę". Stein czasami się denerwował, kiedy studenci ostatniego roku wdawali się w intelektualne dyskusje, rozwodząc się nad pacjentami i ich problemami. Zdenerwowany, przerywał: "Kogo to obchodzi? Kogo obchodzi, czy zrozumiemy psychodynamikę tego przypadku? Macie ochotę zrozumieć, jak się pływa, czy wskoczyć do wody i pływać? Tylko ludzie, którzy boją się wody, chcą wiedzieć, jak to się robi. Inni wskakują i moczą się".

No dobrze, pomyślał Norman. Zmoczę się.

Odwrócił się ku niej i pomyślał: Otwórz się.

Kula się nie otworzyła.

--Otwórz się -- powiedział na głos.

Kula się nie otworzyła.

Wiedział, oczywiście, że to nie poskutkuje, ponieważ Ted biedził się nad tym godzinami. Gdy Harry i Beth wchodzili do środka, nie mówili ani słowa. Dokonywali jedynie jakiejś myślowej operacji.

Zamknął oczy, skupił uwagę i pomyślał: Otwórz się.

Otworzył oczy i spojrzał na kulę. Wciąż była zamknięta.

Jestem gotowy na twoje otwarcie, pomyślał. Teraz jestem gotowy.

Nic się nie stało. Kula się nie otworzyła.

Norman nie zastanowił się nad możliwością, iż nie będzie zdolny jej otworzyć. Przecież udało się to pozostałej dwójce. Jak to osiągnęli?

Obdarzony logicznym umysłem Harry pierwszy do tego doszedł. Jednak wydedukował to dopiero po tym, jak obejrzał zarejestrowane na taśmie otwarcie kuli. Na taśmie znajdowała się więc jakaś poszlaka, ważna poszlaka.

Beth również bez przerwy oglądała taśmę, dopóki wreszcie nie doszła, jak to zrobić. Coś,

co można było zobaczyć na taśmie...

Fatalnie, że nie miał jej do dyspozycji. Widział ją jednak tak często, że mógłby ją zrekonstruować, odtworzyć jeszcze raz w myślach. Jak to szło? Zobaczył przed oczyma obrazy: Beth i Tina rozmawiają, Beth je placek. W końcu Tina powiedziała coś o taśmach przenoszonych do łodzi podwodnej. Beth coś odpowiedziała. Później Tina wyszła poza kadr, skąd powiedziała: "Czy kiedykolwiek uda się otworzyć kulę?"

Beth odpowiedziała: "Nie wiem. Może". W tym właśnie momencie kula otworzyła się. Dlaczego?

"Czy kiedykolwiek uda się otworzyć...?" -- zapytała Tina. W odpowiedzi na to pytanie Beth musiała wyobrazić sobie otwartą kulę, właśnie w takiej postaci musiała ujrzeć ją w myślach...

Rozległ się niski, basowy pomruk. Towarzyszyła mu wypełniająca całą halę wibracja. Szeroko otwarte wejście ziało czernią.

O to właśnie chodzi, pomyślał. Trzeba to sobie unaocznic, i kula się otwiera. Znaczyło to także, że jeśli wyobrazi sobie wejście zamknięte...

Z kolejnym pomrukiem kula się zamknęła.

...lub otwarte...

Znow się otworzyła.

--Lepiej nie kusić losu -- powiedział na głos. Wejście wciąż było otwarte. Zajrzał przez nie, lecz w środku nie dostrzegł nic poza głęboką, nie zróżnicowaną ciemnością, Teraz lub nigdy, pomyślał.

Wszedł do środka.

Kula zamknęła się za nim.

Panuje tu ciemność, po czym, gdy jego oczy przystosowują się do niej, dostrzega coś w rodzaju robaczek świętojańskich. Jest to roztańczona, świetlista piana, miliony świetlnych punkcików kołujących wokół niego.

Co to? -- myśli. Widzi jedynie pianę. Nie ma struktury ani najprawdopodobniej granic. To przepływający ocean, lśniąca, wielopowierzchniowa piana. Odczuwa wielkie piękno i spokój. Cudowny spokój.

Porusza dłońmi, nagarnia w nie piany, ten ruch sprawia, że piana skłębia się. Dostrzega jednak w tej samej chwili, że jego dłonie stają się przejrzyste, że widzi przez nie migoczącą pianę. Opuszcza wzrok na swe ciało. Nogi, tułów, wszystko staje się przezroczyste wobec piany. Jest jej częścią. Uczucie to jest bardzo przyjemne.

Staje się coraz lżejszy. Wkrótce unosi się i szybuje w bezgranicznym oceanie piany. Zakłada ręce na kark i szybuje. Jest szczęśliwy. Czuje, że na zawsze mógłby zostać w tym oceanie.

Uświadamia sobie obecność w oceanie czegoś jeszcze, jakiejś innej istoty.

--Jest to ktoś? -- mówi. Jestem tutaj:

Prawie podskakuje, głos jest tak donośny. Albo taki się tylko wydaję. Po chwili zastanawia się, czy słyszał cokolwiek.

--Ty mówisz? Nie.

Jak się porozumiewamy?-- zastanawia się.

Tak jak wszystko porozumiewa się ze wszystkim.

To znaczy?

Dlaczego pytasz, jeśli już znasz odpowiedź?

Ależ nie znam jej.

Piana porusza nim łagodnie i delikatnie, lecz tym razem nie otrzymuje odpowiedzi. Znów się zastanawia, czy jest sam.

Jesteś tu?

Tak.

Myślałem, że odszedłeś.

Nie można donikąd odejść.

To znaczy, że jesteś uwięziony w kuli?

Nie.

Odpowiesz mi na pytanie? Kim jesteś?

Nie jestem kim.

Jesteś Bogiem?

Bóg to słowo.

Chodzi mi o to, czy jesteś wyższą istotą, wyższą świadomością?

Wyższą niż co?

Wyższą niż ja, założmy.

Jak wysoki jesteś?

Niezbyt, myśli. Przynajmniej tak sobie wyobrażam.

Cóż, w takim razie to twój kłopot.

Unosząc się w pianie, odczuwa niepokój na myśl, że Bóg sobie z niego żartuje.

To dowcip? -- myśli.

Dlaczego pytasz, skoro znasz już odpowiedź?

Mówię... z Bogiem?

Nie mówisz z nikim.

Bardzo dosłownie bierzesz to, co mówię. Czy to dlatego, że pochodzisz z innej planety?

Nie.

Pochodzisz z innej planety?

Nie.

Pochodzisz z innej cywilizacji?

Nie.

Skąd jesteś?

Dlaczego pytasz, skoro znasz już odpowiedź?

Kiedy indziej zdenerwowałaby go taka odpowiedź. Teraz jednak nie doznaje żadnych emocji. Nie wydaje sądów. Po prostu rejestruje informacje, odpowiedzi.

Ale ta kula jest wytworem innej cywilizacji, myśli.

Tak.

Może też pochodzi z innego czasu.

Tak.

Nie jesteś częścią kuli?

Teraz jestem.

Więc skąd jesteś?

Dlaczego pytasz, skoro znasz już odpowiedź?

Piana kołysze nim delikatnie, przesuwa go.

Jeszcze tu jesteś?

Tak. Nie można donikąd odejść.

Obawiam się, że nie jestem zbyt dobrze zorientowany w kwestiach religijnych. Jestem psychologiem. Zajmuję się tym, jak myślą ludzie. W czasie nauki nie dowiedziałem się zbyt dużo o religii.

Tak, rozumiem.

Psychologia nie ma wiele wspólnego z religią.

Oczywiście.

Zgadzasz się więc?

Zgadzam się z tobą.

To pocieszające.

Nie wiem dlaczego.

Kim jestem?

Rzeczywiście, kim?

Kołysze siew pianie, jest mu dobrze mimo trudności w dialogu.

Czuję niepokój, myśli.

Powiedz dlaczego, Czuję niepokój, ponieważ mówisz tak jak Jerry.

Można się było tego spodziewać.

Jerry był jednak w rzeczywistości Harrym.

Tak.

Więc ty też jesteś Harrym?

Nie. Oczywiście, że nie.

Kim jesteś?

Nie jestem nikim.

Dlaczego więc mówisz jak Jerry czy Harry?

Ponieważ wywodzimy się z tego samego źródła.

Nie rozumiem.

Kiedy patrzysz w lustro, co widzisz?

Widzę siebie.

Rozumiem.

To nieprawda?

To zależy od ciebie.

Nie rozumiem.

To, co widzisz, zależy od ciebie.

To już wiem. Wszyscy to wiedzą. To psychologiczny truizm, klisza.

Rozumiem.

Reprezentujesz obcą inteligencję?

Reprezentujesz obcą inteligencję?

Dość trudno mi się z tobą rozmawia. Udzielisz mi mocy?

Jakiej mocy?

Tej samej, co Beth i Harry'emu. Mocy stwarzania rzeczy siłą wyobraźni. Udzielisz mi jej?

Nie.

Dlaczego nie?

Ponieważ już ją masz.

Nie czuję, żebym ją miał.

Wiem.

Dlaczego więc twierdzisz, że mam moc?

Jak się tu dostałeś?

Wyobraziłem sobie, że wejście się otwiera.

Tak.

Kołysze się w pianie, oczekuje dalszego ciągu odpowiedzi, ten jednak nie nastaje. Istnieje jedynie łagodny ruch piany, spokojna beczasowość i wrażenie Senności.

Po upływie jakiegoś czasu myśli: Przepraszam, ale chciałbym, byś mi wyjaśnił, a nie mówił zagadkami.

Na waszej planecie istnieje zwierzę zwane niedźwiedziem. Jest to wielkie zwierzę, czasami dorównujące wam wielkością, chytre i przebiegłe. Ma mózg tej samej wielkości co wy. Niedźwiedź różni się jednak od was w jednej ważnej kwestii. Nie może wykonywać czynności, którą nazywacie wyobrażaniem. Nie potrafi tworzyć umysłowych projekcji, jak mogłaby wyglądać rzeczywistość. Nie zna pojęć, które określacie jako przeszłość i przyszłość. Właśnie ta zdolność zapewniła waszemu gatunkowi obecną wielkość. Nic innego. Nie wasze podobieństwo do małp, nie to, że używacie narzędzi, nie przemoc, język, troska o młode czy zbieranie się w grupy. Nic z tych rzeczy, stwierdza sieje bowiem i u innych zwierząt. Wasza wielkość polega na wyobraźni.

Zdolność wyobrażania sobie to największa część tego, co nazywacie inteligencją. Wydaje się wam, że zdolność wyobrażania sobie jest tylko użytecznym krokiem na drodze do rozwiązania jakiegoś problemu czy wcielenia jakiegoś planu w życie. Jednak ma to miejsce wyłącznie dzięki wyobraźni.

Jest to dla waszego gatunku jednocześnie dar i zagrożenie, nie zdecydowaliście się bowiem na kontrolowanie swojej wyobraźni. Wyobrażacie sobie rzeczy wspaniałe i straszne, nie przyjmując żadnej odpowiedzialności za wybór. Twierdzicie, że tkwi w was zdolność czynienia złego i dobrego, anioł i diabeł -- w rzeczywistości obdarzeni jesteście jednak wyłącznie jednym talentem. Wyobraźnią.

Mam nadzieję, że podobało ci się to wystąpienie, ponieważ zamierzam wygłosić je na kolejnym spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologów i Pracowników Socjalnych, które odbędzie się w marcu w Houston. Sądzę, że zostanie całkiem nieźle przyjęte.

Co? -- myśli zaskoczony.

A wyobrażałeś sobie, że z kim rozmawiasz? Z Bogiem?

Kim jesteś?

Tobą, oczywiście.

Ale jesteś kimś innym niż ja, oddzielnym ode mnie. Nie jesteś mną... Owszem, jestem. Wyobraziłeś mnie sobie. Mów dalej. To już wszystko.

Policzkiem dotykał zimnego metalu. Przetoczył się na plecy i wpatrzył się w polerowaną powierzchnię kuli, zakrzywiającej się nad nim. Wzór rowków oznaczających wejście ponownie się zmienił.

Podniósł się. Był spokojny i odprężony, jakby długi czas przespał. Doznawał uczucia, jakby przyśnił mu się cudowny sen. Pamiętał wszystko bardzo wyraźnie.

Przeszedł przez statek z powrotem na pokład załogi, po czym jeszcze dalej, korytarzem oświetlonym lampami ultrafioletowymi do pomieszczenia, w którym znajdowały się pojemniki dla członków załogi.

Teraz były pełne. W każdym znajdował się człowiek.

Dokładnie tak, jak myślał. Beth zmanifestowała jednego członka załogi samotną kobietę - jako ostrzeżenie dla nich. Teraz rządził Norman, i wszystkie hibernatory były pełne.

Nieźle, pomyślał.

Rozejrzał się po sali i pomyślał: Boże, niech znikną, wszyscy po kolei.

Jeden po drugim członkowie załogi zaczęli znikać, dopóki nie został sam.

Niech się pojedynczo pojawiają z powrotem.

Na jego życzenie członkowie załogi zmaterializowali się powtórnie.

Sami mężczyźni.

Kobiety zmieniły się w mężczyzn.

Same kobiety.

Wszyscy zmienili się w kobiety.

Był obdarzony mocą.

02 GODZINY 00 MINUT

--Norman! -- Syczący głos Beth niósł się z głośników w pustym statku. -- Gdzie jesteś, Norman? Wiem, że gdzieś tu się kryjesz. Czuję to, Norman.

Przeszedł przez kuchnię obok stołu z pustymi puszkami po coca- coli, przez masywną grodz na pokład załogi. Ujrzał twarz Beth na wszystkich ekranach. Powtórzona tuzin razy Beth zdawała się go widzieć.

--Norman, wiem, gdzie byłeś. Wszedłeś do kuli, tak?

Przycisnął otwartą dłońią konsolę, chcąc wyłączyć ekrany. Nie udało mu się; wciąż były włączone..

--Norman, odpowiedz mi. Norman! Przeszedł przez pokład załogi w stronę służy.

--Nic ci to nie pomoże, Norman. Ja teraz rządę, słyszysz mnie, Norman? Zatrzasnął hełm. Powietrze ze zbiorników było chłodne i suche. Nasłuchiwał swego równego oddechu.

--Norman -- zabrzmiał głos Beth w interkomie hełmu. -- Dlaczego się do mnie nie odzywasz? Boisz się, Norman?

Denerwowało go, że bez przerwy powtarza jego imię. Nacisnął guzik otwierający służę. Do wnętrza poczęła błyskawicznie napływać woda. Jej poziom podnosił się szybko.

--Och, tu jesteś, Norman. Widzę cię! -- zawołała, krztusząc się z«śmiechu. Norman obrócił się i zobaczył kamerę zamontowaną na robocie wciąż znajdującym się koło służy. Pchnął kamerę w drugą stronę.

--Nic ci to nie pomoże, Norman.

Wyszedł ze statku i zatrzymał się koło służy Rzędy ładunków tevacu ciągnęły się nierównymi liniami czerwonych światełek, wyglądających jak pas startowy, zaprojektowany przez szalonego inżyniera lotniczego.

--Norman? Dlaczego mi nie odpowiadasz, Norman?

Beth zachowywała się chaotycznie, nieobliczalnie. Słysząc to było nawet w jej głosie. Musiał pozbawić ją broni, jeśli tylko zdoła, odłączyć ładunki. Odłączyć je, pomyślał. Trzeba było je odłączyć i rozbroić. Na jego myślową komendę czerwone światełka natychmiast zgasły. Niezłe, pomyślał. Chwilę później światełka zapaliły się z powrotem.

--Nie możesz tego zrobić, Norman -- powiedziała ze śmiechem Beth. -- Nie mnie. Potrafię stawić ci czoło.

Wiedział, że miała rację. Uzbrojenie i rozbrojenie ładunków stanowiło potyczkę, próbę siły woli obu stron. Ich konfliktu nie można było rozstrzygnąć w ten sposób. Musiał uciec się do czegoś bardziej bezpośredniego...

Podszedł do najbliższego z ładunków. Z bliska stożek był wyższy, niż mu się wydawało. Miał ze cztery stopy wysokości, na jego czubku mrugało czerwone światełko.

--Widzę cię, Norman. Widzę, co robisz.

Na szarej powierzchni stożka widniał napis wykonany żółtymi literami. Norman nachylił się, by go odczytać. Wizjer hełmu miał trochę zaparowany, ale mógł rozróżnić słowa.

NIEBEZPIECZEŃSTWO -- MATERIAŁ WYBUCHOWY TEVAC

MARYNARKA USA WYŁĄCZNIE DO CELÓW BUDOWLANÝCH I

WYBURZEŃIOWÝCH

CZAS OPÓŹNIENIA DETONACJI 20 minut INSTRUKCJA W REGULAMINIE USN W

512- A

UŻYCIE WYŁĄCZNIE PRZEZ OSOBY UPOWAŻNIONE

NIEBEZPIECZEŃSTWO -- MATERIAŁ WYBUCHOWY TEVAC

Pod spodem widniała reszta tekstu, wypisana mniejszymi literami, których nie mógł odczytać.

--Norman! Co ty wyprawiasz z moimi materiałami wybuchowymi? Norman!

Nie odpowiedział. Przyjrzał się okablowaniu. Do podstawy stożka dochodził jeden kabel, a wychodził zeń drugi, prowadzący po mulistym dnie do kolejnego stożka, połączonego także jedynie dwoma kablami.

--Odejdź stamtąd, Norman. Denerwujesz mnie. Jeden kabel dochodził, jeden odchodził.

Beth połączyła ładunki szeregowo, jak w sznurze lampek choinkowych! Wyrwawszy jeden kabel, Norman był w stanie unieszkodliwić wszystkie ładunki. Wyciągnął dłoń i uchwycił kabel w rękawicę.

--Norman, nie dotykaj tego kabla. Norman!

--Nie denerwuj się, Beth.

Zwarł palce na kablu. Pod rękawicą poczuł miękką plastikową izolację. Zacisnął silnie pięść.

--Norman, jeśli wyciągniesz kabel, spowodujesz detonację ładunków. Przysięgam ci -- wywalisz w cholerę siebie, mnie, Harry'ego i wszystko, Norman!

Nie wierzył. Beth kłamała. Beth straciła panowanie nad sobą. Była niebezpieczna i znów kłamała.

Pociągnął. Poczuł napinający się kabel.

--Nie rób tego, Norman... Kabel naprężył się w jego dłoni.

--Chyba wyłączę interkom, Beth.

--Na miłość boską, uwierz mi, Norman, dobrze? Zabijesz nas wszystkich! Wciąż się wahał. Czyżby mówiła prawdę? Czyżby znała się na podłączaniu ładunków wybuchowych? Spojrzał na wielki szary stożek na dnie, sięgający mu do pasa. Co by czuł w chwili wybuchu? Czy poczulby cokolwiek?

--Do diabła z tym- zdecydował. Wyciągnął kabel.

Wycie syreny we wnętrzu helmu sprawiło, że podskoczył. Małutki ekranik z płynnych kryształów u góry jego wizjera migotał raptownie:

ALARM... ALARM,...

--Och, Norman, cholera by cię wzięła. Jednak to zrobiłeś.

Ledwie słyszał jej głos przez wycie alarmu. Czerwone światełka ładunków migaly wzdłuż całego statku kosmicznego. Przygotował się w duchu na wybuch.

Wycie alarmu jednak ucichło, zastąpione głębokim, wibrującym męskim głosem, który powiedział: Proszę o uwagę. Proszę o uwagę. Cały personel budowy ma natychmiast opuścić strefę wybuchu. Materiał wybuchowy tevac przygotowany do detonacji. W tym momencie rozpoczyna się odliczanie wsteczne. Do detonacji dwadzieścia minut zero zero sekund, odliczanie w toku.

Czerwony wskaźnik na stożku zaczął prezentować zmniejszające się liczby. 20:00... 19:59... 19:58...:

Ten sam odczyt ukazał się na krystalicznym ekranie w jego helmie.

Chwilę zabrało mu uświadomienie sobie, co to oznacza. Zagapiwszy się w stożek, jeszcze raz odczytał nadruk:

WYŁĄCZNIE DO CELÓW BUDOWLANYCH I WYBURZENIOWYCH.

Oczywiście! Tevac nie stanowił materiału wybuchowego stosowanego w walce, używano go jedynie przy budowach i burzeniu. W ładunki były wbudowane mechanizmy opóźniające -- odwlekające detonację o dwadzieścia minut, by robotnicy mieli czas się wycofać.

Dwadzieścia minut na ucieczkę, pomyślał. Mnóstwo czasu.

Norman odwrócił się i ruszył jak najszybciej w stronę DH- 7 i łodzi podwodnej.

01 GODZINA 40 MINUT

Szedł spiesznie, ale równym krokiem. Nie odczuwał wysiłku. Oddychał bez trudu. W skafandrze było mu wygodnie. Wszystkie układy działały gładko. Odchodził.

--Norman, proszę...

Beth poczęła go błagać -- jeszcze jedna nieprzewidziana zmiana nastroju. Norman ignorował ją, Szedł dalej ku łodzi podwodnej. Głęboki nagrany głos stwierdził: Proszę o uwagę. Cały personel ma natychmiast opuścić teren. Dziewiętnaście minut, odliczanie w toku.

Norman doznawał niezwyklego uczucia celowości działania, mocy. Nie żywił więcej żadnych złudzeń. Nie miał żadnych pytań. Wiedział, co ma zrobić.

Musiał się uratować.

--Nie wierzę, że to robisz, Norman. Nie wierzę, że nas porzucasz. Uwierz w to, pomyślał. Przecież jaki miał wybór? Beth nie panowała nad sobą i była niebezpieczna. Za późno, by ją ratować -- w istocie niebezpiecznie było w ogóle się do niej zbliżać. Beth miała mordercze zamiary. Raz już usiłowała go zabić i prawie jej się to powiodło.

Harry znajdował się pod narkozą od trzynastu godzin; był już prawdopodobnie klinicznie martwy, nastąpiła śmierć mózgu. Norman nie miał żadnych powodów, by zawracać.

Łódź była już blisko. Widział uchwyty wystające z żółtej powierzchni.

--Norman, proszę... Potrzebuję cię. Przepraszam, pomyślał, ale ja stąd znikam.

Przeszedł pod bliźniaczymi śrubami napędowymi, pod wymalowaną na kadłubie nazwą "Deepstar III. Wspiął się po uchwytach i wszedł do wnętrza kopuły.

--Norman...

Stracił z nią kontakt radiowy. Był teraz zupełnie sam. Otworzył właz i wszedł do środka łodzi. Odblokował zatrzaski hełmu i zdjął go.

Proszę o uwagę. Osiemnaście minut, odliczanie w toku.

Zasiadł w wyściełanym fotelu sternika, zwrócił się ku instrumentom. Konsola zapaliła się, rozjaśnił się też ekran bezpośrednio naprzeciwko niego.

DEEPSTAR III -- MODUŁ DOWODZENIA Czy potrzebujesz pomocy? Tak Nie Skasować Nacisnął "Tak". Odczekał, aż zabłyśnie kolejne hasło.

Przykro mu było z powodu Beth i Harry'ego; żał mu było ich zostawiać. Obydwoje jednak, w odmienny sposób, ponieśli klęskę, ponieważ nie znali swego wewnętrznego ja, przez co stali się podatni na złe aspekty udzielanej przez kulę mocy. Była to klasyczna omyłka naukowców, ów triumf myśli racjonalnej nad nieracjonalną. Naukowcy odrzucali uznanie swej irracjonalnej strony, nie chcieli przyznać, że ona również jest ważna. Zajmowali się jedynie tym, co dało się zracjonalizować. Dla naukowca wszystko miało sens, a jeśli nie miało, za przykładem Einsteina zbywał on to jako rzeczy "czysto osobiste".

Czysto osobiste, pomyślał z przyływem pogardy. Ludzie zabijali się nawzajem z przyczyn "czysto osobistych".

DEEPSTAR III -- WYKAZ OPCJI Zanurzenie Zabezpieczenie Monitorowanie Norman nacisnął "Wynurzenie". Na ekranie pojawił się szkic tablicy przyrządów z migającym rejonem. Czekał na kolejne instrukcje.

Tak, to prawda, pomyślał. Naukowcy nie chcą mieć do czynienia z tym, co irracjonalne. Irracjonalna strona natury jednak nie przestaje istnieć, jeśli się o niej nie myślało. Wręcz przeciwnie, pozostawiona bez dozoru, nabiera w człowieku mocy, Nie pomaga również

narzekanie wszystkich tych, którzy w niedzielnych dodatkach załamują ręce i jęczą nad wrodzoną skłonnością człowieka do przemocy i siania zniszczenia. Nie tak wygląda radzenie sobie z irracjonalnością. To jedynie formalna akceptacja porażki w tym dziele.

Obraz na ekranie zmienił się jeszcze raz:

DEEPSTAR III -- KOLEJNOŚĆ CZYNNOŚCI PRZY WYNURZENIU 1. Nastawić dmuchawy balastu na: Włączone Przejsć do następnej czynności Skasować Norman nacisnął klawisze na desce, uruchamiając dmuchawy, i czekał na pojawienie się kolejnej instrukcji.

Poza tym, w jaki sposób naukowcy podchodzili do własnych badań? Wszyscy zgadzali się co do tego, że nie można ich powstrzymać. Jeśli my nie skonstruujemy bomby, zrobi to ktoś inny. Wkrótce jednak bomba znalazła się w rękach nowych ludzi, którzy twierdzili: Jeśli my nie użyjemy bomby, zrobi to ktoś inny.

W tym momencie naukowcy stwierdzili, że ci nowi są straszni i nieodpowiedzialni. My, naukowcy, jesteśmy w porządku, ale tamci stanowią prawdziwy problem.

Prawda jednak wyglądała tak, iż odpowiedzialność zaczynała się od każdej jednostki, od poczynionego przez nią wyboru. Każdy człowiek dysponował możliwością wyboru.

Cóż, pomyślał Norman, już nic nie mógł zrobić dla Harry'ego i Beth. Musiał ratować się sam.

Usłyszał głęboki szum włączonych generatorów i wibrację uruchomionych śrub. Na ekranie pojawiło się:

DEEPSTAR III -- INSTRUMENTY POKŁADOWE URUCHOMIONE

No to jedziemy, powiedział sobie, z zaufaniem kładąc dłonie na przyrządach. Czuł, jak łódź reaguje na jego polecenia.

Proszę o uwagę. Siedemnaście minut, odliczanie w toku.

Gdy śruby zaczęły się obracać, we wnętrzu kopuły wzbil się skłębiony osad. Miniaturowa łódź podwodna wysliznęła się spod kopuły. Pomyślał, że przypomina to prowadzenie samochodu. Nic nadzwyczajnego.

Zawrócił powolnym łukiem od DH- 7 do DH- 8. Znajdował się dwadzieścia stóp nad dnem, wystarczająco wysoko, by śruby nie wzbijały osadu.

Zostało jeszcze siedemnaście minut. Przy maksymalnej prędkości wynurzenia 6,6 stopy na sekundę -- szybko, bez wysiłku przeliczył dane -- dotrze na powierzchnię w dwie i pół minuty.

Miał mnóstwo czasu.

Podpłynął łodzią w stronę DH- 8. Oświetlały go bladożółte reflektory. Musiała spadać moc zasilania. Widział uszkodzenia habitatu -- strumienie pęcherzyków unoszące się z nadwerężonych cylindrów A i B, pogięty metal Cylindra D i ziejącą dziurę w doszczętnie zalany Cylindrze E. Uszkodzony habitat ginał.

Po co podpłynął tak blisko? Zmrużywszy oczy wpatrzył się w iluminatory, dopiero złapał się na tym, że chce jeszcze rzucić okiem, jeśli mu się uda, na Harry'ego i Beth. Po raz ostatni chciał zobaczyć Beth, stojącą przy iluminatorze i w maniakałnym gniewie wygrażającą mu pięścią. Chciał ujrzeć nieprzytomnego, nie reagującego Harry'ego. Chciał uzyskać potwierdzenie, że ma rację, porzucając ich.

Dostrzegł jednak tylko gasnące powoli światła habitatu. Odczuł rozczarowanie.

--Norman.

--Tak, Beth? -- Odpowiedział jej, czuł się teraz swobodnie. Dłonie trzymał na przyrządach

sterowniczych łodzi, w każdej chwili mógł zacząć się wynurzać. Nie mogła mu już nic zrobić.

--Norman, naprawdę jesteś sukinsyn.

--Usiłowałaś mnie zabić, Beth.

--Nie chciałam cię zabić, Norman. Nie miałam wyboru.

--No i dobrze. Ja też nie mam wyboru. -- Czuł, że ma rację, wypowiadając te słowa. Lepiej, żeby przeżyła choć jedna osoba. Lepiej niż nikt.

--Zamierzasz nas zostawić?

--Tak, Beth.

Przesunął dłoń ku regulatorowi szybkości wynurzenia i nastawił ją na 6,6 stopy.

Był gotów do wynurzenia.

--Zamierzasz zwać?-- Dosłyszał pogardę w jej głosie.

--Zgadza się, Beth.

--Właśnie ty, który wmawiałeś nam, że powinniśmy się trzymać razem?

--Przepraszam, Beth.

--Musisz się bardzo bać, Norman.

--Wcale się nie boję. -- Rzeczywiście, czuł się silny i pewien siebie, nastawiając instrumenty, przygotowując się do wynurzenia. Czuł się lepiej niż w ciągu ostatnich dni.

--Norman -- powiedziała. -- Pomóż nam, proszę cię. Proszę.

Te słowa odezwały się echem w jego podświadomości, wzbudzając uczucia troskliwości, zawodowej odpowiedzialności, czysto ludzkiego współczucia. Przez chwilę wahał się, opuściła go siła i przekonanie o swej słuszności. Wziął się jednak w garść i potrząsnął głową.

--Przepraszam, Beth, na to już za późno.

Nacisnął klawisz "Wynurzenie", usłyszał ryk przedmuchiwanych zbiorników balastowych. "Deepstar III" zakolysała się. Habitat przesunął się w dół. Norman ruszył w stronę znajdującej się tysiąc stóp powyżej powierzchni.

Czarna woda, żadnego odczucia ruchu poza wskazaniem świecącej tablicy przyrządów. Jeszcze raz począł w myślach odtwarzać przebieg zdarzeń, jak gdyby już był poddany dochodzeniu. Czy słusznie postąpił, pozostawiając dwie osoby na dnie?

Bez wątplenia tak. Kula była wytworem obcego, nieznanego pochodzenia, nadającym człowiekowi moc urzeczywistniania swych myśli. Bardzo dobrze, tylko że istoty ludzkie obdarzone są rozszczeniem umysłu, rozszczeniem swych procesów myślowych, prawie jakby dysponowały dwoma oddzielnymi mózgami. Świadomość można było poddać kontroli i nie sprawiała kłopotu. Podświadomość jednak, nieokiełznana i puszczona bez dozoru, okazywała się niszczycielska i destruktywna, gdy mogły zrealizować się płynące z niej impulsy.

Kłopot z osobami takimi jak Beth czy Harry polegał na tym, iż były dosłownie niezrównoważone. Ich świadomości uległy przerostowi, natomiast nigdy nie poświęcali uwagi swym podświadomościom. Na tym polegała różnica między nimi a Normanem. Jako psycholog Norman wiedział co nieco o podświadomości. Nie kryła dla niego niespodzianek.

Dlatego właśnie Harry i Beth manifestowali potwory, a Norman nie. Norman znał swoją podświadomość. Nie czyhały w niej na niego żadne potwory.

Nie. Żle.

Zaskoczyła go gwałtowność, raptowność tej myśli. Czy rzeczywiście się mylił? Jeszcze raz zastanowił się uważnie i zdecydował, że mimo wszystko ma rację. Beth i Harry zostali wydani

na pastwę potworów swej podświadomości, Norman jednak nie. Norman znalazł siebie samego; tamci nie.

Strach, jaki mogą wywołać obce istoty, nie jest poznany i z góry nie da się przewidzieć. Najprawdopodobniejszą konsekwencją takiego kontaktu jest jednak paraliżująca zgroza.

Wpadło mu do głowy sformułowanie z jego raportu. Dlaczego właśnie teraz przyszło mu do głowy? Napisał go przecież wiele lat temu.

Doznając uczucia zgrozy, ludzie bardzo źle radzą sobie z podejmowaniem decyzji.

Jednak Norman się nie bał. Doznawał uczucia siły i pewności siebie. Miał plan, który realizował. Dlaczego przyszedł mu do głowy ten raport? W swoim czasie porządnie się nad nim namęczył, zastanawiając się nad każdym zdaniem... Dlaczego teraz o nim myślał? Kłopotalo go to pytanie.

Proszę o uwagę. Szesnaście minut, odliczanie w toku.

Przejrzał wskazania instrumentów. Znajdował się na głębokości dziewięciuset stóp i szybko wynurzał. Nie mógł już zawrócić.

A dlaczego miałby rozważać powrót?

Dlaczego przyszło mu to do głowy?

Wznosząc się przez ciemną wodę, doznawał coraz większego wrażenia rozszczepienia, w swej istocie niemal schizofrenicznego. Czuł, że coś jest nie w porządku. Nad czymś się nie zastanowił.

Co jednak mógł przegapić? Nic, zdecydował, ponieważ w odróżnieniu od Beth i Harry'ego był w pełni świadomy; zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się w nim działo.

Tylko że naprawdę w to nie wierzył. Całkowita świadomość mogła być celem dla filozofów, w rzeczywistości nie dawało się jej osiągnąć. Świadomość przypominała kamyk tworzący zmarszczki na powierzchni nieświadomości. Rozszerzanie się świadomości tworzyło jedynie coraz większe obszary nieświadomości. Ciągłe mnóstwo zjawisk znajdowało się poza jej granicami, poza jej zasięgiem. Nawet dla psychologa ze szkoły humanistycznej.

Stein, jego dawny profesor: "Zawsze ma się swój cień".

Co wyrabia teraz cień Normana? Co dzieje się w podświadomej, niedostępnej dla niego części umysłu?

Nic. Wynurzaj się dalej.

Poruszył się niespokojnie w fotelu sternika. Tak desperacko chciał się wynurzyć, czuł taką pewność siebie.

Nienawidzę Beth. Nienawidzę Harry'ego. Nie cierpię przejmowania się nimi, troszczenia o nich. Nie chcę się więcej nimi zajmować. To nie moja odpowiedzialność. Chcę się sam uratować. Nienawidzę ich. Nienawidzę ich.

Był wstrząśnięty. Wstrząsnęły nim jego własne myśli, ich nieprzejednanie.

Muszę wracać, pomyślał.

Jeśli wrócę, zginę.

Jakaś inna część jego istoty stawała się jednak z każdą chwilą silniejsza. Beth powiedziała prawdę: to Norman twierdził, że powinni trzymać się razem, współpracować. Jak mógł ich teraz porzucić? Nie wolno mu było tego zrobić. Sprzeciwiało się to wszystkiemu, w co wierzył, wszystkiemu co ważne i ludzkie.

Musiał wrócić.

Boję się wracać.

Wreszcie, pomyślał. Wyszło szydło z worka. Lęk tak silny, że zaprzeczał jego istnieniu, lęk, który kazał mu zracjonalizować porzucenie pozostałej dwójki.

Nacisnął klawisze, zatrzymując wynurzenie się. Gdy począł opadać na dno, stwierdził, że trzęsą mu się ręce.

01 GODZINA 30 MINUT

Łódź podwodna spoczęła łagodnie na dnie koło habitatu. Norman przeszedł do śluzy łodzi i zalał ją. Chwilę później zszedł po burcie i ruszył w stronę habitatu. Stożki tevacu z mrugającymi światełkami wprowadzały dziwnie świąteczną atmosferę.

Proszę o uwagę. Czternaście minut, odliczanie w toku.

Oszacował, ile mu będzie potrzeba czasu. Minuta na dostanie się do środka. Pięć, może sześć na ubranie Beth i Harry'ego w skafandry. Kolejne cztery minuty na dotarcie do łodzi i wciągnięcie ich do środka. Dwie lub trzy minuty na wynurzenie.

Ledwie mu wystarczy czasu.

Przeszedł między gigantycznymi pylonami wspornikowymi pod habitat -- Więc wróciłeś, Norman- powiedziała Beth przez interkom.

--Tak, Beth.

--Dzięki Bogu -- rzekła i zaczęła płakać. Znajdował się pod Cylindrem A, jej szlochanie dobiegało do niego wyraźnie. Znalazł pokrywę wjazdu, obrócił koło. Pokrywa nie otworzyła się.

--Beth, otwórz wjazd.

Płakała -- słyszał to przez interkom -- ale nie odpowiedziała.

--Beth, słyszysz mnie? Otwórz wjazd. Płakała jak dziecko, szlochała histerycznie.

--Norman, proszę, pomóż mi, proszę cię.

--Staram się ci pomóc, Beth. Otwórz wjazd.

--Nie mogę.

--Co to znaczy, nie możesz?

--To nic nie da.

--Beth -- łagodził. -- No już uspokój się.

--Nie mogę tego zrobić, Norman.

--Oczywiście, że możesz. Otwórz wjazd, Beth.

--Nie powinieneś być wracać, Norman. Nie miał czasu na dyskusje.

--Beth, weź się w garść i otwórz wjazd.

--Nie, Norman. Nie mogę. I od nowa poczęła płakać.

Sprawdził wszystkie wjazdy po kolei. W Cylindrze B zamknięty. W Cylindrze C zamknięty. W Cylindrze D zamknięty.

Proszę o uwagę. Trzydzieści minut, odliczanie w toku.

Stał przy Cylindrze E, zatopionym podczas wcześniejszego ataku. Widział ziejącą dziurę o nierównych brzegach w jego zewnętrznej powłoce. Była wystarczająco duża, by wejść przez nią do środka, ale miała ostre brzegi. Gdyby rozerwał skafander...

Nie, zdecydował, to zbyt ryzykowne. Przeszedł pod spód cylindra. Czy był tu wjazd?

Znalazł wjazd i obrócił koło. Otworzył go z łatwością. Pchnął w górę okrągłą pokrywę i usłyszał, jak z łoskotem opada na wewnętrzną ściankę.

--Norman? To ty?

Podciągnął się do wnętrza. Dysząc z wysiłku, przesunął się na łokciach i kolanach po spodzie cylindra. Zamknął z powrotem wjazd i znieruchomiał na chwilę, by złapać tchu.

Proszę o uwagę. Dwadzieścia minut, odliczanie w toku.

Chryste, już? -- pomyślał.

Obok jego helmu przepłynęło coś białego. Szarpnął się w tył, uświadomił sobie, że to

jedynie pudełko płatków kukurydzianych. Kiedy go dotknął, rozpadło mu się w rękach; płatki poczęły opadać jak żółty śnieg.

Znajdował się w kuchni. Koło kuchenki dojrzał kolejny właz, prowadzący do Cylindra D. Cylinder D nie był zalany, co oznaczało, że w jakiś sposób musi wypełnić gazem Cylinder E.

Rozejrzał się, w suficie dojrzał grodz prowadzącą do sali odpraw; w ścianie była wyrwana dziura. Wspiął się tam, jak mógł najszybciej. Musiał znaleźć jakieś zbiorniki z gazem. Wewnątrz było ciemno, mrok rozświetlał jedynie odbłask reflektorów, sączący się przez rozdartą ścianę. W wodzie unosiły się obicia i wykładziny. Coś go dotknęło. Obrócił się na pięcie i ujrzał czarne włosy otaczające twarz. Gdy odsunęły się na bok, ujrzał, że jest straszliwie zniekształcona.

Tina.

Norman zadrzał i odepchnął od siebie ciało. Powoli odplynęło skośnie w górę.

Proszę o uwagę. Jedenaście minut, odliczanie w toku.

Wszystko dzieje się za szybko, pomyślał. Zostało mu bardzo mało czasu. Powinien być już wewnątrz habitatu.

W świetlicy nie było żadnych zbiorników. Wrócił do kuchni, zatraskując właz nad sobą. Rozejrzał się po kuchni, palnikach. Otworzył drzwi piecyka i ze środka wydobył się pęcherz powietrza uwięzionego w piekarniku.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał, gdy zobaczył, że gaz nie przestaje się wydobywać stałym ciągiem pęcherzyków.

Stały ciąg pęcherzyków.

Co takiego powiedział Barnes o gotowaniu pod ciśnieniem? Było w tym coś niezwykłego, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć co. Korzystali z gazu? Tak, ale potrzebowali też więcej tlenu. Znaczyło to...

Szarpięciem odciągnął kuchenkę od ściany, postępując przy tym z wysiłku. Znalazł to, o co mu chodziło. Przysadzista butla z propanem, a obok niej dwa niebieskie zbiorniki.

Butle z tlenem.

Niezgrabnymi palcami w rękawicach przekręcił rozwidlające się zawory. Gaz począł z rykiem wydobywać się z końcówek. Jego pęcherze unosiły się pod sufit, gdzie coraz bardziej spychały wodę w dół.

Otworzył drugą butlę z tlenem. Poziom wody opadł gwałtownie najpierw do jego pasa, potem po kolana. I tyle. Zbiorniki opróżniły się. Nieważne, poziom był wystarczająco niski.

Proszę o uwagę. Dziesięć minut, odliczanie w toku.

Norman otworzył grodz do Cylindra D i wszedł do nie zatopionych pomieszczeń habitatu. Światło było mętne. Ściany pokrywała osobliwa zielona, śliska pleśń.

Na leżance spoczywał wciąż nieprzytomny Harry z przewodem od kroplówki ciągnącym się do żyły. Norman wyciągnął igłę, wypłynęło kilka kropel krwi. Norman dźwignął go, przerzucił sobie przez ramię i poniósł przez wnętrze cylindra. \

Beth wciąż płakała do interkomu.

--Norman, nie powinieneś być wracać.

--Gdzie jesteś, Beth? Na monitorze przeczytał:

DO DETONACJI 09:32.

Czas płynął stanowczo zbyt szybko.

--Zabierz Harry'ego i odpłyn, Norman. Płyńcie obaj. Zostawcie mnie tutaj.

--Powiedz mi, gdzie jesteś, Beth.

Szedł dalej, z Cylindra D do C. Nigdzie jej nie widział. Ciało Harry'ego ciążyło mu na ramieniu, utrudniając przejście przez grodz.

--To nic nie da, Norman.

--Daj spokój, Beth...

--Wiem, że jestem zła, Norman. Wiem, że nic mi nie pomoże.

--Beth... -- Słyszał jej głos w słuchawkach, nie był więc w stanie jej zlokalizować. Nie mógł jednak zaryzykować zdjęcia helmu, nie teraz.

--Zasluguję na śmierć, Norman.

--Bzdury, Beth.

Proszę o uwagę. Dziewięć minut, odliczanie w toku.

Zabrział nowy alarm -- przerywane buczenie w miarę upływu sekund stające się coraz głośniejsze i bardziej natarczywe.

Znalazł się w Cylindrze B -- płataninie rur i oprzyrządowania. Kiedyś było tu czysto i kolorowo, teraz wszystkie powierzchnie pokrywała śliska pleśń. Gdzieś zwieszały się jej włochate pasma. Cylinder B przypominał moczary w dżungli.

--Beth...

Nie odzywała się. Musi być właśnie tu, pomyślał. Cylinder B stanowił ulubione miejsce Beth, skąd mogła rządzić habitatem. Złożył Harry'ego na posadzce i oparł go o ścianę. Harry osunął się, uderzając głową w podłogę. Zakrztusił się i otworzył oczy.

--Chryste. Norman?

Norman podniósł rękę, dając Harry'emu znak, by był cicho.

--Beth?-- powiedział głośno.

Odpowiedzi nie było. Norman zaczął przechodzić wśród pokrytych pleśnią rur.

--Beth?

--Zostaw mnie, Norman.

--Nie mogę, Beth. Ciebie też zabieram.

--Nie, zostaję tu, Norman.

--Beth -- nalegał -- nie mam czasu na dyskusje z tobą.

--Zostaję, Norman. Tylko na to zasługuję. Zobaczył ją.

Wklinowana między rury Beth siedziała skulona w kącie, płacząc jak dziecko. W dłoni trzymała jeden z harpunów z wybuchową głowicą. Spojrzała na niego błagalnie.

--Och, Norman -- westchnęła. -- Chciałeś nas zostawić...

--Przepraszam, myliłem się.

Ruszył w jej stronę, wyciągając ręce. Zwróciła ku niemu harpun. -- Nie, miałeś rację. Miałeś rację. Chcę teraz, żebyś się stąd wyniósł.

Nad jej głową zobaczył podwieszony monitor, na którym nieodwracalnie odmierzone były umykające sekundy: 08:27... 08:26...

Mogę to zmienić, pomyślał. Chcę, by odliczanie się zatrzymało. Na monitorze nadal odmierzany był czas.

--Nie możesz mnie pokonać -- powiedziała skulona w kącie Beth. Jej oczy gorzały furiacką energią.

--Widzę.

--Nie zostało dużo czasu. Chcę, żebyś się stąd zabierał.

Pewną dłonią trzymała skierowany w jego stronę harpun. Nagle odczuł absurdalność sytuacji: wrócił, by ratować kogoś, kto nie chciał być uratowany. Co teraz miał począć? Beth siedziała wciśnięta w kąt, poza jego zasięgiem. Nie mógł jej pomóc. Ledwie zostało mu czasu, by samemu uciec, nie mówiąc o zabraniu Harry'ego.

Harry, pomyślał nagle. Gdzie jest Harry?

Chcę, żeby Harry mi pomógł.

Zastanawiał się jednak, czy wystarczy na to czasu; sekundy nieodwracalnie uciekały, zostało trochę ponad osiem minut.

--Wróciłem po ciebie, Beth.

--Odejdź -- rzekła. -- Odejdź, Norman.

--Beth,przecież...

--Nie, Norman! Mówię poważnie. Odejdź! Dlaczego nie idziesz? -- Obudziły się jej podejrzenia; zaczęła rozglądać się wokół siebie. W tej samej chwili wyłonił się za nią Harry z wzniesionym wielkim kluczem. Zamachnął się, uderzył ją z przyprawiającym o mdłości odgłosem w głowę. Osunęła się na podłogę.

--Zabiłem ją? -- spytał Harry.

Męski głęboki głos powiedział: Proszę o uwagę. Osiem minut, odliczanie w toku.

Norman skupił się na odmierzającym sekundy zegarze. Zatrzymaj się. Koniec odliczania.

Kiedy jednak spojrzal na niego ponownie, odliczanie trwało. Alarm -- czyżby odgłos alarmu przeszkadzał mu w koncentracji? Spróbował raz jeszcze.

Koniec odliczania. Niech się natychmiast zatrzyma. Odliczanie nie ustało.

--Daj sobie spokój -- powiedział Harry. -- To nie skutkuje.

--Ale powinno poskutkować- rzekłNorman.

--Nie -- odpowiedział mu Harry. -- Beth nie straciła do końca przytomności. Leżąca u ich stóp Beth jęknęła. Jej noga drgnęła.

--W jakiś sposób wciąż sprawuje kontrolę -- zauważył Norman. -- Jest bardzo silna.

--Może jej coś wstrzykniemy?

Norman potrząsnął głową. Nie było czasu wracać po strzykawkę. Poza tym gdyby zrobili jej zastrzyk, który nie podziałałby, straciliby następne sekundy.

--Uderzyć ją ponownie? -- zastanawiał się na głos Harry. -- Mocniej? Zabić ją?

--Nie- rzekł Norman..

--Zabić ją to jedyny sposób, aby...

--Nie -- powtórzył Norman, myśląc: Nie zabiliśmy cię, Harry, kiedy mieliśmy okazję.

--Jeśli jej nie zabijesz, nie uda ci się niczego zrobić z mechanizmem zegarowym -- zauważył Harry. -- Więc lepiej zwiewajmy, gdzie pieprz rośnie.

Rzucili się w stronę śluzy, unosząc Beth ze sobą.

--Ile jeszcze czasu zostało? -- spytał Harry. Znajdowali się w śluzie Cylindra A, usiłując ubrać Beth w skafander. Pojękiwała, krew zlepiała włosy na jej potylicy. Stawiała niewielki opór, jeszcze bardziej utrudniając sprawę.

--Chryste, Beth... ile jeszcze zostało, Norman?

--Siedem i pół minuty, może mniej.

Udało im się wetknąć w skafander jej nogi, szybko powtórzyli to samo z rękami, zaciągnęli zamki błyskawiczne. Uruchomili podawanie powietrza. Norman pomógł Harry'emu naciągnąć skafander.

Proszę o uwagę. Siedem minut, odliczanie w toku.

--Jak myślisz, ile zabierze nam dostanie się na powierzchnię? -- zapytał Harry.

--Dwie i pół minuty od dostania się do łodzi -- odpowiedział Norman.

--Świetnie -- rzekł Harry.

Norman zatrzasnął uszczelki helmu Harry'ego. -- Ruszamy Harry opuścił się do wody, Norman podał mu nieprzytomną Beth. W skafandrze i ze zbiornikami była ciężka.

--Dalej, Norman! Norman wskoczył do wody.

Koło łodzi podwodnej Norman próbował wspiąć się do włazu, ale nie przycumowana łódź kołysała się we wszystkie strony pod jego ciężarem. Stojący na dnie Harry usiłował pchnąć Beth w jego stronę, ale Beth bez przerwy zginała się w pasie. Starając się ją uchwycić, Norman odpadł od łodzi i osiadł na dnie.

Proszę o uwagę. Sześć minut, odliczanie w toku.

--Pospiesz się, Norman! Zostało sześć minut!

--Słyszałem, do cholery!

Norman podniósł się z dna, wspiął z powrotem na łódź, jego skafander i rękawice były jednak teraz śliskie od mułu. Harry odliczał:

--Pięć dwadzieścia dziewięć... pięć dwadzieścia osiem... pięć dwadzieścia siedem... --

Norman chwycił ramię Beth, ale wysliznęło mu się.

--Cholera, Norman, przytrzymaj ją!

--Staram się!

--Masz, pcham ją jeszcze raz.

Proszę o uwagę. Pięć minut, odliczanie w toku.

Wysokie wycie alarmu nie milkło teraz nawet na chwilę. Musieli krzyczeć, by się słyszeć.

--Harry, podaj mi ją...

--Trzymaj...

--Pudło...

--Masz...

Norman schwycił w końcu wąż doprowadzający powietrze tuż przy helmie Beth. Obawiał się, że może go wyrwać, musiał jednak zaryzykować. Zaciśnawszy ręce na węźle, podciągnął Beth, póki nie spoczęła na wierzchu łodzi koło niego. Zaczął przepychać ją przez wąż.

--Cztery dwadzieścia dziewięć... cztery dwadzieścia osiem...

Miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Udało mu się wetknąć jedną nogę Beth do włazu, lecz druga, ugięta, zaklinowała się o pokrywę. Za każdym razem, gdy zginał się, by wyprostować jej nogę, cała łódź przechylała się i ponownie zaczynał tracić równowagę.

--Cztery piętnaście... cztery czternaście...

--Może tak przestaniesz liczyć i coś zrobisz!

Harry wsparł się o łódź podwodną, własnym ciężarem starając się powstrzymać jej kołysanie. Norman pochylał się do przodu i wyprostował kolano Beth; bez dalszych kłopotów

wśliznęła się przez właz. Norman wszedł za nią. Był to właz przeznaczony na jedną osobę, ale Beth była nieprzytomna i nie mogła naciskać guzików. Musiał to zrobić w jej zastępstwie.

Proszę o uwagę. Cztery minuty, odliczanie w toku.

Gniótl się w śluzie wraz z Beth, przyciśnięty pierś o pierś, objając się swym hełmem o jej. Z trudnością zamknął właz nad głową. Wściekły przyływ sprężonego powietrza usunął z wnętrza wodę; nie podtrzymywana przez nią Beth osunęła się ciężko na niego.

Sięgnął koło niej do dźwigni włazu wewnętrznego. Ciało Beth zatarasowało mu dostęp. Usiłował się koło niej jakoś przecisnąć. W ograniczonej przestrzeni nie mógł nią manewrować. Ciężyla na nim jak balast; usiłował ją przesunąć, by dostać się do włazu.

Cała łódź poczęła się kołysać -- to Harry wchodził, po burcie.

--Co, do cholery, tam wyprawiacie?

--Harry, racz się zamknąć!

--No dobrze, dlaczego zwlekasz?

Normanowi udało się zamknąć dłoń na dźwigni wewnętrznego włazu. Pchnął w dół, lecz właz ani drgnął; zawiasy były tak przymocowane, że właz otwierało się do siebie. Nie mógł go otworzyć, znajdując się w śluzie jednocześnie z Beth. Było zbyt ciasno; jej ciało uniemożliwiało otwarcie włazu.

--Harry, mam kłopoty.

--Jezu Chryste... Trzy minuty trzydzieści sekund.

Norman zaczął się pocić. Rzeczywiście znaleźli się w kłopotach.

--Harry, muszę ci ją podać i sam wejść do środka.

--Jezu, Norman...

Norman zalał śluzę i powtórnie otworzył górny właz. Harry z trudnością utrzymywał równowagę na powierzchni łodzi. Uchwycił Beth za przewód powietrzny i przyciągnął ku sobie.

Norman wyciągnął rękę, by zamknąć właz.

--Harry, wydobądź jej stopy ze śluzы, dobrze?

--Staram się utrzymać tu jakoś na nogach.

--Nie widzisz, że blokujesz stopami... -- Zdenerwowany, sam odepchnął nogi Beth. Właz zamknął się ze szczękiem. Owiało go powietrze. Śluz się uszczelnila.

Proszę o uwagę. Dwie minuty, odliczanie w toku.

Był już w środku łodzi. Instrumenty zapłonęły zielenią.

Otworzył wewnętrzny właz.

--Norman?

--Wsadź ją do środka- najszybciej, jak możesz- przynaglił.

Myślał jednak o tym, że znaleźli się w dramatycznej sytuacji: przynajmniej trzydzieści sekund na spuszczenie Beth do włazu i kolejne trzydzieści na wejście Harry'ego. Łącznie minuta...

--Jest w środku. Napelniaj właz.

Norman rzucił się w stronę włączników dmuchaw, usunął wodę z włazu.

--Jak ci się udało zrobić to tak szybko, Harry?

--Tak jak Matka Natura pozwala ludziom przedostawać się przez ciasne wyjścia. -- Nim Norman zdążył zapytać, o co chodziło Harry'emu, otworzył właz i zobaczył, że Harry wepchnął Beth do niego głową naprzód. Uchwycił ją za ramiona i opuścił na podłogę łodzi, po czym z

powrotem zatrzasnął właz. Chwilę później usłyszał szum powietrza, gdy tym razem Harry przedmuchiwał śluzę.

Szczęknął właz łodzi. Harry wszedł do środka.

--Chryste, minuta czterdzieści -- ponaglał Harry. -- Wiesz, jak tym sterować? -- Tak.

Norman usadowił się w fotelu, złożył dłonie na przyrządach. Usłyszeli loskot silnika. Łódź zakolysała się i uniosła nad dno.

--Minuta trzydzieści sekund Powiedziałeś, że ile zabiera wynurzenie?

--Dwie trzydzieści -- odpowiedział Norman, nastawiając szybkość wynurzenia. Dojechał do krańca skali, do 6,6 stopy na sekundę.

Usłyszeli wysokie wycie powietrza wypełniającego komory balastowe. Dziób łodzi uniósł się w górę. Łódź ruszyła ku powierzchni.

--Nie da się szybciej? -- Nie.

--Chryste.

--Nie denerwuj się, Harry.

Spoglądając w dół, widzieli oświetlony habitat oraz długie rzędy ładunków wybuchowych rozstawionych wzdłuż statku kosmicznego. Wzniesli się koło wysokiego statecznika, minęli go. Otoczyła ich wyłącznie czarna woda.

--Minuta dwadzieścia.

--Dziewięćset stóp -- odczytał Norman. Wrażenie ruchu było niewielkie, o tym, że się wynurzali, informowały ich jedynie wskazania instrumentów pokładowych.

--To nie dość szybko -- rzekł Harry. -- Na dole jest od cholery i ciut ładunków. To dość szybko, pomyślał Norman, poprawiając go.

--Fala uderzeniowa zgniecie nas jak puszkę sardynek -- powiedział Harry, potrząsając głową.

Fala uderzeniowa nie wyrządzi nam krzywdy, myślał Norman z absolutną pewnością.

Osiemset stóp.

--Czterdzieści sekund- odliczał Harry.-- Nie damy rady.

--Damy.

Znajdowali się już na siedmiuset stopach i szybko wznosili. Od przesączającego się światła słonecznego woda miała już niebieskawe zabarwienie.

--Trzydzieści sekund -- oznajmił Harry. -- Ile jeszcze do powierzchni? Dwadzieścia dziewięć... dwadzieścia osiem...

--Sześćset dwadzieścia stóp -- poinformował go Norman. -- Sześćset dziesięć.

Spoglądali w dół. Ledwie mogli dostrzec nikle punkciki światel habitatu.

Beth zakrztusiła się.

--Za późno -- powiedział Harry. -- Wiedziałem od razu, że nam się nie uda.

--Owszem, uda się- stwierdził Norman.

--Dziesięć sekund -- odliczał Harry. -- Dziewięć... osiem... Trzymaj się! Norman przycisnął Beth do piersi, gdy eksplozja wstrząsnęła łodzią. Zatoczyła się jak bąk, odwróciła do góry dnem, po czym wyprostowała się i szarpnęła w górę jak kopnięta.

--Mamo! -- krzyknął Harry, ale wciąż się wznosili. Nic im się nie stało. Udało się!

--Dwieście stóp -- odczytał Norman. Woda na zewnątrz była już jasnoniebieska. Ponaciskał parę klawiszy, zwolnił tempo wynurzania się. Robili to za szybko.

Harry krzyczał i walił Normana po plecach.

--Udało nam się! Jasna cholera, skurczybyku, udało się nam! Przeżyliśmy! Nigdy bym nie pomyślał! Przeżyliśmy!

Łzy w oczach Normana utrudniały mu odczytywanie wskazań instrumentów.

W chwilę później musiał zmrużyć oczy, gdy wynurzyli się na powierzchnię. Do środka wlało się jaskrawe światło słońca, w którym ujrzeli spokojne morze, niebo i barankowate obłoczki.

--Widzisz to?! -- krzyczał Harry wprost do ucha Normana. -- Widzisz to?!

Jest cholerny pogodny dzień!

Obudziwszy się, Norman ujrzał snop światła padającego przez pojedynczy iluminator na chemiczną toaletę w rogu komory dekompresyjnej. Leżąc na prycy rozejrzał się po komorze -- poziomym walcu pięćdziesięciostopowej długości. Na jego środku znajdował się metalowy stolik i krzesła, za niewielką przegródką toaleta. Harry chrapał na prycy nad Normanem. Po drugiej stronie spała Beth, zarzuciwszy jedną rękę na twarz. Gdzieś z oddali dobiegały męskie krzyki.

Norman ziewnął i przerzucił stopy przez brzeg prycy. Ciało miał obolale, lecz poza tym czuł się dobrze. Podszedł do jaśniejącego iluminatora i mrużąc oczy przed słońcem Pacyfiku, wyjrzał na zewnątrz.

Ujrzał tylny pokład statku badawczego, John Hawes": białe lądowisko dla helikopterów, zwinięte ciężkie kable, rurowatą metalową konstrukcję robota do prac podmorskich. Umundurowani marynarze opuszczali przez burtę drugiego robota pośród okrzyków, klątw i wymachiwania rękami. Norman słabo słyszał ich głosy przez grube stalowe ściany cylindra.

Koło samej komory muskularny marynarz przetaczał po pokładzie zielony zbiornik z tlenem między tuzinem innych zbiorników. Trzyosobowa ekipa medyczna, która nadzorowała przebieg dekompresji, grała w karty.

Wyglądając przez calowej grubości szkło iluminatora Norman czuł się, jakby zaglądał w miniaturowy świat, z którym niewiele go łączy, w swego rodzaju terrarium zaludnione przez ciekawe, egzotyczne okazy. Ten nowy świat był dla niego równie obcy jak ciemny ocean, który niedawno oglądał przez iluminatory habitatu.

Przyglądał się, jak ekipa medyczna rżnie w karty na skrzyni ładunkowej, przyglądał się ich śmiechom i gestykulacji. Nawet nie patrzyli w jego stronę, nie oglądali się na komorę dekompresyjną. Norman nie pojmował ich zachowania. Przecież powinni obserwować przebieg dekompresji? Wyglądali na młodych i niedoświadczonych. Skupiwszy uwagę na grze w karty, zdawali się całkowicie nie zważać na znajdujący się blisko nich wielki stalowy cylinder -- ani na znaczenie ich misji, na wiadomości, jakie mogli przywieźć na powierzchnię ci, którzy przeżyli. Zadowoleni karciarze z marynarki zdawali się mieć głęboko w nosie Normana i jego misję. Może jednak o niczym nie wiedzieli.

Odwrócił się do wnętrza komory i usiadł przy stoliku. W kolanie pulsował mu ból, skóra dookoła białego bandaża była opuchnięta. Lekarz marynarki zajął się nim już podczas przenoszenia ich z łodzi podwodnej do komory dekompresyjnej. Z pokładu "Deepstar III" zostali przetransportowani w kesonie ze sprężonym powietrzem wprost do wielkiego cylindra na pokładzie statku -- powierzchniowej komory dekompresyjnej, SDC, jak nazywali ją marynarze. Mieli tu spędzić cztery doby. Norman nie był pewien, ile tego czasu już upłynęło. Natychmiast położyli się spać, a w komorze nie było zegara. Cyferblat jego zegarka był zmiażdżony, aczkolwiek nie przypominał sobie, w jakich okolicznościach się to zdarzyło.

Na powierzchni stojącego przed nim stolika ktoś kiedyś wydrapał "Marynarka to syf. Norman przesunął palcami po żłobieniach i przy pomnił sobie rowkowanie srebrzystej kuli. Teraz jednak znajdował się z Harrym i Beth w rękach marynarki wojennej.

Co my im właściwie powiemy? -- pomyślał.

--Co my im powiemy? -- spytała Beth.

Było to kilka godzin później. Beth i Harry obudzili się; siedzieli teraz wokół metalowego

stolika. Nikt z nich nie czynił żadnych prób, by porozumieć się z ekipą na zewnątrz. Tak jakby zawarli niepisaną umowę, że jeszcze trochę pozostaną w izolacji. \

--Myślę że coś im będziemy musieli powiedzieć -- rzekł Harry.

--Nie sądzę, byśmy powinni -- stwierdził Norman. Zaskoczyło go jego przekonanie, pewność brzmiąca w jego głosie.

--Zgadza się -- rzekła Beth. -- Nie jestem pewna, czy świat jest gotów na przyjęcie kuli.

Ja na pewno nie byłam. \$

Obrzuciła Normana potulnym spojrzeniem. Położył dłoń na jej ramieniu.

--Świetnie- zgodził się Harry.-- Spójrzycie na to jednak z punktu widzenia marynarki.

Urządziła dużą, kosztowną operację; zginęło sześć osób, a dwa habitaty zostały zniszczone. Będą chcieli odpowiedzi -- i będą zadawać pytania, dopóki ich nie otrzymają.

--Możemy odmówić zeznań- zaproponowała Beth.

--To nie sprawi żadnej różnicy -- odrzekł Harry. -- Pamiętajcie, że marynarka dysponuje wszystkimi taśmami.

--Zgadza się, taśmy -- potwierdził Norman. Zapomniał o kasetach magnetowidowych, które zabrali w łodzi. Dziesiątkach taśm, dokumentujących wszystko, co zdarzyło się podczas ich pobytu na dnie. Dokumentujących kałamarnice, kolejne zgony, kulę. Dokumentujących wszystko.

--Powinniśmy byli zniszczyć te taśmy- zamyśliła się Beth.

--Może powinniśmy -- rzekł Harry. -- Ale na to już za późno. Nie możemy przeszkodzić marynarce w uzyskaniu odpowiedzi, których pragnie.

Norman westchnął. Harry miał rację. W tej chwili nie istniał już żaden sposób, w jaki mogliby ukryć, co się stało, ani zapobiec, by marynarka dowiedziała się o kuli i zawartej w niej mocy. Mocy, mogącej stanowić broń ostateczną; do pokonania wroga wystarczyło wyobrazić sobie, że tak się dzieje. Konsekwencje tego były przerażające, i nic nie mogli na to zaradzić. Chyba że...

--Myślę, że możemy nie dopuścić do tego, by tak się stało -- oznajmił Norman.

--Jak? -- spytał Harry.

--Wciąż dysponujemy mocą, tak?

--Chybatak.

--Moc ta polega na zdolności sprawienia, by działy się rzeczy, o których tylko myślimy? -- ciągnął Norman.

--Tak...

--Więc możemy nie dopuścić, by marynarka się dowiedziała. Możemy zdecydować się na zapomnienie o wszystkim.

Harry zmarszczył brwi.

--Ciekawe pytanie: czy dysponujemy mocą, by zapomnieć o mocy, którą dysponujemy.

--Myślę, że powinniśmy o niej zapomnieć -- stwierdziła Beth. -- Kula jest zbyt niebezpieczna.

Zamilkł, rozważając konsekwencje zapomnienia o kuli. Jeżeli zapomną, to nie tylko marynarka się o niej nie dowie- zniknie cała wiedza o jej istnieniu, włącznie z ich wiedzą. Zniknie z ludzkiej świadomości, jakby nigdy nie istniała. Zostanie na zawsze usunięta ze świadomości gatunku ludzkiego.

--Wielki krok -- powiedział Harry. -- Po tym wszystkim, co przeszliśmy, po prostu o niej zapomnieć.

--Właśnie dlatego, że przez to przeszliśmy -- rzekła Beth. -- Powiedzmy sobie otwarcie, nie najlepiej sobie z tym poradziliśmy. -- Norman stwierdził, że mówiła teraz bez zaczepności, znikną) jej wcześniejszy wojowniczy nastrój.

--Obawiam się, że to prawda -- przyznał Norman. -- Kula została skonstruowana do poddawania testowi napotkanych form życia, a myśmy oblali ten test.

--Sądziś, że takie właśnie jest jej przeznaczenie? -- spytał Harry. -- Ja nie.

--Wiec jakie?

--Cóż -.powiedział Harry -- spójrzmy na to w ten sposób: załóżmy, że jesteś inteligentną bakterią unoszącą się w przestrzeni kosmicznej i natykasz się na jeden z satelitów komunikacyjnych, orbitujących wokół Ziemi. Pomyślałbyś sobie: Jaki to dziwny obiekt, wejdźmy do środka i zbadajmy go. Załóżmy, że otworzyłbyś go i wpełzłbyś do wnętrza. Stwierdziłbyś, że jest bardzo interesujące, że pełno tu ciekawych urządzeń. W końcu jednak mógłbyś wleźć do jednego z wodorowych ogniw zasilających i byś zginął. I twoją ostatnią myślą byłoby, że to obce urządzenie bez wątplenia jest przeznaczone do poddawania próbie bakteryjnej inteligencji, ewentualnie uśmiercania jej przy popełnieniu fałszywego kroku. Z punktu widzenia bakterii byłoby to nawet słuszne. Nie zgadzałyby się jednak z punktem widzenia istot, których dziełem jest satelita. Z naszego punktu widzenia satelity komunikacyjne nie mają nic wspólnego z inteligencją bakterii. Nawet nie wiemy, czy w kosmosie jakiegokolwiek istnieją. Po prostu usiłujemy porozumieć się ze sobą i skonstruowaliśmy w tym celu całkiem zwyczajne dla nas urządzenie.

--Uważasz więc, że kula może jednak nie być ani wiadomością, ani nagrodą, ani pułapką?

--Zgadza się -- potwierdził Harry. -- Kula może nie mieć nic wspólnego z poszukiwaniem obcych cywilizacji czy poddawaniem ich badaniom, jak to sobie wyobrażaliśmy. To, iż wywołuje u nas dogłębne zmiany, może być całkowicie przypadkowe.

--Ale dlaczego ktoś miałby budować takie urządzenie?-- spytał Norman.

--Takie samo pytanie mogłaby zadać inteligentna bakteria napotkawszy satelitę telekomunikacyjnego. Po co ktoś miałby budować coś takiego?

--Jeśli już o to chodzi, to może nie być maszyna -- uściśliła Beth. -- Może to być forma życia. Kula może być żywa.

--To możliwe- powiedział Harry:

--Jeśli więc kula jest żywa, czy jesteśmy zobowiązani utrzymywać ją przy życiu? -- spytała Beth.

--Nie wiemy, czy naprawdę jest żywa. Norman odchylił się w krześle.

--Wszystkie te rozważania są ciekawe -- przyznał. -- Sprowadzają się jednak do tego samego: nic nie wiemy o kuli. W ogóle powinniśmy wypowiadać się o niej bardzo ostrożnie. Nie wiemy, czym jest Nie wiemy, skąd przybyła. Nie wiemy, czy jest ożywiona, czy nie. Nie wiemy, jak znalazła się na pokładzie statku. Nie wiemy o niej nic, prócz tego, co sobie wyobrażamy -- a to, co sobie wyobrażamy, mówi więcej o nas niż o kuli.

--Zgadza się -- rzekł Harry.

--Ponieważ jest niemal dosłownie naszym lustrem -- dokończył Norman.

--W związku z czym wylania się jeszcze jedna możliwość -- dodał Harry. Kula może nie

być obcego pochodzenia. Może być dziełem człowieka.

Zaskoczyło to Normana kompletnie. Harry wyjaśnił:

--Zastanówcie się. Statek z naszej przyszłości przeleciał przez czarną dziurę do innego wszechświata lub innej części naszego wszechświata. Nie potrafimy sobie wyobrazić, co mogło się w wyniku tego wydarzyć. Załóżmy jednak, że deformacja czasu była większa, niż przypuszczaliśmy. Załóżmy, że statek, który wystartował z załogą w roku 2043, w rzeczywistości odbył podróż liczącą wiele tysięcy lat. Czy podczas tego okresu załoga nie mogłaby wymyślić czegoś takiego?

--Nie uważam, by było to prawdopodobne- powiedziała Beth.

--Cóż, zastanówmy się nad tym przez chwilę -- rzekł Harry delikatnie. Norman zauważył, że arogancja Harry'ego zniknęła. Wszyscy przeszli przez to samo i wszyscy współpracowali ze sobą jak nigdy przedtem, pomyślał Norman. Cały czas pod wodą dochodziło między nimi do rozdzwieńków, teraz jednak działali zgodnie. Stanowili zespół.

--Z przyszłością mamy prawdziwy kłopot, do którego nie chcemy się przyznać -- mówił Harry. -- Przyjmujemy, że potrafimy zajrzeć w nią lepiej, niż jest w rzeczywistości. Leonardo da Vinci próbował skonstruować helikopter pięćset lat temu, a sto lat temu Jules Verne przewidział łodzie podwodne. Na takich przykładach wspieramy swe przekonanie, że przyszłość można przewidzieć, podczas gdy prawda wygląda inaczej. Ponieważ ani Leonardo, ani Jules Verne nie byłiby w stanie wyobrazić sobie, powiedzmy, komputera. Samo pojęcie komputera zakłada większą wiedzę, niż w ogóle była dostępna ludziom w tamtych czasach. Była to, jeśli wolicie, informacja, która pojawiła się później znikąd. Siedząc tutaj, jesteśmy niewiele mądrzejsi. Jeszcze parę dziesięcioleci temu nie moglibyśmy w ogóle przypuszczać, że statek przemierzył czarną dziurę, ponieważ w ogóle o nich nie wiadano, nie podejrzewano nawet ich istnienia. Bez wątplenia nie możemy dojść do tego, co ludzkość może wymyślić za parę tysięcy lat.

--Założywszy, że kula jest dziełem ludzkości.

--Tak, założywszy to.

--A jeśli jest inaczej? Jeśli kula jest rzeczywiście wytworem obcej cywilizacji? Czy mamy prawo unicestwić wszelką wiedzę o jej istnieniu?

--Nie wiem -- potrząsnął głową Harry. -- Jeśli zdecydujemy się zapomnieć okuli...

--Wtedy zniknie- skostatował Norman. Beth zapatrzyła się w porysowany stolik.

--Chciałabym się kogoś poradzić -- rzekła w końcu.

--To niemożliwe- zaprotestował Norman.

--Ale czy naprawdę możemy o niej zapomnieć? -- spytała Beth. -- Czy to się uda?

Zapadło długie milczenie.

--Tak -- zdecydował wreszcie Harry. -- Nie ma co do tego wątpliwości. Sądzę również, że dysponujemy dowodem, iż istotnie zapomnimy o niej. Rozwiązuje to logiczny dylemat, który nękał mnie od początku, gdy po raz pierwszy znaleźliśmy się na statku. Brakowało tam bowiem czegoś bardzo ważnego.

--Tak? Czego?

--Jakiegokolwiek znaku, że budowniczy statku wiedzieli, iż podróż przez czarne dziury jest rzeczywiście możliwa.

--Nie nadażam za tobą -- zauważył Norman.

--Hmm -- mruknął Harry. -- Nasza trójka widziała statek, który odbył taką podróż. Znaleźliśmy się na jego pokładzie. Wiemy więc, że jest ona możliwa.

--Tak...

--Mimo to za pięćdziesiąt lat ludzie zbudują ten statek bardzo ostrożnie, eksperymentalnie, najwidoczniej w ogóle nie wiedząc, że został znaleziony pięćdziesiąt lat wcześniej. Nie ma żadnego znaku, iż jego konstruktorzy wiedzieli, iż zaistniał on już w przeszłości.

--Może to jeden z paradoksów czasu -- zastanowiła się Beth. -- Wiesz, nie możesz udać się w przeszłość i spotkać samego siebie...

Harry potrząsnął głową.

--Nie uważam, żeby to był paradoks -- powiedział. -- Sądzę, że cała wiedza o istnieniu statku zniknie.

--To znaczy, że o nim zapomnimy.

--Tak -- rzekł Harry. -- I przyznam się szczerze, że uważam to za najlepsze rozwiązanie. Dość długo, gdy byliśmy na dnie, zakładałem, że żadne z nas nie ujdzie z tego z życiem. Było to jedyne wyjście, jakie potrafiłem wymyślić. Dlatego właśnie chciałem sporządzić testament.

--Jeśli jednak zdecydujemy się zapomnieć...

--Właśnie -- przytaknął Harry. -- Jeśli zdecydujemy się zapomnieć, da to taki sam skutek.

--Wiedza o statku przepadnie bezpowrotnie -- powiedział cicho Norman. Stwierdził, że się waha. Teraz, gdy dotarli do tego punktu, nie miał ochoty posunąć się dalej. Przebiegł palcami po pobrużdżonej powierzchni stołu.

W pewnym sensie składamy się wyłącznie ze wspomnień, pomyślał. Nasze osobowości są stworzone ze wspomnień, nasze życie jest wokół nich zorganizowane, nasze kultury zbudowane są na wspólnych wspomnieniach, które nazywamy historią i nauką. Wyzbyć się wspomnień, wiedzy, wyrzec się przeszłości...

--To nielatywne -- przyznał Harry, potrząsając głową.

--Nielatywne -- rzekł Norman. Pomyślał, że jest to tak trudne, iż zastanowić się trzeba, czy nie ma do czynienia z równie podstawową cechą ludzkiej osobowości, jak popęd seksualny. Wiedza wydawała mu się tak ważna, jej implikacje tak doniosłe... Cała jego istota buntowała się na myśl o zapomnieniu.

--Cóż -- stwierdził Harry. -- Mimo wszystko uważam, że powinniśmy to zrobić.

--Myślałam o Tedzie -- powiedziała Beth. -- I o Barnesie, i pozostałych. Jesteśmy jedynymi, którzy wiedzą, jak naprawdę zginęli. Za co oddali życie. Jeśli zapomnimy...

--Kiedy zapomnimy- poprawił z naciskiem Norman.

--Trafiła w sedno -- orzekł Harry. -- Jeśli zapomnimy, jak poradzimy sobie ze szczegółami? Jak wytłumaczymy, co się zdarzyło, bez popadania w sprzeczności?

--Nie uważam, żeby to stanowiło problem -- powiedział Norman. -- Jak się przekonaliśmy, podświadomość dysponuje wielkimi mocami twórczymi. Tak właśnie, podświadomie, poradzimy sobie ze szczegółami. Podobnie jak przy porannym ubieraniu się; nie zastanawiamy się wówczas nad każdą czynnością, zapięciem paska, włożeniem skarpet i tak dalej. Podejmujemy jedynie ogólną decyzję, jak się ubierzemy -- i ubieramy się.

--No powiedzmy -- zgodził się Harry. -- Lepiej jednak podejmiemy wspólną decyzję, ponieważ wszyscy jesteśmy obdarzeni mocą, i jeśli wyobrazimy sobie różne historie, będzie

zamieszanie.

--Zgoda -- powiedział Norman. -- Ustalmy, co się stało. Dlaczego tu przybyliśmy?

--Myślałam, że zdarzył się jakiś wypadek lotniczy.

--Jarównież.

--Dobrze, załóżmy, że to był wypadek lotniczy.

--Świetnie. I co dalej?

--Marynarka wysłała na dół ludzi w celu zbadania szczątków pozostałych po katastrofie i zaczęła mieć kłopoty...

--Chwileczkę, jakie kłopoty?

--Kalamarnica?

--Nie, lepiej jakieś przyczyny techniczne.

--Coś w związku ze sztormem?

--Z działaniem systemów podtrzymywania życia podczas sztormu?

--Tak, bardzo dobrze. Podczas sztormu zawiodły układy podtrzymywania życia.

--I w rezultacie zginęło kilka osób?

--Poczekaj chwilę, nie tak szybko. Co było przyczyną awarii układów? Beth zawahała się przez moment.

--W habitacie powstał przeciek, do Cylindra B dostała się słona woda, która skorodowała kanistry płuczek, uwalniając toksyczne gazy.

--Czy to mogło się zdarzyć?-- spytał Norman.

--Bez problemu.

--I w rezultacie tego wypadku zginęło kilkoro ludzi.

--Zgoda.

--Ale my przeżyliśmy.

--Tak.

--Dlaczego? -- spytał Norman.

--Byliśmy w drugim habitacie? Norman potrząsnął głową.

--Drugi habitat również został zniszczony.

--Może został zniszczony później, przez detonację materiałów wybuchowych.

--Zbyt skomplikowane -- rzekł Norman. -- Wymyślmy coś prostszego. Był to wypadek, który zdarzył się nagle i nieoczekiwanie. Puściło poszycie habitatu, nawaliły płuczki, wskutek czego większość zginęła, my jednak nie, ponieważ...

--Byliśmy w łodzi podwodnej?

--Zgoda -- powiedział Norman. -- Byliśmy w łodzi podwodnej, kiedy zawiodły układy, i dlatego właśnie w odróżnieniu od reszty przeżyliśmy.

--Dlaczego byliśmy w łodzi?

--Zgodnie z rozkładem przenosiliśmy taśmy?

--A taśmy? -- spytał Harry. -- Co na nich będzie widać?

--Taśmy potwierdzą naszą opowieść -- oznajmił Norman. -- Wszystko będzie się zgadzało z naszą opowieścią, włącznie z relacjami ludzi z marynarki, którzy wysłali nas na dno, oraz naszymi zeznaniami -- nie będziemy przecież pamiętać niczego prócz tej wersji.

--I nie będziemy już obdarzeni mocą? -- spytała Beth, marszcząc brwi.

--Już nie -- odpowiedział Norman.

--Zgoda- rzekł Harry.

Beth zamyśliła się, przygryzłszy wargę. W końcu kiwnęła głową.

--Zgoda.

Norman zaczerpnął głęboko tchu i spojrział na Beth i Harry'ego.

--Czy jesteśmy gotowi zapomnieć o kuli i o tym, że dysponowaliśmy mocą sprawiania, by nasze myśli stawały się rzeczywistością?

Skinęli głowami.

Beth nagle stała się podekscytowana. Poruszyła się w krześle.

--Ale jak właściwie to zrobimy?

--Po prostu to zrobimy -- odparł Norman. -- Zamknijcie oczy i powiedzcie sobie, że o tym zapominacie.

--Jesteś pewien, że to naprawdę wystarczy? -- spytała Beth. -- Naprawdę jesteś pewien? --
Wciąż wierciła się nerwowo.

--Tak, Beth. Masz po prostu... pozbyć się mocy.

--No to musimy zrobić to wszyscy wspólnie -- zastrzegła. -- Jednocześnie.

--Dobrze -- rzekł Harry.

--Gdy doliczę do trzech. Zamknęli oczy.

--Jeden...

Z zamkniętymi oczyma Norman pomyślał: Ludzie i tak zawsze zapominają, że dysponują mocą.

--Dwa...- rzekł Harry.

Norman skupił myśli. Z niespodziewaną intensywnością ponownie ujrzał wypolerowaną kulę lśniącą jak gwiazda, idealną, i pomyślał: Chcę zapomnieć, że ją kiedykolwiek widziałem.

I w jego wyobraźni kula zniknęła.

--Trzy -- powiedział Harry.

--Co trzy? -- spytał Norman. Bolały go oczy; czuł się, jakby mu w nie nasypano piachu. Potarł je kciukiem i palcem wskazującym, po czym otworzył. Beth i Harry siedzieli z nim przy stoliku w komorze dekompresyjnej. Wszyscy wyglądali na zmęczonych i przygnębionych. Można się tego było jednak spodziewać, zważywszy na to, co przeszli.

--Trzy co?-- powtórzył Norman.

--Och, myślałem na głos -- wyjaśnił Harry. -- Przeżyły tylko trzy osoby. Beth westchnęła. Norman dojrzał lzy w jej oczach. Wygrzebała z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarła nos.

--Nie macie się o co obwiniać -- oświadczył Norman. -- To był wypadek. Nic na to nie mogliśmy poradzić.

--Wiem -- rzekł Harry. -- Ale oni dusili się, gdy siedzieliśmy w łodzi... Wciąż słyszę ich krzyki... Boże, że też do tego doszło.

Zapadła cisza. Beth ponownie wytarła nos.

Norman również żałował, że się to stało, ale żalem nie mógł zmienić rzeczywistości.

--Co się stało, to się nie odstanie -- stwierdził. -- Musimy się z tym pogodzić.

--Wiem -- odparła Beth.

--Mam duże doświadczenie, jeśli chodzi o urazy psychiczne wywołane wypadkami -- przypomniał. -- Musicie sobie po prostu powtarzać, że nie macie powodów czuć się winni. Co się stało, to się stało -- trochę ludzi zginęło, a wy ocaleliście. To niczyja wina, los tak chciał. To był

wypadek.

--Wiem -- powtórzył Harry.-- Ale mimo to czuję się parszywie.

--Powtarzajcie sobie, że los tak chciał -- poradził Norman. -- Miejcie to na uwadze. --

Wstał od stolika. Powinni coś zjeść, pomyślał. -- Zamierzam poprosić o coś do jedzenia.

--Nie jestem głodna- oznajmiła Beth.

--Wiem, ale mimo to powinniśmy coś zjeść.

Norman podszedł do iluminatora. Czujna ekipa marynarki natychmiast go dostrzegła.

Zadziałał interkom.

--Czym możemy służyć, doktorze Johnson?

--Chcielibyśmy coś zjeść- powiedział Norman.

--Natychmiast, proszę pana.

Norman dostrzegał współczucie na twarzach marynarzy. Ci mężczyźni musieli rozumieć, jak wielki wstrząs przeszły trzy ocalale osoby.

--Doktorze Johnson? Czy jesteście państwo gotowi porozmawiać z kimś?

--Porozmawiać?

--Tak jest. Eksperci wywiadu przejrzeni taśmy z łodzi podwodnej i mają w związku z nimi do państwa kilka pytań.

--O co chodzi? -- spytał Norman, niezbyt zainteresowany.

--Cóż, kiedy przenoszono was do komory dekompresyjnej, doktor Adams wspominał coś o kałamarnicy.

--Rzeczywiście?

--Tak jest. Tylko że na taśmach nie ma żadnej kałamarnicy.

--Nie przypominam sobie żadnej kałamarnicy -- rzekł zdezorientowany Norman. Odwrócił się do Harry'ego. -- Mówiłeś coś o jakiejś kałamarnicy, Harry?

Harry zmarszczył czoło.

--Kałamarnicy? Nie przypominam sobie. Norman odwrócił się z powrotem do marynarza.

--A co dokładnie widać na taśmach?

--No, taśmy obejmują okres jedynie do chwili, gdy habitat... wie pan, do wypadku...

--Tak, przypominam sobie wypadek- oświadczył Norman.

--Po przejrzeniu taśm sądzimy, że wiemy, co się stało. Najprawdopodobniej! puściła gdzieś ściana habitatu i zamokły cylindry płuczek. Przestały pochłaniać! dwutlenek węgla i atmosfera w habitacie przestała nadawać się do oddychania.

--Rozumiem.

--Musiało to zajść bardzo nagle, proszę pana.

--Tak -- przyznał Norman. -- Tak, rzeczywiście.

--Jesteście więc państwo gotowi do rozmów?

--Myślę, że tak. Tak.

Norman odwrócił się od iluminatora. Włożył dłonie do kieszeni kurtki i na- | macał kawałek papieru. Wyciągnął fotografię, w którą zapatrzył się z zaciekawieniem.

Było to zdjęcie samochodu -- corvette. Zastanowił się, skąd mogło znaleźć się u niego w kieszeni. Prawdopodobnie samochód należał do kogoś innego, kto nosił kurtkę przed nim. Pewnie któregoś z marynarzy, którzy zginęli w katastrofie na dnie.

Norman zadygotał, zmiażdżył zdjęcie w pięści i wyrzucił je do kosza. Niepotrzebne mu było

takie memento. Aż za dobrze pamiętał katastrofę. Wiedział, że wspomnienie o niej nie opuści go do końca życia.

Spojrzał na Beth i Harry'ego. Obydwoje wyglądali na zmęczonych. Beth wpatrywała się przed siebie, pogrążona we własnych myślach. Jej twarz jednak: była spokojna. Norman pomyślał, że jest prawie piękna.

--Wiesz, Beth- powiedział- wyglądasz ślicznie.

Beth zdawała się nie słyszeć, jednak w końcu odwróciła się powoli w jego stronę.

--Cóż, dziękuję, Norman. I uśmiechnęła się.

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-05

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[BARNES](#)

[ULF](#)

[ZESPÓŁ DO BADAŃ ANOMALII](#)

[ODPRAWA](#)

[BADANIA](#)

[ZANURZENIE](#)

[DH- 8](#)

[WEJŚCIE](#)

[STATEK KOSMICZNY](#)

[DO ŚRODKA](#)

[WNETRZE](#)

[CZAS I PRZESTRZEŃ](#)

[NARADA](#)

[SZKLANY SZEŚCIAN](#)

[RV- LHOOQ DCOM1 U.S.S. STAR VOYAGER](#)

[WSTĘPNE SPOSTRZEŻENIA](#)

[PIERWSZA OCENA](#)

[PROBLEM ANTROPOMORFIZMU](#)

[OTWARCIE](#)

[IZOLACJA](#)

[POZA PLUTONEM](#)

[BARNES, USN.](#)

[PSYCHOLOG ZESPOŁU ULF: KOLEJNOŚĆ WYBORU](#)

[BADANY](#)

[ZMIANY](#)

[0618082132290330051822042610130830162137](#)

[ANALIZY](#)

[TED](#)

[0032125252632»«032629»«301321»](#)

[BETH](#)

[HARRY](#)

[LABORATORIUM](#)

[OBIAD](#)

[KOLEJNE PRZEKAZY](#)

[0001132121 05180801](#)

[1234567890](#)

[0003212](#)

[HALO. – 0003212](#)

[NIE.](#)

[ZACZEKAJ, PROSZĘ. DYSKUTUJEMY.](#)

[O CO NALEŻY WYPYTAĆ TEGO GOŚCIA?](#)

[TAK, NORMAN. JESTEM TU.](#)

NIE OBAWIAJCIE SIĘ.
ROSE LEVY
WZGLĘDY MILITARNE
POSTERUNKI BOJOWE
JESTEM TUTAJ.
NIE OBAWIAJCIE SIĘ.
PO ATAKU
GOŚĆ
NADCHODZĘ.
NASTĘPSTWA
DEEPSTAR III – MODUŁ DOWODZENIA
DH- 8
KONSOLA
HALO, NORMAN.
MANIFESTOWANIE JEST DLA MNIE SZCZĘŚLIWE.
TAK, WIEM.
NIE CIESZY MNIE ZROBIENIE TEGO.
HEJ, FACET, ZEJDŹ ZE MNIE.
HELLO – HALO.
CQX VDX MOP LKI
JESTEM TUTAJ. NIE OBAWIAJCIE SIĘ.
MAM WIĘKSZĄ MOC, NIŻ SOBIE WYOBRAŻASZ.
ZABIJĘ WAS WSZYSTKICH.
15 GODZIN 20 MINUT
12 GODZIN 30 MINUT
11 GODZIN 00 MINUT
DEEPHAB- 8 PARAMETRY PROJEKTOWE MIPPR
07 GODZIN 20 MINUT
ZABIJĘ WAS.
07 GODZIN 00 MINUT
06 GODZIN 40 MINUT
06 GODZIN 00 MINUT
05 GODZIN 35 MINUT
05 GODZIN 00 MINUT
02 GODZINY 00 MINUT
UŻYCIE WYŁĄCZNIE PRZEZ OSOBY UPOWAŻNIONE
01 GODZINA 40 MINUT
01 GODZINA 30 MINUT
DO DETONACJI 09:32.
00 GODZIN 00 MINUT